

ROBERT STONE

"DZIECI ŚWIATŁA"

Przebudzony otworzył oczy. Ujrzał wodnistą poświatę na błękitnobiałym suficie - projekcję porannych promieni słońca odbitych od tafli basenu znajdującego się tuż za oknem. Uniósł głowę i natychmiast poczuł uderzenie fali trucizny: pragnienie, mdłości, kłujący ból pod po-wiekami. Gdy się poruszył, poczuł ciepło leżącej obok dziewczyny, nagiej, wyciągniętej na brzuchu. Sięgnął ręką i ostrożnie, gdyż kac nie pozwalała na gwałtowniejsze ruchy, przesunął dłonią po zagłębieniu jej pleców, po-wyżej bioder, po pośladvach i twardych udach. W pierw-szej chwili nie pamiętał, kim była, ale chłodny dotyk młodej skóry szybko przywrócił mu pamięć. Delikatnie i najciszej, jak potrafił, wstał z łóżka i po-człapał po wyłożonej kafelkami podłodze do krzesła, na które wieczorem rzucił ubranie. Nie chciał jej budzić - pomimo swej samotności wołał być sam. Ubrał się szybko i przeszedł z sypialni do kuchni. Olbrzymie, doskonale białe pomieszczenie, połyskiwało w świetle poranka nierdzewną stalą i szkłem. Przystanął przy kranie, oparł łokcie na zimnej krawędzi zlewu i pił długo, bez tchu. Zwilżył dłonie i przetań twarz. Za oknem, w oddali, ujrzał brązowe góry - stromy grzbiet w koronie mgły unosił się nad niczym nie skażoną zielenią doliny. Dzień skrzył się blaskiem nakrapianym obietnicą. - Pieprzona Kalifornia - powiedział na głos, wciąż na wpół pijany.

Nawet po dwudziestu latach nie uodpornił się na kalifornijskie poranki. Może dlatego, że dla niego stały się zapowiedzią pogoni za szczęściem? Zmrużył opuchnięte oczy i mocniej przytrzymał się zlewu. Przydałyby się monety - pomyślał. Na powieki. Wziął głęboki oddech, przełknął ślinę i wyprostował się. - No to w drogę - mruknął.

Do białej kuchni przylegała nieduża jadalnia. Kręcone, rzeźbione schody zaprowadziły go do salonu, gdzie wczoraj zostawił swoje manele. Położył na kanapie walizkę i otworzył ją. Z czystymi skarpetkami, bielizną i świeżą koszulą w rękach ruszył do przeznaczonej dla gości łazienki i tutaj schronił się przed natarczywą rzeźkością poranka. Odkręcił prysznic i próbował uspokoić nerwy przy wtórze swojskiego szelestu spadających kropel. Ale niewiele pomogło: ręce mu drżały. Powracał strach. W następnej chwili obłany zimnym potem rzygał do umywalki. Ledwo skończył, dostał sraczki. Chwilowo oczyszczony, usiadł na wyściełanym stołku i ujął głowę w dłonie. Kompletna pustka.

Trucizna. Zatrutował się od tygodni.

Wchodząc pod prysznic pochwycił swoje odbicie w lus-trze na drzwiczkach apteczki. Czy to coś było nim? Skorupa człowieka. Pośpiesznie odwrócił głowę. Otulony welonem cieplej wody, zaczął recytować na-dając głosowi górnolotny ton:

- Jesteś rzeczą - głosił ścianom małej, białej kabiny. - Pusty człowiek nie jest niczym więcej niż biednym rogatym bydlęciem, takim jak ty.

Poczuł się lepiej, ale tylko na chwilę. Fala żalu zbierała się już i nadciągała w jego stronę; ledwie zdążył wciągnąć powietrze, dopadła go. Gorycz - tłumiona, cierpka, koloru żółci, dusiła go.

- Znikąd pomocy? Zewsząd opuszczony? - deklamował - To by człowieka w zdrój łez mogło zmienić... - Przerwał i zamilkł.

W takich chwilach Walker-scenarzysta widział prze-szłość jako stertę chaotycznie ułożonych obrazów. Światło na wodzie, jego żona w wieku dwudziestu lat, niebo - nie pamiętał nad czym, jakieś miasto, dzieci jeszcze małe. Gdy przesuwające się w kalejdoskopie pamięci fotografie na moment nieruchomiały, potrafił wzruszyć się do łez, ale już po chwili poruszone emocje wydawały mu się trywialne i nieszczerze, jak niedobre sceny z jego scenariuszy. Upiory sumienia - najgłębsze żale - zdawały się małostkowe,

wulgarnie i śmieszne. Te zmienne wrażenia rozpostarły przed oczami Walkera wizję jego życia: kupę śmiecia - zafajdanych, wyeksploatowanych gratów, nie do naprawienia. Przyglądając się ponuremu korowodowi, Walker zastanawiał się, czy kiedykolwiek otarł się o prawdę. Trzymał się mocno poręczy na drzwiach kabiny. Potrzebne nam marzenie - powiedział sobie - coś, co mogłoby posłużyć za punkt oparcia. Przez kilka ostatnich tygodni ciągnął na alkoholu i dziesięciu bezcennych gramach kokainy, i czuł się tak, jakby wkrótce miał umrzeć. Zakręcił wodę, wyszedł z kabiny, wytarł się ręcznikiem dla gości i omijając spojrzeniem lustro, sprawdził zawartość apteczki. Ku swemu zachwytowi, obok słoiczka z witaminą B kompleks odkrył niewielką fiolkę valium. Idealna gospodyni - pomyślał - fantastyczna dziewczyna. Gdy już połknął pięciomiligramową tabletkę valium i kilka witamin B, wszedł na łazienkową wagę. Zamknął apteczkę i raz jeszcze stanął do konfrontacji z własnym odbiciem. Uważa się, że mężczyzna w wieku Walkera jest odpowiedzialny za stan swojej twarzy - świadomość ta nie jest przyjemnym uczuciem. Ale na swoim obliczu nie dostrzegł śladów moralnego upadku. Wyprostował się i popatrzył z niesmakiem. Po prostu twarz, całkiem zwyczajna. Nie mógł oderwać wzroku od istoty w lustrze. Powinien wiedzieć, jak wygląda: od czasu do czasu pracował jako aktor. Patrzył na niego mężczyzna po czterdziestce, po którym widać, że pije. Przez większość życia wyglądał na młodszego, niż był w rzeczywistości. Może teraz to tylko światło - pomyślał. Odwrócił wzrok i popatrzył na wagę. Stwierdził, że waży nieco ponad sto siedemdziesiąt funtów, co przy jego wzroście i budowie ciała wydało mu się normą. Wetknął dwa palce pod żebra, sprawdzając wątrobę. Była w nie gorszym stanie niż zwykle. Schodząc z wagi, ponownie natknął się na swoje odbicie i zaraz sparaliżował go strach przed śmiercią. Odwrócił się. Oparty plecami o ścianę, zamknął oczy i oddychał, rozmyślnie głęboko. Uspokoił się dopiero po chwili. Pomyślał, że jego siły witalne uległy całkowitej rozsypance. Może valium pomoże? Znowu przyszedł mu do głowy cytat z "Leara": Gdyby znał siebie choć trochę... Po raz pierwszy uczciwie analizując swoje życie, Walker zastanawiał się, czy ta prawda nie mogłaby dotyczyć i jego. Niemożliwe - zdecydował. Siebie znał wystarczająco dobrze. To cała reszta sprawiała mu kłopoty. Ubrał się. Po drodze do kuchni napełnił szklanekę do połowy wódką, dodał ostrygę i sok pomidorowy. Zszedł ostrożnie po schodach. Wyciągnął się na jasnoszarej kanapie, rozkoszując się przytulną nieskazitelną salonu Bronwen. Po kilku łykach sięgnął za podszewkę walizki i wyjął różową papeterię, w której przechowywał odmierzone działki kokainy. Położył jedną z kopert przed sobą na stoliku do kawy, ale nie otwierał jej. Jak na kogoś w tak młodym wieku, nieźle sobie żyje - pomyślał. On, od ponad miesiąca, był bezdomny. Walker pracował w przemyśle filmowym, gdzie w wieku siedemnastu lat zaczął się jako aktor. Przeszedł przez wszystkie stopnie wtajemniczenia w studio Hagen-Berg-hof z zamiarem nauczania się teatru i zostania scenopisarzem. Kilka lat później napisał scenariusz i teksty piosenek do bardzo poważnej i bardzo ambitnej muzycznej wersji "Jurgena" i był zdumiony, gdy przedstawienie zdjęto z afisza już po tygodniu. Nigdy nie napisał sztuki teatralnej i zrozumiał, że nie będzie mu to dane. Zarabiał na życie - na całkiem niezłym poziomie - głównie przy obróbce filmowych scenariuszy. Podczas ostatniego lata wystąpił na scenie, po raz pierwszy w roli Leara. Podczas swej teatralnej kariery awansował w tej ponurej bajce. W różnych momentach życia grał kolejno: Służącego, Księcia Kornwalii, Hrabiego Kentu, a wreszcie samego Króla. Wciąż jeszcze nie otrząsnął się z nastroju "Leara". Ponure i zjadliwe pomruki, słowa zakłęt wzięte z tekstu, w sam raz pasowały do stanu jego ducha. Właśnie gdy grali "Leara", opuściła go żona. Z drinkiem w ręce wrócił na górę i zatrzymał się w drzwiach sypialni, obserwując młodą kobietę. Taki miły dom, taka śliczna dziewczyna. Ze złością zacisnął szczękę. Obserwował ją. Patrzył na jej twarz. Rudoblond włosy opadały jej na oczy; usta rozchyliły się odsłaniając długie, białe zęby. Spała dalej albo tylko udawała. Nagie ciało spoczywało

jak w futerale, owinięte niebieskim, jedwabnym prześcieradłem.

Bronwen była pisarką - dziewczęciem ze Środkowego Zachodu, oszlifowanym wczesnym sukcesem i wspaniałością Kalifornii. Obserwując ją, a raczej przypatrując się z zachwytem, jak śpi, Walker odczuwał mieszane uczucia. Żądy i niechęci.

Zastanawiał się, jaki jest ich wzajemny stosunek. Obydwoje byli, każde na swój sposób, komikami; prezen-towany przez nich podobny gatunek humoru mógł sta-nowić źródło wzajemnej niechęci.

Ona napisała trzy krótkie powieści: dowcipne, oryginal-ne i niesłuchanie przyjemne w czytaniu. Bronwen była z pewnością zabawna. Wszystkie jej powieści zostały przyjęte entuzjastycznie przez krytyków i publiczność; stała się wystarczająco sławna, by Walker, co w duchu ze wstydem przyznawał, w przygodzie z nią znajdował snobistyczną przyjemność. Była inteligentna i twarda, pokłady dziecinnego jadu i skrzętnie skrywanych lęków otoczyła kolczastymi zasiekami instynktów obronnych. Za jej plecami Walker powiedziałby, że w szczenięcych latach nieźle oberwała. Prowadzili ze sobą dziwną grę. Dokładnie przejrzała mężczyzn typu Walkera. Jego sztu-czki, by się podobać, zabiegi, by okazać się zabawnym, jak i resztki jego politycznych ciągot nie robiły na niej żadnego wrażenia. Inni mogli brać go na serio, ona - cyniczna, znająca życie - nigdy.

Bronwen obróciła się na drugi bok we śnie, rzeczywis-tym lub udanym. Była córką piekarza z Indiany i bawiło ją odgrywanie reakcjonistki wobec okazywanych przez Walkera pozostałości nabożnego przywiązania do demo-kracji. Chętnie zakłócała mu spokój swą wojującą, tory-sowską bigoterią, która, choć rozmyślnie wyolbrzymiona, oddawała jej prawdziwe przekonania. Obrzucił wzrokiem jej długi kształt i zastanowił się, czy ona wie, że on wie o pistolecie, trzymanym przez nią w wiklinowej skrzyni pod łóżkiem, zawiniętym w chustę wraz z tabletkami ritalinu. I czy przejrzała go na tyle, by móc wyobrazić sobie kaliber jego wściekłości i napas-tujące go mordercze obsesje - chęć zniszczenia, ze-szaczenia delikatnej młodości, wręcz unicestwienia jej. Natychmiast ogarnęło go przerażenie i wyrzuty sumie-nia. Przecież w zasadzie lubił ją. Pomyślał, że jego stosunek do niej musi być przesycony czymś więcej niż tylko perwersyjnym snobizmem. Była zabawna - spodo-bał mu się rodzaj jej dowcipu, pogodny nastrój. Ona też go lubiła - tego był pewien. Mogła prowadzić z nim rozmowy jak z żadnym ze swych przyjaciół i jak mówiła, szanowała jego pracę. Przyszło mu nagle do głowy, jak ich związek niewiele ma wspólnego ze sprawami serca, a przynajmniej jego ich niegdysiejszym wyobrażeniem: z miłością, przywiązaniem, lojalnością. Zbliżył ich tylko przypadek i intelektualna gra połączona z seksem. Czy możliwe, by ona potrafiła rozszyfrować dręczące go, pełne agresji obsesje i wyobrazić sobie, że stała się ich obiektem? Całkiem prawdopodobne. I Bóg jeden wie, jakie ją nachodziły fantazje dotyczące jego osoby. W salonie, na kanapie, na której wcześniej siedział, znalazł swój portfel, pełen niedbale poupychanych bank-notów. Przypomniał sobie to, o czym zdążył niemal całkiem zapomnieć: wczoraj, w Santa Anita, wygrał kupę forsy. Wybrał się tam z Bronwen; dzień był cudowny, zjedli lunch w klubie. Walker trafił dubla, gdy płacili osiem do jednego. Dostał ponad tysiąc dolarów. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się wygrać na torze aż tyle. Starczyło na kolację w San Gabriel Ranch i jeszcze zostało dość na opłacenie tygodnia w Chateau Marmont. Mieszkał tam od czasu, kiedy przestali grać "Króla Leara", a on wynajął swój dom w Santa Monica. Nie chciał być tam sam. Walker delikatnie przytrzymał niechlujny zwitek po-między kciukiem a palcem wskazującym. Dotyk zmię-tych, nowych banknotów napawał go niesmakami. Wy-ciągnął jedną setkę i studiował ornament wytłoczony na jej brzegach. Potem, pod wpływem impulsu, rozsypał na stoliku działkę koki i wdychał ją nosem przez zwinięty w rulonik banknot. Powąchał i przetarł oczy. Wracała pewność siebie. Trochę energii na drogę też się przyda. Uświadomił sobie, że od momentu przebudzenia zdążył się nafaszerować valium, alkoholem i kokainą.

Pomyślał, że potrzebuje planu. Planu i marzenia, czegoś, na czym mógłby się wesprzeć. Marzenia stanowiły specjalność Walkera, istotę jego życia. Były solą i wodą; jego krwią. Opuszką palca wskazującego przesunął po blacie stolika, zebrał rozsypane drobiny koki i wtarł w dżiasta. W drogę - przekonywał się w myślach. Jeżeli się nie ruszy, niechybnie dopadnie go tu śmierć. Wstał i spakował swoje rzeczy. Jako pożegnalny prezent zostawił niewielką paczuszkę kokainy - w końcu w walizce pozostawił mu niezły zapas.

Na gzymsie kominka leżały, jedna na drugiej, trzy powieści Bronwen; Walter z zadowoleniem odkrył, że każda z nich została zadedykowana jemu. Kusiło go, by je zabrać i zostawić dla niej wiadomość. Gdy rzucił okiem na tył książki znajdującej się na samym wierzchu, ujrzał fotografię Bronwen. Z lekko rozchylonymi wargami patrzyła w dal; w oczy rzucały się mocno zarysowane kości policzkowe i dołeczek w brodzie. Spojrzenie miała jakieś takie smętne - no i dobrze jej tak. Odłożył książkę z powrotem, włożył przeciwsłoneczne okulary, uniósł walizki i ruszył w poranek.

Gdy odjeżdżał, do jego uszu dobiegły dźwięki "Lecons de tenebre" Couperina.

Walker uważał się za kogoś, komu uda się wydostać z każdego dołka. Wiedział, przez co musi przejść i jak znieść wyrzeczenia. Przede wszystkim liczyła się praca. A później ludzie, których się kochało i którzy kochają ciebie. Istniał też, w co zawsze mocno wierzył, zasób wewnętrznych możliwości, sił, na których może się oprzeć, on - weteran walki o przeżycie. Ale teraz nie był już tego taki pewien. Teoria głosząca istnienie niezniszczalnej siły ducha wydawała się tego ranka naiwnym mistycyzmem. Ostatnimi czasy przyjął zbyt wiele nar-kotyku, wypił o wiele za dużo alkoholu, naoglądał się zbyt wielu majaków, wyprodukowanych przez zamroczony umysł, by zmobilizować swoje wewnętrzne możliwości. Już samo zebranie myśli okazało się wystarczająco trudne.

Co do pracy - po całych tygodniach życia na krawędzi erwowego wyczerpania dokładnie tyle samo czasu za-ierze mu oczyszczanie się, zanim znów będzie mógł ziać się do roboty. A miłość go opuściła. Odeszła do Londynu. Myśl, że został porzucony, zmroziła mu krew. Oderwał się od niewesołych rozważań - uczył się tego od czasów Seattle. Te sprawy wyjaśni, coś z nimi zrobi, jak tylko pozbiera się do kupy. Marzenie - pomyślał - tego potrzebuję.

Przy Sunset zjechał z autostrady i zaparkował na Marmont Lane, za hotelem. W recepcji kupił "Times" i "Variety". Wyjechał na szóste piętro w towarzystwie znanego niemieckiego aktora i dwóch kompletnie zalan-y-młodych kobiet.

W apartamencie zalatywało stęchłą wonią alkoholu i brudnej bielizny. Otworzył okienko i do sypialni wdarło się letnie, gęste powietrze. Przez chwilę zatrzymał wzrok na hotelowym basenie i stojących wokół bungalowach. Na ciemnozielonej wodzie unosiły się opadłe z drzew liście. Tym razem nie będzie mu łatwo się pozbierać. Musi przyjąć odpowiednią taktykę. Najważniejsze, to chcieć wziąć się w garść. Musi wyszukać wystarczające powody do przetrwania, a wiedział, że sporządzanie ich listy zawiedzie go w niebezpieczne rejony. Ostatnio doszedł do wniosku, że świat obszedłby się bez niego i jego twórczości. Żona odeszła, jak się orientował, na dobre; dzieci dorosły. Będzie musiał samodzielnie dokopać się własnych powodów, samotny, w hotelu w West Hollywood. Znów poczuł wpełzający do gardła smak śmierci i zniszczenia, ale postanowił to zignorować. Aby przerwać dalsze rozważania, otworzył walizkę, wyjął pudełko na talk, w którym przechowywał kokainę, i wysypał odrobinę na gładki, ciemny marmur nocnego stolika, po czym wciągnął ją nosem przez zrolowaną studolarówkę. Dobra nasza - pomyślał. Chociaż na chwilę zapobiegł wyszukiwaniu powodów; znowu stał się rzeczą. Przedmiotem, który na chwilę ocknął się w kuchni, gdy napełniał kieliszek wódką. Z rozterką przyglądał się drinkowi. Umówił się na lunch ze swoim agentem i pojawienie się na tym spotkaniu było obecnie jego jedynym obowiązkiem. Musi poczekać z pić do lunchu. Mały ukłon w stronę odnowy, nic specjalnie ambitnego.

Kieliszek pozostawił nie tknięty. Wszedł do salonu i włączył telewizor, ale zaraz go zgasił i zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem.

Od tego rozpocznie. Musi wymyślić się na nowo, a później stawiać stopy ostrożnie i małymi kroczkami posuwać się do przodu.

Wrócił do sypialni i zaaplikował sobie następną działkę. Potem, oparty o łóżko, patrzył przez okna balkonu na zniecieruchomiałą powierzchnię basenu pięć pięter pod nim.

Gdzieś z wnętrza wilgotnej zieleni ogrodu rozległ się szyderczy śpiew ptaka, brzmiący jak wygrywany na fujarce marsz. Na ułamek sekundy Walker wtulił się pod skorupę pamięci, pod najcieńszą warstwę dawnego marności, zbyt ulotną, by móc ją zatrzymać. Wstał i podszedł do okna. Śpiew ptaka, rozbrzmiewający wśród pomruku samochodów, uruchomił karuzelę wspomnień.

Odszedł od balkonu, a gdy powróciła mu świadomość, siedział na łóżku i trzymał w rękach telefon. Odłożył słuchawkę i odwrócił się w stronę okna, zza którego dobiegało ptasie tremolo.

Przypomniał sobie Lu Annę Bourgeois, nazywaną przez wielki świat Lee Verger. W podświadomości towarzyszyła mu przez ostatnią wiosnę, ale Seattle, przedstawienie i okropne wydarzenia lata przesłoniły wszystko. Przed laty, gdy nadeszły czasy zatruwania umysłów i wielkich transformacji, on i Lu Anna, młodzi i nieustraszeni, wymyślili sobie grę na złe wieczory. W istocie była to nie tyle gra, co zaspokajanie stanu ducha, które nazywali zabawą w "Nietoperze czy Ptaki". Przydawała się im w najgorszych godzinach, tuż przed świtem. Wygrywał ten, kto zachował jasną głowę do rana, do chwili, gdy śpiew pierwszego ptaka anonsował bliskość dnia. I to były "Ptaki". Przegrana następowała wtedy, gdy nie wytrzymałeś do świtu i padłeś. "Nietoperze" przedrzeźniały ptaki, wszczynając wrzawę o nieludzkich porach. Psuło to grę, bo gdy sądziłeś, że nadchodzi poranek, i już cieszyłeś się z wygranej, okazywało się, że jesteście wciąż w najczarniejszym środku nocy. Pomyślał o Lu Annę i serce zabiło mu mocniej. W bladej twarzy świeciły ciemnoniebieskie oczy świętej, uśmiech wahał się pomiędzy krańcową błazenadą a szaleństwem. Przed trzema laty nominowano ją do Nagrody Akademii za drugoplanową rolę; ale okazało się później, podobnie jak w przypadku Walkera, że nie było jej dane zrobić oszałamiającej kariery.

Dawno temu, gdy jeszcze byli razem, podarowała mu powieść Kate Chopin "Przebudzenie". Akcja toczyła się w Luizjanie pod koniec dziewiętnastego wieku; Lu Annę pochodziła właśnie stamtąd, a "Przebudzenie" było jej ulubioną książką. Na jej podstawie napisał scenariusz, a gdy tworzył, Lu Annę przez cały czas była z nim - w każdym razie w jego świadomości - więc bohaterka powieści, Edna Pontellier, miała jej osobowość. W tamtych dniach marzyli o wspólnej realizacji scenariusza, ale nigdy im to nie wyszło.

Po jakimś czasie książkę odkryli akademicy i uznali ją za ważki przyczynek do historii ruchu feministek. Zaraz po tym Lu Annę pozyskała nowego agenta - kobietę energiczną i wykształconą.

Jakieś półtora roku przed związaniem się Walkera z teatrem, wystawiającym "Leara" w Seattle, a dziesięć lat po tym, jak po raz ostatni przerabiał scenariusz, i sześć od ostatniej rozmowy z Lu Annę, realizacja filmu opartego na jego scenariuszu przybrała realne kształty. Zaangażowano młodego reżysera o nazwisku Walter Drogue. "Przebudzenie" miało być jego czwartym filmem. Powszechnie uważano go za inteligentnego, oryginalnego i agresywnego. Jego ojciec, również Walter Drogue, stał się żywą legendą w filmowym światku. Był reżyserem od prawie pięćdziesięciu lat. W tym czasie został publicznie wychłostany, strzelali do niego konkurenci zabiegający o względy tych samych dam, pozywano go do sądu i wydano jego biografię w języku francuskim. Powszechnie uważano, że nazwisko ojca czyni przedsięwzięcie syna bardziej atrakcyjnym, a gaże

Drogue'a juniora oraz Walkera i Lu Annę okazały się całkiem, całkiem. Filmem zajął się doświadczony producent. Jedna z naj-większych wytwórni miała przejąć sprawy finansów i dys-trybucji. Dzieło uznano za prestiżowe i na czasie, a pro-gnozowane koszty nie były za wysokie. Istniała realna możliwość, że powstanie obraz nieźle zrobiony, który zostanie dobrze przyjęty przez krytykę i uhonorowany laurami festiwalu, a na dodatek, przy odpowiedniej re-klamie, przyniesie duży dochód. Przedsięwzięcie wywo-łało spore zainteresowanie wśród ludzi z branży, liczą-cych na pewny zysk.

Prawie całe lato zdjęcia kręcono w Nowym Orleanie, po czym, dla wygody i oszczędności, filmowcy przenieśli się w ulubione miejsce Drogue'ów w Baja - do Bahia Honda. Starszy Drogue robił tam filmy od wielu lat - dawno temu przez podstawionego Meksykanina kupił całą ho-telową posiadłość. Tak więc mógł teraz, kiedy tylko zechciał, zapewnić gościnę swojej filmowej ekipie. Przez te lata zainteresowanie Walkera realizacją scenariusza opadło i gdy zaproszono go na plan, odmówił, jak zresztą sądził, ku powszechnej uldze. Powodem była także Lu Annę, jego mroczny anioł. Z ostatniego wspól-nego pobytu udało im się wprawdzie ująć cało, ale tylko o włos. Pomogła im młodość, małżeńskie więzy, to, że chcieli i umieli przetrwać. Teraz byłoby zapewne inaczej. Ale oszołomiony narkotykami, porzucony i zrozpaczony uświadomił sobie, że zaczyna słuchać ptasich głosów i myśleć o niej. Serce zabiło mu mocniej. Pomyślał, że nie zdarzyło się to od co najmniej sześciu lat. Wtedy pocałowała go obojętnie. Spróbował wyobrazić sobie jej dotyk i gdy to uczynił, pamięć podsunęła mu kobietę, którą znał przed dziesięciu laty.

Tymczasem po raz kolejny wyszła za mąż za jakiegoś lekarza i miała z nim dzieci. On powinien zająć się teraz ratowaniem siebie i swojego małżeństwa, wrócić do równowagi. Powtarzał sobie, że wystarczy, gdy ograniczy swoje szaleństwa.

Potem pomyślał: potrzebuję marzenia. Ognia, ruchu, rozrywki. Za podszeptem narkotycznego omamu odszu-kał numer telefonu i nagle ocknął się ze słuchawką w ręce. Oto zająłeś miejsce w szeregach śmierci - usłyszał własne myśli.

Złapany w pułapkę oszałamiającej ciszy, wykręcił numer. Po pierwszym sygnale, przerażony, rozłączył się. Kilka minut później wydało mu się, że czuje się dosko-nale.

Podniósł słuchawkę, tym razem po to, by w agencji potwierdzić umówiony lunch.

Telefon odebrała asystentka Ala, Shelly Pearce, absol-wentka Smith College, która próbowała swych sił w Yale Repertory kilka lat po Lu Annę. Była podopieczną Wal-ker'a w prowadzonych przez niego warsztatach teatral-nych; on znalazł jej pierwszą pracę, gońca w dziale produkcji w U.A.; on przedstawił ją Ałowi. - Cześć, Gordon - usłyszał głos Shelly. Najwyraźniej ucieszyła się i był jej za to wdzięczny.

- Gdzie się podziewałaś? - zapytał. - Co wieczór w teatrze przeszukiwałem wzrokiem morze nierucho-myh, bladych twarzy. Bez skutku.

- Żartujesz, Gordon? "Król Lear"? Myślisz, że traciła-bym czas na taki szajs?

Roześmiał się w odpowiedzi.

- No dobrze - przyznała Shelly. - Byłam tam i widzia-łam cię. Grałeś cudownie.

- Naprawdę?

- Cudownie, Gordon. Cudownie, wystarczy?

- Też tak uważałem, ale czułem się nie doceniony.

- Czyżbyś nie widział recenzji w "L. A. Times"?

- Od biedy ujdą, ale mogli się bardziej postarać. - Nie bądź taki pazerny - rzekła Shelly. - Al przyniesie ci więcej wycinków, będziesz do woli przeżuwać je przy obiedzie.

- A może byśmy zjedli dziś razem kolację? - zapro-po-nował. - Może pojedziemy do San Epo Hotel? Milczała chwilę.

- Jak się czujesz, Gordon. Jak sobie radzisz?

- Nie najlepiej - przyznał.

- No dobrze - zgodziła się. - Niech będzie San Epo.

O zachodzie słońca. Pamiętasz, kiedy jest zachód słońca?

Jeżeli nie, możesz przeczytać w gazecie.

- Zadzwońię po informację do straży przybrzeżnej. - Pijesz cały czas? - zabrzmiało bardziej jak stwierdzenie. - Lepiej nie wystawiaj mnie do wiatru. - Na pewno będę. x o wejściu do restauracji Musso and Frank, Walker usiadł przy stoliku i zamówił martini. Piętnaście minut po nim, akurat w chwili, gdy zamawiał następnego drinka, pojawił się Al Keochakian.

- Dla mnie przynieś to samo - polecił kelnerowi. Keochakian z uwagą popatrzył na twarz swojego klien-ta. Jego twarde, skryte za grubymi, ciemnymi okularami oczy spoglądały nieufnie, z twarzy i manier przypominał marsylskiego gangstera.

- Jak się masz, Gordon? - Ujął dłoń Walkera, drugą ręką ściskając go za ramię. - Jak Connie i dzieciaki? - Umarli, Al.

Agent obrzucił go spojrzeniem bez wyrazu.

- Bardzo śmieszne, Gordon.

- Wciąż zadajesz pytania. Byłem ciekaw, czy także słuchasz odpowiedzi.

Keochakian odstąpił w uśmiechu zęby. - Zawsze uważnie słucham. Naprawdę mnie to inte-resuje - jestem człowiekiem rodzinnym. Nie to co ty, palancie. Oni marnują się przy tobie.

- Connie mnie porzuciła.

- Nie wierzę - obruszył się Al. - To niemożliwe i nie przyjmuję tego do wiadomości.

- Zostawiła mi bardzo wymowny list. Całą listę powo-dów. Zdaje się, że tym razem nie zamierza wrócić. Teraz jest w Londynie.

- Wiesz co? Myślę, że wróci, a nawet jestem pewien. Jeżeli oczywiście tego pragniesz. - Keochakian pociągnął spory łyk i wykrzywił usta w grymasie udającym uśmiech. - A wydaje mi się, że tak jest. Walker opuścił wzrok na swoje splecione dłonie i wolno skinął głową.

- Zrozum człowieku: bez niej masz przesrane, skoń-czysz w rynsztoku. Musisz zaraz ściągnąć ją z powrotem. - Ma swoją dumę.

- Wreszcie to do ciebie dotarło - zauważył z ironią Keochakian.

- Dzisiaj nie dam rady o tym rozmawiać - powiedział Walker. - Jestem zupełnie rozbity.

- W porządku. Ale jak już będziesz gotów do rozmowy, daj mi znać. Chcę ci powiedzieć, co myślę o twoim postępowaniu, bo uważam, że mam do tego prawo. Walker przygryzł wargę, unikając spojrzenia agenta.

- A więc, co będziesz jadł? - zapytał Al.

- Jak już pijemy martini, pomyślałem o wątróbce. - Wątróbka? Wyśmienicie - ucieszył się Al. Dał znak kelnerowi, który natychmiast podszedł do ich stolika i przyjął zamówienie. Wytrzymując krytyczne spojrzenie agenta, Walker zamówił pół butelki cabernet. - Opowiedz mi o Seattle - poprosił Al. - Mogłem spędzić tam resztę życia grając Leara. Chciał-bym odtwarzać, po kolei, wszystkie postacie: Błazna, Glouceстера, Kordelię. Ta pieprzona historia daje nie-skończenie wiele możliwości. - Shelly cię oglądała.

Walker uśmiechnął się.

- Mówiła, kochana turkaweczka.

- Miałbyś ochotę popracować? - zapytał Al. - Znalaz-łem coś interesującego.

- Kiedy?

- Przesłuchanie miałoby się odbyć w tym tygodniu. Ale sądzę, że to tylko formalność, bo wyraźnie zależało im na tobie. - Zmarszczył czoło. - Trafiłeś jakiś angaż, jesteś zajęty?

Dlaczego termin jest taki istotny? Walker nie odpowiedział.

- Masz już coś na oku? Będziesz mnie potrzebował? - Jestem wolny - odrzekł Walker.

Odkaszlnął. - Myś-lałem, że pojedę do Bahia Honda i przyjrzę się, jak kręca-

"Przebudzenie".

Al popatrzył z ukosa poprzez swoje zielonawe szkła i potrząsnął głową. - Po co? Walker wzruszył ramionami.

- Bo to mój twór. Chcę zobaczyć, co z niego robią. - Myślałem, że przerabialiśmy już ten temat - powie-dział Al. Kelner przyniósł wino do spróbowania. Gdy chciał nalać Keochakianowi, ten zakrył dłonią kieliszek. - Sądziłem, że podjąłeś już decyzję, tę najwłaściwszą.

- Zdecydowałem, że chcę tam zajrzeć.

- Zajrzeć? - powtórzył agent jak beznamiętne echo.

- Dać im odczuć moją obecność.

- Oni cię tam wcale nie potrzebują - zauważył chłodno Al.

Podano zamówione dania. Walker ponownie napełnił swój kieliszek.

- Kiedyś mnie zapraszali - powiedział.

Keochakian odstawił drinka i wzruszył ramionami.

- Tak naprawdę, nie zależało im na tym, Gordon. Walter myślał, że może cię jeszcze trochę wykorzystać, ale teraz na pewno nie jesteś mu potrzebny i będzie uważał, że wtrącasz się do jego roboty. Walker, ze wzrokiem wbitym w talerz, uniósł widelec.

- Wiesz, właśnie tego chcę.

- Nie opłaca ci pobytu, powtarzam: nie jesteś im do niczego potrzebny.

- Sam za siebie zapłacę. Pojadę prywatnie, jako turysta poszukujący malowniczych plaż.

Al zajął się wątróbką i przysmażoną cebulką.

- Uważam takie postępowanie za nieprofesjonalne. - Nie rozumiem, dlaczego - odrzekł Walker. Potem zabrał się do jedzenia i dopiero wtedy zauważył, że jest głodny jak wilk. - Przecież wielu tak postępuje. - Przyznaj się, że chcesz zobaczyć Lee Verger. - Al unikał patrzenia Walkerowi w oczy.

- Na pewno chętnie spotkam się z Lu Annę. Ostatecz-nie mocno tkwię w całym przedsięwzięciu. Czemu nie miałbym tam pojechać?

- Bo musisz zarabiać na życie. - Al mówił cicho i bardzo powoli. - A ja mam dla ciebie pracę. - Nie jestem gotowy - wykręcał się Walker. - To duża i zabawna rola.

Popieprzony, inteligentny łajdak. W sam raz dla ciebie.

- Odczuwam potrzebę urwania się na jakiś czas do Meksyku. Gdy wrócę, będę jak nowy i gotowy do pracy. Keochakian odłożył nóż i widelec na talerz. - Posłuchaj, Gordon. Jeżeli pokażesz się tam, to jakbyś kopał własny grób.

Walker roześmiał się gorzko.

- Myślisz, że to śmieszne, ty kutasie? - nastroszył się Keochakian. - Wiesz, jak wyglądasz? Pocisz się czystym alkoholem. Myślisz, że nie widzę twoich oczu? Sądzisz, że ludzie w tym biznesie nie wiedzą, jak wygląda alkoholik? - Na miłość boską, od jutra przestaję! - To wspaniale - powiedział Al z pełnym niedowierza-nia uśmiechem. - Od jutra. To ładnie. To świetnie, Gordon. Cóż, zrób to, koleś, radzę ci. I popierdol Lee. - Przyłożył widelec do mięsa, a potem znów cofnął rękę.

- Postaraj się odzyskać Connie. Lee cię nie potrzebuje. Jesteś ostatnią rzeczą, jakiej jej trzeba. Natomiast Con-nie, dla jakichś niezrozumiałych, chorych powodów, jesteś potrzebny.

- Muszę wyjechać. Podróż będzie moją terapią.

Al popatrzył na niego uważnie.

- Jeżeli nie jesteś zdolny do pracy, to idź do szpitala.

- Proszę, Al.

- Słuchaj, Gordon: dziesięć lat temu byłby to może żart, ale teraz już nie. Zafunduj sobie kurację, człowieku. Ostatnio to modne.

Walker potarł dłonią czoło.

- Masz pieniądze, więc wyświadcz sobie tę przysługę. Wyrwij się z ciągu. Oczyszczyć się! Jedź na wschód, do Nowej Anglii. Jest jesień, bez kłopotu znajdziesz dobre miejsce. No i nie spotkasz nikogo znajomego.

- Nie wytrzymałbym tam.

- Nie ma rady, Gordon, musisz przez to przejść. - Cóż - powiedział Walker lodowatym tonem - zoba-czymy, co się da zrobić.

Podszedł młodszy kelner i uprzątnął talerze. Walker nalał sobie wina.

- Bardzo źle, że nie chesz przyjąć roboty, którą mam dla ciebie. Dzięki niej znalazłbyś dojdzie do telewizji. - Pytanie, czy tego właśnie chcę?

Wydawało się, że oczy Keochakiana pokryły się wars-twą lodu. Patrzył przed siebie, drapiąc się po podbródku. - Chyba zapuszczę brodę, Gordon. Taką małą, co o tym sądzisz?

- Doskonały pomysł. Będziesz świetnie wyglądał. - Ani się waż tam jechać. - Al gwałtownie zmienił temat i pogroził palcem tuż przed twarzą Walkera. - Żebyś nie zmarnował mojego wysiłku, który włożyłem w ten interes!

- Pewnie, Al - powiedział zaczepnym tonem Gordon.

- A tak między nami, jaki wysiłek masz na myśli?

- Odpierdol się.

Walker spodziewał się, że agent wstanie i odejdzie. Siedzieli sztywno wyprostowani i nie spuszczała z siebie wzroku.

- Zawarliśmy wyjątkowo korzystną finansowo umowę - zauważył agent spokojnie.

- Masz rację, to było moje najlepsze honorarium - przyznał Walker. - Rekordowe.

- Właśnie. I nie daliśmy się nabrać na sztuczki typowe dla Waltera Drogue'a.

- Naprawdę?

- Tak, Gordon. Może przypominasz sobie jego fary-zeuszowską troskę o feministyczny wątek? - Uszło to mojej uwagi.

- Walter martwił się, że w niedostateczny sposób poruszyłeś w scenariuszu to zagadnienie. Wygadywał całą masę bzdur. Wiesz, o co mu chodziło? - Chyba się domyślam.

- Chciał, żeby to jemu przypisano całą zasługę za tekst. Nie jakiejś tam babie. Połapał się, że scenariusz jest dobry. Że rzecz może wypalić. Chciał zaspokoić swą próżność, a przy okazji dodatkowo na tym zarobić. - No cóż - powiedział Walker - Walter jest wielkim feministą.

- Z całą pewnością. A słyszałem, że jego ojciec był jeszcze większym. Tak czy owak, te wszystkie podchody skończyłyby się przypisaniem zasług za scenariusz Wal-terowi Drogue. Ale udało nam się temu zapobiec. Za-dbaliśmy o wymierne korzyści i chwałę dla ciebie. - On przecież nawet nie słyszał o tej książce, dopóki nie zobaczył mojego scenariusza.

- Jemu się wydaje, że było inaczej.

- W tamtym roku o tej porze myślał, że "Przebudzenie" to jakaś filmowa ramota.

- Taki on już jest, Gordon. A jeżeli pojedziesz tam i wprowadzisz zamieszanie kręcąc z jego aktorką - punkt dla niego. Uważa, że mógłby połknąć cię na jeden raz. - Czy tak powiedział? - zapytał z uśmiechem Walker. - Coś w tym guście. A wszyscy bez wyjątku wpadli tam w panikę z powodu obecności Dongana Lowndesa, piszącego duży reportaż z filmowego planu. Boją się, że zrobi z nich błaznów, przez co spieprzy im całe przedsię-wzięcie.

- Cóż, zdarza się - powiedział Walker - a co ty o tym sądzisz?

Jedyna książka Dongana Lowndesa, wydana przed ośmiu laty, wywołała nieklamany podziw Walkera. Póź-niej Lowndes wziął się do pisania reportażu dla eks-kluzywnych czasopism. Ostatnio zajął się wyśpiewują-cymi ckliwe kawałki piosenkarzami z Las Vegas, a także pysznięcymi się swym powodzeniem rekinami świata finansjery i

politykami, którym sukces uderzył do głowy. No i przyszła kolej na przemysł filmowy. Pisał dobrze i ostro, więc bano się go.

- Czy on wierzy, że Lowndesa też potrafi połknąć na jeden raz? - zapytał Walker.
- Mają nadzieję go oczarować.
- Może przy pomocy Lee, co?
- To produkcja Charliego Freitaga, Gordon. Znasz Charliego, ten ma dopiero głowę do interesów... - Keo-chakian wznosił oczy ku niebu. - Bóg jeden wie, co on kombinuje. To sęp żerujący na kulturze. Uznał, że ten film ma klasę, a Lowndes też jest dla niego facetem z klasą. Ma nadzieję na przychylną krytykę, która zapewni filmowi powodzenie.
- Niech się łudzą. Lowndes z niecierpliwością czeka na natchnienie, więc drażni go, że inni pracują. Przy-szpili ich.
- Powiedz to Charliemu - rzucił Al. Patrzył, jak Walker sączy wino. - Coś mi się zdaje, że ty też jesteś nieco zgorzkniały, no nie?
- Lowndes jest dobrym pisarzem, ale sądzę, że prędzej szlag go trafi, niż zabierze się do pisania następnej powieści.
- Fantastycznie, Gordon. Jesteś dokładnie w odpowiednim nastroju, żeby tam pojechać. Możesz wyprowadzić z równowagi Lee i popierdolić prasę. Upić się, wszczynać rozróbę. Jak za dawnych czasów, nie mam racji? - Przechylił się przez stół i utkwiał spojrzenie w Walkerze. - Zaszkożysz innym i sobie. Radzę ci, trzymaj się od nich z daleka.
- Przemysłem to.
- Proszę, pomyśl, nim coś zrobisz - powiedział Al. Wyjął z aktówki plik gazetowych wycinków i podał Walkerowi.
- Baw się dobrze. Wytrzeźwiej. Zadzwoń do mnie za kilka dni, to pogadamy o tym, co masz robić. - Poprosił o rachunek, podpisał i podał kelnerowi. - Co będzie, jeśli Connie wróci lub zadzwoni, a ty będziesz się pieprzył gdzieś daleko stąd? Nic nie rób. Nigdzie nie jedź, dopóki nie wytrzeźwiejesz.

Wyszli na zewnątrz. Dzień z suchym, przyjemnym wietrzykiem i rozpalonym, przymglonym niebem był typowy dla Santa Ana. Na rogu Bronson Keochakian złapał Walkera za klapę marynarki.

- Zawistni ludzie przyglądają ci się - powiedział. - Bez-ustannie. Oni źle ci życzą. Nie jesteś między przyjaciółmi. - Odwrócił się, odszedł kilka kroków i zawrócił na pięcie. - Nie wierz nikomu. Oprócz mnie: ja jestem inny. Mnie możesz ufać. Chyba mi wierzysz?
- Mniej więcej - odparł Walker.

W drodze powrotnej do Hollywood wstąpił do swojego klubu, popływał, a w saunie przeczytał recenzje. Generalnie były pozytywne, a jedna z nich, wychwalająca go pod niebiosa, sprawiła, że aż podskoczył z wrażenia. Niemal natychmiast odezwało się klucie w lewym boku. Krytyk uznał jego aktorstwo za rewelacyjne: Udręczony Lear Walkera, przechodzący od niemocy szaleństwa do zdziecinniałej niepoczytalności, jest objawieniem dla tych, którzy pamiętają go tylko z wcześniejszych, niewielkich ról.

Ucieszył się, ale ból spowodowany podnieceniem bardzo go zmartwił.

Po powrocie do Chateau spakował się, zamówił budzenie i zapadł w krótką drzemkę. Sny miał burzliwe. Godzinę później, w porze największego ruchu, znajdował się na szosie, na południe od Long Beach. Już w Orange County zjechał z autostrady wiodącej do San Diego i przedostał się na drogę prowadzącą wzdłuż wybrzeża. Po jego lewej ręce rozpościerała się przyszłość Kalifornii; mijał olbrzymi plac budowy podzielony na niezliczoną liczbę działek, ogrodzonych zasiekami sekwoi i bugenwilli, nowo powstałe imitacje wsi skupionych wokół supermarketów i Bob's Big Boy'ów. Każdy skrawek puste, ogołoconej ziemi czekał na firmy budowlane i lepsze czasy.

Po jego prawej stronie, na skutek jakiejś niezrozumiałej strategii pośredników sprzedaży nieruchomości, ziemia pozostała nietknięta. Stada łaciatych Herfordów pasły się na

połaciach pożółkłej trawy, wśród obficie pieniających się dzikich kwiatów i manzanity. Nie wiadomo skąd dochodził zapach drzewek pomarańczowych - wróciła wiosna, którą zapamiętał, ta sprzed dwudziestu lat. Teraz najbliższe gaje cofnęły się wiele mil w głąb. Pomiędzy spalonymi słońcem wzgórzami wjechał w mgłę. Gorący wiatr zamarł, zrobiło się szaro i chłodno. Poczul się lepiej.

Jadąc cały czas wzdłuż wybrzeża skręcił na południe. Pokonał kilka mil mijając podmiejskie, nadbrzeżne osady: luksusowe apartamenty z przystaniami jachtów, sklepy z ekwipunkiem do nurkowania, restauracje oferujące owoce morza. Tutaj Herfordy błąkały się wokół wirujących pomp wodnych - pejzaż podatkowych żniw. O siódmej piętnaście, pół godziny przed zachodem słońca, dojeżdżał do San Epifanio Beach, ostatniej osady zdewastowanego krajobrazu. Plaże zdobiły morskie platformy wiertnicze, a w tle miasta widniała olbrzymia elektrownia, jakby przeniesiona z obrazów niemieckich ekspresjonistów. Rybackie molo na wrzecionowatych filarach wybiegało daleko w morze, nic sobie nie robiąc z fal Pacyfiku, i znikало spowite w welonie mgły. Prosto-padle do nadbrzeżnej autostrady ciągnęła się główna droga Beach, ozdobiona po bokach szeregami palm królewskich, w których liściach buszowały szczury. Wzdłuż drogi tłoczyły się sklepiki ze sprzętem, stoiska z taco i mroczne bary.

Walker przyhamował przed skrzyżowaniem, przepuszczając grupę punków.

Pomarańczowe i zielone pasma ich krótko przyciętych włosów przypomniały mu smugi bieli, które ukazały się we włosach jego brata po ataku reumatyzmu. Czterech młodych ludzi spojrzęło na niego ze szczerą nienawiścią.

Trzy przecznice dalej za głównym deptakiem wznosił się San Epifanio Beach Hotel, dziewięciopiętrowy budynek o egzotycznej architekturze, dominujący nad centrum miasta. Była to bezwstydna w swym przepychu budowla z dawnej epoki, w stylu niemego kina hiszpańskiego. Gdy się spojrzęło na obłazące, stiukowe ściany, wąskie okna i zabrudzone markizy, przyćmiewające ślady dawnej świetności, ten widok mógł zepsuć najlepszy dzień. Walker lubił to miejsce - kiedyś był tu szczęśliwy. Przed wieloma laty w tym hotelu mieszkał, w pokoju niedaleko atelier zajmowanego przez ślepego masażystę i kuzynkę, jak mówiono, Ramona Navarro. Tu, w obskurnej sali balowej, w oparach indyjskich konopii, wziął ślub. Zaparkował na hotelowym parkingu. Mały chicana, z błyszczącymi sprytem oczami, z włosami związanymi na karku w kitkę, w kombinezonie i baseballowej czapce, podał mu kwit.

Walker przeszedł obok dużego, cyrkowego namiotu, minął budynek hotelu i skierował się ku plaży. Na werandzie wychodzącej na prawie bezludny park wystawiono kilka stolików. Dalej, na boisku do koszykówki, uwijało się czterech czarnych, rozebranych do pasa nastolatków. Obok hotelu członkowie Hare Krishna z Laguny śpiewali ku uciesze dwóch starszych par, ubranych w stroje w pastelowych kolorach. Walker nie śpiesząc się ruszył przez park w kierunku plaży. Wiał silny wiatr i przy zachodzącym z wolna słońcu, które obniżając się zapadało gdzieś w czarne kłęby chmur, zrobiło się całkiem chłodno.

Obserwował fale rozpryskujące się w zetknięciu z ciemnoczerwonym piaskiem. Kiedyś, dawno temu, podziwiał tu siedem morświnów, baraszkujących tuż przy brzegu. Stał wtedy, o zachodzie słońca, w tym samym miejscu na skraju parku, a żona znajdowała się obok. Zawołała na zajęte zabawą w piasku dzieci i wskazała na morze, na morświny. Był to dobry omen, w dobrym roku. Szedł plażą, dopóki nie zrobiło mu się zimno. Wtedy zawrócił, pokonując z tuzin śmierdzących uryną betonowych schodów, zaśmieconych plastikowymi pojemnikami i puszkami po piwie.

Ściany korytarza prowadzącego od głównego wejścia do hallu w głębi San Epifanio wyklejono zniszczoną, pasiastą tapetą, gęsto upstrzoną szkaradnymi widokami morza. Gdy je minął, wszedł do przytulnej, oświetlonej świeczkami sali barowej Miramar, udekorowanej rozwieszonymi sieciami, sławikami i kołami sterowymi. Przez ozdobne

okna niewiele można było dostrzec z zachodu słońca. Przy stolikach i barze tłoczyli się goście, przeważnie mężczyźni w średnim wieku, łaśliwi i ubrani jak do golfa, najwyraźniej nie gardzący wysokoprocentowymi trunkami. Pomieszczenie tonęło w półmroku. Walker zajął jedyny wolny stół przy barze i zamówił Krwawą Mary. Mocne alkohole stanowiły specjalność zakładu; podany drink miał gorzki, palący smak taniej wódki.

Na stoiku obok siedziała blondynka. Bawiła się pudełkiem Virginia Slims i, jak osoba mocno spragniona, pociągała dzin z tonikiem. Wydawało mu się, że ledwo przekroczyła trzydziestkę i że jest bardzo atrakcyjną kobietą, ale w tej chwili nie mógł być pewien ani jednego, ani drugiego. Miał trochę w czubie, a w świetle Miramar Longue nie dało się dokładnie przyjrzeć innym. I to właśnie uwielbiali stali bywalcy.

Przy wejściu do baru, obok korytarza, którym szedł, zauważył archaicznie wyglądającą kabinę telefoniczną, wyłożoną białymi kafelkami w koniki morskie i delfiny. Walker z kieliszkiem w ręce wszedł do kabiny. Z kieszeni wyjął telefoniczną kartę kredytową i czarny notes z numerami.

Pociągnął spory łyk, wstrzymał oddech i wybrał numer. Gdy czekał na połączenie, zdawało mu się, że w przewodach słyszy szum podmorskich głębin. Na dźwięk sygnału zamknął oczy.

Siedziała na leżaku, na plaży i podziwiała zachód słońca, gdy zadzwonił telefon. Dzieci bawiły się z ojcem tuż nad wodą; patrzyła na trzy postacie, w gasnącym świetle dnia zmieniające się w coraz ciemniejsze cienie. Miękki, miodowy połysk dziecięcych ciał zmatowiał w szybko zapadającym mroku, a na tle promienistej piany i karmazynowego nieba ich bezładna biegania po piasku i gesty chudych rąk męża sprawiały wrażenie koszmarnej pantomimy. Zmusiła się, by odegnąć od siebie to nieprzyjemne wrażenie. Siedziała bez ruchu, wsłuchana w dzwonek telefonu, dopóki nie dostrzegła, że mąż usłyszał sygnał i po kolana zanurzony w przybrzeżnych, łagodnych falach, odwrócił się w stronę, skąd dochodził dźwięk.

- Odbiorę! - zawołała wstając.

Podbiegła do otwartych drzwi bungalowu, otarła zapieczony stopy o słomianą matę i weszła do środka. - Lu Annę - usłyszała po podniesieniu słuchawki.

- Lu Annę, tu Gordon, Gordon Walker. Pomyślała, że zanim się odezwał, wiedziała, kogo usłyszy. Wcześniej, gdy patrzyła na zachód słońca, rozmyślała o nim i wewnętrzny głos mówił jej, że Walker zadzwoni tego wieczora.

- Halo, Lu Annę? Jesteś tam?

Głos w słuchawce wydawał się dochodzić z bliska, jakby Gordon był w Meksyku, gdzieś w tym samym hotelu. - Lu Annę?

Powoli, z poczuciem winy, odłożyła słuchawkę. W domku zrobiło się już całkiem ciemno. Kwadrat nieba obramowany prostokątem drzwi szarzał z każdą chwilą. Usiadła na wysokim, wyplatany fotelu i patrzyła w mrok. W ciemnościach za plecami czuła czyjąś gęstniejącą obecność. Z kakofonii dźwięków pobrzmiwających w uszach wyłowiła głos Walkera wypowiadający jej imię. Siedziała czujnie nieruchoma, dopóki nie ujrzała sylwetki w drzwiach. Pomyślała, że to coś współistnieje z tym, co manifestuje swą obecność za jej plecami. Patrzyła zafascynowana, nie odczuwając strachu.

- Señora?

- Si, si - odpowiedziała i sięgnęła do kontaktu, znajdującego się tuż nad telefonem. - Witaj, Helgo. Dobry wieczór.

v Tęga, blada, o szerokich brwiach Helga Machado była nianią do dzieci, wyszukaną przez dział produkcji wśród hotelowego personelu. Teraz patrzyła na Lee Verger z uwagą, z oficjalnym uśmiechem na twarzy. - Mogę zabrać dzieci na kolację - zawahała się - albo wrócę po nie później.

Lu Annę mrużyła oczy w jasno oświetlonym pomieszczeniu. Czujność w wyrazie twarzy

Helgi nie uszła jej uwagi.

- Zobaczmy - powiedziała pogodnie. - Niech idą teraz na kolację, powiem im dobranoc, gdy wrócimy. - Dobrze, señora.

Lu Annę, niemal ocierając się o Helgę, wyszła na zewnątrz. Lionel i dzieci bawili się dalej w ciemnościach. Gdy biegali, płytka woda zdawała się fosforyzować pod ich stopami.

- David, Laura! - zawołała. - Czas na kolację, chodźcie wszyscy.

Ledwo widoczne sylwetki znieruchomiały. Jej mały synek zaprotestował płaczliwie. Ale przecież niedługo pójdą spać. Jeżeli nie zdąży pożegnać się z nimi dziś wieczorem, rano będzie miała niewiele czasu. Idą z Lio-nelem na kolację do casita Waltera Drogue'a. Nie mogli zlekceważyć tego kurtuazyjnego gestu - pożegnalnego posiłku na cześć Lionela - i odrzucić zaproszenia. Gdy dzieci wróciły z plaży, wzięła je za rączki i po-prowadziła do bungalowu. Dzielilo je tylko półtora roku:

David miał pięć lat, a Laura siedem. Po ojcu odziedziczyły rude, jednak trochę ciemniejsze włosy, po niej - niebieskie oczy.

- Idźcie z Helgą zmyć z siebie piasek i sól. Potem grzecznie zjecie kolację, a w nagrodę możecie pójść do sali telewizyjnej obejrzeć "Czarodzieja z Oz". Dzieci, przekupione obietnicą, nie protestowały. - Laura! - zawołała Lu Annę. - Nie zapomnij okularów, kochanie, bo nic nie będziesz widziała. - Gdybym dostała szkła kontaktowe - odpowiedziała dziewczynka - nigdy bym ich nie zapominała. Helga i dzieci zatrzymały się w drzwiach i rozmawiały z Lionelem, który właśnie nadszedł. Lu Annę przysłuchiwała się ich przekomarzaniom.

- Kto dzwonił? - zwrócił się do niej po wejściu do środka. Miał ponad sześć stóp wzrostu i dramatycznie chudą sylwetkę; z długiej twarzy ostro sterczał nos. Przerzedzone kosmyki rozjaśnionych słońcem włosów kleiły się do opalonej na brązowo skóry na głowie. Lee stanęła przed lustrem. Lionel przyglądał się jej odbiciu. - Och - westchnęła - telefon zadzwonił, ale nikt się nie odezwał. Pewnie jakieś zakłócenia na centrali. Jej mąż zdjął z siebie kąpielowe spodenki i stając obok niej, przed lustrem, wcierał krem Noxzema w twarz i pierś. Ich oczy spotkały się.

- Zażywasz swoje lekarstwo, kochanie? Znów to jego inkwizytorskie spojrzenie, jak zawsze, gdy o to pytał. Wpatrywał się badawczo w jej twarz, co sprawiało, że wyglądała na pozbawionego uczuć okrutni-ka, choć nie było to przecież prawdą.

- Czy nie widać tego po mnie?

- Przepraszam, jestem jak stara baba, gdy chodzi o te sprawy. Więcej nie będę.

Przestała zażywać pastylki przed dziesięcioma dniami. Zawzięła się i odstawiła je.

Czasem stary kumpel Billy Bly dawał jej coś na przetrwanie nocy. Czuli się winna, ale była przekonana, że postąpiła słusznie. Piguły ruj-nowały jej koncentrację, pętały emocje.

- Wyglądasz doskonale - powiedział Lionel. -To znaczy - dodał pośpiesznie - wydaje mi się, że jesteś szczęśliwa. I sądzę, że o to chodziło.

- Przede wszystkim pracuję. A nie ma lepszego le-ka-rstwa...

- Jest dobry, prawda? - Miał na myśli film.

- Tak, tak sądzę. Edna... uwielbiam ją.

- Wydaje ci się, że ona to ty?

- Pytasz jako lekarz?

W najmniej spodziewanych momentach jego twarz stawała się poważna. Zwłaszcza gdy żartował. Czasami trudno było jej się połapać, co myśli naprawdę. - Żartowałem.

- Oczywiście, że ona nie jest mną. To znaczy - powie-działa ze śmiechem - i bez tego jest mi wystarczająco ciężko.

Zobaczyła w lustrze, że Lionel się uśmiecha. Wyciągnął rękę i położył dłoń na jej ramieniu, a ona przykryła ją swoją. Po chwili poszedł do łazienki i usłyszała szum wody z odkręconego prysznica.

Wiedziałyby, gdyby policzył pastylki. Popatrzyła na swoje odbicie w jaskrawo oświetlonym lustrze i pochyliła się nad szklaną taflą.

Miesiąc wcześniej zgodziła się na sesję zdjęciową do reklamy kremu do twarzy; jej fotografie ukazały się później w kobiecych magazynach. Poprosili ją o to, bo znów ją oglądano, znów pracowała. Krem był przeznaczony dla kobiet od trzydziestu pięciu lat wzwyż i wy-stąpienie w tej reklamie okazało się niezłym pomysłem, bo jej twarz wyszła gładka, delikatna i seksowna. Ofiarowała fotografowi oblicze Rozalindy, którą grała w New Haven w wieku dwudziestu trzech lat. Lu Annę spojrzała w lustro na swoją twarz, twarz Rozalindy. Zajrzała głęboko we własne oczy. Są ludzie -pomyślała- tak właśnie studiujący tę reklamę w czasopiśmie: zaglądają głęboko w oczy Rozalindy - jej oczy. I nie znajdują nic kompromitującego: Rozalinda była kwintesencją rozsądku. Lee Verger uwielbiała ją jak żadną inną kobietę.

Rozalinda w zwierciadle uśmiechnęła się, lekko unosząc kąciki ust. To ja. Jestem Rozalinda, która wie wszystko, ale jej milczenie doprowadzi cię do szaleństwa. Lee Verger uśmiechnęła się do lustra. W ustach poczuła wzbierający posmak groteski. Pomyślała o głosie, ale tym razem nie słyszała go, więc spróbowała wyobrazić sobie, co mógłby jej powiedzieć. Zamknęła oczy, zacisnęła dłoń w pięść i oparła na niej czoło. Czekala. Gdy Lionel wychodził z łazienki, wyprostowała się. Po wzięciu prysznicą wciągnął na siebie białe, drelichowe spodnie i weselną filipińską koszulkę; cały wręcz błyszczał. Stał znów obok niej, tam gdzie poprzednio, i przeczesywał grzebieniem swoje przeredzone, rudoblond włosy. Pod nosem zanucił: Nie płacz po mnie, Argentyno.

- Jak się czujesz? - zapytał po chwili.

- W porządku. - Uśmiechnęła się do niego. - Głównie zmęczona, tak mi się przynajmniej zdaje. Te stroje z epoki. Uf... - Potrząsnęła głową z dezaprobatą. - Na-prawdę można współczuć tamtym kobietom. Te fiszby, te zapięcia.

- Zrzuciłaś już te swoje medytacje?

- Och, kochanie! - westchnęła. - Proszę, przestań. - Bardzo mi przykro - tłumaczył się Lionel. - Naprawdę mi głupio, że tak cię pilnuję. Ale muszę wiedzieć. - Liczyłeś?

Zawahał się.

- Tylko rzuciłem okiem.

Zawstydzona nieufnym spojrzeniem męża, pochyliła głowę. Wyciągnął dłoń i pomasaż jej kark. Nie odczuła ulgi. Dotyk palców mocno uciskających miejsce u podstawy czaszki wydawał się jej niedbały, nieczuły i nie-spokojny.

- Nie wiesz, jak to jest - powiedziała.

- Nie. Słuchaj - ciągnął dalej łagodnym głosem - twoje postępowanie było podyktowane poczuciem winy. - Zmieszany zacisnął wargi. - Jeżeli czujesz się winna, może to oznaczać, że coś nie jest w porządku.

- Nie masz pojęcia, jak to jest, gdy starasz się po-zbierać i pracować, a rozkładają cię te pieprzone piguły. Oczywiście bołą, z trudem możesz je otworzyć, a sama głowa waży z tonę. Lionel cofnął rękę.

- Wiesz, szkoda, że nie porozmawialiśmy o tym wcześnie.

- Chcę spróbować, Lionel. Bardzo mi ciężko pracować po zażyciu tego świństwa i chcę odstawić je na jakiś czas. Popatrzyła na niego, ale on uciekł wzrokiem gdzieś za nią.

Chronił się przed jej prośbami, przed jej chorobą. Chciałby załatwić sprawę w najprostszy sposób: tabletkami. Pomyślała, że nie może mieć mu tego za złe. - Kiedy je odstawiłaś?

- Parę dni temu. Ponad tydzień.

- I czujesz się dobrze?

- O, tak.

- Nie miałaś halucynacji?

- Ojej, Lionel. - Wzruszyła ramionami i posłała mu protekcyjny uśmiech.

- Nie nabieraj mnie - powiedział gniewnie.
- Nie kłamię, naprawdę czuję się dobrze.
- Na pewno?
- Ależ tak.
- Jeżeli nie masz zamiaru brać lekarstw, nie mogę wyjechać.

Lu Annę wzięła głęboki oddech. Spojrzała w lustro i zamknęła oczy.

- A teraz masz halucynacje?
- Nie.
- Spójrz na mnie!

Wbiła wzrok w wyłożoną kafelkami podłogę, lecz po chwili gwałtownym ruchem uniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Na co czekasz? - zapytała chłodnym tonem. - Myś-lisz, że uda ci się zobaczyć moje zwidy? Po zażyciu lekarstwa czuję się tak, jakbym miała zabrudzone oczy. Dlatego unikam wszechwiedzącego spojrzenia mojego lekarza.

Lionel zdjął okulary i przetarł je.

- Przykro mi, że cię męczę, ale czasem sytuacja mnie przerasta. Ogarnia mnie lęk i nie mogę prawidłowo funkcjonować.

Patrzyła, jak odwraca się zażenowany, i jej serce wypełniło się współczuciem i czułością.

- Czuję się tak, jakby to mnie osaczały twoje omamy - powiedział, a jej się wydało, że w głosie męża usłyszała stłumiony szloch. Patrzył na nią: oczy miał suche. - Jestem przerażony. Nienawidzę twojej choroby. Podeszła do niego, ujęła jego prawą dłoń i pocałowała zrogowaciałą kostkę wskazującego palca, w miejscu, które przygryzał, gdy był przerażony lub wściekły. - Jesteś moim nieustraszonym bohaterem. Moim ry-cerzem.
- Twoja choroba stała się dla mnie uosobieniem zła - powiedział Lionel. - Dotąd nie użyłbym podobnego określenia.

- Nienaukowego - zauważyła uszczypliwie Lu Annę.
- I bez sensu. Słowo z obszaru fałszywej świadomości.
- Ten stan nie ma nic wspólnego z moralnością. Przynajmniej nie z tą, z jaką masz do czynienia na co dzień.

- Zło - przyznał Lionel - jest terminem, którego uży-wam niechętnie. - Uniósł okulary pod światło i zbadał czystość szkieł. - Niesłychanie trudno pojąć, że to cho-roba o podłożu metabolicznym. Jak podagra. - Nie strawiony kęs wołowiny - powiedziała Lu Annę. - Dręczy jak duch Jacoba Marleya. Jak nie dogotowany ziemniak.

Lionel z taką gwałtownością poklepał się po karku, że wzdrygnęła się.

- I to ja, praktykujący lekarz. W mojej specjalności występują może ze trzy podstawowe stany patologiczne. Na miłość boską! - krzyknął - a nawet mniej! A twojego nie potrafię wyleczyć. Zupełnie nie wiem, co stosować. Nie mam pojęcia, co z tym zrobić. - Wbił wzrok w lustro. - Powinienem krążyć ze stoikiem pijawek albo zostać pieprzonym ekspertem od linii papilarnych. Podeszła i pogłaskała go po policzku.

- Ja nie przestanę wierzyć tobie, mojemu lekarzowi - oświadczyła. - Choćbyś był odmiennego zdania. - Do-myśliła się, że Lionel wstrzymuje łzy; zawsze mu się to udawało. Ale ona rozplakała się.

Choć był taki mądry, nie potrafił jej leczyć. Jakaś jej częśćka była zadowolona, że wymknęła się spod jego kontroli i mogła rozkoszować się swobodą. Nie miała wątpliwości: była to ta szalona, zła i niebezpieczna strona jej osobowości, która miała frajdę, gdy mogła uciec przed jego biegłością, jego bystrością, współczuciem. Las, przez który nie mógł podążyć za nią ze swą leczniczą strzałą; ciemna wieża schronienia.

- Więc mam wyjechać w samym środku kręcenia filmu? A co będzie, gdy znów odleciśz w swój świat omamów?

- Zamierzam podjąć walkę.
- Potrafisz?
- Zrozum, Lionel! To tak jabyś był pod działaniem narkotyku - trawki, valium czy kokainy. Nie masz wpływu na to, co robisz, nie wiesz, co się z tobą dzieje. - W jego poważnym spojrzeniu nie brakowało współ-czucia. - To znaczy - mówiła dalej - czuję się, jakbym nie miała oczu, jakbym była kompletną niemotą. Może to i nie jest złe, gdy się zasiada do podwieczorku z Alanem Cranstonem. Ale jak mam z tym pracować? Mogli mieć do tej roli każdego, kogo tylko chcieli. Mnóstwo osób mogłoby to zagrać byle jak, do tego bez zażywania lekarstw.
- Chyba cię rozumiem - powiedział niecierpliwie. - A jak mam sobie poradzić z brakiem koordynacji ruchów? Może pomówimy o tym?
- Przestań się martwić, Lu, o to pieprzone opóźnienie ruchów. Martw się raczej możliwością odlotu, praw-dopodobieństwem następnego Vancouver. - Podniósł się i zaczął nerwowo przemierzać bungalow. - Mam na myśli prawdziwy kaftan bezpieczeństwa, nie pamiętasz już? Najprawdziwsze pokoje bez klamek? Chcesz popróbować, jak to smakuje w wydaniu meksykańskim? - Muszę przestać - powiedziała zmęczonym głosem. - Chcę wreszcie zacząć pracować i w pełni wykorzystywać swój talent. Zrobię niewielki eksperyment... spróbuję przetrwać bez lekarstw... przynajmniej przez jakiś czas. - Nie mogę pozwolić na takie eksperymenty podczas mojej nieobecności - powiedział Lionel. - Ryzyko jest zbyt wielkie. Jesteśmy daleko od domu. Mogłabyś zebrać kupę nieprzyjemnych doświadczeń.
Usiadł obok niej na łóżku. Chwyliła jego dłoń i spoj-rzała mu w oczy.
- Zawsze wiedzieliśmy, że nadejdzie taki czas, kiedy sama będę musiała sobie poradzić - przypomniała mu. Przełknęła ślinę i zwilżyła językiem wargi - niewyszukana sztuczka z jej aktorskiego repertuaru. Uświadomiła so-bie, że gra przed nim. Możliwe, że było tak zawsze, każdego dnia. Być może, z dala od cieni i Posępnych Przyjaciół, wszystko było grą, a Lee Verger nie istnieje. Myśl ta przeraziła ją tak bardzo, że mocniej przy-trzymała się jego szczupłej, silnej dłoni. - Właśnie teraz jest odpowiednia pora - powiedziała. - Zabierasz dzieci, a ja robię coś, na czym bardzo mi zależy. Człowieku, chcę odstawić piguły i znowu być tamtą kobietą - sobą.
Lionel milczał. Mocno trzymała jego dłoń, ale nie odważyła się unieść wzroku.
- Zaufaj mojej miłości. Zaufaj mi, a będziesz ze mnie dumny. Stanę się sobą i wszystko się nam ułoży. Zaniepokoiło ją przeciągające się milczenie męża. - Bo przecież - przekonywała dalej - gdyby coś miało się stać po odstawieniu pigułek, pojawiłyby się już chyba ostrzegawcze sygnały?
Usłyszała gorzki, suchy śmiech. Delikatnym ruchem uwolnił dłonie z uścisku i usiadł na jednym z wy-płatanych, bujanych foteli, które dzieci przyciągnęły z werandy. Mimo że sprzęty te były filmowymi rekwizy-tami, siedziało się w nich tak wygodnie, że miały duże wzięcie.
- Przez cały tydzień obserwowałem cię i widziałem niepokojące symptomy - powiedział Lionel. - Nic nie mówiłeś.
- Miałem nadzieję... - zaczął. - Wiedziałem, że prze-stałaś zażywać leki. Miałem nadzieję, że ci się uda. - I zawiodłeś się? - zapytała.
Wzruszył ramionami.
- Cóż ja mogę wiedzieć? - Z przymkniętymi oczami odchylił się na bujaku, stopy w sandałach oparł o łóżko. - Miałem nadzieję.
Podeszła i uklękła obok jego wyciągniętych nóg. Znów milczał; wydawało się jej, że to milczenie zawiera jakieś przeznaczone dla niej przesłanie, którego nie rozumiała. - To był absolutny cud, że udało nam się zachować w tajemnicy tamto wydarzenie w Vancouver. Cud, że zdołaliśmy uniknąć rozgłosu. Nawet sklepowe katalogi, jak Ameryka długa i

szeroka, mogły podać tę informację. - Upiłam się - przyznała ze skruchą.
- Byłem przy tym. Pijana, ale i naćpana - przypomniał jej. Nie otwierając oczu otarł czoło.
- U ciebie jedno idzie w parze z drugim.
- Musisz mi zaufać - powiedziała. - Przyszedł właściwy czas.
- Uważasz, że na planie idzie ci lepiej, odkąd od-stawiłaś pigułki?

Uśmiechnęła się.

- Pewnie to jeden z tych symptomów, które zauważy-łeś. Przecież widziałeś, jak teraz gram. - Jezu, nie męcz! - jęknął.
- Nie dam za wygraną! - krzyknęła. - Jestem w szczy-towej formie i nie mam zamiaru ich znów brać - odwróciła się z płaczem. - Od rana do wieczora chodzić otepiała, spieprzyć robotę i poświęcić nasze życie seksualne, na nowo stać się zombie. Nie chcę, Lionel. -
- Masz rację - przyznał. - Grasz teraz inaczej. - Mówił głosem łagodnym, brzmiącym jakby z oddali. Jakby jego słowa były przeznaczone dla kogoś przysłuchującego się im lub jakby przekonywał sam siebie. - Jesteś jakaś inna na planie.

Roześmiała się.

- Teraz moje zdjęcia żyją! Czuję. I potrafię to oddać. Wiesz przecież, jakie to trudne przed kamerą. Ale teraz udaje mi się. To jest prawdziwe aktorstwo. - Znów wymieniła tajemniczy uśmiech z Rozalindą spoglądającą na nią z oświetlonego lustra. Mówiła dalej: - Powinieneś poprosić Blakelya, żeby pokazał ci swoją kolekcję. Ma kufer pełen starych zdjęć próbnych i kopii roboczych, a na nich dawne gwiazdy. Człowieku, jeśli chcesz zobaczyć, jak ludzie, zażywający tonami środki uspokajające, wypalali się do cna, poproś, żeby ci je pokazał. Na przykład Monty Cliff. Narkomani, alkoholicy i szaleńcy z trudem utrzymujący się w ryzach. - Uderzyła się w piersi niczym skruszona grzesznica. - To fascynujące, Lionel, ale niezbyt ładne. - Mówiła stojąc do niego plecami; gdy się odwróciła, nie było go już. Ale okazało się, że wyszedł tylko na werandę. Zmrok przeistoczył się w rozgwieżdżoną noc. Wokół plaży zamigotały płomyki lamp. Z zaciśniętymi pięściami, z wysuniętą szczęką, stał oparty o ścianę z wysuszonej na słońcu cegły. - Mam dziwne przeczucie - odezwał się do żony. - Wciąż wydaje mi się, że pewnego dnia obejrzę się lub skręcę za róg - i jeden z tych twoich stworów będzie tam na mnie czekał.

- One mają nazwę - powiedziała. - Jest potrzebna, żeby je zneutralizować.
- Nie mów - rzucił pośpiesznie. - Nigdy jej nie wy-mieniał.
- W porządku - odrzekła. Popatrzyła na niego i nagle zrozumiała, co oznaczało to milczenie; nagłe przejścia od gniewu do rezygnacji, z obsesyjnego poczucia własności do obojętności. - Doktor Kurlander powiedział mi to samo: nie należy wymieniać na głos ich imion. Zrozumiała, że postanowił odejść. Ten chirurgiczny, udający czułość dotyk, zmienne nastroje, zapowiadały rozstanie. Na pewno był już nią zmęczony. Po ośmiu latach poświęcenia postanowił się ratować, zając się sobą. Pomy-ślała, że ma rację. W końcu ponieśli klęskę, obydwoje. Stojąca tuż obok drzwi werandy mała elektryczna lampa, stylizowana na latarnię gazową, rozsiewała łagod-ne światło. Niebo skrzyło się gwiazdami. Obserwowała go poprzez cień; nie odwrócił się w jej stronę. - Chcę, żebyś była w stałym kontakcie z Kurlanderem - powiedział. - Każdego dnia będzie sprawdzał, co się z tobą dzieje. Ja przez telefon dowiem się o wszystkim. W razie kłopotów, dzwoń do niego. Nie możesz sobie pozwolić na całkowite odstawienie lekarstw - rozsypała-byś się. Ale zażywając połówkę każdego ranka i tyle samo wieczorem, powinnaś utrzymać się w obecnej formie. Nie zapominaj, że może cię dopaść niespodziewa-ny atak euforii.
- A więc - powiedziała - jeżeli poczuję się za dobrze, będzie to oznaczało, że jest ze mną źle. - Twoje dobre samopoczucie nie utrzyma się długo.

Ale nie wpadaj w panikę i wróć do poprzedniej dawki. - Odwrócił się w stronę kremowej ściany i uderzył w nią pięścią. - Żadnego alkoholu ani trawki. Ani prawdziwych

narkotyków - przykro mi, ale nie może być o tym mowy. Jak skończysz zdjęcia, natychmiast wróc do regularnej kuracji. W przyszłości - wyciągnął do niej dłoń - kto wie? Mogą odkryć coś, co wyeliminuje skutki uboczne. Może kiedyś nie będziesz szalona. Albo wcześniej jedno z nas umrze.

- Wciąż pozostanie to drugie - powiedziała. - Uwierz mi, a dostaniesz ode mnie coś wspaniałego. Lionel uśmiechnął się.

- Jakiś film.

- Nie lubisz filmów, Li? - zapytała sucho. - Powiem ci, kochanie: choćby mnie mieli znieść z planu, nie prze-stanę pracować.

Stał bez ruchu, oparty o ścianę. Wbiła wzrok w jego plecy, ale wiedziała, że się nie odwróci, że boi się jej szaleństwa. Kochany Lionel - pomyślała - będę całować ziemię za twoim rozplywającym się cieniem. Tylko pozwól mi zatrzymać dzieci.

- Nie wolno ci płakać - powiedział, gdy stanęli twarzą w twarz.

Wytarła policzki wierzchem dłoni.

- Dlaczego trwasz przy mnie? - zapytała po chwili. - Bo jesteś dla mnie życiem. A nie chcę zrezygnować z życia. To proste.

Przez moment pomyślała, że może się myli, że on nie odejdzie. Ale gdy pocałował ją w usta, najpierw delikatnie, potem mocniej, i wypuścił z uścisku, miała pewność, że go utraciła.

W ten właśnie sposób rezygnuje się z życia - pomyślała

- ale żyje się dalej.

- I poradzisz sobie? - zapytała.

- O tak - zapewnił ją.

Kiwnęła głową; wiedziała, że Lionel ma rację, że po okresie cierpień dojdzie do siebie. Ja samotnie zanucę moją pieśń - pomyślała. Żeby tylko zostawił mi dzieci. Z mroku nie oświetlonej części werandy zaczęła wyłaniać się pierwsza poczwara.

Licząc zmarłe dziecko - a czyniła tak zawsze - miała ich czworo. Dwójka najmłodszych - o złotych oczach - to dzieci Lionela. Charles zmarł i przebywał teraz pod opieką Posepnych Przyjaciół. Dziewczynkę, najbardziej do niej podobną, ledwie знаła. Mała mieszkała w Baton Rouge ze swoim ojcem, a jej eks-mężem Robitaille'em; mamusia-wariatka pozostała w Kalifornii. Wsunęła Lionelowi dłoń pod ramię, natrafiając na nagrany jedwab.

Odsunął rękę w bok, jakby zbierał się na odwagę, by ją porzucić. Stali przez chwilę bez słowa, a potem Lionel odezwał się z udaną beztroską w głosie:

- Świetnie! Miejmy nadzieję, że doczekamy tego wy-tworknie późnego obiadu. Jeżeli wcześniej nie umrzemy z głodu.

Udało jej się przywołać na usta uprzejmy uśmiech. Lionel głośno wciągnął unoszący się w powietrzu ciężki zapach meksykańskiej nocy.

- Już nie pamiętam, kiedy zapraszano nas razem. Myślę, że trochę się przejdę - powiedział. - Z ukrycia popodglądam przygotowania do uczyty. - Nietrudno tam trafić.

Przy końcu ścieżki, po lewej stronie.

- A gdzieżby indziej? - Ruszył w ciemność. - Kolacja z Walterem Drogue - daleko zaszliliśmy, nie sądzisz? - Ależ oczywiście - powiedziała Lu Anne. - Słupy graniczne mogą padać, a ty potrafisz myśleć tylko o ko-lacji z Walterem. Twoje słowa powinny zostać wykorzystane podczas Wielkiego Tournee.

Patrzyła, jak szedł ścieżką; na wargach wciąż czuła smak fałszywego pocałunku. To na jej los padła główna wygrana. Gdy zniknął z pola widzenia, pomyślała, że to jej życie jest prawdziwe, zasługujące na troskliwą opiekę. Posepni Przyjaciele zbierali się w mroku; nie czuła już ani strachu, ani gniewu.

Zrobiła, co było w jej mocy - to pewne. A Lionel - ten silny, kochający mężczyzna - starał się najlepiej, jak potrafił. Zdawało jej się, że usłyszała płacz małego Charlesa; podniosła

dłoń do ust. Wszyscy zrobili, co do nich należało.

Nie wolno jej go nienawidzić: postąpiłaby niewłaściwie i nic dobrego by z tego nie wynikło.

Niespodziewanie przyszło jej do głowy, że Gordon Walker z pewnością się tu pojawi. Walker nie próbował połączyć się ponownie. Zabrał kieliszek z półki pod telefonem i wrócił do baru. Możliwe, że podniosła słuchawkę - pomyślał. Ale na dźwięk jego głosu zareagowała wyłącznie paniką albo pełną obojętności rezerwą. A może ktoś inny odebrał telefon?

Była przecież w Meksyku, a te meksykańskie telefony... Całkiem możliwe, że mówił w pustkę, w obojętną, niczym nie zmaconą przeszłość. Pomyślał, że tyle miał do powiedzenia, iż choćby tylko dlatego lepiej było zostawić sprawę ich własnemu biegowi. Blondynka na stołku obok włożyła papierosa między wargi i podtrzymywała go palcami, wskazującym i środ-kowym, gestem wystudiowanym, jakby rodem z "czar-nego kina". Dłoń Walkera poszukała zapalniczki w kieszeni marynarki, ale nie podał jej ognia. Nie miał w planie podrywania tej kobiety i choć był jej ciekaw, nie miał ochoty na prowadzenie wymuszonej rozmowy. Przyjrzał jej się w świetle świec. Nie najgorsza. Jak na San Epo - pomyślał. Zdawała się pozbawiona wulgarności, nieodmiennie właściwej tym wszystkim łatwym, hotelowym zdobyczom. Nie wyglądała ani na prostytutkę, ani na transwestytę. Miała świeżą, jakby zagubioną i niezbyt szczęśliwą twarz, zupełnie nie na miejscu przy barze w Epifanio Beach. Z czystej uprzejmości już miał podać jej ogień, gdy gdzieś zza ich pleców błysnął płomień zapalniczki, a ona zaraz pochyliła nad nim głowę. Uśmiechnęła się nieśmiało, ponad ramieniem Walkera, i wy-mamrotała słowa podzięk. Walker, nie odwracając się, usłyszał męski śmiech o dziwnie zmieniającej się skali. Rozległ się tubalny, przerażająco głęboki głos, zagłuszający wszystkich wokół:

- Ostatnio miałem okazję odwiedzić Mount Palomar i oszołomiło mnie piękno tego miejsca. Walker stwierdził, że taki efekt można osiągnąć jedynie połykając powietrze przy oddychaniu przeponą i wydmu-chując energicznie jego strumień, jak przy śpiewie. Słuchał zdumiony, gdy tymczasem głos huczał niestrudzenie:

- Wszędzie w Kalifornii, gdziekolwiek jestem, natrafiam na absolutnie oszałamiające widoki.

Walker pomyślał, że ten facet to kompletny świr. - Czy z panią nie jest podobnie? - zapytał głos siedzącą obok blondynkę. Ten dźwięk był naprawdę niepokojący i brzmiał tak fałszywie, że aż nieludzko. Ku zdumieniu Walkera kobieta uśmiechnęła się i za-częła chaotycznie wyrzucać z siebie:

- Z pewnością... tak... ja też. Widoki są cudowne. - Jak to miło - ryczał głos - spotkać kogoś, kto tak samo odbiera cuda natury.

Walker ukradkiem odwrócił się w stronę mówiącego i aż skulił się na jego widok. Obawiał się, że zobaczy twarz pasującą do głosu i tak też się stało: obok stał mężczyzna pod pięćdziesiątkę, w peruce, z dyskretną warstwą teatralnej szminki, z pokreślonymi konturami oczu. Zza zaciśniętych zębów wydobywały się dźwięki przypominające głos brzuchomówcy. Gordonowi przyszło do głowy, że ma halucynacje, ale odpędził tę myśl. - Tak niewielu - grzmiał głos - dostrzega uroki roz-taczane przez naturę.

Jakie to prawdziwe - pomyślał szyderczo Walker. Mężczyzna wcisnął się na stół obok kobiety, zdecydowanie zawładnąwszy jej towarzystwem, a jemu, pokon-nemu rywalowi, ukazał potężne plecy. Walker lekko przesunął swój stół, by móc nadal obserwować blondynkę.

- Zgadza się - powiedziała z niepewnym uśmiechem. - Przeciętna osoba jest ślepa na piękno, nawet jeżeli ono znajduje się tuż przed nią.

Walker powoli pociągał drinka. Dialog toczący się obok wprawiał go w ponury nastrój. W końcu przestał obser-wować parę miłośników natury; odwrócił się i ujrzał Shelly. Stała w

drzwiach wychodzących na owiewany wiatrem taras i uśmiechała się do niego. Miała na sobie brązowy zakiet, pasujące do niego kolorem spodnie i wysokie buty oraz marynarską, drelichową koszulę i biały, dżersejowy golf. Ciemne włosy nosiła krótko obcięte. Pomachała ręką i ruszyła w jego stronę, przedzierając się przez tłum gości. Gdy znalazła się obok, wstał i pocałował ją.

- Wyglądasz dzisiaj ślicznie, Shelly - szepnął jej do ucha.

- Ty też, Gordo. - Przyłożyła do ust zwinięte w trąbkę dłonie i zarechotała. - Dlaczego szepczemy? Walker położył palec na wargach i oczami wskazał parę po swojej prawej ręce. Shelly spojrzała na nich, a potem na Walkera, z błyskiem zrozumienia w oczach. Żrenice miała tak małe, że zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest naćpana.

Obok wielki człowiek indagował blondynkę przerażającym głosem:

- A może mam do czynienia z turystką? Może z Wielkiej Brytanii?

Młoda kobieta, z akcentem rodem z Indiany czy Illinois, nieśmiało wyjaśniła, że nie pochodzi z zagranicy. - Co za niespodzianka - zdziwił się mężczyzna, a wyraz jego twarzy zdawał się akcentować ton zdziwienia. - Pani doskonała wymowa pozwoliła mi sądzić, że konwersuję z kimś zza oceanu.

Walker odwrócił oczy. Shelly schowała się za nim. Oparła brodę na splecionych dłoniach i po wariacku wykrzywiła się do butelek za kontuarem. - Chwileczkę, niech zgadnę. - Mężczyzna, nie zmieniając przeraźliwie napuszonego wyrazu twarzy, szukał pretekstu do dalszej rozmowy: - Może ze wschodnich stanów? Już wiem. Myślę, że Boston będzie kluczem do zagadki pani elegancji.

- Ależ nie, pochodzę z Illinois - zaprzeczyła kobieta. - Jestem rodem ze środkowych stanów - dodała z chęcią.

- Aha - zabrzmiało jak klakson samochodu. - Jakie to czarujące. Z krainy Lincolna. Usłyszeli, że przedstawił się jako Ulrich czy Dulwich lub coś w tym rodzaju.

- Czy mogę postawić pani drinka? - zapytał radośnie Ulrich vel Dulwich. - Jeszcze wcześniej, a my najwyraźniej jesteśmy jak dwie bratnie dusze.

Shelly dostrzegła wolny stolik i położyła dłoń na ramieniu Walkera. Wstali i przeszli tam.

- Jak to jest, że nigdy do mnie w ten sposób nie mówisz, Gordon? A może postawisz mi drinka? Skinął na kelnerkę i zamówił dla Shelly Białego Ro-sjanina, jak sobie życzyła.

Zanim dziewczyna zdążyła zniknąć im z oczu, Shelly zawołała ją. - Widzisz tego człowieka przy barze? - zapytała. - Tego wielkiego, z blondynką? - Kelnerka podążyła spojrzeniem za jej wzrokiem i skinęła potakująco głową. - Chcielibyś-my postawić mu drinka.

- Daj spokój, Shelly - wtrącił się Walker. - Gdy podasz mu drinka - ciągnęła Shelly - powiedz mu, że tej nocy ja i mój kumpel nie będziemy się pieprzyć. I że wszystko o nim wiemy.

- Przestań - poprosił Walker. - Niech pani jej nie słucha - zwrócił się do kelnerki, wysokiej i śniadej dziewczyny o melancholijnym wyrazie długiej twarzy; kącik jej ust zadrgał dziwnym, afektowanym uśmiechem.

- Chyba tu kiedyś pracowałaś, prawda? - zwróciła się do Shelly.

W odpowiedzi Shelly poruszyła brwiami w górę i w dół, niczym Groucho Mara.

- To prawda - odpowiedział za nią Walker.

- A więc, to nie mam...? - upewniła się kelnerka.

- Oczywiście, że nie - odrzekł Walker. - Ja wywodzę się z Tougaloo - oświadczyła Shelly dziwnie modulowanym głosem. - Czy wolno mi zapytać, skąd ty jesteś rodem?

Walker zignorował jej wyglupy.

- Ten gość zachowuje się obrzydliwie - powiedział.

- To zwykłe bydlę.

- Jak myślisz, Gordo, kim jest ten śmieć? - Zupełnie nie rozumiem, po co tu

przyjechaliśmy - z westchnieniem stwierdził Walker.

- To ja cię zwabiłam, żebyś posłuchał, jakim językiem tutaj gadają. W końcu jestem żeńskim Piętaszkiem twojego agenta. To moja praca.

- Ogólnie jest dennie.

- Samo życie, Gordo. Oto czego od ciebie oczekujemy. - Przyjrzyj się dokładnie temu gościowi. Czy on rze-czywiście tak groteskowo wygląda? A może ze mną coś nie jest w porządku?

- Ależ skąd. - Mówiła wolno, chłodnym głosem: - To faktycznie krowie łajno.

- Nie dla niej.

- Chyba rzeczywiście nie.

- To wszystko skutek samotności - powiedział Walker, potrząsając głową. - Może człowieka aż do tego do-prowadzić.

- Czyżby, Gordon? Zdaje się, że możesz coś o tym powiedzieć.

- Mam nadzieję, że nie ściągnęłaś mnie tutaj tylko po to, by mnie przesłuchiwać.

- Nie, kochanie, na pewno nie. - Poklepała go po ręce, uśmiechnęła się melancholijnie, ale zaraz gwałtownie potrząsnęła głową i wykrzywiła się do niego. Obserwował ją zastanawiając się, czy nie jest na haju.

Pomyślał, że w przypadku Shelly trudno to stwierdzić. Ciągle była w ruchu, czyniąc wokół siebie mnóstwo szumu. Nawet gdy zachowywała spokój, jej zaduma rzucała cienie, a milczenie dźwięczało ironią - choćby była pod działaniem narkotyków, nie dałaby tego po sobie poznać.

- A co u ciebie, Shelly?

- Cóż, przytrafiają mi się wizyty w ekskluzywnych hotelach nad oceanem. Czasem odlatuję i ciężko mi się pozbierać.

- Chcesz popracować na własną rękę? Zatrzymała wzrok na mężczyźnie o dziwnym głosie i jego towarzysze i wruszyła ramionami. - Nie jestem pewna, czy marzę o tym, żeby zostać agentem, Gordon.

- Ależ z pewnością tego pragniesz.

- Spójrz. - Wysuniętą brodą wskazała na mężczyznę emablującego blondynkę. - Zaraz zaciągnie się Virginia Slim i odpadną mu jaja.

Przysadzisty gość, około sześćdziesiątki, z akustyczną gitarą pod pachą, minął ich stolik.

- Cześć, Tex - zawołał do Shelly. - Jak ci się wiedzie, maleńka?

- Cześć - odpowiedziała pogodnie, parodiując swój własny, teksański akcent. - Doskonale. Zatrzymał się przy ich stoliku, jakby chciał z nią porozmawiać, ale gdy odwróciła się do niego plecami, ruszył dalej. Wspiął się na maleńką scenę i zaczął stroić gitarę.

- Ten kutas uważa się za mojego kumpla - powiedziała do Walkera. - Kiedy tu pracowałam, dawał mi wyraźnie do zrozumienia, że uważa mnie za prostytutkę. -

Zapomniałem już, kiedy pracowałaś w tej spelunie. - Nie pamiętasz, bo nie chcesz. Osiem lat temu, po odejściu z Paramount. - Łyknęła ze szklaneczki i od-wróciła się w stronę okna z witrażową szybą. Na dworze zrobiło się już całkiem ciemno, ale w Miramar Longue wciąż nie zapalano lamp. -Tak, kolego, dokładnie osiem lat temu.

- To były fajne czasy.

- O tak. Czyż nie bawiliśmy się wyśmienicie? Z pew-nością. I czy mnie nie wykiwano? Niewątpliwie tak. - Zapomnij o nieprzyjemnych chwilach. - Pamiętam wszystko bardzo dokładnie. Nosilałam wte-dy takie szykowne majtki. Pamiętasz? - No pewnie.

- Miałam seksowny ciuch, chciałam zostać aktorką i twoją dziewczyną. Wspaniałe dawne czasy. Na scenie podrygiwał gość z gitarą. Uderzał w struny i z zapałem odstawiał Macky Majchra, w stylu Franka Sinatry.

- Obrzydliwy stary pierdoła - powiedziała Shelly. - Nie wiem, czy dłużej tu wytrzymam.

- Dlaczego wziął cię za kurwę?

- Pewnie myślał, że nią jestem. - Wbiła wzrok w pio-senkarza. - Postawiłam się, to się wściekł i wywalił mnie. A teraz zobacz, jestem jego starą przyjaciółką. - I do tego córka rabina.

- Zgadza się. A więc pamiętasz, Gordon? Bawiła cię ta sytuacja.

- Kruczowłosa córka rabina tutaj - to dobre.

Dmuchięła mu dymem prosto w twarz. - Mój ojciec pracował w szpitalu, w którym leczono biedotę. Był lekarzem, psychologiem, ale został wyświęcony. Czy jak to się tam nazywa.

Walker kiwnął głową.

- O tym chyba też mi opowiadałaś.

- Wszystko ci opowiedziałam, całą historię mojego życia. Widzisz, zaczynasz już powoli zapominać. - Ależ nie. - Wolno potrząsnął głową. Czuł jej wzrok na twarzy.

- Coś nie wyglądasz za dobrze, kolego. A w Seattle byłeś w niezłej formie.

- To dlatego, że od dawna przesadzam z pićm. - Zwariowałeś, Gordon. Prowadzisz takie życie, jakbyś wciąż miał dwadzieścia pięć lat. O mnie mówią, że potrafię wypić, a gdzie mi się z tobą równać. - To z powodu wewnętrznego rozbicia. Mojego, oczywiście.

- Najwyższy czas, żebyś zaczął zażywać witaminy.

- Connie mnie zostawiła - pożalił się Walker. Obserwował, jak przenosi na niego swoje nasycone czernią oczy. Zawsze starała się zgłębić każdą sprawę. Może rzeczywiście interesuje ją, co się z nim dzieje - pomyślał.

Wyprostowała się, obserwując smugę dymu unoszącą się nad jej papierosem. Usta skrzywiła w gorzkim grymasie: przez chwilę, z wyrazem przygnębienia na twarzy, wyglądała staro.

- Załuję, że nie usłyszałam o tym osiem lat temu.

- Przykro mi - powiedział Walker - za to teraz słyszysz.

Skrzywiła usta w niewyraźnym, smętnym uśmiechu.

- Prawdę mówiąc, to Al mi o wszystkim opowiedział.

- A więc wiedziałaś?

- Tak. Wiedziałałam.

- I nic nie mówiłaś. Twarda z ciebie sztuka. - Daj spokój, Gordon, chyba nie będziesz się wy-płakiwać na moim ramieniu. To pieprzony zwyczaj. Zresztą, ona wróci.

Odwrócił się bokiem do Shelly. Blask świec, światło czerwonych i zielonych latarni oraz twarze gości odbijały się w witrażu okna wychodzącego na morze; bar wyglądał ciepło i pogodnie, jak zaciszny port.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Skinęła tylko głową, wciąż z tym samym, nikłym uśmiechem.

- Może nie powinienem brać tego tak poważnie, ale nie potrafię inaczej.

Grymas gniewu przebiegł po jej twarzy, splukując namiastkę uśmiechu. Zmarszczyła brwi.

- Tak, Gordon? Więc dlaczego u diabła... - głos jej zadrżał. Urwała w pół słowa.

- Co takiego, Shell?

- Nic. Nie będę się w to pakować. - Zwrócona twarzą w stronę baru, raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem tokującego kabotyna i obiekt jego zainteresowania. Oczy Shelly wyrażały zaniepokojenie. - Spójrz na niego, Gordon. Mówiłam ci, to gównojad, hiena - dajmy mu popalić.

- Odwróciła się do Walkera i chwyciła go za rękaw. - Chodźże, człowieku. Potrafisz.

Kiedyś na pewno dałbyś mu wycisk. Rąbnij skurwiela.

- Ja jestem po jego stronie. Równy z niego gość. Tak jak ja. - Uniósł kieliszek i opróżnił go do dna. Shelly Pearce ze smutkiem potrząsnęła głową i z po-wrotem oparła ją na dłoniach. - O rany! - westchnęła.

- Myślę, że moglibyśmy pośpieszyć dziewczynie na ratunek - powiedział Walker. -

Ukryjmy ją w naszym pokoju.

- W naszym pokoju? - Shelly wyglądała na autentycz-nie zaskoczona. Pomyślał, że aż za bardzo. - Mamy pokój? - Tak, mamy pokój. Na wypadek, gdybyśmy potrze-bowali.

- Ile w nim łóżek?

- Ile łóżek? Nie pamiętam, chyba dwa. Co za różnica?

Shelly, niemal natychmiast, poderwała się ze stołka. - Chodźmy go obejrzyć. Myślę, że później popływam w basenie.

- Basen - powiedział Walker i wyszczerzył zęby.

Zawtórowała mu śmiechem.

- Pamiętasz jeszcze, chociaż minęło już osiem lat? Jako personel hotelu nie mogłam w nim pływać. Wzięłaś spodenki kąpielowe? - Chwyciła go za łokieć i pociągnęła w stronę wyjścia. - Chodźże wreszcie. Ostatni przegrywa. Gdy odchodzili, tokujący mężczyzna patrzył na blon-dynkę rozmarzonym wzrokiem.

- Lubi pani wielką muzykę? - wypytywał. - Symfonie?

Koncerty? Divertimenta?

Wjechali windą na najwyższe piętro i po przybrudzo-nym chodniku poszli do pokoju. Był obszerny, umeb-lowany z prostotą, z pomalowanymi na żółto, wysokimi ścianami.

Klimatyzacja pracowała na pełnych obrotach i panował w nim dotkliwy chłód. Walker podszedł do kontaktu i wyłączył urządzenie. Podwójne, oszklone drzwi prowadziły na wąski taras z widokiem na plażę. Odsunął przytrzymującą je zasuwkę i otworzył na oścież.

Zmysłowa bryza znad oceanu przegnała stęchły chłód. - Całkiem niezłe - orzekła Shelly po sprawdzeniu obydwu łóżek. - Wygodne.

Walker wyszedł na korytarz po lód. Gdy wrócił, stała na tarasie i przechylała się przez balustradę. - Dawniej, gdy obsługiwałam frontowe stoliki, goście hotelowi dla kawału rzucali w nas kostkami lodu. Można było zwariować.

Weszła do środka, wzięła od Walkera pojemnik z lo-dem i ze swojej podróżnej torby wyjęła butelkę na-grzanego, kalifornijskiego szampana. Gdy odkręcał dru-cik mocujący korek, obrzuciła pokój niezbyt zachwy-conym wzrokiem.

- Mogło być gorzej, mają tu wszystko co trzeba, nie sądzisz? - Oczy jej błyszczały.

- Brałaś amfetaminę, Shelly?

Wzięła od niego butelkę. Przytrzymując ją w ręczniku, wyciągnęła korek i naląła pianistego płynu do dwóch szklanek.

- Teraz w ogóle nie biorę amfetaminy, a inne narkotyki prawie odstawiłam. Ale dla nas przywiozłam kapkę mari-huany i przed samym wyjazdem trochę się sztachnęłam. - Nie chodziło mi o to, by cię przyłapać - powiedział Walker. - Zapytałem tylko... z czystej ciekawości. - Gadanie - powiedziała z przekornym uśmiechem.

- Zastanawiałeś się, czy wciąż tkwię w szponach nałogu.

Ale nie, u mnie wszystko w najlepszym porządku.

- Czy musisz się naćpać, żeby móc się ze mną spotkać? Przechyliła głowę i spod zmarszczonych brwi obrzuciła go powłóczystym spojrzeniem. Zapaliła skręta z marihu-aną. - Z tym łatwiej żyć, Gordo.

Walker wziął od niej peta i zaciągnął się. Obserwował się w lustrze toaletki, po drugiej stronie pokoju. Światło było łagodne, twarz w lustrze odległa i rozmazana. Z magnetofonu płynęła melodia Milesa Davisa: "In a Silent Way". Shelly odebrała skręta od Walkera; siedzie-li w milczeniu, chłonąc smętną, majestatycznie brzmiącą melodię. Dym marihuany był gęsty jak ulepek. Po chwili Shelly rozebrała się i wcisnęła w obcisły, jednoczęściowy kostium kąpielowy. Podszedł, by ją objąć, lecz ona oparła dłoń na jego piersi i delikatnie odepchnęła go. - Mam ochotę popływać - powiedziała. - Chcę to zrobić, póki jestem wystarczająco przytomna. Walker włożył kąpielówki. Wzięli ze sobą ręczniki, napełnione

kostkami lodu szklanki z szampanem i zjechali windą na dół.

Plamę światła wokół basenu San Epifanio Beach ze wszystkich stron oblegały ciemności. Czarne mury i rzucone przez nie cienie czyniły niewidocznymi dla oczu rdzę, pleśń i buszujące szczury. Pod palmami, obok pomalowanych na jaskrawy kolor kabin i sztucznego, niedużego wodospadu, ustawiono stoliki. Walker opadł na leżak; był nieźle naćpany. Niemal czuł przyklejony do własnej twarzy uśmiech, gdy obserwował, jak Shelly podchodzi do trampoliny, skacze, leci pięknym łukiem i uderza w lśniącą, nieruchomą tafłę wody. Z miejsca, w którym siedział, widział migające płomyki świec w kawiarni po drugiej stronie basenu, ale poruszające się za szkłem osoby stanowiły jedynie niewyraźne cienie. Na leżaku obok mężczyzna o czerwonej twarzy, w niebiesciutkiej wiatrówce i cytrynowych portkach, leżał z otwartymi ustami i potężnie chrapał. Shelly wypłynęła na powierzchnię i obróciła się na plecach jak foka, posyłając Walkerowi swój najwspanialszy uśmiech w stylu Esther Williams. Dokończył szampana i przymknął oczy. Wydawało mu się, że istnieje coś przyjemnego, o czym mógłby rozmyślać, rozkoszować się jakimś słodkim przewidywaniem, ale nie mógł sobie przypomnieć, co to takiego. Spokojnie pozwolił swej zamroczonej wyobraźni roztaczać barwną panoramę Kalifornii, symbolu minionego szczęścia.

Niespodziewanie owładnął nim strach, który - jak uderzenie - spowodował, że usiadł sztywno i kurczowo trzymając się oparcia, walczył z ogarniającymi jego ciało dreszczami. O kilka stóp od niego Shelly Pearce, spokojnie, na plecach, miarowo wymachując ramionami, pokonywała kolejną długość basenu.

Walker podszedł do brzegu i siadając obok kieliszka pozostawionego przez Shelly, spuścił nogi do wody. Wypił szampana i zadrżał.

Po chwili wynurzyła się tuż obok niego.

- Nie masz ochoty popływać?

Spojrzał na oświetloną wodę. Cuchnąca i obrzydliwie oślizgła oblepiała kostki jego nóg.

Czuł zapach kocich szczyń i amoniaku. Shelly sięgnęła dłonią i dotknęła jego kolana.

Potrząsnęła przecząco głową. - Czy wszystko w porządku? - zapytała.

- W najlepszym. - Usiłował zmusić się do uśmiechu. W kawiarni facet na scenie wydierał się: Bad Bad Leroy Brown. Z pustą głową, z trudem łapiąc oddech, Walker niepewnie stanął na nogach.

- Chyba mi zimno - zawołał do Shelly.

Brodząc podeszła do drabinki i wyszła z basenu.

- Nie wyglądasz najlepiej, Gordo. Może jesteś chory?

- Nic mi nie jest. To tylko trawka. Poszło mi do głowy. Trzymając się za ręce, weszli na górę. Walker jeszcze raz wziął prysznic, owinął się płaszczem kąpielowym i położył na łóżku. Shelly Pearce stała przed drzwiami na taras, twarzą do spowitego w czarny całun mgły obrazu nieba i oceanu. Była naga. Paliła. Z grającego na okrągło magnetofonu rozbrzmiewała piosenka J.J. Johnsona:

"No Moon At Ali".

Gdy melodia dobiegła końca, Shelly puściła ją na nowo i do utraty tchu skakała w rytm muzyki. Potem podeszła do okna i stanęła przy nim w pozie odpoczywającej tancerki. Grzbiet dłoni oparła o przegięte biodro, drugą, z papierosem, wystudiowanym gestem trzymała odchyloną pod kątem prostym od nadgarstka. Głowę odrzuciła w tył, a twarz, niewidoczną dla Walkera, odwróciła w stronę ciemności na zewnątrz. Wstał z łóżka, przeszedł przez pokój i klęknął przed nią. Całował ją po udach, pieścił, doprowadzał do drżenia rozkoszy. Pożądanie sprawiło, że poczuł się bezpieczny i silny. Pogładziła go po włosach, potem z senną ociężałością podeszła do łóżka, wyjęła z ust papierosa i ułożyła się na boku, twarzą do Walkera. Wydawało mu się, że płakała podczas stosunku. W chwili, gdy przeżywała orgazm, usłyszał, jak wydała z siebie cichy, żalobny jęk. Po spełnieniu

poweselał, śmiał się, zniknęły poprzednie lęki. Ale niepokoiły go jej oczy; jasne, nieruchome, bez wyrazu.

- Halo - powiedział.

- Halo, Gordon.

- Dobrze było, co, maleńka?

- Jak za dawnych czasów.

- Dlaczego pytałaś mnie o łóżka?

- Bo pracuję na utrzymanie - oświadczyła. - I muszę się w nocy dobrze wysypiać. Gdyby było tylko jedno, czekałaby mnie jeszcze droga do domu. - Bardziej dbasz o siebie niż kiedyś.

- O tak - przyznała. - Wszyscy teraz bardziej o siebie dbają. Taka moda. - Po chwili milczenia spytała: - Słuchaj, Gordon, dlaczego znów wieszysz za Lee Yerger? - Daj spokój - zachnął się.

- Chciałabym usłyszeć od ciebie, dlaczego uważasz to za dobry pomysł.

- Z powodu scenariusza, za dużo w niego włożyłem. Chciałabym zobaczyć, jak ona gra. Ty i Al powinniście mi to zorganizować.

- Al uważa, że pomysł nie jest najlepszy. - To sama się tym zajmij. Udasz Greka, powiesz mu, że się ze mną zgadzasz.

- Dlaczego nie odpoczniesz trochę?

- Nie mam takiego zwyczaju - odparł Walker. - Wiedziałam, że będziesz nalegał. Al opowiedział mi o waszej rozmowie przy lunchu, nie byłam więc za-skoczona.

- Dzwoniłaś do nich?

- Zadzwoiłam do biura Charliego Freitaga i rozmawiałam z Magdą Clark - powiedziała Shelly głosem pozbawionym życia. - Chyba przyjmą cię na dzień lub dwa. Charlie cię lubi. Zresztą on lubi wszystkich. Muszą to uzgodnić z ekipą na planie i trochę to potrwa. Patrzyła na niego wzrokiem rozżłoszczonego dziecka, on unikał jej spojrzenia.

- A może byś tak dał innym odpocząć? Na przykład Connie, co? Albo Lee. Dlaczego nie dasz jej spokoju? Tylko pokręcił przecząco głową.

- Pieprzona psychopatka - powiedziała ze złością.

- To ty tak uważasz, Shelly.

- Wszyscy wiedzą, że to kompletna wariatka, Gordo, i lepiej zrobisz, jak zostawisz ją w spokoju. - Chcę ją zobaczyć - upierał się Walker. - Ty powinieneś iść na kurację do szpitala - oświadczyła zimno Shelly Pearce.

Uśmiechnął się.

- Twój boss radził mi dokładnie to samo. - No pewnie, gramy w jednej drużynie. -

Wstała, podeszła do oparcia łóżka i oparła na nim ręce. - Wiesz, za czym przepadają wariaci, Gordo? Uwielbiają wciągać innych w swoje szaleństwo.

- Nie rozumiecie, o co tu chodzi. Ani ty, ani Al.

- Jest z nią mąż. I dzieciaki. Chcesz w to wleźć? - Chcę pracować - powoli powiedział Walker. - Chcę wrócić do pracy. Potrzebuję roboty, na której będzie mi zależało, z ludźmi, na których mi zależy. - Ale pieprzysz, Gordon.

- Nie bądź wulgarna.

- Jesteś mordercą, człowieku. Wcale nie zależy ci na pieprzeniu, wystarczy ci, jak unieszczęśliwisz kobietę. Stała obok łóżka i zasłaniała dłonią oczy przed jaskrawym światłem lampy. Potem odwróciła się do Walkera plecami, skrzyżowała ramiona na piersi i z pochyloną głową ruszyła w stronę balkonu.

- Ile razy się spotykamy, zawsze rozmawiamy o twoich romansach, prawda? Nigdy o moich.

- A więc jak się mają twoje sprawy miłosne, Shelly?

- Dzięki, żeś zapytał.

- Mówię serio.
- Serio? - Uczepiła się ostatniego słowa. - Cóż, nie najgorzej. Odkąd ciebie nie dotyczą, całkiem nieźle mi się wiedzie.
- To wspaniale.
- Dokładnie tak. Bez ciebie świetnie sobie radzę. - Popatrzyła na niego, z przyklejonym do twarzy sztucznym uśmiechem. - To prawda.
- Cieszę się - powiedział Walker.
Odwróciła się w stronę okna i zaśpiewała w panujące za nim ciemności:
- Jest mi bez ciebie dobrze, jak nigdy. Zaśpiewała to dwa razy, wysokim głosem, akompaniując sobie pstryknięciami palców. Patrzył, jak podchodzi do łóżka.
- Zaśpiewasz ze mną, Gordo? - Podtrzymała brodę dłonią. - Tylko gdy jesienny deszcz... - śpiewała. - Da da du, da da du. Pamiętasz?
- Nie.
- Jeśli nie, to wybornie, Gordon. Bo w takim razie nie muszę się o ciebie martwić. Ani ty o mnie. - No, nie wiem - powiedział Walker wzruszając ramionami. - Ludziom powinno na sobie zależeć. - Więc tak uważasz, Gordon? Myślisz, że ludziom powinno na sobie zależeć?
- Być może. A ty co, uważasz, że to sentymentalny banał?
- Ależ nie - zaprotestowała. - Nie, najdroższy, uważam, że to wzruszające. Wszystkie tkliwe uczucia rozczulają mnie. - Wyciągnęła się obok niego. - Chcesz się jeszcze trochę popieprzyć? A może jesteś zbyt pijany? Powiedz mamusi.
Walker wolno schylił się po butelkę szampana, stojącą obok łóżka. Pociągnął łyk. -
Przestań - poprosił cicho.
- Dobrze, niech ci będzie. - Wzięła od niego butelkę.
- Ale dlaczego ona? Dlaczego Lee?
- Nie mam pojęcia. - Walker pokręcił głową.
- Uważasz, że to tyją wymyśliłeś - powiedziała Shelly.
- Jeszcze będziesz żałował.
- Bez wątpienia - zgodził się i zapadł w sen.

Ołodka, luksusowa ciemność oblepiała Villa Liberia. Powszechnie uważano, że wynajęcie rezydencji przez filmową ekipę (koszty wpisano w budżet) podniesie prestiż przedsięwzięcia. Za linią latarni znajdowało się oświetlone lampkami ogrodzenie, wzdłuż którego przechadzali się uzbrojeni strażnicy. Oni i krzaki ja-carandy przypominali Lionelowi Południową Afrykę - Houghton i dom.

Przy wtórze łagodnych uderzeń przybrzeżnych fal wspiął się hotelową, starannie wyłożoną kamieniami ścieżką do szerokiego podestu, z widokiem na rząd bungalów i główne budynki wraz z przylegającymi do nich ogrodami i basenami. W lagunie poniżej kołysało się na kotwicach kilka łódek przygotowanych do nocnych połowów. Na południu, wzdłuż wybrzeża, błyszczwały światła wioski.

Przy podeście ścieżka rozwidlała się: jedna odnoga prowadziła po łagodnym stoku ku skrywającej się w cie-mościach plaży; z drugiej strony schody koralowego koloru wspiwały się ku casitas, położonych na wznie-sieniu. Lionel oparł się o kamienny murek i wyjął papierosa.

Rano wsiądzie do samolotu: najpierw Los Angeles, potem Rio, wreszcie Johannesburg. Nie było go w domu przez całe osiem lat. Jego dzieci nigdy nie widziały dziadków. Nie widziały też cudownie surowego krajob-razu, kwitnących zimą róż ani apartheidu. Był pod-niecony myślą o powrocie, o czekających na dzieci odkryciach. Tam stracą niewinność, otrą się o niegodzi-wości świata, poznają smak strachu. Tam nie można skryć się przed życiem za szkłem, jak w Bahia Honda. Zapalił i pomyślał o swoim strachu i tym, który otrzymają w spadku jego dzieci. Zastanawiali się z Lu Annę, co się może wydarzyć.

Uznali niebezpieczeństwo za odległe. Mieli nadzieję, że Noc Długich Noży nie nadejdzie akurat w ciągu tego miesiąca, po to tylko, by pochłonąć ich dzieci. Pomyślał jednak, że ktoś kiedyś nie będzie miał szczęścia. Kiedyś, prędzej czy później, jakaś rodzina, podróżując po tym kraju, obudzi się tej feralnej nocy.

Na razie ten strach był tylko fantasmagorią. Lionel nie bał się ani o siebie, ani o dzieciaki, a jeżeli nawet, nie brał swoich obaw poważnie. Bał się za to o innych: o rodziców, zbyt starych, by znów uciekać; o zameżną siostrę i jej chłopców; o starych przyjaciół o różnym kolorze skóry, zarówno tych, którzy pogodzili się z rzeczywistością, zadowoleni z istniejącego stanu rzeczy, jak i tych, którzy uprawiali wyjątkowo niebezpieczną grę zwaną polityką. Bał się o wiele osób, poznanych w latach młodości - w Houghton, Durbanie, Cape, zaangażowanych w Sprawę; mógł sobie tylko wyobrazić, do jakiego stopnia ich życie splątało się z losami kraju. Był bogatym lekarzem w Los Angeles, w zupełnie innym świecie. Hollywoodzki psychiatra - cliche. Ożenił się z aktorką, o której pewnie nawet nie słyszano w Pietermaritzburgu, w Maclear czy w Aliwal North. Nagle uderzyło go, jak bardzo cieszy się z wyjazdu. Zapalił następnego papierosa, przyglądając się migoczącym w oddali światłom łódek.

Stał i palił, zadumany nad własną emocjonalną nędzą. Był do tego stopnia podekscytowany, że upłynęło kilka chwil, nim zrozumiał prawdziwe powody swego ożywienia, swej euforii - cieszył się, że wreszcie wyjedzie. Uwolni się od jej wyrozumowanego szaleństwa, od koszmarnego piękności topielicy, jej pozbawionych złudzeń oczu. Otrząsnął się z rozmyślań na dźwięk kobiecego śmiechu. Zabrzmiało tak głośno, był tak pełen pewności siebie, tak beztroski i różny od jego samotnej rozpacz, że rozżłościł go. Popatrzył w górę zbocza i w czarownym świetle patio ujrzał odwróconą do niego plecami blondynkę. Wyglądała, jakby była naga. Siedziała na niskim, ceglany murku, otaczającym falujące jacuzzi. Ramiona miała szerokie, talię szczupłą - kobieta atrakcyjna w najnowszym kalifornijskim stylu, obowiązującym także na planie tego filmu. Wszystkie dziewczęta z ekipy wydawały się Lionelowi podobne do siebie. Podszedł bliżej i spostrzegł dwóch mężczyzn zanurzonych po szyję w baseniku. Przez nieuwagę znalazł się w ogrodzie otaczającym bungalow reżysera. Chciał szybko oddalić się ścieżką, którą przyszedł, ale jeden z mężczyzn musiał dostrzec go pomimo ciemności. Lionel usłyszał, że go wołają. Rozpoznał głos Waltera Drogue'a. Domyślił się, że kobieta to Patty, żona Waltera.

- Lionel - zawołał Drogue. - Witaj! Chodź do nas i napij się czegoś!

Ruszył w kierunku patio. Na jego widok Patty wstała i pośpiesznie owinęła się w plażowy płaszcz koloru burgunda. Drugi mężczyzna podniósł się i wyszedł z jacuzzi, nawet nie próbując zakryć swej nagości. Był to starszy człowiek, posiwiały na piersiach i w kroczu, niezwykle chudy - szkielet obciążony obwisłą skórą. Usiadł na krześle i czarnymi, cygańskimi oczami, czujnymi i bez wyrazu, obserwował nadchodzącego. Reżyser nie wyszedł z baseniku, siedział w wodzie i uśmiechał się z zadowoleniem. Był mocno opalony. Ciemne, mokre włosy oblepiające mu czoło nosił na wojskową modłę, podgolone na szyi i nad uszami; fryzurą przypominał Napoleona z portretu Davida. - Lionel - powiedział Drogue - chyba znasz Patty?

- Oczywiście. Dobry wieczór.

- Witaj. - Patty popatrzyła na niego bursztynowymi oczyma.

- To jest mój ojciec, Walter senior - poinformował Drogue swego gościa, wskazując ręką na nagiego mężczyznę, siedzącego na krześle obok Patty. - Zostanie z nami przez następne dziesięć dni. Tato, to Lionel Morgen, mąż Lee Verger.

Walter Drogue senior, kręcący filmy już w czasach Walsha, Sturgesa i Hawkesa, stał się legendą. Przedstawienie mu tak sławnej figury nie poprawiło samopoczucia Lionela. Czuł się obrażony nagością starego Drogue'a, Stary nie podał mu ręki, opierając pełną

wypukłych żyłek i wątrobianych plam dłoń na karmelowym ramieniu synowej.
Z idiotycznym entuzjazmem, który ranił nawet jego własne uszy, Lionel oświadczył:

- Jestem zaszczycony, panie Drogue.

- Naprawdę? - zapytał stary.

- Właśnie usiłowałem odnaleźć drogę. Po ciemku nigdy tędy nie chodzimy.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedział Walter Drogue junior. Zanurzył się aż po brodę w wirującej, zielonej wodzie. Nareszcie mamy okazję pogadać prywatnie. W rodzinnym gronie, tylko my sami. Co pijesz? Lionel rozpaczliwie pragnął się stąd oddalić, ale pomyślał, że nie pogardzi drinkiem. On i Drogue rzeczywiście mieli o czym ze sobą pomówić. Nie było rady: z obecnością Patty i starego trzeba się było pogodzić.

- Chyba nie odmówię - oświadczył uprzejmie. - Mogę dostać szkocką?

Ledwie skończył mówić, Patty uwolniła się spod obleśnych dłoni starego i pośpieszyła do bungalowu. - A więc - powiedział Drogue junior z głębokości basenu - nie dało się już tego znieść, co? Lionel spojrzął w dół na zanurzonego w wodzie reżyse-ra. Przyjął, że ten się z niego dobrodusznie nabija, jak z kogoś spoza branży.

- Bawiłem się tutaj wyśmienicie - odrzekł. Po chwili pojawiła się Patty, niosąca tacę pełną butelek, szklanek i wypełnionych lodem mikserów. Lionel, chcąc pokazać, że czuje się swobodnie, wziął butelkę szkockiej i napełnił swoją szklankę, nie dodając wody. -

Teraz lepiej - zauważył młodszy Drogue. - Siedzenie tutaj całymi tygodniami może doprowadzić człowieka do szaleństwa. Zwłaszcza jeżeli się nie gra. Plan filmowy i małżonkowie - to raczej nie idzie w parze. - Całkiem niezłe nam się układało - zaprotestował Lionel. - Myślę, że Lu i ja nie wchodziliśmy sobie w drogę. - Popatrzył na drugą stronę jacuzzi i ujrzał, że Patty i stary Drogue usadowili się obok siebie.

Najwyraźniej w tym rodzinnym kółku nie dało się przeprowadzić rozmowy na osobności. - A, widzę, że pan też przywiózł tu panią Drogue. - Whisky przechodziła przez gardło dobrze i gładko jak brandy. Lionel nie pił często i ta jedna szklanka rozgrzała w nim krew. Patty roześmiała się. Jej śmiech zabrzmiał z irytującą sztucznością, jak gdyby Lionel powiedział coś dziwa-cznego.

- To prawda - przyznał Walter, powstrzymując śmiech. - Zawsze i wszędzie zabieram ze sobą moją drogą panią Drogue.

Lionel zrobił rozbawioną minę, aby pokazać, że on też bierze udział w zabawie.

- Południowa Afryka - zmienił temat młody Drogue - z nią łatwiej sobie poradzić?

Uśmiech zamarł na twarzy Lionela.

- Musisz zrozumieć, że moi rodzice tam mieszkają. Matka wydoszła się z Europy dosłownie w ostatniej chwili. - Przez chwilę milczał. - I oczywiście chcą zoba-czyć wnuki, a w ich wieku nie mogą już liczyć na wiele naszych wizyt.

- Nie zamierzałem wyrażać się o Południowej Afryce lekceważąco, Lionel - powiedział Walter. - Dziwię się tylko, że chcesz borykać się z tamtejszymi problemami. Przecież wyjechałeś stamtąd na dobre, prawda? Żeby tu otworzyć praktykę.

Lionel czuł ogarniające go napięcie. Skończył pić, ale zanim zdążył odpowiedzieć, Patty podała mu następnego drinka.

- Wyjechałem - przyznał. - Pewnie, mogłem zostać i dołączyć do tych, którzy walczą. Jak moi przyjaciele. Ale rodzice chcieli, żebyśmy wyjechali. Ja i siostry. - A więc koszmar rodziców do tego stopnia zaważył na twoim życiu?

- Ale pieprzysz, Walter - powiedziała Patty pozbawio-nym emocji głosem.

Drogue junior wzruszył ramionami z dobrodusznym wyrazem twarzy, a jego ojciec obserwował synową czar-nymi, czujnymi oczami.

- Milczenie, wygnanie, przebiegłość - rzucił z mroku senior. - A ty przyjeżdżasz tu, by wysłuchiwać narzekań bogatych Amerykanów, że boli ich brzuch. Rodzice mogą być z ciebie dumni.

- A z jakiej racji mamy prawić kazania Lionelowi? - zapytał życzliwie Walter. - W końcu pokazywaliśmy nasze filmy w tamtejszych kinach, chociaż obowiązuje w nich segregacja. Postępowaliśmy identycznie na naszym Południu i niemało mamy na sumieniu. - Słyszałem, że pan Drogue siedział w więzieniu - powiedział Lionel, walcząc z pijacką czkawką. Nie chciał wydawać się zbyt unizony. - Może ja po prostu nie jestem ulepiony z tej samej gliny.

- Być może - przyznał senior. - Trafiłem na czarną listę, ale nigdy nie siedziałem. A życie składa się z samych "być może".

- Odczep się od niego - wtrącił się jego syn. - Nie płacą mu za to, żeby się babrał w twoim gównie. Zamów sobie wizytę u psychoanalityka. - Ze współczującą miną odwrócił się do Lionela. Morgen z wolna nabierał przekonania, że ukształtował się schemat: każdy z Drogue'ów będzie wykorzystywał najdrobniejszą okazję, by go bronić przed pozostałymi. Być może przy następnym ataku nawet stary pospieszy mu z odsieczą. Rzucił okiem w stronę ciemności, w których przyciłał się starszy z Drogue'ów; ta ewentualność wydała mu się mało prawdopodobna. - Nie pozwól, by cię poniżał, Lionel. Sądzi, że ma monopol na polityczne zaangażowanie. Że tylko on jeden potrafi być tym niezłomnym.

- No cóż - westchnął Lionel. - Jeśli chodzi o mnie, nie myli się. Mam przyjaciół, którym nieźle oberwało się za walkę z apartheidem. Ja nie musiałem przez to prze-chodzić.

- Wiecie, co mówią więźniowie? - zapytał stary Drogue.

- Nigdy nie wierz gościowi, który nie garował. - Nie musi się pan silić, żeby obdarzać mnie zaufaniem - oświadczył Lionel. - Wyjeżdżam z samego rana. - Przyjmowano zakłady, czy zdecydujesz się na wyjazd - powiedział reżyser. - Prawda?

- Czy mam powiedzieć, na co postawiłam? - udanie płaczącym tonem zapytała Patty.

- Zakłady? - zdziwił się Lionel. - Nie rozumiem, skąd te wątpliwości. Od początku wiadomo było, jak długo tu pozostanę. Przecież to wasze panienki kupowały mi bilety na samolot.

- To prawda - przyznał Drogue. - Ale sądziliśmy, że w tych okolicznościach będziesz bardziej skłonny do kompromisu.

- Moich planów nie da się zmienić, Walter. Wziąłem w szpitalu cały urlop, jaki mi się należał. Z tuzin razy latałem do Nowego Orleanu. Cały rok zabrało mi przygotowanie tej podróży.

Młody Drogue rzucił mu długie, chłodne spojrzenie i wzruszył ramionami. Patty wbiła wzrok w chirurgicznie zielone światło jacuzzi. Stary był niewidoczny w cieplarnianej dżungli patio.

- Nie zmieniliśmy naszych planów - powiedział Lionel. - Nie rozumiem, dlaczego ktokolwiek miałby być za-skoczony.

Walter wyszedł nago z podświetlanego jacuzzi i wcisnął się w szlafrok z jedwabiu, ozdobiony na plecach, na bokierską modłę, napisem "Young Drogue". Nagość Drogue'ów zaczynała drażnić Lionela i wprawiać go w zakłopotanie. Z jego doświadczeń z rozmaitych przyjęć wynikało, że ubrani goście czuli się swobodniej od tych w niekompletnych strojach. U Drogue'ów najwyraźniej zasada ta uległa całkowitemu odwróceniu. - Nie ma sprawy - powiedział ugodowo młody Drogue. - Wiesz - zaczął Lionel - pomyślałem sobie, że przed moim wyjazdem moglibyśmy porozmawiać trochę na osobności.

Młody Drogue wyciągnął się na plastikowym krześle, ziewając szeroko.

- Dobry pomysł - zgodził się. - Patty - zwrócił się do żony. - Przynies mi drinka i nie zapomnij o naszym doktoru ani o starszym panu. - Z ciemnego kąta dolecia-ły głośne przekleństwa Waltera Drogue'a Starszego. - Trochę wykorzystujemy Patty - wyjaśnił Walter Lionelowi. - Zresztą ona tego chce.

- Chciałbym porozmawiać na osobności - nalegał Lionel. - Właśnie jesteśmy na

osobności - odparł Drogue junior. - Największej z możliwych.

- Chodzi mi o Lu Annę.

- Naprawdę?

- Chciałbym usłyszeć... z innego źródła, jak sprawy wyglądają.

Walter uśmiechnął się serdecznie.

- Dobrze, Lionel, dobrze wyglądają.

- Jest niezła, prawda?

- Och, to za słabo powiedziane, doktorze. Ona jest zawsze dobra, ta twoja Lu Annę. Ale tym razem to coś więcej.

- A film? Uważasz, że film będzie dobry? - Film to Lu Annę i ja - oświadczył Walter. -

Nas dwoje, razem. A jesteśmy naprawdę dobrzy. - Oglądam na bieżąco materiał zdjęciowy - zapewnił Lionel - i jestem pod wrażeniem.

- Siedzimy na żyło złota, przyjacielu. Świat będzie oszołomiony.

Patty po raz kolejny wróciła z tacą drinków. Lionel przetarł szkła okularów. Głowę miał ciężką od wypitej whisky.

- Myślałem...- zaczął - chciałem się upewnić, że z nią wszystko w porządku.

Reżyser milczał. Lionel wychylił szklanekę do dna.

- Jeszcze jednego? - zapytała Patty.

- O nie, może później - odrzekł Lionel.

- Ona uwielbia serwować drinki - wyjaśnił Walter.

- To mój sposób odbywania pokuty - wyznała. - Może lepiej będzie, jak ty mi powiesz, co o niej myślisz - zażądał Walter trzeźwym głosem. - Jesteś jej mężem, żyjesz z nią.

Jesteś... specjalistą od ludzkich zachowań. Co myślisz o jej obecnym stanie? - Wydaje mi się, że odkąd opuściła scenę, nigdy jeszcze nie zaangażowała się tak mocno.

- Z pewnością - zgodził się Drogue, a jego jasne oczy uśmiechały się. - To chyba dobrze?

- Cóż - zawahał się Lionel - chyba tak.

- Ale...?

- Jej oczy - z ciemności doleciał głos starego Drogue'a. - Zauważyłem je od razu, jak tylko przyjechała. - Wszyscy odwrócili się w jego stronę. - Nie widać tego na foto-grafiach i nawet nie zwróciłbym na nie uwagi. Ale na ekranie te jej oczy wręcz zbijają z nóg.

Pamiętam... od pierwszej chwili, jak się tu pojawiła.

Lionel wbił wzrok w skuloną w ciemnościach postać. Chciał coś powiedzieć, ale w głowie miał kompletną pustkę.

- W epoce kina niemego - ciągnął stary Drogue - uwiel-bialiby jej oczy.

- Nawet ty nie możesz pamiętać tak odległych czasów - przekomarzała się ze starym Patty. - Czyżbyś działał już w epoce kina niemego? - z udanym zdziwieniem naśladowała jego niski, zgrzytliwy głos. - On był tu pierwszy, jeszcze zanim pojawił się dźwięk - stwierdził jej mąż. - Pracował przy "House of Sand". - Przyjrzyj się twarzom z tamtych czasów, to ujrzysz prawdziwe oczy. - Wydobył z siebie ni to chrząknięcie, ni to powstrzymywany śmiech. - Odbicie życia pełnego napięć.

- "House of Sand" - zdziwiła się Patty. - Uwielbiam ten film. Cholernie mi się podoba, jak ktoś mówi "w epoce kina niemego" - zwróciła się do Lionela. - Ostatnia rola Everetta Frencha. Był cudowny! - Jakie to romantyczne - powiedziała Patty. - Everett French topi swój talent w dżinie. Zupełnie w stylu Fitzgeralda.

- A więc powiedz mi - młody Drogue zwrócił się do Lionela - jak się ma moja aktorka, a twoja żona?

- Posłuchaj! - Lionel przytrzymał jedwabny rękaw boksterskiej szaty Waltera. Zauważył spojrzenia Drogue'ów na swojej dłoni i cofnął ją. - Nie sądźcie - zwrócił się do nich - że istnieje rodzaj artystów, których można

by określić jako hallucinee?

- Dickens! - wykrzyknęła z entuzjazmem Patty. - Joan Miro. Jak sądzisz, Walter?

Twarz młodszego Drogue'a zastygła w fałszywie naiwnym uśmiechu.

- Pewnie - powiedział ironicznie - niech będą Dickens i Joan Miro.

- Wagner - rzucił stary Drogue ze swego ukrycia.

- Mahler, Max Reinhard.

Lionel był przytłoczony ich erudycją.

- Te osoby na pewno zasługują, by nazwać je hal-lucinee - powiedział.

- Może jeszcze drinka? - zapytała Patty. - O nie, dziękuję. Wnet pojawią się goście.

Muszę wracać po Lu Annę.

- Bela Lugosi grał Hamleta u Reinharda - poinformował ich starszy Drogue. - Nazwali go najlepszym niemieckim Hamletem.

- Ale tutaj - przypomniała Patty - czekali na niego Abbot i Castello.

- Bo był ćpunem - powiedział Walter, wciąż się uśmiechając. - Bo to było Hollywood.

- Więc tak właśnie widzę Lu Annę - powiedział Lionel.

- Jako hallucinee, prawda Lionel? - zapytała Patty.

- Nie narkomankę?

- O nie - zapewnił Lionel. - Jako hallucinee.

- Jak Dickensa - podsunął młody Drogue. Lionel zamilkł na chwilę, a potem powiedział z uprzejmym uśmiechem:

- Cóż, nie muszę ci z pewnością tego mówić, Walter, ale niektórzy aktorzy niesłuchanie emocjonalnie przeżywają swoje role. Nie potrafią utrzymać się w ryzach. I płacą nadzwyczaj wysoką cenę za swoją pracę. - Taka jest Lu Annę, mam rację? - zapytał młody Drogue.

- No cóż - odrzekł Lionel - właśnie taka. Nie znam zbyt dobrze aktorów - pozostaje dla mnie tajemnicą, co rozgrywa się w ich duszach - i jak wszystko, co nie jest mi znane, przeraża mnie.

- Jesteś filozofem, Lionel, badaczem umysłów. Oba-wiasz się, że cena, jaką zapłaci twoja żona za odtwarzanie tej roli, przy jej obecnej, wrażliwej kondycji, może okazać się za wysoka. Sceny, które będziemy teraz kręcić, są najbardziej eksploatujące emocjonalnie w całym scenariuszu. Wielka szkoda, że nie możesz zostać! - Przykro mi - powiedział Lionel. - Sądziłem, że od-służyłem swoje, poświęcając tyle czasu na pobyt tutaj. Dawano mi do zrozumienia, że o tej porze zdjęcia będą już ukończone. - Rok temu tak myśleliśmy.

- I właśnie wtedy zaplanowałem naszą podróż. Po-czątkowo myśleliśmy o wspólnym wyjeździe. Moi rodzice też porobili plany. Dzieciom załatwiliśmy szkolne sprawy.

Dlaczego traktujecie mnie jak dezertera?

- Daj spokój, Lionel - powiedział Walter. - To nie tak.

Słyszałeś o Gordonie Walkerze?

- Píše scenariusze.

- Wiedziałaś, że się tu wybiera?

- Coś obito mi się o uszy - skłamał Lionel.

- To stary kumpel Lu Annę, coś jak drugi Dickens. - Wiem, kim on jest. Wiem, że był z Lu Annę. Co ty sugerujesz?

Młody Drogue rozłożył ręce.

- Posłuchaj, Lionel, ja niczego nie sugeruję, nigdy.

Jak chcę coś powiedzieć, walę prosto z mostu. - Dla mnie zabrzmiało to - powiedział

Lionel - jakbyś wtykał nos w nie swoje sprawy.

- Ależ skąd, Lionel. Nic podobnego. Jeżeli musisz wyjechać, jedź. - Westchnął. - Nie chciałem urazić twoich uczuć. Widzisz, my wszyscy jesteśmy Kalifornczykami i bez

kłopotu potrafimy się zrozumieć. Czy ktoś chce czy nie, zwieramy się i tego samego oczekujemy od bliźnich. Nie zwracaj na nas uwagi.

- Na twoim miejscu nie przejmowałabym się Gordonem Walkerem, Lionel - powiedziała pocieszająco Patty. - Uwierz mi - podczas kręcenia w plenerze odchodzi o wiele mniej seksu, niż się powszechnie uważa.

Lionel odwrócił twarz w jej stronę.

- Słucham?

- Ach, niech przyjeżdża - wtrącił się młody Drogue. - Może napięcie wzbogaci jej aktorstwo? Jak sądzisz, Lionel? Bo moim zdaniem, to możliwe. Tak czy owak - powiedział pogodnie - poradzę sobie z tym facetem bez trudu.

- Nic jej nie będzie - zapewnił Lionel. - Razem uznaliśmy, że nadeszła pora, by sama uporała się ze swoimi problemami.

- Czy nie będzie drugiego Vancouver? - upewniał się Drogue.

- Nic jej nie będzie - powtórzył Lionel.

- I w razie czego, mamy Kurlandera, tak? Przyjedzie?

- Załatwiłem to.

- Mamy wciągnąć go na listę płac? - zapytał Drogue.

- Dałoby się zrobić.

- Sam go wynająłem. Zresztą nie sądzę, byście go potrzebowali.

- Cieszę się, że porozmawialiśmy o tych sprawach - powiedział Drogue. - Teraz wiemy, na czym stoimy. A przy okazji, czytałeś scenariusz?

- Oczywiście - odrzekł Lionel Morgen. Ale nie czytał. Rzucił okiem na książkę Chopin i przejrzał fragmenty, w których miała grać jego żona. To wszystko. Własne kłamstwo napawało go niesmakiem.

- Myśleliśmy, że zostaniesz - odezwała się słodkim głosem Patty. - Myśleliśmy, że uznasz, że Lee cię potrzebuje, i zostaniesz.

- Zaproponowałem jej takie rozwiązanie - powiedział Lionel powściągliwie - mimo wielu związanych z tym trudności. Jednak uznała, że powinienem pojechać. - No cóż - powiedział pogodnie młody Drogue - ty jesteś lekarzem.

Dobiegły do nich głosy gości, nadchodzących z niżej położonych bungalów.

- Wspaniałe oczy - powtórzył stary Drogue. Lionel z wolna przyzwyczajając się do ciemności. We wnęce, w której przebywał Drogue senior, dojrzał rozwieszony pomiędzy dwoma palmami daktylowymi hamak, stary siedział na nim okrakiem; Lionel po-myślał, że przypomina leciwą papugę na drążku hu-ślawki.

- Ale jej filmy nie robią kasy - mówił dalej Drogue. Lionel pomyślał teraz o oczach swojej żony, o własnym w nich odbiciu.

- Mówiła - poinformował Drogue'ów - że jeśli nie uda jej się doprowadzić roli do końca, podda się. - No to wyjaśniliśmy wszystko - powiedział młody Drogue. Podszedł do Lionela i objął go ramieniem. - A więc, doktoru, może pójdziesz po naszą gwiazdę i przyprowadzisz ją wreszcie? Przecież jest główną atrakcją przyjęcia.

Nadeszła Patty, pchając przed sobą turkoczący na kamieniach patio stoliczek na kółkach, pełen kanapek. - Usuńcie się z drogi - zawołała. Gdy witała wyłaniających się z mroku gości, jej donośny głos odbijał się echem od okolicznych wzgórz. - Witajcie, mili moi. Nalewajcie sobie, ja tymczasem pójde się przebrać. Walter, ciągle obejmując Lionela ramieniem, odprowadził go do miejsca, z którego odchodziła ścieżka. Gdy doszli do schodów, Lionel wyzwolił się z uścisku i ruszył w dół. Schodził powoli, w milczeniu, nie zwracając uwagi na idących w przeciwną stronę gości. Doszedł do podestu, z którego, gdy szedł na górę, podziwiał mrugające w oddali światła.

Markowe alkohole wypite u reżysera paliły mu wnętrzości. Przez jedną okropną chwilę wydawało mu się, że czuje woń spirytusu parującego przez jego skórę, ale był to tylko

jakiś dziwny, słodkawy zapach, dolatujący nie wiadomo skąd.

Nazwała go swym rycerzem, a on zostawiał ją na ich łasce. Oszołomiła go własna zdrada; chociaż nie rozu-mieli go, mieli prawo pogardzać nim. Kochał ją, ale nie potrafił już dłużej znosić jej szaleństwa. Było uosobie-niem zła, mocniejszego od niego.

Zło - słowo kojarzące się fałszywą świadomością. A teraz on odejdzie, zabierze dzieci i w swoim dalekim kraju przemyśli wszystko. I podejmie decyzję. A na razie musi przetrwać przyjęcie z Drogue'amiami. - Na tę myśl przeszedł go dreszcz.

LYolacja u Drogue'ów odbywała się pod rozgwieź-dżonym niebem. Lionel prawie się nie odzywał. Goście, którzy go nie znali, nie połapali się, że jest pijany, i mogli wziąć go za głuchego, niezbyt rozzębionego lub rekon-walescenta dochodzącego do siebie po urazie mózgu. Lu Annę jeszcze nigdy nie widziała męża do tego stopnia oszołomionego alkoholem. Bardziej przypominał teraz ululanego gracza w krykieta niż medycznego maga w towarzystwie swej naznaczonej schizofrenią Trilby. Goście, którzy przyszli zobaczyć, jak karmi ją łyżeczką, ujrzeli, że to ona niemal znosi go ścieżką do casita. Wreszcie dotarli do sypialni. Musiała go rozebrać i położyć do łóżka. Był dla niej nieobecny, jak wcześniej dla innych. Ze wszystkich sił starała się nie myśleć o jego wyjeździe, a to, że była zmęczona i trochę pijana, nieco pomagało.

Leżeli obok siebie w świetle księżycy zagląającego przez okno. Ujął jej dłoń i powiedział, że gdyby zobaczyła lub usłyszała coś nierzeczywistego - wystarczy, by wzięła go za rękę i obudziła. Pomyślała, że koszmary jeszcze nie nadejdą. Choć natarczywe cienie już się zbierały. Ale tej ostatniej nocy przynajmniej zaśnie.

Gdy już była przekonana, że od dawna śpi głęboko, ponownie ujął jej dłoń.

- Odkryłem wreszcie - oznajmił - w jaki sposób Ame-ryce udało się splugawić seks.

- Co takiego?

Zaintrygowana, walczyła z ogarniającą ją sennością. Ale on, nim zdążył odpowiedzieć, usnął. Została w ciem-nościach sama, otoczona zewsząd samotnością. Pomyś-lała, że hiszpańskie słowo - soledad - brzmi pięknie. Więzienie.

Nie uwalniając dłoni z uścisku męża, zaczęła się modlić. W obskurnej kawiarni Walker zjadł śniadanie, skła-dające się z grzanki z żytniego chleba i filiżanki herbaty. Ciężkie krople deszczu z uporem uderzały w szyby okien wychodzących na morze. Wiatr znad oceanu grzechotał ozdobnymi, pordzewiałymi zasuwami, deszczówka prze-ciskała się pomiędzy przegniłymi listwami futryn, tworząc kałuże na szachownicy podłogi.

Palił i bezmyślnie patrzył na ściekające po szybach wodne strugi, nie zwracając uwagi na poranną gazetę, rozłożoną przed nim na rozklekotanym stole. Shelly odeszła, gdy jeszcze spał. Na kartce pozostawio-nej obok łóżka skreśliła kilka słów. Prosiła, żeby za-trzymał się w mieście, dopóki nie dostanie wiadomości z agencji, i żeby zadzwonił do niej po południu. Wziął gazetę i wrócił na górę, by się spakować i prze-czekać deszcz.

Natychmiast po zamknięciu za sobą drzwi zabrał się do przygotowywania następnej działki kokainy. Nie miał planów na ten dzień, marzył tylko o podróży na południe.

Marzenie to dawało mu uczucie niezwyklej szczęśliwości. Stało się jedynym ratunkiem, sposobem ucieczki, a koka sprawiała, że przeobrażało się w nie-odpartą tęsknotę. Stał przy oknie i wyglądał na zbrukane deszczem morze. Na myśl o wyjeździe szybciej zabiło mu serce. Zrozumiał, że marzenie jest jedyną rzeczą, która mu pozostała.

Deszcz nabierał intensywności. Walker nerwowo prze-mierzał pokój. Zaczął analizować scenariusz "Przebu-dzenia" i zaraz odczuł przyptyw satysfakcji. Nie inte-resował się nim od wielu miesięcy, a teraz, uwięziony przez deszcz, gorąco zapragnął mieć go przed sobą. I nagle przestraszył się, że w otumanieniu, do jakiego się doprowadził, mógł zapomnieć zapakować skrypt. Wyjął walizkę z szafy i w pośpiechu odszukał dwa zeszyty w błękitnych okładkach. Zasiadając w zakurzonym fote-lu, kolorem najbardziej przypominającym barwę słonia, łąpczywie zabrał się do czytania. Nagle spod okładki

wypadła mu na kolana lotnicza koperta. Był to list od młodszego syna, który otrzymał przed miesiącem, jeszcze w Seattle, gdy właśnie kończyli grać "Leara". Schował go do scenariusza z zamiarem od-pisania i w końcu zapomniał o swoim postanowieniu. Teraz list leżał przed nim. Walkera zapiekło uczucie winy i wstydu. Był do tego stopnia załamany, że niewiele brakowało, by schował kopertę i odłożył sprawę na później. Odkąd synowie opuścili dom, pisywał do nich regularnie i zawsze domagał się odpowiedzi. Nawet gdy starszy, Tom Moore - nazywali go Deak - przestał pisać i telefonować, zrywając kontakt z rodzicami, Walker nadal wysyłał mu listy z, jak sam to nazywał, kazaniami. To, że zapomniał odpisać Stuartowi, było miarą jego upadku.

Kochani Rodzice! - pisał Stuart Walker - Gdy obudzi-łem się dzisiaj rano, zastanawiałem się, dlaczego prze-stałem zauważać zmiany pór roku, jakby przemijanie czasu mnie nie dotyczyło. Mamy połowę września i klony cukrowe nabierają niesamowitych barw, i świat, jak zawsze, ulega zmianie, prócz mnie, boja nie czuję nic... Walker odłożył list i podszedł do walizki, by odszukać notes z numerami telefonów. Spojrzał na zegarek: w Main dochodziła dwunasta i miał duże szanse na złapanie syna w internacie, pomiędzy porannymi le-kcjami a lunchem. Chłopca, który podniósł słuchawkę, poprosił o przywołanie Stuarta Walkera. Po chwili usłyszał głos syna.

- Wiesz, chłopcze, okropnie mi przykro, że zapomnia-łem odpowiedzieć na twój list. Rzeczy się skomplikowały, byłem bardzo zajęty.

- To chyba dobrze, prawda?

- O tak - odpowiedział Walker, starając się, by jego głos brzmiał pogodnie. - Lepiej być zbyt zajęтым niż wcale.

- Czy wiesz tato, że mama tu była? Wpadła w drodze do Londynu.

- Tak? Jak ona się czuje?

- Już się pozbierała.

- Naprawdę?

- O tak, całkiem - zapewnił ojca Stuart. - Dzielna staruszka.

- To dobrze - powiedział ostrożnie Walker. Jego syn potrafił mówić mętnie, jak wytrawny dyplomata. - A więc wasze spotkanie udało się?

- Była w doskonałej formie. Nie musisz się o nią niepokoić.

Walker poczuł przyptyw gniewu, ale szybko się opa-nował.

- Gdy pisałeś do mnie ostatnio, stwierdziłeś... że czas jakby się dla ciebie zatrzymał.

Zastanawiałem się... czy, no wiesz... wszystko z tobą w porządku. Czy przechodzi-łeś kryzys... Czy nadal go przechodzisz. A jeżeli... Miałem nadzieję -jąkając się brnął dalej - że już jest lepiej. - W porządku - powiedział chłopiec. - No wiesz, pisałem kilka tygodni temu.

To prawda - pomyślał Walker. Jaki dzieciak jest pamiętliwy! Deak nie był taki, w każdym razie nie okazywał niezadowolenia tak ostro. Ani zresztą Walker. W tym młodszы syn wdał się w matkę, ale ona, po kobiecemu łagodniejsza, potrafiła wybaczać. Stuart nigdy.

- No to fajnie - powiedział Walker senior. - Cieszę się. - Chyba byłem trochę załamany, bo właśnie zaczęło się psuć pomiędzy mną a Deakiem. Wiesz, jaki on jest. Walker wiedział co nieco o tym, jak jego syn Deak zachowywał się przez ostatni rok, i serce w nim zamarło. - Nie pisze do nas ani nie dzwoni - poinformował młodszego syna. Na wargach poczuł smak lęku, przy-prawiony domieszką błagalnej prośby. - Nie wiemy, co się z nim dzieje.

- Czasami jestem na niego wściekły - powiedział Stuart. - Potem martwię się i wiesz, chciałbym mu jakoś pomóc, coś doradzić. Ale co mógłbym mu powiedzieć? To Deak zawsze wskazywał mi drogę.

- Niepokoję się o narkotyki - powiedział Gordon Wal-ker. Na te słowa zdobył się z trudem

- jego synowie wszystko o nim wiedzieli. Jednak musiały paść - właśnie o narkotyki się

martwił.

- Ach tak - wycedził Stuart.

Walker zawahał się.

- A więc - wyrzucił z siebie wreszcie - mam się o co martwić?

- Nie - zapewnił go z przekonaniem chłopiec. - Nie sądzę.

- A może jest dealerem?

- Jego o to zapytaj, tato.

- Myślałem - zaczął Walker - ponieważ obydwaj go kochamy... moglibyśmy... no... naradzić się wspólnie. - Oczywiście - zgodził się Stuart. - Z pewnością.

Walker zacisnął wargi.

- Czy matka widziała się z nim?

- Tak. Poszliśmy razem na kolację.

- To dobrze - ucieszył się Walker. - I jak było?

- On coś blado wygląda - powiedział Stuart beztrząsco.

- O Boże! - westchnął głośno Walker. - Myślę, że wszyscy powinniśmy się spotkać.

Moglibyśmy wybrać się do Londynu. Deakowi by się to spodobało.

- Nie jestem pewien - odrzekł Walker. - Wygląda na to, że jestem naiwny - powiedział Stuart Walker.

Gordon westchnął.

- Cieszę się, że spodobało ci się twoje teatralne lato. - O tak, było cudownie. Chciałbym w przyszłym roku znów z nimi grać, wiesz? - Po raz pierwszy od początku ich rozmowy słowa Stuarta zabrzmiały spon-tanicznie. - Rany, już się na to cieszę.

- A w tym roku wystąpisz w szkolnym przedstawieniu? - Ojej, tato, żartujesz sobie?

Przecież dobrze wiesz, że będę grał. A poza tym już się nie mówi "szkolne przedstawienie" - dodał. - U nas nie lubią tej nazwy, mówią teraz "spektakl". Bo tu wszyscy uważają się za profesjonalistów in spe.

- Przypuszczam - powiedział Walker Gordon - że za to właśnie płacę. - Usłyszał przypo-chlebny śmiech syna. - Dbaj o siebie, dzieciaku. Zobaczymy się na Boże Narodzenie.

- Jak będzie ze świętami w tym roku, tato? - Jeszcze nie wiem. Zadzwoń do ciebie. I pamiętaj, Stu - zawołał, zanim chłopiec zdążył odłożyć słuchawkę - jeżeli Deak da znak życia, jeżeli go zobaczysz, powiedz mu, niech na Boga zadzwoni do mnie. Po kilku minutach znów otworzył list Stuarta i jeszcze raz go przeczytał. Słowa skreślone ręką syna podziały na niego przynębiająco; pozostawiły na duszy osad niepokoju i smutku i obudziły żal do całego świata. List był dobry: pełen celnych obserwacji, dowcipny, po chłopięcemu pesymistyczny. W kilku zdaniach Stu opisywał otwarcie trymestru. W następnych liniijkach, doty-czących Deaka, w ostrożnych słowach nawiązywał do stanu brata, pisząc o nim z serdecznym niepokojem, ale i z humorem. Większą część listu Stuart poświęcił swym przygodom z pobytu z teatrem objazdowym w Rhode Island. Szeroko rozpisyywał się o dwóch sztukach, w któ-rych wystąpił: komedii granej na Broadwayu od dziesię-ciu lat i "Ah Wilderness". Opisał upokorzenie, jakie przeżył, gdy odrząciły go koleżanki, zabiegając o względy starszych aktorów. Wspomniał, jak w zręcznie uprzejmy sposób odrzucił zaloty aktora homoseksualisty - nie podał jego nazwiska - starego przyjaciela Walkera. Pisał o publiczności, o mieście, o amatorskiej scenie młodzie-zowej, o studentce ze szkoły teatralnej o imieniu Blanche, która nazwała go strasznym bufonem. List był czarujący. Każdy, kto by go przeczytał, uważałby autora za chłopca otwartego, wrażliwego i kochającego, za takiego - o czym Walker dobrze wiedział -jakim akurat nie był. To Deak był właśnie taki, przynajmniej kiedyś. Stuart Walker posiadał talent i urodę rodziców. Jak na siedemnastolatka był niezwykle odczytany, a w szkole szło mu świetnie. Ale naprawdę zadziwiał jako aktor. W wieku piętnastu lat występował w awangardowych

teatrach "Off Broadway", w kilku surrealistycznych an-gielskich sztukach. Od czasu debiutu średnio dwa razy w miesiącu proponowano mu rolę. Wakacyjną przygodę z teatrem wymyślili dla niego rodzice jako szkołę pokory. Nie protestował. Był nad wiek rozsądny: umiał czekać, słuchać i wyciągać wnioski. Bywało, że Walker i jego żona spoglądali na syna z przesadną obawą, tak nie-słuchane wydawały się jego możliwości. W swym pokoju, w hotelu nad oceanem, Gordon Walker po raz kolejny otworzył kopertę. Teraz już rozu-miał, dlaczego nie odpowiedział od razu. Wcześniej wołał się nad tym nie zastanawiać. List dostarczył Stuartowi okazji do zadziwiającego naśladowania starszego brata. Zadziwiające - słowo wzięte z recenzji krytyków wy-chwalających aktorstwo Stuarta.

Był bystrym, pełnym rezerwy chłopcem, cztery lata młodszym od Deaka. Okoliczności lub twardsza natura sprawiły, że zamknął się w sobie. Uodporniał się tak długo, aż stwardniało mu serce. Ostatnie lata w życiu Walkera i jego żony okazały się nader burzliwe. Ambitni, wciąż zazdrośni o siebie, do tego pochłonięci pogonią za życiem przez duże Ż. I jeszcze ta historia z Lu Annę! Prawdopodobnie obydwójce ponosili winę. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale dobrze to zrozumieli: problemy ich przerastały.

Stuart zamknął się w sobie i przetrwał. Deak, kocha-jący i wrażliwy, dostał się w tryby maszyny; na nic zdały mu się pogoda ducha i wdzięk, gdy narkotyki, niczym karzący wiatr, wywiały wszystkie nie upilnowane dzieci. Wstrzemięźliwy Stuart uszedł cało. A więc Stuart grał, z pewnością niezupełnie świadomie, swoje wyobrażenie o Deaku, by sprawić ojcu przyjem-ność. Błyszczał przyjaznym blaskiem, przywłaszczonym od brata. Emanował ciepłem Deaka z czasów, gdy chłó-piec był jeszcze zdrowy i najukochańszy. Walker zmiął kartkę, a jego myśli opanował Deak, uwielbiany anioł.

Ogarnięty żalnością, wstał i podszedł do okna. Pomyślał, że gdyby mocniej przechylił się przez poręcz balkonu, ból przestałby go torturować. Mógł się zresztą uleczyć na wiele sposobów.

Gdyby zrezygnował z życia, Deak, który naśladował go we wszystkim, niewątpliwie podążyłby za nim. Najpew-niej pociągnąłby za sobą też Stuarta. Stu wprawdzie szedłby do przodu jak burza, osiągając sławę i fortunę, ale i jego pokonałby w końcu czas. Nie można pójść aż na taki kompromis, bez zapłacenia wszystkich rachunków. A więc na razie żadnych skoków, żadnego złotego strzału. Luksus wyrzeczenia się nadziei okazywał się nieosiągalny. Nadzieja może pewnie nieraz zrobić z niego głupca, wzmoże smutek, ale - jak każdy - był na nią skazany. Musi w niej trwać dla synów, dla siebie, nawet dla swego małżeństwa. Oparł się o parapet balkonowego okna i z zamkniętymi oczami zaczął głęboko wdychać nadzieję. Musi się pozbierać. Byle przetrwać następny dzień. Gdy był już gotów do dalszej podróży, uregulował rachunek w San Epifanio Beach i ruszył drogą na San Diego. W godzinę dojechał do przystani jachtów, położo-nej na północ od Rosa Point.

Znalazł miejsce na parkingu przed budynkiem jacht-klubu, wysiadł i powędrował wzdłuż kei. Deszcz prze-stał padać; blade promienie słońca przedzierały się przez niską powalę chmur. Łódź pełna zapaleńców wybierających się na ryby stanęła na kotwicy u wejścia do portu, ale morze było wzburzone i niewiele jachtów odważyło się odbić od brzegu. Mocny wiatr znad zatoki wygrywał dziwną melodię na metalowym osprzęcie za-cumowanych łodzi, wybijając rytm uderzeniami fałów o maszty.

Jedną z tuzina odpoczywających w basenie była czter-dziestostopowa motorówka klasy Chris Craft, wyposażo-na w pulpity sterownicze. Na jej połyskliwym kadłubie widniał napis: "Sam the Man". Walker przystanął obok łodzi, oparł się o pachołek, do którego była uwiązana, i zawołał w głąb kabiny:

- Quinn?

Postawny, mocno opalony mężczyzna, o piaskowego koloru włosach, wyszedł na pokład;

pierś miał gołą, brzuch zwisał mu nad paskiem drelichowych spodni. Szyję obwiązał czerwoną chustką.

- Cześć, Gordo - powiedział i otarł dłonią usta, jakby chciał ukryć uśmiech.
- Cześć, Sam.
- Chcesz drinka?
- Wystarczy trochę zimnej wody.

Quinn zanurkował z powrotem do kabiny i po chwili wyłonił się z dwoma butelkami przezroczystego płynu. Jedną wręczył Walkerowi, drugą otworzył i pociągnął z niej solidny łyk.

- Możesz mnie podwieźć, Gordo? Chyba i tak wybie-rasz się na ranczo?
- Dobra - powiedział Walker.

Wsiadli do samochodu Walkera i pojechali na południe, drogą wzdłuż wybrzeża. Kilka mil za Point minęli niewielką plażę, wciśniętą pomiędzy skały. Na wodzie ze dwu-dziestu śmiałków balansowało na deskach surfingowych, czekając na fale. Walker zatrzymał samochód. Wsiadli i przeszli przez trawę usłaną puszkami piwa i celofano-wymi torebkami.

- Te palanty mogą tak bez końca - odezwał się Quinn. Walker zatrzymał się na skraju urwistego brzegu i zapalił papierosa.
- Kiedyś wymyśliłem sobie - ciągnął Quinn - że zdobędę sieć szeroką na jakieś ćwierć mili, a do jej holowania galeon z czarnymi żaglami. - Odwrócił się w stronę Walkera, który przycupnął w zaroślach. - Pod osłoną mgły podpłynę, rozwinę sieć i zgarnę to całe tałatajstwo. Potem zapakuję ich do ładowni: chłopców, dziewczyny, jak leci. - Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął skręta z marihuany i zapalił. - Oczyszczyłbym wybrzeże od Mendocino po Imperial Beach. Jak już bym miał pełną ładownię, pożeglowałbym do Dżiddy i na targu niewolników sprzedał towar Arabom. Walker nie przyjął skręta; wiedział, że teraz padłby po jednym sztachnięciu.

- Mówiłeś Lu Annę o swoim planie. Opowiadała mi. - To słodka istota - powiedział Quinn. - Pracuje teraz w B.H.

- Słyszałem coś o tym, a niedługo się z nią zobaczę. Quinn popatrzył na Walkera spod oka i wykrzywił się, błyskając złotą koroną z wygrawerowaną na niej trupa czaszką.

- Fantastyczna babka. Ucałuj ją ode mnie. Wrócili do samochodu i pojechali aż do miejsca, gdzie główna szosa krzyżowała się z bitą drogą, biegnącą między rzędami szklarni. Tam skręcili. Za ostatnią budo-wlą ze szkła zaczynały się rzędy drzew awokado, później droga poprowadziła w górę, na brzeg kanionu. Wzgórza porastała delikatna, pożółkła trawa, na ich zboczach od strony łądu rosły dęby i kaktusy. Droga wiała się, przeci-nając wyschnięte koryta rzek i odnogi kanionu, aż skończyła, się na ogrodzeniu pastwisk a. Na drewnianym płocie ranczo zawieszono tablicę: "Uwaga! Niebezpieczny i uzbrojony wariat". Drugi napis, na desce obok, ostrze-gał: "Przejdźcie wzbronione pod groźbą użycia siły". Za ogrodzeniem obsadzona topolami aleja prowadziła do oszalowanego pomalowanymi na biało deskami domu, za którym widać było stodołę i stawkę. Walker zaparkował przed stodołą, obok zakurzonego Bentleya, przy którym brakowało jednego koła. - Wszystko po staremu? - zagadnął Quinna. - Tak i nie - odpowiedział potężnie zbudowany mężczyzna. - Trochę tego, trochę owego. A co u ciebie? Walker opowiedział mu o wyjeździe żony do Londynu, o powodzeniu przedstawienia w Seattle i o swym zamia-rze odwiedzenia Lu Annę. Quinn z aprobatą pokiwał głową.

- Connie zawsze była mieszczką.
- Connie była pieprzoną bohaterką - poprawił go Walker.

Uczucie bólu, ogarniające go na myśl, że ją utracił, zaskoczyło go. Dopiero teraz zaczynało do niego docierać, że nie będzie już świadkiem jej heroicznych wysiłków, że do

niego nie wróci.

Całe lata udawało mu się przetrwać dzięki jej spoko-jowi, zdecydowaniu i rozsądkowi i nagle użyła ich we własnym interesie. Tego się po niej nie spodziewał. Odebrał to jak zdradę.

Co do niego, nigdy nie przestał jej kochać. Teraz będzie musiał siłą wyrzucić ją ze swej świadomości, zepchnąć w głąb do mglistej przestrzeni, gdzie składował fragmenty życia zbyt bolesne, by o nich myśleć. Wierzył, że mu się uda; był przecież wystarczającym egoistą. Wraz z wiekiem ilość elementów, które pragnął wy-pchnąć ze świadomości, wciąż rosła, podobnie jak jego umiejętność izolowania ich.

Tylko czasami, w chwilach, gdy przestawał mieć się na baczności, uwięzione wspomnienia wymykały się i nękały go.

- Ty wiesz lepiej, Gordo.

Za domem Walker dostrzegł psią budę, niewielką zagrodę i zapuszczony ogródek otoczony drucianym ogrodzeniem, do którego poprzywiązywano puste bańki na mleko, by hałasowały na wietrze. W kotlinie, otoczonej wzgórzami zatrzymującymi wiatr znad oceanu, panowało przytulne ciepło. Nad ich głowami wisiało bezchmurne niebo.

Walker i Quinn zasiedli na krzesłach na kuchennej werandzie.

- Lu Annę - zaczął Quinn w zamyśleniu - jest w po-rządku. Ucieszyłem się, gdy usłyszałem, że znów pracuje. - Jest centralną postacią mojego scenariusza - powiedział Walker.

- Aha, słyszałem o tym. - Quinn miarowo kołysał się na krześle, obserwując swego gościa.

-A jak z jej głową? - Nie widziałem Lu od dawna - powiedział Walker.

- Co jeszcze o niej słyszałeś?

Quinn wzruszył ramionami.

- Niewiele. Tyle, że kilka lat temu wyszła za mąż za jakiegoś doktora. Psychiatrę.

Pewnie wygodnie jej mieć takiego pod ręką.

- Pewnie tak - zgodził się Walker.

- Swoją drogą, że też dostała Oscara grając w nar-kotycznym widzie! - zdziwił się Quinn.

- Tak, dziwne - zgodził się Walker. - Często wszyscy żartowaliśmy z tego.

- Ale nie ulega wątpliwości, że jest dobra - stwierdził Quinn. - Ma talent. Nie ma lepszej od Lu Annę. Ani tu, ani w Nowym Jorku. - A co z tobą, Sam? Pracujesz?

Quinn uśmiechnął się najwspanialszym z repertuaru swoich uśmiechów.

- Za stary i za gruby - powiedział. Rozparł się wygodnie w bujaku i patrzył w niebo.

Walker odwrócił głowę i podążył za jego spojrzeniem. Ujrzał dwoje ludzi szybu-jących na lotniach ponad grzbietem gór. Stanowili piękny widok; Walker pomyślał, że płyną niesamowicie wysoko. Zdawali się rozkazywać niosącym ich wiatrom.

- Cholera - powiedział Quinn. - Spójrz no tylko.

- To cię wkurza? - zdziwił się Walker. - Nie - odrzekł Quinn. - Tylko sprawia, że chce mi się płakać. Ależ oni żyją! Ty tak powinienes, Gordo. Nie przejmować się niczym, mieć to wszystko gdzieś! - Myślę, że mniej lub bardziej tak właśnie żyjemy.

- Jesteśmy nędznymi robalami - powiedział Quinn.

- Szczamy pod siebie i skamlemy z rozpacz. - No więc - zaczął Walker - zastanawiałem się, czy mógłbyś mi pomóc.

Quinn zanucił ochrypłym basem:

- Mam dla ciebie marihuanę, mam amfetaminę, mam wszystko, co tylko chcesz.

- Tkwię w tym gównie po same uszy - powiedział Walker. - Ćpam ile wlezie, a potem poprawiam gorzałą. Muszę się oczyścić, ale teraz potrzebuję czegoś, co by mnie choć na chwilę wyłączyło.

Quinn skrzywił się i śmiesznie zapiszczał. - Ojej, Gordo! Nie mam nic takiego. Trawka, am-fetamina, marihuana - owszem. Ale nic, co by cię przyćmiło. Może mógłbym znaleźć

dla ciebie heroinę, ale nie polecałbym ci teraz tego świństwa. - Chryste! - jęknął Walker. - Miałem nadzieję na wyrwanie się z tego zaklętego kręgu.

- Przykro mi, stary.

- W takim razie wezmę się za siebie dopiero na miejscu. Mam nadzieję, że lekarzem ekipy jest Siriwai. - Siriwai ma teraz klinikę, wątpię, żeby jeszcze zajmował się filmowcami.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. Jest uznanym autorytetem w San Carlos Borromeo, leczę raka. Walker w milczeniu przyglądał się pociemniałym deskom kuchennej werandy.

- Jeżeli wybierzesz się samochodem, będziesz miał go prawie po drodze. Jestem pewien, że stary Siriwai po-trafiłby ci pomóc, gdyby tylko zechciał. - Też tak uważam - powiedział Walker. - Przykro mi, że cię rozczarowałem, Gord. Chcesz wzmocnionego drinka?

- Niech będzie.

Quinn wstał i zniknął w kuchni. Walker kotłosał się na bujaku i obserwował lotniarzy. Gdy opuścił wzrok, spostrzegł wychodzącą ze stodoły młodą, rudowłosą kobietę, prowadzącą za rękę około trzyletniego chłopca. Przyglądała się Walkerowi, jakby go poznawała, ale on był pewien, że nigdy wcześniej jej nie widział. Bujał się i patrzył, jak tych dwoje idzie w jego stronę. - Halo! - zawołał, gdy dotarli do werandy, i uśmiechnął się serdecznie do dziecka.

- Pan jest Gordonem Walkerem - stwierdziła kobieta. Nie był przyzwyczajony, by go rozpoznawano. Kobieta nie różniła się niczym od innych, chodzących po ulicach Los Angeles; była atrakcyjna i, jak na swoje lata, wyglądała młodo. Ale sprawiała wrażenie osoby, która nie całkiem doszła do siebie po ciężkiej chorobie. Nieoczekiwanie jej twarz rozjaśnił ujmujący uśmiech.

- Pan na pewno mnie nie pamięta - powiedziała. - Jem Lucy Brewer. Grałam tę ostrą dziewczynę w "Stover". - Dziecko, rude jak matka, krzyknęło i próbowało wyszarpnąć rękę z jej uchwytu. - Raczej kobie-tę - ciągnęła Lucy. - Niestety, mnóstwo moich scen wycięli.

- Ależ tak - powiedział Walker. - Pamiętam cię. - Zupełnie nie przypominał sobie Lucy Brewer i niewiele postać, którą grała. Rola w "Stover" znaczyła mniej więcej tyle, co jego praca przy "ratowaniu" ukończonych filmów, czym zajmował się przed laty. - Mam kłopoty z zapamiętywaniem nazwisk - dodał. - Ale twarzy nie zapominam nigdy.

- Był wtedy z tobą taki słodki chłopczyk. Zabrałeś go na zdjęcia plenerowe.

- Mam teraz dwóch - odrzekł Walker. - Ale już nie są mali, - To był naprawdę fajny chłopiec.

- Został aktorem - pochwalił się Walker. - Następny w branży, co? - Spokojnie, pewnymi ruchami rąk, powstrzymywała wyszarpującego się brzdąca. Chłopczyk w końcu wyrwał się jej i pobiegł w stronę zagrody.

- Jak już mówimy o słodkich dzieciach... - powiedział z uśmiechem Walker.

- Wracamy właśnie ze spaceru. Oglądaliśmy zwierzęta i byliśmy na cmentarzu.

Walker uśmiechnął się z sympatią. Sam Quinn pojawił się z tacą, na której stały dwa drinki i flakonik z kokainą, z przyczepionym do zakrętki cieniutkim łańcuszkiem. Chłopiec na widok Quinna przybiegł pod werandę i zawołał radośnie:

- Sam, Sam!

- Co za cmentarz? - zaciekawił się Walker.

Quinn podał mu drinka.

- No wiesz, zakopujemy tam zwierzęta, z pełną ceremonią - wyjaśnił.

- Pochowaliśmy też Hextera - pochwalił się chłopiec.

Quinn westchnął.

- Musimy o tym poważnie porozmawiać - zwrócił się do Lucy.
- Zakopaliśmy naszego psa - powiedziała Lucy bez-trosko. - Hextera.
- Aha - mruknął Walker. Przed kilkoma laty poznał autora ambitnych scenariuszy, o nazwisku Hexter, jak on z Kentucky. Jakiś czas temu człowiek ten zniknął - podobno wyjechał do Nowego Meksyku. Lucy przytuliła chłopca. Zdawała się czuć nieswojo pod pełnym przygany spojrzeniem Quinna. - No to życzę szczęścia - pożegnała Walkera.
- Nawzajem, Lucy. - Pomachał chłopczykowi dłonią.
Lucy wzięła synka za rączkę i odeszli. Sam Quinn stanął plecami do wymyślanego wiatru i używając zakrętki jako czerpaka, nabrał odrobinę kokainy i powąchał. Potem zakręcił wieczko i podał flakonik Walkerowi.
- Jestem mordercą - oświadczył. - Morduję swoich wrogów. Zakopuję ich koło stodoły, a później piję szampana z ich czaszek.
- Mówiliśmy przecież o psie - wtrącił Walker. - Byliśmy przyjaciółmi - ciągnął swoje wynurzenia Quinn - bliskimi przyjaciółmi. Dorwał się do pieprzonego podtlenku azotu, ale nie ode mnie go dostawał. Pewnego razu przyjechał z Taos furgonetką pełną tego towaru. Balowaliśmy niezłe, to prawda, było fajnie, ale wyglądało, że on nie zamierza przestać. - Quinn kichnął i potarł nosem o przegub dłoni. - Tak więc pewnego ranka, idę ja do wychodka i widzę Hextera w wannie - całutki pod wodą. Stuprocentowo martwy, a na podłódze stoi kanister. No to co miałem zrobić? Nie potrzebuję tu żadnych pieprzonych gliniarzy. Kochałem tego faceta, Gordon, był dla mnie jak brat. Walker powąchał kokę. Była delikatna, lepsza od tej, którą miał w walizce. Dzięki niej odpłynęły smutki, przestał martwić się o synów. Patrzył na Quinna z pełnym zrozumienia uśmiechem.
- Włożyłem go do beczki po ropie, poczytaliśmy Biblię i pochowaliśmy go. Był rozwiedziony, dzieci nie miał. Nareszcie jest w domu, człowieku, na łonie Abrahama. - Quinn wzruszył ramionami. - Niby w porządku - ale jakoś makabrycznie.
- Rozumiem cię - powiedział Walker i znowu powąchał. Popijali wódkę z tonikiem. Lotnie zawróciły w stronę łądy i skryły się za grzbietem gór.
- Muszę się jakoś z tego wygrzebać, Gordo, mam kompletnie rozstrojone nerwy. Jak tak dalej pójdzie, wykończę się, a muszę przecież myśleć o Lucy i Ebenie. - Dziwne - powiedział Walker. - Nie pamiętam, żeby kiedyś wcześniej spotkał Lucy.
- "Stover" - podsunął Quinn. - Nie sędzę, żeby od tamtego czasu pracowała. Miała kłopoty z amfetaminą, wpadła w dziwne towarzystwo. Pomogłem jej wyrwać się z tego gnoju.
- Dziecko jest twoje?
Quinn pokręcił głową.
- Nie mogę zdradzić, kto był jego ojcem, Gordo. To gruba ryba, już nie żyje.
- Powinieneś się stąd wynieść. Myślałem, że zawsze będziesz odstawiał kaskaderskie numery. - Ja też sądziłem, że jest mi pisane zginąć w płonącym dyliżansie. Ale zestarzałem się i w tym problem. Mówię ci, Gordon, po czterdziestce nie ma życia. - Mógłbyś opracowywać kaskaderskie kawałki. W końcu siedziałeś w tym całe życie.
- W branży kojarzą mnie z narkotykami. Kiedyś nie miało to znaczenia, ale teraz jest inaczej. - Quinn wychylił szklankę do dna. - Powinieneś się stąd za-bierać. Może do Newhall - mam tam całą masę starych kumpli i może by coś dla mnie znaleźli. Muszę wyrwać stąd Lucy, pomóc jej całkiem się pozbierać. Za łódź i ten kawałek ziemi dostałbym z dziesięć razy więcej, niż kiedyś zapłaciłem. Muszę załatwić tysiąc cholernych spraw, ale nie wiem, od której zacząć. Nie myślę po raz kolejny zostać bankrutem, Gordon, odwykłem od zaczynania od zera.
- Cóż - powiedział Walker - jeżeli przyjdzie ci do głowy pomysł, jak mógłbym ci pomóc, daj mi znać. - Odstawił szklankę na stół. - Naprawdę uważasz, że doktor Siritwai mógłby mnie wykurować, gdybym zatrzymał się w Bor-romeo?
- Jestem tego pewien - odparł Quinn. - Widuję go od czasu do czasu. - Wstali. Quinn

ziewnął i przeciągnął się. - Lee Verger - powiedział. - Dobra, stara Lu Annę. Przekaż jej ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia, pamiętaj! - Nie zapomnę. Uścisnęli sobie dłonie. Walker usadowił się za kierownicą wozu. Koło topoli minął Lucy i Ebena. Lucy uśmiechała się; pochylona nad dzieckiem zachęcała je, by pomachało do niego rączką. Walker unosząc rękę, pozdrowił ich. Nad morzem powitała go mgła. Otała na drodze przed głównym budynkiem i machała na pożegnanie Lionelowi i opalonym na brąz, uszczęśliwionym dzieciom, a gdy zniknęli, usiadła na werandzie przed casita. Zastanawiała się, czy cieszyły się tylko podróżą, czy również dlatego, że ją opuszczają. Były wrażliwe, a widziały niejedno. Odjechały nie oglądając się, co zraniło ją i wystraszyło. Wracała do domu ścieżką i próbowała je wytłumaczyć: były podekscytowane podróżą. Ale nie przekonywało jej to, bo ich oczy zdawały się patrzeć w odległą, normalną przyszłość, do której ona nie miała wstępu.

Przynajmniej została jej praca. Do wejścia na plan miała jeszcze kilka godzin, więc by zabić czas oczekiwania, przynajmniej dwadzieścia minut poświęciła na relaksujące ćwiczenia oddechowe, a potem zanurzyła się w niewielkim basenie w patio. Była niezłą pływaczką i basenik niewiele większy od niedużego klombu pokonywała dwoma uderzeniami ramion, po czym odbijała się od brzegu i nawracała. Pływała tak aż do utraty tchu, do bólu zmęczonych mięśni.

Niebo nad jej głową miało kolor ołowiu; w oddali pobłyskiwały flesze błyskawic. Słyszała nawoływania robotników przygotowujących nad laguną dekorację, udającą Grand Isle. Od tygodni do jej uszu docierał odgłos pracy silników ciężarówek i ryk koparek. Ustawieni w szereg peoni maczetami wycinali kaktusy, wyplaszając z buszu legiony skorpionów - przygotowywali drogę dla wielkiego dźwigu Chapman. Teraz trakt był gotowy. Ścieżka, szeroka na dwie i długa na dwanaście stóp, z desek ułożonych w trzech warstwach, prowadziła od wydm do samej wody. Już tylko z rzadka okrzyki lub wybuchy śmiechu, jęk wiertarki lub uderzenia młota niosły się po gładkiej powierzchni wód uwieczonych w zatoce. Od strony otwartego morza, gdzie Pacyfik wgryzał się w skały cypla i zalewał czarny piasek Playa China, dochodził łoskot fal, zagłuszany jękiem wiatru oraz wyciszony przez zbocza gór.

Pomyślała, że tam mogłaby stoczyć prawdziwą walkę z żywiołem, splukując przy tym z siebie niemoc, która nią owładnęła. Z zamkniętymi oczami siedziała bez ruchu, prażąc się w promieniach słońca i próbowała wyobrazić sobie tamte, ledwo słyszalne fale. Zmuszała się, na ile tylko dała radę, nie dopuszczać do siebie innych myśli.

Ktoś mocno zastukał do casita. Poirytowana wstała i otworzyła drzwi. Ujrzała ich dwóch: Jacka Besta - czło-wieka od reklamy, i pisarza Dongana Lowndesa. Ten drugi przyjechał, by zrobić o nich reportaż dla wielce prestiżowego magazynu, i nie był, o czym wciąż im przypominano, podrzędnym pismakiem. W obecności Lowndesa, Jack Best - pospolity agencina - przybrał sztucznie napuszony ton.

- Panno Verger - zaczął - chciałbym przedstawić pana Dongana Lowndesa. Jestem pewien, że obydwójcie słysze-liście o swoich dokonaniach i wasza rozmowa z pewnością okaże się nad wyraz interesująca.

Lowndes nie wyglądał na zażenowanego tą zgrzywą. Był wysokim mężczyzną, o długiej, wąskiej twarzy; jej góralską szkocko-irlandzką otwartość zakłócały małe, blisko osadzone oczy.

Lu Annę i Dongan Lowndes uścisnęli sobie dłonie. Obdarzyła go przyjaznym uśmiechem, którego, jak za-uważała, nie odwzajemnił.

- Możemy wejść? - zapytał Jack. - Zamówiłem do ciebie lunch.

- Cholera, przykro mi, Jack - odparła Lu Annę. - Ciężko mi będzie zmieścić się z tym wywiadem. Miałam zamiar zrezygnować z jedzenia i od razu zabrać się do roboty. -

Odwróciła się w stronę Lowndesa z nadzieją, że zrezygnuje z wywiadu. On tylko

wpatrywał się w nią, dość obojętnie, ale z uporem. Jego spojrzenie można by uznać za przejaw uprzejmego zainteresowania, gdyby obiektem obserwacji nie była ludzka istota. Jack Best zrobił nieszczęśliwą minę. Na jego liście Lee Verger nie plasowała się na tyle wysoko, żeby mogła pozwolić sobie na lekceważenie lunchu z renomowanym dziennikarzem. Lowndes nie okazywał, że ma ochotę pomóc mu w rozwiązaniu tej kłopotliwej sytuacji. - Cóż - Jack zwrócił się nerwowo do Lowndesa - mamy tu drobny kondom.

- Pewnie przypląnął na plażę od strony miasta - powiedziała Lu Annę z uśmiechem. Lowndes wciąż świdrował ją swymi małymi oczkami. - Założę się, że chciałeś powiedzieć - kłopot, prawda Jack?

- Tak - odrzekł słabym głosem Best. Wyglądał, jakby solidnie oberwał w głowę. - Nie wiem, jak mogłem się tak przejęzyczyć.

- No to, panie Lowndes, ma pan już pierwszy lapsus linguae rodem z Hollywood - powiedziała Lu Annę. - Przez całe życie obracałem się wśród ignorantów - powiedział Lowndes - ale nie słyszałem niczego lep-szego.

- No cóż, wejdźcie, chłopcy - zaprosiła ich do środka. - Naprawdę mi przykro - usprawiedliwiał się Jack Best. - Jezu, jakoś tak mi się wyrwało. - Nie ma sprawy - powiedział Lowndes. - Panna Verger i ja mamy sobie wiele do powiedzenia i nasza rozmowa zapowiada się interesująco.

- Zostajesz, Jack? - zapytała obojętnie. Popychany przez kelnera stół z lunchem wtoczył się do patio. Best spuścił wzrok, po chwili uniósł głowę i zdesperowanym gestem nalał sobie tequilę do szklanki. Spojrzał na Lowndesa, a potem na Lu Annę. - Chodź ze mną, mała - powiedział, wskazując głową w kierunku drzwi.

- Ja też? - zapytał Lowndes.

Best zignorował go. Lu Annę wyszła za Jackiem przed dom.

- Wyglupiłem się jak najgorszy idiota. Przez tego palanta mogę wylecieć z roboty.

- Nie przejmuj się - mruknęła Lu Annę. - Gdzież się podziało twoje poczucie humoru, Jack? - Kazali mi być przy tobie. Chcesz, żebym został? - Teraz już wiem, że bez trudu potrafię sobie poradzić z takimi jak Dongan Lowndes.

- Wyglupiłem się przy nim - wycodził przez zaciśnięte zęby Jack Best. - Chętnie obiłbym tę jego gładką gębę. - Na miłość boską, Jack! - powiedziała ze śmiechem Lu Annę. - To zabrzmiało jak żart, zapomnij o sprawie. - Ten facet to skurwiel - upierał się Jack. - Uważaj na niego, wykorzysta przeciwko tobie wszystko, co powiesz, każde twoje słowo. Znam takich drani. Powiesz coś głupiego - zaraz to wykorzysta.

- Przecież wiesz, że nie wydrukują mu tego. - Lepiej uważaj. Wiem, że powinienem zostać, ale nie wytrzymam z nim dłużej ani chwili. Zabiłbym sukinsyna. Nic mu nie mów, na przykład, jakie masz hobby. Charlie nie wie, że ten buc tylko czyha, żeby nas ośmieszyć i poniżyć.

- Dobra - powiedziała. - Będę postępowała według twoich instrukcji.

Best obrzucił ją ponurym spojrzeniem i odszedł ścieżką.

W patio, rozwalony na krześle Lowndes palił papierosa, nie zwracając uwagi na stojące przed nim jedzenie. - Jest pani cudowną aktorką - zwrócił się do Lu Annę. - Dziękuję - powiedziała, zastanawiając się po raz któryś z rzędu, co ludzie myślą, gdy mówią takie dyr-dymały. - Ciężko pracuję i usiłuję robić to dobrze. - A co to jest "to"?

- Identyfikować się z odtwarzanymi postaciami. - Lu Annę słyszała swój głos jakby z oddali. - Umieć znaleźć się w tamtym czasie, w tamtym miejscu. - Zauważyła, że bacznie się jej przygląda. - Nie notuje pan? Potrząsnął przecząco głową.

- A pani nie nagrywa? Nie boi się, że przekreślę jej słowa? - I tak zrobi pan po swojemu. Potem radcy prawni czasopisma przeczytają tekst i orzekną, że wszystko jest w porządku. Pan przedstawi moją osobę, jak zechce. - Czy zawsze rozmawia pani w ten sposób z

dzien-nikarzami przeprowadzającymi wywiad? - Czy mogę powiedzieć coś całkiem prywatnie?

- Najpierw muszę usłyszeć, o co chodzi. - Od lat nie udzielałam wywiadów, przynajmniej takich na serio. - Wydawało jej się, że jego oczy są brudne, koloru błota. Koloru gówna. - Uczęszcza pan na treningi osobowości?

Zaśmiała się, ale odniosła wrażenie, że wprawiła go w zakłopotanie. - A pani?

- Oddaję się medytacjom - odparła Lu Annę. Czuła, że Lowndes roztacza szczególną aurę, przyciągającą prze-różne monstra, choćby takie jak Posepni Przyjaciele, aurę najwyraźniej atrakcyjną dla nich. Słyszała, jak szepczą w casita o zgubionych przedmiotach, utraconej biżuterii, starych fotografiach. Pomyślała, że on nie zauważy ich obecności, bo przyszli tu nie dla niego. - Coś jak Zen? - zapytał z rozbawieniem Lowndes.

- Poszukiwanie źródeł?

Bolesne Tajemnice - dodała w myślach. Z wnętrza casita doszedł do jej uszu stuk paciorków; różaniec nie należał do niej, był rekwizytem, który sobie przywłaszczyla.

- Wszyscy medytują - powiedziała. - To rozjaśnia umysł, pomaga w koncentracji.

- Czym jest aktorstwo? - zapytał Lowndes. - Jak się z nim żyje?

- Takie pytania nie mają sensu.

- Ależ mają, panno Verger. Potrafi pani na nie od-powiedzieć.

Roześmiała się.

- Panie Lowndes, nie zadaje się nikomu podobnych pytań. - Miał nad nią władzę. Dawała mu ją aura, zwabiająca Posepnych Przyjaciół. I jego skażone oczy. - Jeżeli chce pan snuć rozważania na ten temat, jeżeli chce pan trzymać się wątku: życie a aktorstwo, i czegoś tam jeszcze, by zainteresować czytelników, proszę bar-dzo. Ale proszę nie oczekiwać, że wyręcę pana. - Czy pani rzeczywiście zna moje prace? - Kilka lat temu przeczytałam pańską książkę. Bardzo mi się podobała.

- Całą powieść, nie opracowanie?

Jego oczy uwięziły jej wzrok; wiedziała, że wygląda na zakłopotaną. Jego arogancja nie wyprowadziła jej z rów-nowagi. Ale to, że odważył się zadać takie pytanie, wystraszyło ją - najwyraźniej miał świadomość władzy nad nią. Pomyślała, że może zachowuje się w ten sposób wobec każdego rozmówcy. Upokarza nierozgarniętych poczciwców, takich jak Jack Best. Zastanawiała się nad jego bezwzględnością, równocześnie obserwując jego sylwetkę, linie ciała. Gdy poczuła pierwszy, słaby przy-pływ pożądania, Posepni Przyjaciele, tłoczący się we-wnątrz casita, zaszemrali jeden przez drugiego. - Cicho tam - powiedziała półgłosem.

- Przepraszam - odezwał się zaskoczony Lowndes.

- Żartowałem tylko.

- Tak, oczywiście.

- Pochodzi pani z Luizjany?

- Tak, z Boulanger - odrzekła. - Jest o tym w notce biograficznej.

- Ja pochodzę z Georgii.

- Wiem - przyznała skwapliwie. - Zorientowałam się po nazwisku. Lowndes często występuje w tamtych stronach. - Prawiła mu komplementy, by go oczarować; zaczynała kłamać. Dostrzegła, że się ucieszył. - Uwiel-biam pływać - powiedziała. - Gdy miałam szesnaście lat, wyznaczono mnie do ekipy na olimpiadę. Ale upadłam i złamałam nogę.

- Upadek z konia? - dopytywał się Lowndes. - Tak. Do dziś regularnie pływam, a czasem jeżdżę też konno.

Lee nigdy nie była kandydatką do występu na olim-piady. Miała cztery lata, jak złamała nogę podczas ucieczki przed wieprzem w trakcie bożonarodzeniowej zabawy. Ojciec żartował potem, że gdyby kuzyni nie przyszli jej w porę z pomocą, zostałaby zjedzona i prze-robiona na kielbasy.

- Chodziłaś do Newcomb? - stawał się coraz bardziej bezpośredni.
- Tak, byłam stypendystką Fundacji Medisona. Potem przyjęli mnie do Yale Repertory.
- I występowałaś w "Jak wam się podoba"? Wszyscy, którzy wtedy się załapali, zdobyli bogactwo i sławę. - Zrobił się szum jak przy wieszaniu Johna Browna.

Ja grałam Rozalindę.

- Rozalindę... - Lowndes zamyślił się. - Opowiedz mi o tym. Pokręciła głową z tajemniczym uśmiechem. - Nie.

Ona nie może mieć z tobą nic wspólnego - pomyślała.

Z twoimi przygarbionymi plecami, z gównianymi oczami. Zastanawiał się nad przyczyną odmowy, gdy zadzwonił telefon. Wzywano ją na plan.

- Czas na mnie - powiedziała wesoło i poszła do sypialni przebrać się; poczuła delikatną woń słodkiego wina i lawendy, pozostawioną przez Posepnych Przy-jaciół.

Siedziała przed lustrem i szczotkowała włosy, międląc w ustach bezcukrową gumę do żucia. Miała nadzieję, że ujrzy twarz Rozalindy i nie ukażą się osaczające ją zewsząd monstra. Gdy była żoną Robitaille'a, on zarzucał jej, że bez przerwy się przegląda. To dlatego - tłumaczyła mu - że twarz jest moim majątkiem.

Kazali jej unikać słońca, zachować delikatną błądź postaci, którą grała. Nie było to możliwe bez narzucenia sobie bardzo surowych rygorów, więc pozwolili jej wyjść na słońce. No i okazało się to niezłym pomysłem - przy odpowiednio dobranym makijażu wychodziła na zdję-ciach młoda, w kolorach złota.

Teraz w lustrze widziała Ednę, nie Rozalindę. Lu Annę studiowała swoją twarz - zniknęła młoda królowa wie-czorów w New Haven. Czasem wydawało się jej, że tęskni za Rozalindą nie mniej niż za dziećmi. Odwróciła twarz i studiowała swój profil.

Przed laty, na sali sądowej w Boulanger, sędzia, krewny jej eks-męża, w obecności jej córki, mamy i taty nazwał ją wyrodną matką. Teraz była Edną Pontellier. O Ednie Kate Chopin napisała:

Kochała swoje dzieci w nierówny, impulsywny sposób. Czasem gwałtownie tuliła je do piersi, a czasem po prostu o nich zapominała.

I tak oto przegrałaś wszystko - pomyślała Lu Annę - dziecko, którym byłaś, potem osobę, która w tobie dojrzewała; dzieci, których nigdy nie urodziłaś, i te, którym dałaś życie.

Chłopców, mężczyzn, swoją zewnę-trzną powłokę, wewnętrzne ja. Uczucia przychodziły i odchodziły jak zmiany pogody, nie potrafiłaś nawet stwierdzić, czy były prawdziwe. Nie umiałabyś osądzić, czy należały do ciebie. Nawet nie miałaś pewności, czy rzeczywiście istniejesz. Ludzie udawali... - Wygląda wspaniale - powiedziała Lu Annę do swoje-go odbicia. Niewidzialni Przyjaciele zaszemrali poruszeni, szeptem pełnym wyrzutów, wymówek starej ciotki. - Nie mów: ona wygląda wspaniale, mów, że czuje się wspaniale - usłyszała szept Przyjaciela. Lu Annę uśmiechnęła się, pochyliła głowę i przyłożyła palec do warg.

- Lu? - rozległ się głos Lowndesa-pisarza. - Przysłali po ciebie samochód.

Wstała i wyszła z pokoju. Gdy napotkała jego wzrok - uciekła oczami; zauważył to.

Przy drzwiach casita stali kaskader Billy Bly oraz kierowca. Na jej widok Billy zaczerwienił się. - Cześć - powiedział i pośpiesznie popatrzył na Lowndesa, stojącego za jej plecami. Powiedzieli mi, żeby cię przywiózł. Miałem sprawdzić, czy niczego ci nie brakuje. - Niczego, poza twoim towarzystwem, Braciszku Bly - powiedziała.

Przedstawiła go Lowndesowi, a potem w czwórkę wsie-dli do Lincolna z opuszczonym dachem. Gdy dojeżdżali do brzegu morza, wyjrzała przez okno. Uderzył ją niesamowity kolor nieba, grożącego burzą, niezwykłą o tej porze roku.

- Wyglądasz wspaniale, Lu Annę - powiedział Billy Bly.

Roześmiała się.

Wysłali go zamiast Jacka Besta, by ją chronił. Niezbyt subtelny wybieg - pomyślała.

- Czuję się wspaniale - oświadczyła. Wyczuwała obecność Lowndesa: obserwujący ją cień na siedzeniu obok. - Naprawdę wspaniale. Wkoło południa, w Del Mar, Walker zjechał z szosy i podjechał do apteki, żeby zadzwonić do Shelly. - Są zachwyceni - poinformowała go. - Uważają twój przyjazd za świetny pomysł. Mówiąc inaczej: zniosą twoją obecność przez dzień czy dwa, ale nie przeciągaj struny. - Będę ich gościem, tak?

- Tak, Gordon. Będziesz ich gościem.

- Wiec przekonałaś ich.

- Ludzie nie zawsze robią to, o co ich proszę, ale dość często tak bywa.

- I daję ci to satysfakcję?

- Wręcz przeciwnie, to przygnębiające. Jak chcesz się tam dostać?

- Jadę samochodem.

- Czy to rozsądne?

- Nic mi nie będzie.

- Buen viaje, Gord. I nie rozchoruj się. Już miał odwiesić słuchawkę, ale usłyszał głos Ala Keochakiana:

- Spryciarz z ciebie.

- Nie denerwuj się - uspokajał go Walker. Bał się gniewu Keochakiana, bo nie wiedział, jak tamten zareaguje; swoich nerwów też nie był pewny. - Jestem spokojny, Gord. Powiem ci coś, czego dowiedziałem się od Shelly. Już nie słyszy, wyłączyła się. - Nie wściekaj się na nią. Prosiłem ją, żeby mi to załatwiła.

- Pewnie. Ostatecznie tobie zawdzięcza pracę u mnie. - Co zamierzasz zrobić, wyrzucisz ją? Dlaczego tak histeryzujesz?

- Nigdy bym Shelly nie zwolnił, Gordon, zestarzeje się w moim biurze. Chcę ci powtórzyć, co mi o tobie powiedziała, - Jeżeli powinienem o tym wiedzieć, wolę usłyszeć to od niej.

- Powiedziała: "On umiera, Al". Oto co powiedziała dziś rano: "On naprawdę umrze". Walker poczuł, jak skóra potnieje mu pod pachami i we wnętrzu dłoni, w której trzyma słuchawkę. Pod sercem eksplodował ładunek strachu, taki sam jak poprzedniego ranka, gdy spojrzął w lustro. - Ty wredny skurwysynu - rzucił Keochakianowi.

- Skreślasz mnie, co?

- Tak to odebrałeś?

- Teraz jestem pewien. Nie wiem tylko, dlaczego wcześniej mnie nie oświeciło.

- Chcę, by do ciebie dotarło - tłumaczył Keochakian - że jesteś poważnie chory. Śmiertelnie. - Nie wierzę, żebyś kierował się troską o mnie. W twoim głosie słyszałem satysfakcję.

Na kilka chwil zapanowało milczenie. Gdy Keochakian znów się odezwał, głos mu drżał.

- Jesteś chory, człowieku. Rozsypujesz się fizycznie i psychicznie. Nie wiem, po co trzymasz mnie przy telefonie... i nie wiem, dlaczego wałkujemy tę sprawę... kłócimy się jak para starych pedałów. Mam tego dość! - Al - powiedział Walker ze śmiechem - spierdalaj, zwalniam cię.

Trzymał przy uchu słuchawkę, dopóki nie usłyszał, jak tamten się rozłącza. Wtedy, z namaszczeniem, odłożył ją. Wewnątrz aż płonął z przerażenia i gniewu. Wsiadł do samochodu i ostro wyjechał na nadbrzeżną autostradę, zmuszając wozy jadące na południe do gwałtownego hamowania. Ścigany przekleństwami i okrzykami wściekłości, skierował się w stronę granicy drogą nr 1-5.

W wielkiej, robionej na zamówienie przyczepie, zaparkowanej nieopodal planu zdjęciowego, Drogue'owie, ojciec i syn, obserwowali na ekranie telewizora film wideo: młodą kobietę w kostiumie z połowy zeszłego wieku, jadącą wagonikiem ciągniętym przez konie. Była nią Joy McIntyre, australijska dublerka Lu Annę. Wóz przesuwał się na tle ledwie zasygnalizowanego przez kamerę, leśnego krajobrazu; Joy w jednej ręce ścisnęła

zwiniętą parasolkę, a drugą mocno przytrzymała się słupka.

- Ładniutka - zauważył stary Drogue. - Rany, popatrz, jak ona trzyma ten parasol! - odezwał się Walter Drogue syn. - Chyba wydaje się jej, że siedzi w autobusie do Kangaroo Springs.

- Proletariackie odruchy - skomentował starszy mężczyzna. - I zgrabna dupcia. Myślę, że ta mała jest milutka.

- Im dłużej na nią patrzę - ciągnął młody Drogue - tym jaśniej widzę, że ma styl. Styl McIntyre. W wydaniu McIntyre. Dawniej była moda na Lubitscha i von Stern-berga, teraz przysłała kolej na takie jak McIntyre. - Może coś w tym jest? Może natura przeznaczyła ją nie tylko do roli dublerki?

- Natura zaplanowała ją na łaszącego się pieska. Ona nie potrafi nawet wymienić po kolei dni tygodnia. Patrzyli, jak śliczna Joy z zaciśniętymi ustami przywarła całym ciałem do drewnianego słupka. - Tuli się do niego jak do fallicznego pala - powiedział Drogue junior.

- Wiesz - zaczął stary Drogue - mieliśmy kiedyś dublera, nazywali go Freddy Pedał. Miał sześć stóp i osiem cali wzrostu, ważył trzysta funtów i poruszał się jak Gloria Swanson. Kiedyś kręciliśmy western: wielka scena bójki w saloonie, fruwające stoliki do ruletki, faceci spadający z trzaskiem z balkonów

- a Freddy idzie na górę po schodach i porusza się tak, jakby za chwilę miał otrzymać bukiet od Berta Parksa. Reżyser drze się: "Freddy, do cholery, nie możesz iść po tych schodach jak mężczyzna?" Na to Freddy odwraca się i mówi: "Jak chcesz, żebym grał role charakterystyczne, musisz mi za to dodatkowo płacić".

Na ekranie wóz z Joy minął linię drewnianych makiet domów i potoczył się dalej, alejką dębów. - Powinna usiąść - zgrzytnął stary - jest zbyt oży-wiona.

- Ta scena wygląda humorystycznie - powiedział syn.

- Nie pasuje do całości.

Kopniakiem otworzył drzwi i wyszedł na zaskakująco przygaszone, meksykańskie słońce.

- Erie! - zawołał na asystenta.

Po chwili Erie Hueffer, asystent reżysera, wyłonił się zza przyczepy. - Tak, szefie?

- Puść ją jeszcze raz, ale na siedząco. Słuchaj, ona nienaturalnie trzyma tę parasolkę. To jakoś nie gra. - Dobra - powiedział Hueffer. - Toby, przez ten choler-ny kapelusz na jej głowie nie możemy sobie poradzić z oświetleniem.

Poszli w kierunku kamer: Hueffer i młody Drogue, ramię w ramię, stary krok za nimi. Gdy znaleźli się bliżej, usłyszeli, jak Joy McIntyre śpiewa:

- I było cudooownie - nuciła - tak stać, trzymając się za ręce do samego kooońca.

- Dlaczego pozwoliłeś, żeby w ten sposób trzymała parasolkę? - zapytał młody Drogue.

- Myślałem, że właśnie tak wygląda to naturalniej. - Chcę popatrzeć jeszcze raz. Ma siedzieć prosto, z uniesioną głową. Parasolkę ma trzymać opuszczoną w dół. Drugą rękę na słupku. Zresztą zobaczymy. - Lu jest tutaj - poinformował Hueffer reżysera. - Dobra, zaraz z nią porozmawiam. Obejrzymy ujęcie, gdy ona będzie się przebierała. - Spoglądał na od-dalającego się w stronę stanowiska asystenta. - Erie! - wrzasnął.

Ten odwrócił się, mrużąc oczy.

- Czy są jakieś wieści o Walkerze?

- Ma tu przyjechać, ale nie było go w samolocie z Charliem.

- To dobrze - ucieszył się Walter. - Ten facet przynosi pecha - rzucił w stronę ojca.

- To notoryczny pijak, a taki zawsze przynosi pecha. Charlie nie ma pojęcia, co jest dobre dla jego filmu, dlatego przysyła nam tych wszystkich reporterów i pisa-ry. Za moich

czasów trzymaliśmy gości takich jak Walker z daleka od planu albo dawaliśmy im zajęcie przy korekcie scenariusza. Nie boisz się, że wyprowadzi Verger z równowagi?

- Myślę, że przy nim Lu Annę może się rozsypać - powiedział młody Drogue. - Liczę się z tym. Ale nie chcę się o niego wyklócać z Charliem. - Rzuć go Lowndesowi na pożarcie - powiedział stary.

- Niech się wezmą za łby.

Lu Annę siedziała obok kierowcy, Lowndes i Billy byli na tylnym siedzeniu. Potężnie zbudowany kaskader działał na Lowndesa dziwnie uspokajająco. Ta obecność, pozbawiona jakiegokolwiek podtekstu, czysto fizyczna, nie stwarzała atmosfery sprzyjającej zadawaniu zbyt osobistych, podchwytliwych pytań. Lu Annę była nad wyraz zadowolona z towarzystwa Billy'ego. Jechali w milczeniu polną drogą pomiędzy olbrzymimi eukaliptusami. Minęli Jacka Besta, na piechotę przedzierającego się przez kłęby kurzu. Gdy kierowca zwolnił, żeby go zabrać, Best pomachał, by jechali dalej. Jak zauważyli, był mocno czerwony na twarzy i wygadywał coś pod nosem. - Nic mu nie jest? - zapytał Lowndes Lu Annę.

- Ależ skąd - odpowiedział za nią Billy. Na końcu drogi ujrzeli olbrzymie skupisko przyczep kempingowych i ciężarówek, co oznaczało, że dojeżdżają do Grand Isle. Pośrodku sporej polany wzniesiono zagajnik z dębów przywiezionych na ciężarówkach z wybrzeża Tamauli-pas. Choć umieszczono je w obcej ziemi, wyglądały naturalnie i mocno, jak owinięte girlandami hiszpańskiego mchu, solidnie zakorzenione i wyrosłe w rodzimej okolicy stare drzewa. Otwartą przestrzeń między laskiem a plażą pokrywały dywany biało-żółtych kwiatków. Przypominały rumianki z rodzinnych stron Lu Annę, ale nie miały ich delikatnej woni jabłek. Pomyślała, że tutejsze powietrze jest za wątłe, by pomieścić zapachy domu.

Stała obok samochodu i podziwiała tę na poły sztuczną scenerię. Oblane dziwnym światłem, miejsce to tchnęło ponurym urokiem. Dongan Lowndes przystanął obok. Bly został w aucie.

- Dziękuję, Billy - powiedziała.

Zatrzasnął drzwi i odjechał.

- Niesamowite, co? - zagadnął Lowndes.

- Tak - przyznała.

- Człowiek dziwnie się tu czuje, prawda? - Te scenograficzne sztuczki tworzą taki nastrój. Ale chyba to lubię, myślę, że ta atmosfera wprawia mnie w aktorski trans. Na polanie, obok najgrubszego dębu, stał nieduży, starodawny wóz, przypominający trochę wagon tramwaju z San Francisco. Umieszczono go na wąskim trakcie, biegnącym łukiem pomiędzy dębowym zagajnikiem a rzędem domków kąpielowych, stojących na skraju wydm. Do wozu zaprzęgnięto dwa rosłe, kasztanowate konie. Starszy człowiek o twarzy w kolorze hebanu, w meloniku i spranej, bawełnianej koszuli bez kołnierzyka, siedział na miejscu dla woźnicy. Joy McIntyre kołysała się na drewnianej poręczy wozu. Miała na sobie suknię a la Gibson Girl, którą później włoży Lu Annę. - Cześć, Joy! - zawołała Lu Annę. - Cześć, Joe Gates!

- Jestem Judy Garland! - krzyknęła radośnie Joy. Wychyliła się z wozu i balansując na poręczy, pomachała Lu Annę, błyskając czarującym, jak zapewne sądziła, uśmiechem. - Gdy dostaniesz ten kostium, też zostaniesz Judy Garland.

Joe Gates odwrócił się na koźle i pociągnął za sznurek znajdującego się obok niego dzwonka. - Zing, zing, zing, odeszła moja miłość - usłyszeli jego matowy, smutny głos.

- Joe Gates występował w "Meet Me in St. Luis" - powiedziała Joy. - Prawda, Joe?

- Nie - odrzekł. - Tam grał inny gość.

Kamerzyści męczyci się z zamontowaniem na wozie swojego Panaflexa. Joe Gates zsiadł z koźla i podał lejce jednemu z meksykańskich pomocników. Lu Annę odwróciła się i

ujrzała nadchodzącego Waltera Drogue'a. Lowndes trzymał w rękach jej egzemplarz scenariusza. Odebrała skrypt pośpiesznie, ale nie na tyle szybko, by reżyser tego nie zauważył.

- Nie czytaj, Lowndes - powiedział Drogue. - Zepsujesz sobie całą przyjemność. Może byś dał nam szansę, co? - Lubię wiedzieć dokładnie, jak się sprawy mają.

Chciałem przeczytać, co ona tam nabazgrała. - Rozumiem - powiedział spokojnie Drogue. - A teraz, jeśli chcesz się przyglądać - a jestem pewien, że tak jest - będziesz miał niezły widok z pikapu za kamerą. Wskazał na czerwonego Forda, zaparkowanego na skraju polany.

Lowndes zignorował słowa reżysera.

- Tylko przyłóż się do roboty - zwrócił się do Lu Annę. Gdy odchodził, posłała mu uśmiech, który - była tego pewna - sprowokuje jego zaloty. Zupełnie nie wiedziała, czemu tak postąpiła.

- Przyłóż się!?! - oburzył się Drogue. - Cóż on do cholery sobie wyobraża?

Lu Annę sięgnęła po następną bezcukrową gumę. - Znam ten typ facetów, Walterze. Mój eks-mąż określiłby go jako podstarzałego hochsztaplera. - Czujesz do takich słabość?

- Jest mi obojętny. - Wzruszyła ramionami. - Odnoszę natomiast wrażenie, że tacy faceci lecą na mnie. Drogue popatrzył na nią zaciekawiony.

- Który z twoich eks-mężów?

- No wiesz, ten klarneckista.

Reżyser wziął ją pod ramię i razem ruszyli w stronę wozu.

- Spójrz na światło - powiedział. - Jakie robi na tobie wrażenie?

- Przygnębiające.

- Daj spokój - wyszeptał podekscytowany - całkiem jak u el Greca. Święte.

Spojrzała w niebo z nadzieją, że udzieli jej się entuzjazm reżysera. Pogoda przypominała jej koniec lata w rodzinnych stronach. Pomyślała, że Edna także przechodziłaby depresję w tej żółtoszarej scenerii odchodzącego lata. Ale tu powietrze było inne. Byli w końcu na Zachodzie, a nie w kraju starego Pierra Pelicana. Nawet w pustynnej Baja powietrze miał smak nadziei. - Właśnie skończyliśmy ujęcie z Joe Gatesem na koźle - powiedział Drogue. - Nastrojowy i złowieszczy jak wszyscy diabli. Goguś przez pół życia jest milionerem, a dać mu odpowiednią rolę i w jego grze znajdzie odbicie trzysta lat niewolnictwa i wędrówek po bezdrożach. Lu Annę uśmiechnęła się do niego.

- Joe grał w "Salt of the Earth", pamiętasz? Tata go zatrudnił do roli Czarnego Robotnika, czy, jak mówią, Murzyńskiego Robotnika, i niech mi kto powie, że Murzyński Robotnik w jego wydaniu nie był fantastyczny! Młody olbrzym: potężne muskuły, klata jak u pociągowego konia. Miał gdzieś czarną listę, był wystarczająco bogaty, by ich olać.

Podszedł do nich operator, Toby Blakely. - Okazało się - ciągnął Drogue - że nawet nie zwrócili uwagi na jego rolę w "Salt". Pracował bez kłopotów przez następną dekadę. Grał skazańców zawodzących w celi śmierci, starych, gderliwych lokajów - takie tam bzdury. Ale trzeba go było widzieć jako Murzyńskiego Robotnika! Blakely zdjął z głowy baseballową czapkę i skłonił się z szacunkiem.

- Jeżeli mamy dzisiaj wykorzystać to światło, to zabierajmy się do roboty, szefie. Będzie cholernie trudno uzyskać ten sam efekt innym razem, a właśnie zanosi się na burzę.

- To niemożliwe - zaprotestował Drogue. - Absolutnie wykluczone.

- Kręcmy szefie - naciskał Blakely - w tej okolicy przytrafiają się letnie burze. Tubylcy nazywają je chu-bascos.

- Pieprzyć to - rzucił Drogue. - Pewnie, że muszę mieć to światło. Ukręcę wam łby, jeżeli się rozpada podczas kręcenia mojego filmu.

- To nic nie da, Walter - powiedziała Lu Annę. Lowndes włożył okulary; obserwował ich ze swego stanowiska przy pikapie.

- Posłuchaj mała - zwrócił się do niej Walter. Ruszyli razem, szerokim łukiem obchodząc spoconego Toby'ego Blakleya. - Dokonamy wielkich rzeczy przy tym przejeździe wozu na plażę. Mamy cudowne, niesamowite światło i wiemy, jak je wykorzystać. Potem, jeżeli pogoda się utrzyma i da się złapać choć trochę zachodu słońca - nakręcimy jej wejście do wody.

Lu Annę nic nie odpowiedziała. Miała nadzieję, że zachowa ten ostatni spacer Edny na specjalny zdjęciowy dzień, być może na ostatni. Ale ze względów oszczędnościowych nie kręcili scen po kolei. Na Grand Isle zostało im nie więcej niż dziesięć dni zdjęć.

- Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy dzisiaj nakręcili oba ujęcia razem?

- Czemu nie - powiedziała Lu Annę. - Pasują do siebie. Drogue odwrócił się od wozu i przytrzymał Lu Annę za ramię. - Spójrz na to światło, dziewczyno.

- Widzę - odrzekła. Niesamowita poświata napawała ją lękiem.

- No to powiedz mi - jakbyś miała odbyć ostatnią w życiu podróż wozem, stałabyś trzymając się słupka jak Joy, czy raczej byś usiadła?

Lu Annę zamyśliła się.

- Może najpierw spróbowałabym jednego i drugiego. Ale chyba bym usiadła. Wiesz, ona ma wyglądać na oszołomioną, a stanie to raczej w stylu Królowej Kryniny.

- A co w tym złego? - Drogue uśmiechnął się. - Myślę, że chodzi ci o coś zupełnie innego niż styl Judy Garland, prawda, Walter? Postaram się, żebyś to miała.

- Stać czy siedzieć, oto jest pytanie: dla mnie to kwestia kompozycji - powiedział Drogue.

- Poczekał tu, a ja przejrzę następną taśmę z Joy na wozie. Ja będę patrzył, a ty w tym czasie się zastanów. - Gdy nadejdzie właściwa pora - powiedziała Lu Annę - instynkt podpowie nam, jak to zrobić. - Wiesz, podoba mi się twój sposób myślenia, dziewczynko.

Lu Annę patrzyła, jak odchodzi - pośpiesznie, pochylony, jakby przyczajony. Jego ruchy zawsze zaskakiwały otoczenie. Miał skłonność do nagłych, gwałtownych gestów, które zbijały ją z tropu i sprawiały, że miała ochotę skulić się ze strachu.

Patrzyła, jak się niespodzianie obraca, jakby robił unik przed atakiem drapieżnego ptaka. - Pochwal Franka, powiedz, że ci się spodobało - zwrócił się do niej. Wyciągniętą ręką wskazał na kępę drzew, wóz i cały ten sztuczny świat, który tu stworzyli. Frank Carnahan był scenografem. - Powiedz mu, że czujesz się, jakbyś wróciła na rozlewiska.

Skinęła głową. W drodze do przyczepy dojrzała Carnahana podążającego na plażę - następne miejsce zdjęć. - Frank! - zawołała. Idąc w jego kierunku, próbowała naśladować zamaszyste kroki Waltera. - Rany, urządziłeś to fantastycznie. Poczułam się, jakbym znów była na rozlewiskach.

Carnahan zrobił zadowoloną minę. Jego oddech mocno zalatywał rumem. Zgodnie z tradycją, każdy scenograf okazywał się Irlandczykiem i niemal zawsze pijakiem. Zapach alkoholu sprawił, że odczuła nagłą potrzebę strzelenia sobie drinka. Lub czegoś podobnego. Carnahan uśmiechnął się.

- Nie myśl, że poszło mi to gładko, Lu. Podczas gdy rozwodził się nad swoimi kłopotami, Lu Annę rozglądała się po planie, spojrzeniem wyszukując tych, którzy mogliby ją poratować w potrzebie. Prosiła już Joy i Jacka Glenna - młodego aktora grającego Roberta Lebruna, ale obydwójce twierdzili, że niczego nie mają. Rokował nadzieje stojący obok zaprzęgu Bill Bly. Ale Bly i Lu Annę mieli za sobą wspólną przeszłość, do której akurat teraz nie miała ochoty wracać, a poza tym wiedziała, że wyznaczono go do dyskretnego nadzoru nad jej osobą. George'a Buchanana, aktora w średnim wieku, obsadzonego w roli Alcee Robina, nigdzie nie widziała. Kilka lat temu George potrafił jak z kapelusza wyczarować towar: wystarczała mu godzina i już coś miał. Ale teraz sporządzał, założył rodzinę i wstąpił do A.A. - A więc, pomyślałam: O rany! Hiszpański mech, to przecież choroba drzew, nigdy mi na to nie pozwolą. Będziemy musieli postarać się o sztuczny... -

mówił Carnahan z mocnym akcentem Pawtucket. Lowndes bez przerwy ją obserwował. Rozpiął guziki koszuli i wystawił bladą pierś do słońca, w pozie a la duce. To mogłoby być wystudiowaną odmianą postawy "Naprzód mój kraju", ostatnio popularnej. Kokaina, wschodnie medytacje, urazy z dzieciństwa - kto wie, co ją wyzwalało? W każdym razie nie było sensu pytać go o narkotyki. To wróg.

- Więc mówię - ciągnął Carnahan - nie wciskajcie mi ciemnoty. Oglądałem to gównu na drzewach w Rosita Beach. Oczywiście - wybuchnął śmiechem tak głębokim, jakby miał rozedmnąć płuc - nigdy nie widziałem na oczy Rosita Beach.

Przyłączyła się do jego śmiechu. - Przestań, Frank - zachichotała. - Czy to prawda, że przyjeżdża do nas Gordon Walker? - Wyprostowała plecy, uniosła głowę i oparła pięści na biodrach, w pozycji podobnej do pozy Lowndesa, by sprawdzić, jak jej to wyjdzie. - Nie mam pojęcia - powiedział Carnahan. - Kto to taki?

- Autor scenariusza.

- Aha. Nie wiem - odrzekł Carnahan. - Nie przyleciał z Charliem i materiałem zdjęciowym. Poczula ulgę. Od czasu, gdy do niej zadzwonił, trwała w oczekiwaniu pełnym radości, zmieszanej z niepokojem. Pomyślała, że najlepiej zrobi, jak teraz odpocznie. Wie-czorem zażyje lekarstwo zgodnie z zaleceniem lekarza i wyśpi się. W końcu o to chodzi w tej całej kuracji. Miała grać swoją rolę na trzeźwo i zwalczać niezborność ru-chów, dopasowując je do sytuacji.

Wszystko utrzymywała pod kontrolą. Tylko krajobraz jawił się jej w zbyt w jaskrawych kolorach. Ale nie wyrwały jej się niewłaściwe słowa, a głosy, które słysza-ła, skutecznie tłumili szum wiatru i ryk oceanu; zresztą wiedziała, że są iluzją, i starała się nie zwracać na nie uwagi.

Verę Ricutti, garderobianą, spotkała w drodze do przyczepy. Vera była żoną Joego, charakteryzatora. - Patrzyłam na mewy - powiedziała tamta z entuzjazmem. - Są ich tu dziesiątki. Śliczne małe mewy! - wykrzyknęła. - Wystawiają z wody maleńkie łebki. - Też bardzo chciałabym je zobaczyć - powiedziała Lu Annę. - Mam nadzieję, że jeszcze przylecą. - Takie słodkie! - zawołała Vera, gdy weszły do przy-czepy. - Musisz je koniecznie zobaczyć. W pobliżu rozległ się głos Heuffera, asystenta reżysera:

- Joy? Woźnica? Wszyscy gotowi? Proszę o ciszę! Może być - krzyknął Hueffer ochryłym głosem: - Cisza! Gotowi! Kręcimy!

Vera zamknęła drzwi klimatyzowanego pomieszczenia.

Lu usiadła przed lustrem i wytarła czoło kleenexem. Wszystkie przedmioty odbijające się w lustrze miały kształt statku. Poczula, że jest gotowa do pracy. Gdy się rozbierała, Vera pokazała jej gorset z jasnego materiału.

- Widzisz, co tu dla ciebie mamy? To włożysz pod spód. - Mój Boże! - westchnęła Lu Annę, unosząc ramiona, by się w niego wśliznąć - czy jest wełniany? - Z syntetyku.

Podobny już zakładałaś podczas przy-miarek, ale ten egzemplarz uszyliśmy z lżejszego ma-teriału i wstawiłyśmy zamek błyskawiczny. Ale te prawdziwe, które one kiedyś nosiły, były z czystej wełny. Można było w nich grać w tenisa, biegać, podskakiwać.

- Nie mogę uwierzyć, że wytrzymały w wełnianych gorsetach podczas luizjańskiego lata.

- Wkładały je i nie było widać, że się pocą. Żadnych plam pod pachami, a sukienka nie kleiła się do ciała. Próbowaliśmy już z Joy, świetnie to wygląda na zdję-ciach. Zresztą mamy z tuzin białych sukienek, przydadzą się, gdybyś tę przepociła.

- Ja się strasznie pocę - oświadczyła Lu Annę, gdy Vera zaciągała zamek gorsetu. - I nie rozumiem, jak w czymś takim mogły grać w tenisa.

- W Indiach - tłumaczyła Vera - w Afryce, białe kobiety nosiły wełniane gorsety. Myślę, że tubylki pozwalały swoim cycuszkom dyndać swobodnie. Otworzyły się drzwi i do środka weszła Josette Darre, fryzjerka. Między Lu Annę a nią panowała atmosfera

wzajemnej niechęci; nie rozmawiały ze sobą o niczym prócz spraw zawodowych. Josette była ponurą hippiską z Paryża. Zraziła do siebie Lu Annę ciągle kwaśną miną i zniecierpliwieniem okazywanym w odpowiedzi na każdą krytyczną uwagę.

Gdy Josette czekała na swoją kolej, Lu Annę włożyła suknię i stanęła przed lustrem, pozwalając Verze zawiązać szarfę i wyrównać zawinięty brzeg sukni. Potem usiadła, by Josette mogła zająć się jej fryzurą, a sama w tym czasie robiła miny do swego odbicia w lustrze. - Szczęśliwe tubylki - powiedziała, ocierając pot z czoła. Rozległo się pukanie do drzwi i Joe Ricutti, charakteryzator, wszedł do przyczepy. Śmiał się. - Z tą McIntry to cała beczka śmiechu - z trudem łapał oddech. - Bez przerwy wyśpiewuje różne kawałki. - Swoją drogą - odezwała się Vera znużonym głosem - skąd oni biorą te dziewczuchy? Fryzjerka stanęła z boku. Teraz przyszła kolej na Joe. Lu wyciągnęła do niego rękę na powitanie. Rozmawiali o drobiazgach. Joe delikatnie ujął ją za podbródek i odwracał jej twarz, badając w lustrze profil. Palcami muskał skórę policzków, w wolnej ręce trzymał pędzelek do makijażu. Lu Annę, uwięziona przed lustrem, wsłuchiwała się w stukot wozu i patrzyła, jak Joe wprawnymi ruchmi wyszukuje zwiotczone miejsca wokół jej podbródka - zmarszczki, które należało zatuszować. Przypatrzyła się naciągniętej skórze u podstawy szyi - przyszła jej na myśl wyschnięta dolina potoku: pęknięcia, suche patyki, brak życiodajnej wilgoci w miejscu, które kiedyś było jasne, gładkie, chłodne i przyjemne. Wyczuła obecność jednego z Przyjaciół. Nie lubię jej ani jej wyglądu - zaskrzeczał stwór. Lu Annę natychmiast uciszyła go samymi myślami.

- Wydaje mi się - zwróciła się do Ricuttiego - że ta mała w lustrze ma za dużo końską twarz do tej roli. Joe wybuchnął okrzykami protestu.

- O czym ty mówisz? Wyglądasz fantastycznie! Przyjrzyj się dokładnie!

Odwrócił jej głowę, by zobaczyła w lustrze swój profil, po czym przeciągnął palcami od czoła do podbródka. - Popatrz na to! Wspaniale!

Kątem oka dostrzegła odbite w lustrze, pozbawione wyrazu oczy Josette.

Po skończonej charakterystyce poddała się ostatnim zabiegom fryzjerki. Gdy ta skończyła, Vera Ricutti z jednego z wielu identycznych pudeł wyjęła słomkowy kapelusz i ceremonialnie umieściła na głowie Lu Annę. Obydwoje Ricutti cofnęli się zachwyceni. Josette stała z boku z obojętną miną, z założonymi na piersiach rękami. Lu Annę poczuła delikatny zapach lawendy. W lustrze przed sobą ujrzała nawiedzoną twarz Edny Pontellier.]_Jrogue'owie przeglądali taśmę z Joy McIntyre na wozie. Teraz już nie stała, kurczowo trzymając się słupka, lecz siedziała na drewnianej ławeczce. Plecy sztywno wyprostowała, podbródek zadarła w górę, a niesamowite światło, rozpraszane przez zwisające nad drogą gałęzie drzew, igrało na jej twarzy, częściowo przysłoniętej słomkowym kapeluszem.

- Idealne tempo - pochwalił stary Drogue. - Dopilnuj, żeby je utrzymali.

- Ten dzieciak - powiedział młody Drogue mając na myśli Joy McIntyre - potrafi przedobrzyć każdy gest. - Wykorzystaj ją - zasugerował stary. - Do czego? Nie umie grać. Dykcja beznadziejna, a wygląd tak jaskrawy, że trudno przewidzieć, jak wyjdą z nią ujęcia, i nie wiadomo, jakie dobrać do niej światło. - Jeżeli przegapisz tę twarz - powiedział stary Drogue - ... taką twarz i takie ciało, to nie powinieneś pracować w tej branży.

Młody Drogue uśmiechnął się.

- Chcesz ją zerznąć, tato?

- To moja sprawa.

- Powiedz tylko jedno słowo...

- Dziękuję bardzo. Potrafię sam zadbać o swoje łóżkowe sprawy.

- Pat się wścieknie. Nie mogę się doczekać, żeby jej powiedzieć...

- Mówiłem ci - zdenerwował się stary - żebyś nie wtykał nosa w nie swoje sprawy.

Rozbawiony Drogue junior otworzył przyczepę, w której czekali na niego Hueffer i Toby

Blakely. . - No i co - zwrócił się o nich - dalej uważacie, że będzie padało?

- Nie sądzę - przyznał Hueffer.

Drogue przez dłuższą chwilę przyglądał się swojemu asystentowi. - A jakiego zdania jest Blakely?

Hueffer zaczerwienił się, urażony.

- No więc myślę - powiedział Toby Blakely - że nie poradzimy sobie ze sceną z wozem, jeśli się rozpada. - Nie przerwiemy zdjęć z powodu deszczu - niespodziewanie zmienił zdanie Drogue. - Jak przestanie padać, skończymy przy sztucznym, z sikawek. - Racja, szefie - zgodził się Blakely. - To będzie coś. Te chubascos mogą potrwać godzinę, ale nieraz nawet trzy dni.

- W tej chwili interesuje mnie tylko następna scena - powiedział Drogue. - Niech mnie szlag, jeśli nakręcę ją w deszczu. Jeżeli będzie lało przez tydzień, to go prze-czekamy. Zdezorientowani Hueffer i Blakely z powagą skinęli głowami.

Młody Drogue długimi krokami ruszył w stronę planu. Hueffer i Blakely dotrzymywali mu towarzystwa, a Drogue senior spokojnie szedł za nimi.

- To w końcu zdecyduj się - idziemy do domu, jak się rozpada, czy jak będzie pogoda?

- Lepiej zróbmy finałową scenę dzisiaj - wtrącił się Blakely. - Od jutra może padać.

- No to zapieprzaj na swoje miejsce, Toby - powiedział młody Drogue.

Hueffer i Blakely wrócili na stanowiska. Drogue za-uważył producenta, Charliego Freitaga, stojącego w to-warzystwie swojego zastępcy w eukaliptusowym zagaj-niku, w pobliżu szyn, po których poruszał się wóz. - Że też musiał pojawić się akurat teraz - powiedział z goryczą młody Drogue. - Paskudna pogoda, nie ma zadaszzonego stanowiska dla kamery - i zaraz pojawia się Charlie. Możesz zademonstrować mu cztery godziny fantastycznego materiału zdjęciowego, a on ci ryźnie wytyczne na pięć godzin czytania, tylko dlatego, że jakiś statysta nadepnął na gwóźdź.

- No cóż, czymś musi się zająć - powiedział stary Drogue.

Lu Annę, siedzącą na składanym krzeselku przed swoją przyczepą, poddawała się ostatnim zabiegom Ri-cuttich. Bardziej wyczuła, niż zobaczyła, pajęcze kroki Drogue'a. Spojrzała na niego, a on rycerskim gestem podał jej ramię. Gdy wstała, ujrzała, że Lowndes nie ruszył się ani na krok z miejsca, gdzie go zostawili. Rozmawiał z nim Charlie Freitag, mimo to pisarz nie-przerwanie patrzył na nią.

- Czy ten cały Lowndes nie działa ci na nerwy? - za-pytał Walter Drogue.

Zapewniła reżysera, że wszystko w porządku. Ale chociaż przywykła, że ją oglądano, ta uporczywa obser-wacja męczyła ją. Zbyt wiele oczu przez cały czas śledziło każdy jej ruch.

- Teraz moja kolej? - zapytała.

Drogue skinął potakująco głową.

- Chyba masz rację, powinna siedzieć. Teraz wygląda dużo lepiej. Chcesz zrobić próbę? Myślę, że moglibyśmy zaoszczędzić trochę czasu, gdybyśmy kręcili od razu. Jeżeli możesz...

- Dobrze - zgodziła się. - Lecimy.

Drogue przyjrzał jej się uważnie.

- Dasz radę poruszać się w tej spódnicy? A buty? - Kostium jest niczego sobie. Jeżeli oczywiście od-powiadają ci te kolory.

Vera Ricutti podbiegła i poprawiła kraj sukni Lu Annę. - Wstążka przy kapeluszu kolorem pasuje do parasolki - powiedziała do Drogue'a. - Taka panowała wtedy moda. - Jest jasnozielona - odrzekł Drogue. - Czy to kolor śmierci?

- Bień sur - powiedziała Lu Annę.

- Na pewno nie chcesz próby?

- Daj mi tylko kilka chwil, Walter.

- Dobrze. Postaraj się dla mnie, mała. - Gdy od-chodziła, zawołał za nią: - Pamiętaj o starej dobrej szkole: nicość i żal.

Uśmiechnęła się do niego. Przechadzała się tam i z po-wrotem pod olbrzymimi drzewami gumowymi. bien sur (fr.) - oczywiście - Jeżeli mam wybierać pomiędzy nicością a żalem - recytowała - wybiorę żal. - Jej słowa były zaledwie słabymi dźwiękami, ginącymi pośród szeptów dobiegają-cych spomiędzy poruszanych wiatrem gałęzi drzew. Niepokój. Nicość. Żal.

Joe Ricutti walczył z podmuchami wiatru, próbując utrzymać na przenośnym stoliku sprzęt do charak-teryzacji. Drogue stał obok i patrzył z uwagą na Lu Annę.

- Jak ona się czuje? - zapytał charakteryzatora.

- Dobrze, panie Drogue. Mówi całkiem do rzeczy.

Prawie.

Drogue odwrócił się do Very, która milcząco skinęła głową.

Podszedł do nich Hueffer, przejęty i spocony.

- Przyszło mi coś do głowy, Walter.

Drogue nie reagował.

- Jakby to wyszło, gdybyśmy użyli do sfilmowania jej jazdy szesnastomilimetrowego obiektywu? - Nieciekawie - odparł Drogue. - Wypadłoby do kitu, nic więcej.

- Naprawdę tak uważasz? - spytał przejęty Hueffer. - Jak chcesz, porozmawiamy o tym później - powie-dział Drogue uprzejmie. - Teraz wszyscy na miejsca! Hueffer wrócił za kamerę.

- Za dwie minuty zaczynamy! - zawołał. - Wszyscy na plan!

- To osioł - powiedział Drogue do Ricuttich. - Nadęty matoł.

Nic nie powiedzieli, tylko Joe Ricutti wzruszył ra-mionami.

- Jeżeli muszę wybrać między nicością a żalem - recy-towała Lu Annę, stąpając po wyschniętej ziemi - to wybiorę ciastka i sos. Jambalaya i gulasz z ostryg. To był wybór dokonany przez Ednę. Lu Annę doszła do wozu. Czuła na sobie lawinę spojrzeń:

Lowndesa, Bly'ego. Wszystkich. Jakby tego było mało, ma przyjechać Wal-ker. Ale to Edna miała kłopoty. Ta piękna kobieta w lustrze.

- Cicho - szepnęła Lu Annę. Ednę pewnie zastanie w domu, z Posepnymi Przyjaciółmi.

Niezależną i odważ-ną. A ja, pomyślała, jestem strachliwą wariatką. Edna prędzej odda życie za przyszłość swoich dzieci, niż pozwoli, by opętały ją monstra. Lu Annę została sądownie uznana za beznadziejną matkę, więc dlaczego wydaje jej się, że jest Edną?

Kobietą stworzoną do wyższych celów niż opieka nad własnymi dziećmi? Ale to na jedno wychodzi, pomyślała, finał będzie taki sam. Tylko że ty chcesz więcej, chcesz być Królową, chcesz być Rozalindą. Edna, podążająca ku śmierci, nie czuła nic prócz ciepła słonecznych promieni. Przynajmniej według autorki po-wieści. W scenariuszu Walker dopisał, że umarła sprag-niona bogatszego życia. Według niego, samobójcy zawsze pragną czegoś więcej.

Przedzierała się przez cienie olbrzymich drzew, stąpając po jasnych plamach słońca; odbita światłość niepokoiła ją i ekscytowała. Nawet gdy zamknęła oczy, jasność tkwiła pod jej powiekami.

Las był pełen duchów, wśród nich wypatrywała Edny. Ale widziała jedynie twarze dzieci; zabłąkały się, a ona wytrwale ich szukała. A może sama się zagubiła? Wśród niepokojącej poświaty zastukała do drzwi pier-wszego napotkanego domu na skraju miasta. Jak jej się wydało, po raz pierwszy uczyniła to ze śmiałością dorosłej osoby. Przez dłuższy czas - zapamiętała, że trwało to długo - drzwi pozostawały zamknięte. Potem uchyliły się i w wejściu pojawiła się olbrzymich rozmiarów sylwetka ojca. Spojrzenie zatrzymał gdzieś daleko za jej plecami. Więc powiedziała:

- Jestem tutaj, tatusiu.

Po chwili opuchnięta pijaństwem twarz ojca zwróciła się w jej stronę, zaczerwienione oczy pozbawione były wyrazu.

Jego usta powiedziały:

- Myślałem, że dobją się jakaś realna istota. - Rozległ się śmiech, może jego?

- Istnieję naprawdę, tato.

Pełniejsze życie, pomyślała Lu Annę, to jest to, czego nam trzeba.

Potem wszyscy byli gotowi, a Ricutti otarł jej policzki. - Płakałaś - stwierdził. - Oczywiście masz czerwone. - Gdy spojrzała na niego, opuścił rękę z chusteczką. - Daj spokój. Otrzyj tylko pot.

Gdy byli gotowi, usiadła na swoim miejscu, na ławeczce na wozie. Drogue dał sygnał i wagonik potoczył się, unosząc ją. Ujrzała pola pokryte martwymi rumiankami. Wtedy odnalazła Ednę, tę rozumiejącą, ile warte jest życie i na jakich warunkach mogłaby się z nim pogodzić. Edna знаła różnicę między życiem a niebytem i wiedziała, co to jest szczęście.

Lu Annę przyszło do głowy, że nie wie nic o tych sprawach. To bardzo źle, bo to przecież ja mam być tą rzeczywistą, nie ona, pomyślała, w końcu to ja tu jestem. Gdy wóz powracał do kolejnej powtórki, ujrzała, że Walter spogląda na nią okiem kamery, i zaczęła się zastanawiać, kogo on w tej chwili widzi. Może tylko jej filmową postać. Za reflektorami stali Bly, Lowndes i Charlie Freitag i wszyscy w milczeniu patrzyli na nią. Rozpłakała się.

- Co tam u Edny? - zapytał Walter Drogue. Mówił nie odrywając się od kamery. - Co wybrała? Nicość czy żal? - Nie mam pojęcia - powiedziała Lu Annę. ro kilku godzinach jazdy, już za południową granicą, Walker odpoczywał w obszernym, chłodnym pomieszczeniu, którego górna część niknęła w ciemnościach. Cztery snopy światła spływały z niewidocznych reflektorów zamontowanych w suficie, tworząc na podłodze jasny prostokąt, niczym ognisko na polanie. Jedna wiązka oświetlała biurko koloru kości słoniowej, przy którym siedziała młoda kobieta o orientalnym typie urody, ubrana w biały pielęgniarski strój. Inna wiązka promieni padała na przypominającą ołtarz, dwupoziomą platformę, na której rozmieszczono rośliny puszczy, indiańską ceramikę i pierzaste węże. Kontrast pomiędzy oślepiającym słońcem pustyni na zewnątrz a tym jakby podmorskim półmrokiem, był uderzający. Walker pomyślał, że zestawienie prymitywnego sanktuarium z innymi elementami nieco futurystycznego wystroju wnętrza sprawia wrażenie sztuczności, ale właśnie tego mógł spodziewać się w instytucji prowadzonej przez dr. Er Siriwai. Wszelkie urządzenia medyczne skrzętnie pochowano i nic w tym wielkim pomieszczeniu nie przypominało o chorobie. Jednak Walkerowi wydało się, że w rozkosznie chłodnym powietrzu wyczuwa słabą woń rozkładu. Pomyślał, że to pewnie wytwór jego wyobraźni.

Młoda kobieta zza jasnego biurka wywołała jego nazwisko. Gdy podszedł, z uśmiechem podała mu lśniącą broszurę i wskazała na ciemne wejście, które otworzyło się przed nim. Bosonogi służący, najwyraźniej z plemienia Majów, poprowadził go korytarzem wyłożonym brązowymi płytkami.

Mają zaprowadził go do patio, gdzie stojąca pośrodku fontanna przywodziła na myśl hiszpańskie klasztorne ogrody. Wokół rosły przeróżne zioła, pomarańczowe i cytrynowe drzewka. Sporą przestrzeń obsadzono czerwonymi i żółtymi makami. Powietrze miało tu delikatny i czysty zapach rozsądku.

Walker usiadł w cieniu na kamiennej ławce i przejrzał broszurę. Opisywano w niej osiągnięcia Er Siriwai, doktora medycyny, który urodził się na dachu świata, ukończył, jak Mulligan, Królewską Akademię Medycyny w Dublinie, a potem przyjechał do Ameryki, gdzie odkrył swoje nadprzyrodzone talenty uzdrowicielskie i został lekarzem filmowych gwiazd. Dalej opisywano jego pełną poświęcenia pracę, szczegółowo

udokumentowane ba-dania naukowe, rozwodzone się nad oszczerstwami, rzuconymi pod jego adresem przez medycznych faryzeu-szy, w końcu - nad jego odejściem na pustkowie, gdzie lecznicze wizje przybrały realny kształt i rozkwitły jak figa, daktyl, migdał i inne, nie mniej inspirujące drzewa. Walker oderwał wzrok od broszury, uniósł głowę i ujrzał swego starego przyjaciela Siriwai, wchodzącego do ogrodu. - Cześć, doc - powitał go. -

Wygląda na to, że nieźle ci się wiedzie.

Dr Siriwai, niewielki mężczyzna, którego biały strój uzupełniała lekarska lampka na czole, robił duże wrażenie, chociaż nieco przypominał dziecięcą zabawkę - dok-tora od lalek.

- Chodź, odejźmy do więzienia - deklamował Siriwai.

- Tam, we dwoje, będziemy śpiewać jak ptaki w klatce. Gdy poprosisz mnie o błogosławieństwo, uklękne i po-proszę o wybaczenie: więc będziemy żyć i modlić się, i śpiewać, i opowiadać stare historie, i śmiać się z po-złączanych motyli...

Doktor, wyraźnie poruszony, na chwilę stracił głos. Walker podziwiał go za łatwość, z jaką potrafił recytować wiersz o więzieniu, bo kiedyś Siriwai ledwo udało się uniknąć tego upokarzającego doświadczenia. Był wtedy w kolonii filmowców wziętym "lekarzem od recept", i dwa czy trzy razy omal nie powięła mu się noga, gdy jego "pacjenci" przeholowali.

- I roztrzasać - ciągnął mały doktor, gdy znów przy-szedł do siebie - tajemnicę istnienia. Jakbyśmy byli agentami Boga.

Angielski doktora Siriwai nosił wyraźne piętno jego zasnutego chmurami rodzinnego kraju i Dublina. - Tak bardzo chciałem cię zobaczyć na scenie, Gordon. - Na Boga, tyle lat upłynęło od czasu, gdy ostatni raz oglądałem Leara. Chyba grał go Donald Wolfit. Sir Donald Wolfit.

- No cóż, szkoda, że ci się nie udało.

- Przeczytałem o tym w "Variety" - powiedział dr Siriwai. Usiadł na drugim końcu kamiennej ławeczki, na piętach podwiniętych pod siebie nóg. - Natychmiast pomyślałem: Czy on już wystarczająco się zastarzał, żeby grać Leara? Czy dowiedział się już dość o życiu, żeby od wodewilowych kawałków przejść do tragedii takiego kalibru? - O tak, na pewno - odrzekł Walker.

- Czy to możliwe, Gordon?

- Przypomnij sobie, jak to jest w branży, doc. Idzie ci - chwałę cię, potkniesz się i już nie są tacy mili. Szybciej poznasz życie od podszewki.

- Wciąż zmagasz się z pisaniem? Jesteś w drodze do B.H.? "Przebudzenie"?

- Pewnie o tym też wyczytałeś w "Variety". - Nigdy się niczego nie nauczysz, Gordo, jesteś bez-nadziejnym przypadkiem.

- Chyba masz rację.

- Chcesz coś na uspokojenie, tak?

- Jakbyś był tak miły, doc.

- Dobrze - powiedział Siriwai. Wyprostował się i znik-nął wśród karłowatych cytrusów.

Po chwili wrócił z trze-ma tekturowymi pudełeczkami z hiszpańskimi napisami. - To

jedyna prawdziwa Quaalude, dostępna w tej okolicy - powiedział. - Reszta to podróbki.

Robią je z mannitolu, zasyпки do stóp, i Bóg wie z czego jeszcze. - Doceniam twój gest,

doc. - Walker sięgnął do portfela. - Zatrzymaj swoje pieniądze, człowieku. Niewielka, przyjacielska przysługa. Podaj dalej. Mam na myśli przysługę, nie to świństwo.

- Jak dotrę do B.H., na plan, pozdrowię ich od ciebie.

Mnóstwo ludzi zachowało o tobie serdeczne wspomnienia. Dr Siriwai usiadł na skraju

ławki, tym razem z opusz-czonymi nogami, na zachodnią modłę. - Niewątpliwie

wspominają serdecznie mój kuferek.

Moje narkotyki, środki na uspokojenie, moje usługi. Walker ujrzał, że na trillium, w ocienionym kącie ogrodu, nadal utrzymuje się rosa.

- Pamiętam, że byłeś wielce poszukiwanym partnerem do pokera.
- Zgadza się - przyznał doktor. - Zajadłym hazardzistą, beznadziejnym przypadkiem. Zawsze przegrywałem, i to sporo. - Obserwował Walkera. - Nie jesteś zdrowy - powiedział po chwili. - Mówiąc bez ogródek: wyglądasz bardzo źle.
- Myślałem, że po pobycie w B.H. mógłbym na jakiś czas skryć się u ciebie przed światem
- powiedział Walker. - I oczyścić się.
- Jeżeli chcesz posłuchać mojej rady, zrób to od razu. Odstaw kokę i całą resztę. Wiem, że wachasz, widać to po tobie. Lepiej przestań, Gordon, nie jesteś już młodzie-niaszkciem, chyba wiesz o tym.
- Moje życie trochę wymknęło mi się spod kontroli -wyjaśnił Walker. - Zanim odpocznę, chciałbym pokonać jeszcze jeden etap.
- Odpoczniesz w grobie, Gordon. Na rany Boga, czło-wieku, jak cię zobaczyłem, pomyślałem, że przyszedł któryś z moich klientów.
- Nie czuję się aż tak źle. Teraz jadę do B.H. zobaczyć, co wyprawiają z moim scenariuszem. A przy okazji, dlaczego nazywasz ich klientami, a nie pacjentami czy czymś... przyjemniejszym?
- Bo za takich ich uważam, Gordon. Nie nazywam ich świniami, naciągaczami czy frajerami. Dla mnie są klientami, a ja ich dealerem.
- Rozumiem.
- Masz zamiar zobaczyć się z tą schizofreniczną ma-rionetką? Z tą małą kreaturą z Południa o otepiałych oczach, z tą Lee Verger?
- Ona zawsze cię lubiła, doc i myślę, że oczekiwałaaby, że będziesz o niej dobrze mówił.
- Nie dawaj jej kokainy, Gordon, żadnej koki. Chyba że chcesz zobaczyć, jak wariuje, wtedy daj jej trochę. Zapamiętaj moje słowa: schowaj przed nią to świństwo, wyrzuć, zanim się połapie, że coś masz. - Zapamiętam - obiecał Walker.
- I na miłość boską, dbaj o siebie. Uważaj zwłaszcza na alkohol - to naprawdę bez sensu. Jeżeli stracisz wątrobę, no to... - dr Siriwai wzruszył ramionami z wy-razem niesmaku na twarzy - Bardzo nieprzyjemny spo-sób umierania, Gordon. Prawie taki zły jak... przy cho-robach, które tutaj leczę.
- Wiem, jak to jest - powiedział Walker. - Mój tata tak umierał.
- Pamiętasz, co W.C. Fields mówił o śmierci?
- Powiedział, że wolałby pobyt w Filadelfii. - Nie to miałem na myśli. Twierdził, że Śmierć to Mężczyzna w Jaskrawej Koszuli Nocnej. Rozumiesz? W tych słowach zawarł całe swoje delirium. Fields był całkowicie pogrążony w bibacius dementia, Gdy odcho-dził, śmierć pewnie jawiła mu się jako mężczyzna w jas-krawej koszuli nocnej. - Dr Siriwai zachichotał. - Podobają mi się twoje maki - powiedział Walker - ale zawsze myślę o nich jako o kwiatach polnych. Nie pasują mi do ogrodu.
- Dr Siriwai uśmiechnął się do jasnego, błękitnego nieba. - Tak, maki. Słodkie zapomnienie. - Zamknął oczy. - Jeżeli zdradzisz nas umierających, nie zaśniem, choć maki kwitną na polach Flandrii.
- Dajesz to swoim... klientom, czy pomaga?
- Pomaga? Mój drogi, z pewnością leczy raka.
- Naprawdę?
- Chciałbym mieć dziesiątaka za każde skreślone już życie, które tu uratowaliśmy, Gordon. Niektórymi przy-padkami sam byłem zaskoczony. Po czymś takim nabiera się szacunku do leczniczych możliwości natury. - Tylko to? A co z psychoterapią?
- Nie ma cudów, Gordon. Ja, stary, w nie nie wierzę, ty chyba też. Psychoterapia - na pewno tak, ale równo-cześnie kuracja ziołowa, dieta, ćwiczenia i tak dalej. Całość. Metoda całościowa.
- Cokolwiek by powiedzieć, przyjemnie tu - zauważył Walker.

Dr Siriwai zachmurzył się.

- Tu można się nauczyć gromadzenia wewnętrznej energii. Świat jest pełen negatywnych zachowań. Uczę mój personel, aby mieli pozytywne podejście do życia. Mówię ludziom, żeby z całych sił walczyli, inaczej pójdą na dno. - A więc niewielu tracisz... klientów.

- Na niektórych, Gordon, przychodzi ich pora, i nie mają prawa ociągać się z odejściem. Ale nie należy wycofywać się z umowy. Nadzieja jest ostatnią deską ratunku, gdy już wszystkie inne środki zawiodły. - Szkoda, że nie możesz uratować każdego. - Szkoda, jakże wtedy szłyby interesy... Ale dajmy spokój tym skomplikowanym rozważaniom. - Byłem po prostu ciekaw, czy wierzysz w sens swojej pracy - powiedział Walker.

- Wierzę w nadzieję - odrzekł dr Siriwai.

- W ostatnią deskę ratunku?

- Dokładnie tak.

- Czas na mnie - oświadczył Walker. - Mam przed sobą jeszcze kilka dobrych godzin jazdy. - Powiedz w recepcji, żeby ci dali słaby środek pobudzający. To ci ułatwi jazdę po tutejszych drogach. Uścisnęli sobie dłonie i Walter podziękował za Qua-alude.

- Nie zapomniałem cię, Gordon. Pamiętam nasze wieczory pod palmami, spędzane na długich dysputach, przy butelce. Zawsze uważałem cię za faceta z głową. Ale wiesz, nie mogę sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek widział cię przy pracy. Nic, co zrobiłeś, nie utkwilo mi w pamięci.

- Przykro to słyszeć, doc, myślałem, że podoba ci się to, co robię.

- Z pewnością tak było, Gordon, ale twoja praca - muszę to powiedzieć, wybacz - nigdy do głębi mnie nie poruszyła.

- Praca w filmie to efemeryda.

Dr Siriwai poklepał Gordona po ramieniu. - Trafnie to ująłeś: efemeryda. Zapewne na tym polega istota mediów. - Oczy Siriwai zalśniły jasnym blaskiem. Wziął Gordona pod ramię i poprowadził po ogrodzie. - Kiedyś miałem własną listę, oczywiście nie spisana, tylko w głowie, ludzi, których uważałem za nieprzeciętnie utalentowanych. Albo wyjątkowo w czymś dobrych. Albo zdolnych, lecz nieautentycznych. Albo utalentowanych, którzy roztrwonili swój talent. Widzisz, nie byłem zwyczajnym konowalem, nieczułym na artystyczne aspekty filmu. Potrafiłem docenić pracę tych, których poznawałem jako pacjentów. Ale w twoim przypadku, Gordon - kocham cię, stary, bardzo - w żaden sposób nie potrafię przypomnieć sobie rzeczy, jakie robiłeś. Nawet nie pamiętam, do której grupy trafiłeś. - Do tych kochających innych - odpowiedział Walker. - O tak, dobrze powiedziane - Siriwai lekko klasnął w swe miękkie dłonie.

- Byłem w porządku. Jak większość w tej branży zaczynałem jako dzieciak. Nie miałem przygotowania i nigdy nie traktowałem aktorstwa poważnie, jak by należało. Zbyt późno nauczyłem się tego rzemiosła. A co do pisania - to, co robiłem, każdy by potrafił; nigdy nie brałem się za nic poważniejszego, oprócz oczywiście tego show. Tej opery.

- Nigdy nie dopchałeś się do reżyserowania?

- Nie.

- Szkoda - powiedział Siriwai. Gdy skończyli rundę wokół ogrodu, puścił ramię Walkera.

- Może za szybko się poddawałeś. Natychmiastowe korzyści pociągają młodego człowieka - sam dobrze to pamiętam. Nie należy zbyt wiele poświęcać dla doraźnych korzyści, dobrze o tym wiesz. W ostatecznym rozrachunku i tak trzeba za wszystko zapłacić.

- Przypuszczam, że tak się właśnie stało. - Spójrz na mnie - powiedział dr Siriwai.

Myślisz pewnie, że jestem w dobrej sytuacji. Patrząc z boku, pewnie sam bym sobie zazdrościł. Ale ja wiem, jak jest naprawdę. Mam ponad sześćdziesiąt pięć lat, Gordon, i zgodnie z Wedami powinienem być już wolny i powrócić do gór, swobodny jak ptak, by medytować i rozmyślać od rana do wieczora. Ale widzisz, nie mogę. - Dlaczego? Siriwai

roześmiał się wesoło. - Bo nie udało mi się, dokładnie tak jak tobie. Nie wykonałem swojego zadania. Gdy studiowałem przy Great Denmark Street, myślałem, że powrócę w rodzinne strony jako lekarz. Że w wysoko położonych dolinach będę wędrował przez wiszące mosty, narażony na spotkanie z zarazą i rozbójnikami, mając tylko książki za towarzyszy. Ale w końcu nic z tego nie wyszło. - Potrząsnął głową i zamyślony odchrząknął kilka razy. - W drodze z Dublina do Londynu spotkała mnie dziwna przygoda. Czyba słyszałeś coś o indyjskiej karmie? - Bardzo popularny obecnie termin, słyszy się go wszędzie.

- A więc, było to wiele lat temu - ciągnął doktor - właśnie przesiadłem się z promu z Dun Laoghaire na pociąg Holyhead-Euston. W drodze, gdzieś koło Bangor, przychodzi kolejarz z pierwszej klasy, szuka lekarza. Cóż - pomyślałem, chodzi o mnie. Więc poszedłem za nim i kilka wagonów dalej, w pustym przedziale, widzę młodego człowieka, o rysach szaleńca, siniejącego na twarzy. W ręce trzyma pustą fiolkę po Nem-butalu. Zawołałem, żeby zatrzymali pociąg, i odjechałem z tym młodzieńcem, moim pierwszym pacjentem, do najbliższego szpitala, gdzie go przepłukali i przywrócili krainie światła. A potem dowiedziałem się, że gość powrócił do zdrowia. W szpitalu poznał młodą i piękną walijską pielęgniarkę, w której, z wzajemnością, zakochał się do szaleństwa. I którą następnie udusił. Oczywiście powiesili go. Trochę mnie ta sprawa przygnębiła. Pierwszy pacjent, wartość życia i temu podobne mrzonki. Myślę, że w dzisiejszych czasach rodzina dziewczyny nie zostawiłaby mnie w spokoju. Po tym wszystkim dałem się uwieść wielkim pieniądзом i popularności, tak jak i ty.

- Z początku myślisz, że chodzi o forszę, potem już nie jesteś taki pewien.

- Dla mnie nie ma powrotu w góry, Gordon. Muszę tu zostać aż do śmierci. Z moimi klientami... - Czyba już pojedę - oświadczył Walker. - Chcę tam dotrzeć przed zmrokiem.

- Pozbieraj się do kupy, staruszk. Nadzieja to ostatnia deska ratunku, pamiętasz? Kto wie, może któregoś dnia dokonasz czegoś wielkiego. Tylko pamiętaj, co mówi Święta Księga: Nie obiecano nam jutra. - Dzięki, doc. Mam nadzieję, że nadal będziesz nieźle prosperował.

- Gordon, tak długo jak jest... cóż - roześmiał się szeroko ukazując złote zęby; Walker pamiętał to z dawnych czasów. - Wiesz, o co mi chodzi. Przez jakiś czas jeszcze mnie tu zastaniesz.

Gdy Gordon wychodził, doktor złożył dłonie, jakby go błogosławił.

W klimatyzowanym półmroku olbrzymiej przyczepy Drogue'owie, ojciec i syn, przeglądali taśmę z ostatnimi zdjęciami. Lu Annę na wozie, ciągle, średnio odległe ujęcie. Erie Hueffer i Lise Rennberg, szwedzka mon-tażystka, oglądali film razem z nimi. Siedzieli półkolem, na składanych, metalowych krzesłkach. - Uzbieraliśmy trochę całkiem niezłych fragmentów, na wypadek, gdybyś chciał z nich skorzystać - zwróciła się do reżysera Lise.

- Świetnie - odrzekł młody Walter Drogue. Zapalił lampę nad biurkiem.

- Walter - odezwał się pogodnie Erie Hueffer - nie będziesz mnie uważał za kompletnego idiotę, jeżeli spróbuję cię przekonać do zastosowania obiektywu czternastomilimetrowego przy tej albo następnej scenie? - Interesujący pomysł, Erie.

- Rany, Walter, godzinę temu nawet nie chciałeś o tym słyszeć.

- Czyżby? Zapewne zdecydowałem pochopnie. Oczywiście, Erie, możemy użyć czternastu milimetrów. I wtedy, zamiast drzew, wystarczyłyby nam jako tło pomalowane kurtyny. Sądzisz, że tak byłoby lepiej? - Przestań, Walter - zaprotestował Erie.

Lise Rennberg uśmiechnęła się pogodnie. - A może moglibyśmy wykorzystać taśmę z Caligari, co Erie? Żeby pokazać, że bohaterka jest u granic wytrzymałości?

- Najwyraźniej pomyliłem się - powiedział smętnie Hueffer i podniósł się z krzesła. Był wysokim, młodym człowiekiem, prawie o głowę wyższym od Waltera Drogue juniora, i

przebywając w przyczepie musiał ciągle pochylać głowę.

- Zapomnij o tym - powiedział młody Drogue. Gdy Drogue'owie zostali sami, jeszcze raz obejrzelni taśmę.

- Człowieku, to właśnie nazywam przestrzenią wypeł-nioną - powiedział młodszy, patrząc na ekran. Stary Drogue nacisnął klawisz "stop".

- Kazałeś jej płakać.

- Płakała, więc pomyślałem, że tak będzie najlepiej.

- Popatrz na ojca. - Nie podoba ci się? - Owszem, może to i niezłe, ale jakieś takie niepo-kojące.

Przewinął taśmę i zatrzymał niemal na tej samej klatce. - Coś... - zaczął cicho stary Drogue i potrząsnął z powątpiewaniem głową.

- O co chodzi? - zapytał junior. - Też chciałbyś kręcić tę scenę czternastoma milimetrami?

- Jesteś bardzo surowy dla tego młodego człowieka. To całkiem zdolny adept sztuki filmowej, do tego wielki entuzjasta. No wiesz... te czternaście milimetrów to rzeczywiście nonsens, ale można przecież domyślić się, o co mu chodzi. Ma głowę nabitą teoriami. - Ja też - rzucił gwałtownie Drogue junior. - Gdybyś nazywał się Hueffer, mogłoby się zdarzyć, że to ty zostałbyś asystentem reżysera, a on twoim szefem. I wtedy to on mógłby z ciebie kpić do woli, nie sądzisz?

- Co ty możesz o tym wiedzieć! - oburzył się syn. - Zrozumieć, przez co przeszedłem. Nie masz o tym najmniejszego pojęcia.

- Jeżeli nawisko tak bardzo ci ciążyło, mogłeś je zmienić.

- Byłem Walterem Drogue Gorszym.

- Bzdura - rzekł stary.

- I nigdy nie mogłem sobie pozwolić na takie idiotyzmy, jakie tu zasuwa ten pieprzony Hueffer. - Przestań się go czepiać. Masz szczęście, że go do-stałeś. Ten dzieciak może jeszcze dojść na sam szczyt. - No pewnie, i na niego przyjdzie kolej - powiedział kpiąco junior.

- Czyżbyś miał jakieś wątpliwości?

- Będzie chciał zrobić własny film i sprawy stopniowo zaczną mu się wymykać spod kontroli. Spróbuje różnych bzdur - na przykład ten niesamowity pomysł z obiek-tywem. I będzie chciał wszystko robić sam, aż wreszcie narazi się całej ekipie. Będą sabotować jego polecenia i dowcipkować za jego plecami, aż jego aktorzy wpadną w panikę. Na jego oczach wielka szansa zamieni się w kupę gówna. Będzie się bał pokazać na planie. - No cóż, właśnie w taki sposób powstają filmy - po-wiedział stary. - Co do mnie, jestem zbyt przesądny, aby przepowiadać klęskę swoich asystentów. - Ale przy takim facecie jak on można przyjąć, że to pewne.

Drogue senior znowu puścił taśmę. Razem z synem patrzyli, jak Lu Annę rozpoczyna swą podróż. - Da się na to patrzeć nie dłużej niż jakieś dwadzieścia sekund, prawda? -

upewniał się młody Drogue. - Zróbmy ciągłe, średnie zbliżenie, a potem powycinajmy to, co jest poza polem jej widzenia, nie sądzisz?

- Dlaczego kazałeś jej płakać?

- Cóż, po prostu płakała. A dlaczego by nie?

- To jakoś nie w typie tej postaci.

- Nikt, poza nami, tego nie zauważy.

- Tak sądzisz? - spytał stary Drogue. - Przecież Lu się rozsypuje.

- Na litość boską, tato, myślisz, że ja tego nie wiem?

Ale i tak wypadnie dobrze.

- Czy kiedykolwiek kręciłeś film z aktorką, która dostaje szmergla?

- Cóż, mam dwa wyjścia, prawda? Albo sprawić, żeby nie wariowała, albo skończyć film z Lee Verger taką, jaka jest. Co ty byś proponował?

- Jej typ szaleństwa - zaczął stary - wychodzi na zdjęciach nawet niezłe.
- To prawda - przyznał syn.
- Ale tylko niektórym to się udaje, nie każdemu. - Jej - tak. Odkąd jej stary zaczął się pakować, Lu pracuje na sto dwadzieścia procent.
- Ale równie dobrze może wpaść w szal, już jej się to zdarzało.
- Wtedy pewnie sprowadzę tu Kurlandera albo przeżyję z nią piekło.
- Może do tego nie dojdzie.
- Niektóre sceny Walkera trzeba kręcić w Los Angeles, w atelier. Do tego czasu muszę ją zachować w jako takiej formie. - Taśma dobiegła końca. - Będę miał na głowie Walkera, a oprócz tego muszę zabawić tego przyjemniaczka - Lowndesa. Jeżeli przez ten weekend uda mi się utrzymać ją w ryzach, później jakoś sobie poradzę. - Życzę powodzenia - rzucił stary.

Wyszli w popołudniowe światło; młody Drogue po-patrzył na niebo. Nad nimi przejaśniało się i wiatr powoli cichł. Burza, jak odległa groźba, zawisła na horyzoncie, nad oceanem. Hueffer i Toby Blakely odkryli pod wozem tarantulę i dręczyli ją, szturchając patykami.

- One potrafią niezłe skakać - ostrzegł rozbawionych mężczyzn Drogue.

Hueffer natchmiast podniósł się z ziemi. - Wychowałem się wśród tarantuli - oświadczył Blakely. - Pokochałem je.

- Chyba miałeś rację co do deszczu, Erie. - Sądziś, że można by nakręcić spacer Lee jeszcze dzisiaj? - zapytał Blakely.

- Jeżeli nie będzie padało, trzeba to zrobić. Nigdy nie doczekamy się lepszego światła, a jutro może lać jak z cebra.

- Założę się - powiedział Hueffer - że dziś będzie piękny zachód słońca, zapowiadający poranne chubasco: półtora dnia nieprzerwanej, porządnej ulewy. - Jeżeli u mnie na planie zajmujesz się przepowiadaniem pogody, lepiej żebyś się nie mylił - powiedział Drogue - bo łatwo ci nie daruję. Fałszywe przepowiednie wyprowadzają mnie z równowagi.

- Myślę, że on ma rację - poparł kolegę Blakely. - Gdyby to były moje pieniądze, zapłaciłbym wszystkim za nadgodziny i zatrzymał na miejscu. To lepsze niż jutro oglądać deszcz.

- Porozmawiam z Lu Annę - powiedział Drogue. - Zre-sztą jest tu producent, możemy się z nim naradzić. To zawsze duża frajda.

Spojrzał w dół i dostrzegł tarantulę zbliżającą się do jego buta.

- Lepiej żebyście się nie pomylili - powiedział. Podniósł stopę i wdeptał stwora w piasek. - Jeżeli nie... Blakely popatrzył mu prosto w oczy. - To, co zrobiłeś, na pewno sprowadzi deszcz, szefie.

Razem z Drogue'em patrzyli, jak młody asystent rusza na poszukiwanie Axelroda, kierownika ekipy. - Lubisz tego szczeniaka? - zapytał Drogue operatora.

- Tak - przyznał Blakely. - Nawet dosyć. A ty? Drogue zajął się zdrapywaniem włochatych resztek pająka z podeszwy buta, a potem otarł go o krawędź wozu. - Nie uważasz, że jest w nim coś z dupka?

Blakely przez kilka sekund patrzył w oczy reżysera.

- Może - powiedział niechętnie.

Drogue skinął głową z pogodnym wyrazem twarzy. - Ja też, w sumie, nawet go lubię. I Lu Annę cierpliwie poddawała się szczotkowaniu włosów; Vera Ricutti składała już ostatnią z bawełnianych sukienek Edny Pontellier i odkładała szpilki do tekturowego pudełka.

- Rany! - zawołała Lu Annę - robili z ciebie bóstwo, a potem wysyłali w świat z większą ilością szpilek i haczyków, niż ma przynęta na okonie. Wielbiciele mogli się pociąć na kawałki.

- To nie pozwalało im ani na chwilę zapomnieć o dob-rych manierach - wtrącił się Joe Ricutti. Po chwili młody Drogue pojawił się obok przyczepy. Josette i Ricuttowie, nie

czekając na polecenie, pozbiali swój sprzęt i odeszli.

- Jak się czujesz, Lu Annę? - zapytał Drogue. Odrzekła, że doskonale. Gdy miała jeszcze na sobie sukienkę, szpilki sprawiały, że zamarzyła o obronie i ucieczce. Kolce. Pomyślała, że gdyby mogła, niczym kałamarnica wyrzuciłaby z siebie fale ciemności, oślepiła ich i uciekła.

- Chodźmy na spacer - zaproponował Drogue. Lu Annę narzuciła na bieliznę biały, cienki plażowy szlafrok. Trzymając się za ręce, zataczali olbrzymie koło pomiędzy drzewami.

- Chciałbym wiedzieć - spytał Drogue - czy zechcesz robić tę scenę dziś wieczorem. Jeżeli nie, masz do tego prawo.

Powiedziała, że w końcu to tylko chwila spędzona w wodzie. Zgodziła się kręcić; takiej odpowiedzi oczekiwano.

W przyczepie Vera Ricutti zapytała ją, czy życzy sobie jeszcze czegoś. Lee pomyślała, że ciemności. Chłodu i ciemności.

- Tylko przez chwilę dać odpocząć nogom. W chłodzie i mroku natychmiast do jej uszu dobiegł szept Posępnych Przyjaciół. Leżała nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami, nasłuchiwała.

Nieszczęsna... zaszemrał Przyjaciel. Zobaczyła go w lu-strze toaletki. Twarz ukrył pod czarną materią, spod której wystawał jedynie fragment poznaczonego żyłkami, sinego czoła i kawałek czaszki, ogolonej do gołej skóry, jak przed laty zwykły to czynić zakonnice. Wsparł się na swych wątłych, ważkowatych skrzydłach. Jak zwykle, mieli ze sobą przezroczyste, pełne gratów torby, ukryte pod skrzydłami albo pod zakonną, siermiężną suknią. Zapytani, co w nich noszą, zawsze dawali tę samą odpowiedź:

Les choses demodees.

Popatrzyła w lustro, by upewnić się, czy spojrzy jej w oczy. Ich twarze miały wygląd groteskowo dziecięcy. Czasem lubili, gdy się ich głaskało, czasem delikatnie przygryzali czubki jej palców dziecinnymi zębami. To w lustrze ukryło swą twarz. Lu Annę opadła na łóżko i skrzyżowała ramiona na piersiach.

Tu tombes malade, zaszeptał stwór. One były pełne macierzyńskiej troski.

- Niemożliwe, ja już umarłam - powiedziała. - Oplakuj mnie więc.

W następnej chwili walczyła o złapanie tchu, jakby niewidzialna kłoda przycisnęła jej pierś. Zapaliła światło i Posępni Przyjaciele skryli się w cieniu, niczym insekty w szczelinach ścian; ich szepty pochłoniął szum wen-tylatora. Delirium to choroba ciemności. Lekarstwa miała na półce, w łazience przyczepy. Poszła po nie, ale na sam widok pastylek jej ciałem wstrząsnął dreszcz nienawiści.

Słońce zachodziło nad oceanem, prawie dotykając górnej warstwy szarogranatowej, burzowej chmury. Stała na stopniach, owinięta szczelnie szlafrokiem, przez moment bliska paniki. W końcu zdecydowała się i ruszyła w stronę najbliższego wozu, garderoby George'a Buchanana. W odpowiedzi na jej pukanie, Buchanan wstał i odłożył kryminał Johna D. MacDonalda na stolik do makijażu. - Cześć, George - powiedziała zadyszana. - Cześć, Lu Annę. - Wyglądał na zaniepokojonego i poirytowanego. Miał surową twarz; od czasów swej młodości, to jest od lat pięćdziesiątych, grywał zawodowych morderców. - Nie widziałas mnie tutaj, rozumiesz? Ukrywam się.

- Co takiego?

- W bungalowie jest mój syn ze swoją dziewczyną.

Przyszedłem tu, żeby dać im trochę... jak to nazwiemy? - George - powiedziała afektownie dziewczęcym głosem. - Masz coś na uspokojenie?

Wyglądał na zaszokowanego. Przejęty jej prośbą, całą sprawę starał się obrócić w żart.

- Dla ciebie wszystko, Lu Annę, oprócz tego właśnie.

- Tylko odrobinę - prosiła.

- Hej, zapomniałaś, że to ja, Buchanan, który postanowił trzymać się życia. Na Boga, Lu

Annę, przecież wiesz, że rzuciłem to świństwo - próbowało mnie zabić. Potrząsnęła głową zmieszana.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że mnie o to poprosiłaś. Zatrzasnęła drzwi jego przyczepy i gdy odwróciła się, ujrzała Dongana Lowndesa, najwyraźniej zmierzającego do jej garderoby. Zdążył zobaczyć, jak wychodziła od Buchanana, i nie omieszkał dać jej tego odczuć. - Panie Lowndes, przykro mi, ale nie pamiętam pańskiego imienia. - Zagryzła wargę; nie mogła pozbyć się pretensjonalnego, jęśliwego tonu.

- Mniejsza o to - powiedział Lowndes. - Możesz mi mówić Skip.

- Skip - powtórzyła. - Nie masz przypadkiem przy sobie czegoś na uspokojenie? Może w hotelu? - Nie - odpowiedział. - Ani narkotyków, ani niczego innego.

- Ojej - westchnęła Lu Annę i uśmiechnęła się do Lowndesa rozbijając. - Miałam nadzieję, że coś się u ciebie znajdzie.

- Przykro mi - powiedział Lowndes i zabrzmiało to szczerze. Zauważyła, że chce jej się przypodobać. - Nie pogardziłabym nawet alkoholem. Nie mam zwyczajnie pić przy pracy, ale niewielka ilość, od czasu do czasu, może dodać animuszu.

- Pewnie - zgodził się z nią. - Ale ja już przestałem pić.

Zwyczajnie nie mogę. Zamów butelkę w recepcji.

Odwróciła oczy udając poczucie winy. - Nie chcę, żeby się o tym dowiedziano. -

Przerwała i westchnęła. - Dongan, ty nie mógłbyś? - Skip - przypomniał.

Spojrzała na niego zniecierpliwiona.

- Skip - powtórzył. - Mów do mnie Skip. - Brzmi nieźle. Pasuje do ciebie to imię. Załatw dla nas butelkę, Skip, i cichcem sobie łykniemy. - To raczej nie dla mnie, przestałem pić. Patrzył na nią przez chwilę i na jego grubych wargach ukazał się niewyraźny uśmiezek zadowolenia. - Ale chyba mógłbym coś zdobyć.

Otworzyła szeroko oczy i głośno przełknęła ślinę. Więc idź wreszcie, przekonywała go w myślach, ty gównojadzie. Posępni Przyjaciele zarechotali z aprobatą.

- Szkołą? - zapytał. Spojrzenie miał zrezygnowane. Czy liczył na jej wdzięczność, czy zwyczajnie nie miał złudzeń - tego nie wiedziała i nie obchodziło jej to. - Tak - powiedziała, a jej głos zabrzmiał absurdalną pożądlivością - świetnie by było.

- Zdobędę dla ciebie butelkę - oświadczył. Głos zała-mywał mu się jak u подростka.

Lu Annę nie miała specjalnej ochoty na alkohol, ale w tej chwili potrzebowała czegokolwiek. - Wspaniale, Skip, pamiętasz samochód, którym przyjechaliśmy? No to idź tam i niech kierowca podwiezie cię do hotelu. Po flaszkę. Tylko zawiń ją, bo nie chcę, by pomyślano, że jesteśmy parą starych ochlapusów. - Dobrze, zapakuję ją w papier.

- A jak tam będziesz - powiedziała, gdy już oddalał się w stronę wozu - przy okazji zapytaj, czy pan Walker przyjechał, dobrze?

- Pan Walker - powtórzył Lowndes. - I dobrze zapakować... Po przeciwnej stronie planu ujrzała Jacka Glenna, aktora występującego w roli Roberta Lebruna, zajętego rozmową z Joe Ricuttim. Podeszła do nich. Kilka lat temu usłyszała, jak agent mówił o Glennie - urodzonym fecht-mistrzu, zonglerze, akrobacie i odtwórcy ról komediowych:

"On jest zbyt mały, żeby zostać wielkim". Gdy powtarzała tę historię, śmiano się i mówiono, że to echo minionego Hollywood. Ale agent pracował dalej i Jack Glenn, o wzros-cie pięciu stóp i dziewięciu cali, nadal bardzo nieregularnie dostawał role. Ktoś powiedział jej, że to dlatego, że Jack ma jasną karnację, a jasnoskóry aktor powinien być wyższy. Osoba ta dodała, że to kwestia semiotyki. Na dźwięk jej kroków Jack odwrócił się. - Ach! - zawołał z ręką na sercu - Les Douleurs d'amour. - Uniósł jej dłoń, zgrabnie pozorując pocałunek. Glenn był przystojnym biseksualistą; jakoś nigdy jej nie pociągał, może dlatego, że był tak jasny i niski. - Zbyt na to nie liczę - zaczęła Lu Annę - ale może od naszej rozmowy wpadło ci w ręce coś... no wiesz, coś... - To zbieg okoliczności, że o to pytasz.

- A więc masz! - wykrzyknęła radośnie. - Nie, ale też o tym myślałem. Miałem zamiar poprosić tego faceta.

Wskazała na Meksykanina w średnim wieku, ubranego w kurtkę safari, który wykrzywiony na twarzy badał nogę jednego z koni zaprzęzonych do wozu, nucąc przy tym Pieśń Wozu z "Meet Me in St. Louis". les Doulers d'amour (fr.) - cierpienia miłości - Kto to? - zapytała.

- Weterynarz - odrzekł Glenn.

- Co takiego?!

- Weterynarz - włączył się Joe Ricutti. - Zatrudniony z powodu koni, na wypadek choroby.

Lu Annę odwróciła się i przyglądała się pracy Meksykanina.

- Nigdy nie przypuszczałam, że po planie filmowym będzie się kręcić weterynarz.

- Ja zawsze myślałem, że oni, jak tylko coś się stanie, pakują koniom kulkę w łeb - próbował zażartować Glenn. - A co, nie robią tego?

- To jest jak Miasto Bez Nadziei - powiedziała Lu Annę. - Innymi słowy: sytuacja jest beznadziejna. - Lekarz ekipy... - powiedział Glenn - poskarż mu się, że nie potrafisz usnąć, a on ci powie, jak wielu gringo siedzi w Baja Norte. "Stu dwudziestu obywateli USA w więzieniu" - to jedyne angielskie zdanie, jakie zna. I dlatego pomyślałem o weterynarzu jako o tym, który mógłby nas poratować.

- Boże! - zawołała zdesperowana Lu Annę - środkiem na uspokojenie dla koni? A może STP albo "anielski kurz"?

- Jak ci da taki zastrzyk - powiedział Joe Ricutti - to przeskoczysz przez balustradę w Caliente i zatrzymasz się dopiero w Del Mar.

- Cóż, jakoś to zniemiemy, prawda? W najgorszym razie wszystko będzie miało czarną obwódkę, jak ne-krolog.

Jack Glenn roześmiał się.

- Ale z ciebie oryginał, Lu Annę.

- Jak wszyscy na tym plenerze. Łącznie z tobą. - Nie rozumiem, jak można tak lekko traktować te sprawy - powiedział Glenn z udanym oburzeniem. Lu Annę wiedziała, że to, czy zdobędą narkotyki, nie obchodziło go ani trochę. Chciał tylko za wszelką cenę być duszą towarzystwa. - Powinniśmy znaleźć kogoś, kto załatwiłby nam towar w L.A. i przywiózł razem z dzieńnym urobkiem.

- Może u Joy coś by się znalazło - zasugerowała Lu Annę.

Glenn potrząsnął przecząco głową.

- No to idę się położyć i umrzeć - oświadczyła. Poszła przez polanę do swojej przyczepy i przy wejściu natknęła się na Lowndesa, siedzącego na niewysokich, metalowych schodkach. Obok niego leżało brązowe za-winiątko. Wstał i podał jej Lu.

- Masz lód? - spytał.

Lowndes nie był jej potrzebny do szczęścia, pragnęła tylko alkoholu. Lub czegokolwiek. Otworzyła przyczepę, zastanawiając się gorączkowo, jakby się go pozbyć, ale on bez wahania wszedł za nią do środka i zamknął za sobą drzwi.

W lodówce znalazła trochę kilkutygodniowego lodu. Kilka razy uderzyła tacką o miniaturowy zlew, aby uwolnić kostki, równocześnie utrzymując na dystans pchającego się z pomocą Lowndesa. Na toalecie stały dwa plastikowe kubki; napełniła je lodem i whisky, jeden podała Lowndesowi.

- Musimy się uwinąć, Skip, dobrze? Jeszcze nie skończyłam pracy. - Jej słowa zlewały się, myślała tylko o tym, żeby się napić i spławić go. - Mój organizm domagał się czegokolwiek... wiesz, po wyjściu z wody muszę się rozgrzać. No tak, pewnie "rozgrzać" nie jest najlepszym określeniem. Prawdę mówiąc potrzebowałam czegoś, co by mnie trzymało na nogach do końca dzisiaj-szego dnia.

W porę przypominała sobie, że Lowndes robi reportaże dla poważnych czasopism i że

przybył do nich, by pisać o filmie. Z przerażeniem patrzyła, jak jego górna warga unosi się, odsłaniając niezdrowe, czerwone dziąsła. - Nie żebym miała zamiar grać na gazie - roześmiała się wesoło. - To nie w moim stylu. Nigdy... - urwała. Mężczyzna przed nią wyglądał coraz bardziej groteskowo i przestawała być pewna, czy to, co widzi, jest rzeczywiście-nością, i co naprawdę widzi. Coś w jego wyglądzie przywoływało nieprzyjemne wspomnienia, przypominał jej kogoś. Mogło być gorzej...

- Już dawno nie piłem - oświadczył.

- Naprawdę? No to cyk.

Po pierwszym łyku twarz Lowndesa wykrzywił grymas niesmaku, w oczach pokazały się łzy.

- Wiesz - zaczęła Lu Annę - jak skończę pracę, napijemy się jak należy. Posiedzimy, popijemy i porozmawiamy sobie, dobrze?

- Sądziłem, że natknę się na całą masę waśniaków, agentów i innych dupków. A tu niespodzianka; z przyjemnością się z tobą spotkam. - Dopił alkohol jednym haustem, jego twarz pokryła chorobliwa bladość. - Zjemy razem kolację?

- Doskonały pomysł - powiedziała Lu Annę wstając.

- Może być kolacja.

Posłała mu najpiękniejszy uśmiech, na jaki mogła się zdobyć. To aktorkojebiec - pomyślała. Pieprzy filmowe gwiazdy jak leci, a teraz ją chce zaciągnąć do łóżka, by móc przechwalać się koleżkom i bez skrupołów upokorzyć ją przed czytelnikami całej Ameryki. Banał. - Wspaniale - powiedziała. - Po pracy. - Położyła mu rękę na ramieniu i już miała popchnąć go w kierunku drzwi, ale przypomniała sobie, że powinna zachować pozory, i pozostawiła dłoń na jego ramieniu w serdecznym geście. Zdjęła mu z koszuli nieistniejącą nitkę. - Jak długo dziś pracujesz?

- Do zachodu słońca. Kończymy po szóstej. - Niech będzie - powiedział Lowndes. - Czekam w barze od wpół do ósmej, tam się spotkamy. - Czy on tu jest?

- Kto?

- Gordon, Gordon Walker.

- Przykro mi, ale zapomniałem zapytać. To ten scena-rzysta, prawda? Twój przyjaciel?

- Tak, stary przyjaciel. Hej, dzięki za szkocką - zawołała za nim. - Skip - dodała.

Przyniósł jej całą butelkę Dewar. Jedyny kłopot polegał na tym, że była to whisky, którą teraz czuć będzie w jej oddechu i w przyczepie. Musi więc przepłukać usta i rozpylić cały pojemnik najmocniejszego dezodorantu. Pierwszego drinka piła z ostrożną powolnością. Alkohol sprawił, że świat wokół niej uległ zmianie: przyczepa ze szkurzej budki z aluminium zmieniła się w chłodną, wspaniale wyposażoną kryjówkę. Przygasiła górne światła i zaraz okazało się, że stworzyła nowy, ciepły nastrój; z każdą chwilą robiło się przyjemniej. Po wypiciu pierwszego kubka napełniła naczynie do połowy. Ręcznikiem zwilżyła twarz, włączyła klimatyzację i całym ciałem chłoneła orzeźwiające fale powietrza. Egzemplarz scenariusza leżał na toalecie, otwartymi stronami do dołu, na scenie, którą miała teraz grać. Po chwili wahania wzięła skrypt do ręki, nie całkiem pewna, czy jest w nastroju do pracy nad rolą Edny, czy potrafi uwzględnić wskazówki Gordona, sprostać wyobrażeniom Kate Chopin. Wciąż od nowa czytała opis tej sceny. Był to punkt kulminacyjny powieści: wejście boha-terki w morze. Gdyby teraz otworzyła drzwi przyczepy, usłyszałyby techników pracujących nad przygotowaniem tej sceny.

Porusza się jak Kleopatra - napisał Walker - jakby wiedziona nieśmiertelnymi tęsknotami.

Wskazówki reży-serskie, po części pełne szekspirowskiej surowości, po części romantycznych uniesień - przeważnie absurdalne - były przeznaczone tylko dla niej. On chciał, by Edna stąpała niczym Królowa w "Antoniuszu i Kleopatrze", Akt V, Scena 2.

Ma poczucie wolności tak olbrzymiej, jakiej dotąd nie zaznała. Z dna rozpachy wzniosła się na wyżyny. Lu Annę położyła otwarty skrypt na kolanach. Napiła się trochę szkockiej.

- Naprawdę przesadzasz, Gordon! - westchnęła. Oczywiście myśl przewodnia powieści wymagała podo-bnego zakończenia. Ale czy poza granicami rozpacz króluje błogie uniesienie? Nigdy nie odkryła za rozpaczą niczego poza kolejną rozpaczą. Miałaby jeszcze kilka pytań do autora. Czy Walker rzeczywiście wierzy w błogostan po przekroczeniu granic rozpacz? Czy to onacza, że ona też ma w to wierzyć? I czy potrafi to zagrać? Na ostatnie pytanie знаła dopo-wiedz: z pewnością. Umiemy grać role, obojętnie czy uważamy je za prawdziwe czy nie. I jak raz je zagramy, zostaną z nami jak Larcenaire Jeana Pierre'a Rougemon-ta, Wyatt Earp Henry'ego Fondy, Jimmy Dean Jimmiego Deana. Błogostan ponad rozpacz! Chryste, mogłabym wyjść na środek sceny i stepować na tym skurwysynie. Zmęczyło ją roztrząsanie kwestii rozpacz na przemian z rozmyślaniami o Ednie i Walkerze, o tym, co istnieje, i o tym, czego nie ma. Co do ostatniego, nie była pewna i nie wiedziała, czy ma prawo do własnej opinii. Kto zresztą potrafi powiedzieć, co istnieje naprawdę, a co jest jedynie imaginacją? Kto potrafi zdefiniować stan błogości? Alkohol sprawił, że rozboleła ją głowa. I może się kiedyś zdarzyć, że spacerując nad wodą doznasz olśnienia. Zanurzasz się jak Edna i barn! Życie staje się bogatsze.

To podłe oszustwo. Walker miał rację: podążanie za przynętą zarzuconą przez los to umieranie, to droga przez śmierć.

Zapewne o tym myślał, nawiązując do "Antoniusza i Kleopatry", Akt V, Scena 2.

Bardzo sprytnie, Walker - pomyślała - ale wyjątkowo okrutne wobec starej przyjaciółki. Przez ostatni rok zmienił zakończenie - nie fabułę, lecz emocjonalną barwę. Przyszło jej do głowy, że Walker może spodziewać się śmierci. Albo nawet życzyć jej sobie. Lub Lu Annę. W końcu uznała, że nie ma sensu denerwować się. To tylko scenariusz, do tego adaptacja jakiejś tam powieści. "Wędrownica od rozpacz do błogości" to przecież tylko teatralny wymysł; jak zniknięcie w morskich falach o zachodzie słońca jest tylko filmem. Cały kłopot polegał na tym, że Walker, o czym była przekonana, zdawał się intuicyjnie rozumieć istotę egzystencji. Przeszłość, teraż-niejszość, przyszłość - znał wszystkie odpowiedzi. Ale on był pisarzem, a ona tylko sobą.

Wypiła jeszcze trochę; zaatakowały ją chaotyczne my-śli, głowa rozboleła na dobre. Połknęła kilka tabletek aspiryny, zgasiła światła i zapadła w fotelu. Z nogami na kanapie, ze szklanką w dłoni.

Co się dzieje, Walker? - pomyślała. Kim jesteśmy, w co się bawimy? Gdzie koniec, a gdzie początek? - Jestem rzeczywista - powiedziała na głos. Deklaracja wywołała gwałtowne pragnienie alkoholu i przeżucia tej myśli. Wiem, że istnieję. Wiem, co jest mną, a co nie. To jedyne, co wiem na pewno. Wypiła do dna zawartość kubka i upuściła go na blat toaletki.

Wewnątrz przyczepy panował półmrok. Promienie po-południowego słońca przeciskały się przez każdą szcze-linę wielkiej, metalowej budy. Posępni Przyjaciele pojawili się, by jak zwykle poplotkować z nią i połechtają swymi skrzydłami. Byli zawsze tam, gdzie panowała ciemność, gdzie rzeczywistość nie była już taka oczywista. Ich lawendowe oddechy odurzały jak narkotyki. - Bądźcie cicho - powiedziała z naciskiem. Jak gdyby nic plotkowali dalej. Z upodobaniem wy-mieniali uwagi o sprawach, które nigdy nie powinny ujrzeć dziennego światła: o skandalach, nie wykrytych zbrodniach.

Nie ustający ani na chwilę hałas zmusił ją, by wstała i włączyła światło. Ostał się tylko jeden Przyjaciel, skulony w najciemniejszym kącie pomieszczenia, z uśmiechem na twarzy bez wyrazu.

Te, które urodziłaś, nie wystarczają ci - powiedział do niej - a nie narodzonych jest zbyt wiele. - Nie mów mi o nie narodzonych! - oburzyła się Lee.

- Że też masz czelność wygadywać te bzdury o aborcji.

Dałam życie czwórce, ty zabrałeś jedno z powrotem.

- Odwróciła się w stronę trupiej twarzy w rogu przyczepy. - Czy chcesz, bym spędzała bezsenne noce? O nie, dziękuję bardzo. - Sypała przekleństwami w kreolskiej francuszczyźnie, aż zaskoczony stwór podniósł swe kre-dowobiałe, powykręcane palce, by zatkać uszy. Naśladując go, uniosła dłonie i przycisnęła do głowy. - Jesteś zarazą - powiedziała nie patrząc na potwora - która wtargnęła we mnie z cmentarnym powietrzem. Oczyma wyobraźni ujrzała ten gorący, wrześnieowy dzień, wracający do niej w snach. Była mała (w swych snach zawsze była dzieckiem) i szła piaszczystą drogą rodzinnych okolic. Jedną jej stronę obsadzono rzędami sosen, za nimi, nad nieruchomą rzeką, rosły Nyssa sylvatica. Przeżegnała się, gdy szła obok cmentarnego muru; z tego miejsca nie mogła widzieć krematorium. Jak długo wytrzymywała, starała się nie oddychać, ale w końcu zaczerpnęła haust powietrza. Wydarzyło się to przed huraganem i powodzią, tuż przed przeprowadzką do miasta. Tego samego lata, podczas którego ujrzała olbrzymią sylwetkę pijanego ojca, witającego ją w drzwiach, szukającego za jej plecami kogoś rzeczywistego. Czasem wyobrażała sobie, że to właśnie tamtego dnia Posepni Przyjaciele wtargnęli w nią wraz z powietrzem, ale dopiero po wielu latach zaczęła ich słyszeć, a potem widzieć. Odwróciła się i popatrzyła na stwora przycupniętego w kącie. Zgrzebne płótno, w które się owinał, kontury bezbarwnego wzoru na jego skrzydłach, wydawały się bardziej rzeczywiste niż cokolwiek innego w przyczepie. - Kochasz mnie? - zapytała ze śmiechem. Spoważniała. Pigułki przepisane przez lekarza nosiła w kosmetyczce, w torebce. Wyjęła je, wysypała na dłoń i policzyła. Starczy-ło, by uspić ją na wieki. To właśnie chciała sprawdzić. Uspokoili się: było ich dość, jutro też ich wystarczy, i następnego roku, i za dwa lata. Nigdy ich nie zabraknie. Wsyłała pastylki z powrotem do plastikowego pojemnika. Oparła czoło na dłoni i próbowała skupić się na scenie, którą miała za chwilę zagrać. Kleopatra. Nieśmiertelna tęsknota i wędrówka poza granice rozpacz. Zacisnęła zęby i gwałtownie potrząsnęła głową, otulając się szczelnym szlafrokiem; zaczęła śpiewać.

Jej pieśń bez słów zabrzmiała jak modlitewne mur-murando. Przed laty nad wyraz udanie naśladowała soprany kościelnych pień, zapamiętanych z lat młodości, i bardzo lubiła śpiewać, choć nie szkoliła głosu. Teraz odprężyła się, ręce opuściła swobodnie wzdłuż ciała. Melodia przeniosła ją w tamten wrześnieowy dzień, gdy idąc obok krematorium wdychała fatalne miazmaty. O tym właśnie była jej pieśń:

- Ratujcie mnie - śpiewała - niech ktoś mi pomoże.

Odchyliła w tył głowę, splótła dłonie i śpiewała głośno. Pieśń wyzwoliła taką falę smutku, utraconych nadziei i starych miłości, iż wydało jej się, że umiera. A gdzież to oczyszczenie po przejściu poza granice rozpacz? - pomyślała. Nie pozostało we mnie nic oprócz śniącego, nieszczęśliwego dziecka.

Rozkładając szeroko ramiona, śpiewała coraz głośniej. W Luizjanie starzy Murzyni nazywali ten rodzaj pieśni bajo albo banjo; były to bluesy przepojone tęsknotą za domem, którego nigdy nie widzieli. Dla nich była nim Afryka. A co dla niej? Bóg jeden wie.

- Przyjdź - śpiewała teraz Lu Annę - przyjdź Słodki Jezu, och, przyjdź.

Wyczerpana wyciągnęła się na fotelu. Odwróciła się do lustra i w swoich oczodołach ujrzała te drugie, sekretne oczy. Nikt, oprócz jej dzieci i Posepnych Przyjaciół, nigdy ich nie widział i gdy spoglądały z twarzy Rozalindy, były tak dobrze ukryte, że nawet z bliska nie można się było połapać. Żadne z dzieci ich po niej nie odziedziczyło. Wstała, wstrząśnięta tym obrazem. Szok był tak wielki, że zobaczyła gwiazdy, jakby ktoś uderzył ją w twarz. W lustrze oblicze o sekretnych oczach otworzyło usta; odwróciła wzrok.

Zewsząd napierały na nią splątane pędy halucynacji; tworzyły ornament wokół zwierciadła, wydobywały się spomiędzy jej nóg. Przerażona wezwała imię Boga. Nagle pomieszczenie wypełniło się obrzydliwą jasnością, mdłą i zarazem ostrą poświatą. Tandetnym światłem. W otwartych drzwiach stała Josette, blada, z szeroko rozwartymi

oczami; zrobiła krok do tyłu, wargi jej drżały. Pierwszy raz Lu Annę ujrzała na twarzy Francuzki coś więcej niż ponurą maskę opanowania. Och, ty suko! Spójrz w moje sekretne oczy! - pomyślała.

Czy wypowiedziała te słowa na głos?

Za plecami Josette stali Ricuttowie. Vera z przerzuco-nym przez ramię kostiumem dla Lu Annę: szarą, baweł-nianą sukienką i błękitnym kapeluszem. Na ich twarzach malował się szacunek pomieszany z zażenowaniem. - Co się stało, mała? - zapytała Vera.

- Przygotowywałam się do wyjścia na plan - odrzekła Lu Annę. Przesycony złościwością niesmak w oczach Josette przyprawiał ją o mdłości.

- Krzyczałaś! - powiedziała fryzjerka oskarżycielskim tonem. Odwróciła się do Ricuttich oczekując potwier-dzenia. - Ona wrzeszczała!

- Tylko śpiewałam - odparła spokojnie Lu Annę.

Josette patrzyła na nią z uśmiechem pełnym triumfu.

- Nie opowiadaj bzdur! - krzyknęła. - Darłaś się.

- Powtarzałam rolę.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i prychnęła z wyra-zem niedowierzania na twarzy, ale cofnęła się, gdy Joe Ricutti poszedł do niej i powiedział coś uspokajająco. - Wyjaśnimy tę sprawę - zwrócił się do Lu Annę. - Porozmawiam z Erikiem, żebyś nie musiała znosić jej fochów.

Lu Annę w rozpiętym szlafroku stała w drzwiach przyczepy i opierając łokieć na dłoni drugiej ręki, ssła mały palec.

- Pieprzę to - powiedziała.

Vera podeszła bliżej i łagodnie wepchnęła ją do środka.

- A więc wrzeszczałaś. Masz do tego prawo.

- Absolutnie - potwierdził słowa żony Joe Ricutti. -rogue'owie, ojciec i syn, wyszli z przyczepy i ruszyli w stronę plaży. Stary miał na sobie niebieskie majtki kąpielowe, ledwo zakrywające genitalia, i gondolierską koszulkę w paski.

- Pewnie myślisz, że do reżyserowania filmów potrzeb-na jest iskra boża - zwrócił się do syna. - Uwierz mi, to bzdura. Najwięksi idioci, jakich kiedykolwiek poznałem, pozostawili po sobie nieśmiertelne dzieła. - Nigdy nie twierdziłem, że trzeba być zdolnym - od-rzekł syn. - Tylko, że to pomaga - myślę o sobie. - Weźmy takiego Forda - zaczął stary - urodzony reżyser, Irlandczyk o poglądach niemieckiego romantyka. Do tego chłopska chytrność. Po tej stronie oceanu nigdy nie uwikłał się w nic trefnego, a i tam na pewno poradził-by sobie lepiej niż taki Eisenstein.

- A twoje szczęście polegało na tym - rzekł młody Drogue - że to u nas wpadłeś w kłopoty. Tam daliby ci nieźle popalić i bez żadnych ceregieli założyli knebel. Na plaży czekali już na nich Hueffer i Blakely. Wielki Chapman stał przygotowany na szynach. - Co tam na niebie? - zapytał Blakely. Stary usadowił się w składanym foteliku, pod plażo-wym parasolem. Drogue junior, Blakely i Erie Hueffer z uwagą obserwowali horyzont.

Linia burzowych chmur podniosła się o jakieś trzy-dzieści stopni i niebo w oddali wyglądało teraz, jakby składało się z dwóch pasm nakrapianego złotem błękitu, o rozmaitych odcieniach. Jaskrawe światło słońca z wol-na traciło swą intensywność.

- Jeżeli te chmury pozostaną tam, gdzie są, uchwycimy fantastyczny zachód słońca - powiedział Blakely. - Jestem jak Bóg - oznajmił Walter Drogue. - Potrafię uspokoić wzburzone fale. Mogę rozkazywać słońcu. Gdzie, do cholery, podziała się Joy?

- Joy! - zawołał Erie i McIntyre wyszła z najbliższego domku. Miała na sobie obcisły kostium kąpielowy z sza-rej bawełny. Głowę owinęła niebieską chustką. - Będziesz przeglądał taśmę? - zapytał Hueffer.

- Nie, chcę zobaczyć, jak się porusza - odrzekł Drogue.

Zawołano dwóch techników, a ci opuścili ramię dźwigu;

Drogue zajął swoje miejsce i pojechał w górę.

- Joy! - zawołał Hueffer. - Wiesz, gdzie masz stanąć?

-Tak.

Toby Blakely zajął stanowisko obok szefa. - Akcja! - zawołał Drogue i ciągnięta przez techników kamera zaczęła cofać się przed idącą plażą Joy. Miody Drogue nie odrywał oka od wizjera. W odwróconej dasz-kciem do tyłu baseballowej czapce wyglądał jak przechwytyjący, gotowy do akcji.

- W porządku - powiedział zadowolony. Technicy opuścili ramię dźwigu, dzięki czemu Blakely i Drogue mogli zejść na ziemię. Joy stała obok, oparta o Chapmana. Drogue, Hueffer i Blakely przykucnęli nad wodą.

- Jest tak cholernie piękna, że to aż nieprzyzwoite - powiedział Drogue. - Ukazuje się i zaraz myślisz tylko o jednym: przeleciałbym ją. Zapomina się, po co tu jesteśmy. - Skierował wzrok w stronę, gdzie siedział jego ojciec, i dostrzegł, że stary utkwiał spojrzeniem w ślicznej dublerce.

- Lee ma więcej godności - powiedział Blakely. -1 świe-tną, seksowną figurę jak na matkę dwójki czy trójki, a może i więcej, dzieci.

- Podoba mi się jej kostium - zauważył Hueffer. Drogue poklepał Joy po ramieniu, zmiął materiał kostiumu pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. - To bawełna. Według scenariusza miała być wełna, ale olaliśmy to. Żeby - zwrócił się do Joy - oszczędzić zbędnych uciążliwości naszemu personelowi. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Tak naprawdę - powiedział Drogue - to z tym materiałem popełniamy niezłe cygaństwo. Ta rzecz jest uszyta według mody panującej w 1912. Gdybyśmy ubrali ją w prawdziwe stroje z lat dziewięćdziesiątych, to ta scena wyglądałaby jak wzięta z Macka Sennetta. - Myślę, że można by się niezłe ubawić - powiedziała Joy. Trzej mężczyźni popatrzyli na nią surowo. - Bądź pewna, że gdy to zdejmiesz, laleczko - powiedział Drogue - nikt nie będzie się śmiał. - Chryste! Mam to zdjąć?

- Jak to, nie czytałaś scenariusza? Oczywiście, że masz to zdjąć.

- Chryste! - powtórzyła.

- Według scenariusza, panna Verger zdejmuje kos-tium. Jeżeli ona może, to ty musisz.

- Pewnie tak - powątpiewająco mruknęła Joy. Drogue odciągnął Hueffera na bok, Blakely poszedł za nimi.

- Chciałbym zobaczyć, jak to będzie wyglądało. Kos-tium jest ciasny i będzie musiała niezłe się pogimnas-tykować, żeby się z niego wyśliznąć. Pewnie wytniemy kawałek, jak leci z niej szmatka, a później pomyślę, ile z tego striptizu zostawimy na taśmie. Zacznijmy wresz-cie kręcić - niech stanie na swoim miejscu na plaży, zdejmie chustkę z głowy i rzuci na piasek. Potem, z wdziękiem, ma zdjąć kostium i upuścić go na ziemię. Niech zacznie od uniesienia prawej ręki i odsłonięcia prawej piersi.

- Dobrze - zgodził się Hueffer, a Drogue zareagował na jego aprobatę jakby z pewnym opóźnieniem. - Chcesz, żeby teraz weszła do wody? - zapytał asystent. - Nie ma na to czasu. Musimy nakręcić zachód słońca, a zdążymy zrobić najwyżej trzy ujęcia, i to jeżeli będziemy mieli szczęście. Jak nam się nie uda dzisiaj, powtórzmy tę scenę jutro.

- Jeżeli nie będzie padało - dorzucił Hueffer.

- Masz rację. Pośpiesz się, powiedz jej, co ma robić. - Nad erotyzmem musi górować poświęcenie. I macie-rzyństwo - zwrócił się Drogue do Blakely'ego. - Nie sądzisz? - Dobrze to ująłeś.

- Myślę o ofierze, poświęceniu życia, o kulcie Madonny.

- A o kulcie karmicielki?

- O tym także.

Obserwowali Erica omawiającego szczegóły z Joy McIn-tyre. Mówił z entuzjazmem, Joy McIntyre tylko wydymała wargi.

- Spójrz, jak ten dupek wymądrza się przed tą małą dziwką - powiedział Drogue ze złością. - Boże wszech-mogący!

- Daj spokój, szefie, nie wściekaj się - uspokajał go Blakely.

Późnym popołudniem, gdy autostrada zaczęła skręcać, opadając stromo w dół z Cerro Encantada, Walker ujrzał znajomy błękit. Zatrzymał wóz na zakręcie, przy wysepce widokowej, wysiadł i stanął na skraju urwiska. Stąd mógł podziwiać ocean i popatrzeć na dalszą drogę. Słońce obniżyło się i prażyło z mniejszą intensywnością, a chłodny, ciemniejący błękit oceanu przejmował Wal-kera zimnym dreszczem, choć nadal przebywał w sercu pustynnego upału. Pomiedzy wzniesieniem, na którym się znajdował, a morzem, leżała dolina Honda z roz-maitością zieleni: delikatnym pastelem nawadnianych poletek bawełny, srebrzystością lasków eukaliptusowych i złowrogim, węzowym szmaragdem u podnóża ścian kanionu. Czekala go jeszcze godzina nużacej jazdy au-stostradą, a później zjazd serpentynami brukowanej drogi na dno doliny. Z miejsca, w którym się znalazł, mógł odróżnić hotelowe budynki. Wydawały się stać trochę niepewnie w fałdach czerwonej skały, którą kończyła się nadbrzeżna równina.

Gdy przeczesywał spojrzeniem dolinę, przy eukalip-tusowym zagajniku nad morskim urwiskiem zauważył ostre błyski: to promienie słońca natrafiały na posreb-rzane przysłony reflektorów, na metal i szkło. Małe ludzkie postacie przemieszczały się tam i z powrotem wzdłuż wybrzeża. Dopiero po chwili zrozumiał, że widzi przy pracy ekipę "Przebudzenia". Na tylnym siedzeniu Buicka leżał egzemplarz Ptaków Zachodu Petersona i lornetka: żona Walkera była zapa-loną podglądaczką życia ptaków, a to jej samochodem przyjechał do Seattle. Wziął lornetkę, podszedł na skraj urwiska i wycelował szkła na plażę. Zobaczył kobietę w staromodnym kostiumie kąpielowym, idącą w stronę morza. Niespodziewanie zatrzymała się i bez pośpiechu wróciła do miejsca, skąd zaczynała spacer. Walker pa-trzył, jak od początku zaczyna swój marsz, widział kamerę i ludzkie sylwetki, kręcące się po planie. Człowiek od dźwięku, umykając przed obiektywem, wyciągał w stronę kobiety umocowany na drążku mikrofon. Wal-ker nie mógł oderwać od niej wzroku - patrzył, jak idzie, zdejmując kostium, staje naga i złota w blasku słońca. Pomyślał, że choćby tylko po to warto było tu przyjechać. Poczuł się nieswojo, gdy obserwował ledwo widoczne figurki na skraju oceanu, realizujące wizję powstałą z jego obsesji i jego emocji. Pomyślał, że w żadnej kobiecie nie był tak zakochany jak w tej, która stoi na plaży przed obiektywem kamery i tuzinem innych, nie mniej obojęt-nych oczu. Jak gdyby była tam specjalnie dla niego, z powodów znanych tylko im dwojgu. Poczuł, że zbliża się chwila, kiedy uniesie się kurtyna, dotąd skrywająca przed nim istotę jego życia, jakby wysokość, na której się znalazł, dostarczyła mu brakującej perspektywy. Czyja to teraz zrozumieć? Czy pojmę, zawierając oczom, podziwiając jak obraz?

Był podekscytowany nieuchronnie zbliżającym się od-kryciem. Zakręciło mu się w głowie; mocniej zaparł się na nogach na nierównym gruncie i sprawdził odległość do skraju urwiska. Ona nieosiągalna tam, na dole, on na skale, odległy wiele mil - niczym nie zbrukana poezja - pomyślał. Teraz musi tylko to uporządkować, zro-zumieć.

Ujrzał, że ubierają ją na nowo. Zobaczył, jak idzie, rozwiązuje chustę, zdejmując kostium swobodnie, bez wysiłku - tak przynajmniej wyglądało to z miejsca, w którym stał. Oczy mu powilgotniały. A może to nie poezja - pomyślał. Tylko film.

Ziarnko zrozumienia, które już czuł między zębami, zaczęło się wymykać. Uderzyła go cisza rozciągająca się pomiędzy miejscem, gdzie się znalazł, a nimi; natężył słuch, by wyłowić słowa reżysera i szum fal, ale słyszał tylko mewy i szelest wiatru w zaroślach. Złudzenie, które było tuż obok, uleciało. Co to było? Pomyślał, że prawie radość, uczucie dawno zapomniane, rozkoszne samo w sobie. Odeszło.

A niech to - pomyślał. Mam ze sobą coś prawie równie dobrego.

Wrócił do samochodu, rzucił okiem w obie strony drogi, by upewnić się, że nikt go nie

zaskoczy, i trzęsącymi się rękami przygotował kilka działek. Część kokainy niechcący rozsypał na tylnym siedzeniu. Strzepnął biały proszek i patrzył, jak znika rozwiewany przez wiatr. Senne marzenie - pomyślał - rozpluwające się po-stanowienia, a po nich przebudzenie w tym samym gnoju. Niczego nie było. Albo prawie niczego - chwila poezji, a zaraz potem banał: film. Nic, czym warto było zawracać sobie głowę.

Kokaina nie pomogła. To, co wydarzyło się przed chwilą, to jedynie sen na jawie, sprowokowany zapachem wiatru i oszałamiającą wysokością urwiska oraz niecierpliwością, by ją wreszcie zobaczyć; żaden narkotyk nie powtórzy przeżytego wrażenia, przeciwnie, zwiększy tylko obawy. Poczuł się zdemaskowany, bez możliwości ukrycia się, sam przy drodze, osaczony i pozbawiony tchu. Gdy ponownie wyszedł na wzniesienie i skierował lornetkę na nagą postać, zobaczył, że to nie Lu Annę, ale młodsza, podobna do niej kobieta. Masz swoją poezję - pomyślał - swój film. i-rogue'owie, Blakely i Hueffer zebrali się w przy-czepie reżysera, by oglądać na taśmie, jak przebiega rozbieranka Joy. Gdy ukazała się na ekranie, zrzucająca z siebie kos-tium, wśród zebranych zapanowała pełna szacunku cisza. - O co było tyle krzyku? - zapytał stary Drogue.

- Wściekała się. Nie chciała pokazać tyłka.

- Powiedzieliście jej, że Lu Annę też to zrobi? - Przekazałem jej. Miała czelność twierdzić, że chodzi jej o Meksykan. Powiedziała: "Oni odbiorą to niewłaściwie". - Młody Drogue przedrzeźniał jej akcent i mimikę:

- Odbiorą niewłaściwie.

Szmer dezaprobaty przebiegł przez mrok przyczepy. Siedzieli nieruchomo, wpatrzeni w ekran, na którym królowała naga Joy.

- Takie ciało - powiedział stary - i nigdy nie zdejmowała majtek przed kamerą? Trudno w to uwierzyć. Młody Drogue zatrzymał film.

- To trzeba zmienić, wygląda jak zwykły striptiz. - Pamiętaj - powiedział Hueffer - że z Lee ta scena nie wypadnie tak żywiolowo.

Drogue zamyślił się przez chwilę.

- Na pewno nie - powiedział. - Z figurą Joy, z jej biustem, ruchami... w jej wydaniu scena przybiera dziki, nieoczekiwany obrót. Nie masz pojęcia, co się dzieje, ale jest dziwne i podnieca cię. Mógłbym ujęcie z Joy wyko-rzystać gdzie indziej.

- Ta mała ma co pokazać przed kamerą - zgodził się Blakely. - Co do tego nie ma wątpliwości. - Jest jak anioł - oświadczył stary Drogue.

- Jak Lu Annę odsłoni pierś, wygląda to patetycznie. Nie ma się ochoty patrzeć, jak się rozbiera. Z upokorzoną miną wygląda jak osoba ogarnięta szaleństwem, w dodatku cierpiąca na anoreksję. Całe zakończenie będzie do kitu - zauważył młody Drogue.

- W tym Walter ma rację - powiedział stary do Hueffera. - Zróbmy to jednym ciągiem, chłopcy! - krzyknął reżyser. Odwołał Erica na stronę. - Jak Lu Annę przyje-dzie na stanowisko, niech wszyscy zejdą z planu. - Dlaczego? - zapytał Hueffer.

- Z powodu Meksykan. Oni odbierają to niewłaściwie - wyjaśnił mu ironicznie.

Joe Ricutti rozłożył swój kramik pod plażowym para-solem, obok budki kąpielowej.

Wytarł gąbką i upudrował twarz Lu Annę, i wymasował jej szyję, Josette, jak zawsze nadąsana, zajęła się włosami. Spec od świateł z pomoc-nikiem rozciągali kable od oświetlenia łukowego. Lu Annę popatrzyła na słońce, a potem wzięła do ręki swój wyczytany egzemplarz powieści Kate Chopin. Pomyślała, że finał jest solową Liebestod, śmiercią przynoszącą wyzwolenie.

Edna znalazła swój stary kostium kąpielowy, na tym samym co zwykle kołku, mocno już wypłowiały - pisała Chopin.

Gdy Josette skończyła układać jej włosy, Lu Annę wstała.

- Pospaceruję i przemyślę tę scenę - powiedziała do Ricuttiego i zaczytana poszła w stronę domku kąpielowego. Włożyła go, a suknię zostawiła w domku. Ale gdy stała tuż nad

wodą, całkiem sama, zrzuciła z siebie tę szmatkę niemile drażniącą jej skórę i, po raz pierwszy w życiu, stała zupełnie naga pod gołym niebem, wystawiona na promienie słońca i wiatr smagający jej ciało, a morskie fale przywoływały ją. - Wszyscy z planu! - zawołał przez megafon Erie Hueffer. - Kto nie pracuje, proszę opuścić plan. Co do jednego! - Sekretarka planu, Peruwianka, po hiszpańsku powtórzyła jego słowa Meksykanom.

Lu Annę oparła głowę o ścianę domku i rozmyślała o Ednie, po raz pierwszy w życiu nagiej pod gołym niebem. Jakie to smutne, pomyślała, i w żaden sposób nie do sfilmowania. Dotąd nigdy nie była Edną, teraz przyszło jej do głowy, że są sprawy, które każdy przeżywa w ten sam sposób. W każdym z nas jest coś z Edny. Naga po raz pierwszy w życiu, pod gołym niebem. Ta scena powinna rozgrywać się o najgorętszej porze dnia. Plaża nad zatoką, południe, woda chłodnawa, promienie słońca prażące ciało, podmuchy wiatru tak delikatne, że czuje się zapach własnej skóry.

Ona odkrywa, kim jest naprawdę, nie może tego znieść i umiera. Tak - pomyślała Lu Annę - wiem coś o tym. Mnie także na to stać.

Fatalnie się składa, że kręcą o zachodzie słońca - ba-nalny, wyświechtany chwyt. Teatr dla ubogich, pospolite widowisko nie najwyższego lotu.

Zaczytana podeszła nad samą wodę. Choć nikt nie zarządził ciszy na piania, oświetleniowcy rozmawiali przyciszonymi głosami.

Jak przedziwnie i strasznie było tak stać pod gołym niebem! Jak cudownie! Czują się jak nowo narodzona, nowym spojrzeniem obrzuciła stary świat, którego dotąd naprawdę nie znała.

Dotyk morza jest zmysłowy, otula ciało miękko, szczelnie.

Kosmiczny seks! Cóż, można i tak - pomyślała. Któż lepiej ode mnie potrafi go przeżyć?

Ale topielcy, których ciała widziała w holu kościoła po huraganie w swych rodzinnych stronach, nie wyglądali na specjalnie za-spokojonych.

Raz jeszcze powtórzyła na głos:

- Dotyk morza jest zmysłowy, otula ciało miękko, szczelnie.

Spojrzała na ocean oczami Edny. I ja mogłabym wiele w nim dla siebie znaleźć. Na pewno bogatsze życie. Przestań walczyć, połów się i pozwól, by się stało. Niepo-trzebne ci ubranie, nie musisz milczeć, skromnie ścisnąć kolan, wysoko upinać włosów, trzymać się prosto. Nie musisz się niczym martwić. Nie musisz robić zupełnie nic, oprócz...

- Panna Verger, proszę! - zawołał przez megafon Erie Hueffer. Automatycznie zawróciła do stolika charak-teryzatora. Ricutti otarł jej skronie suchą gąbką, Josette przygładziła włosy grzebieniem.

- Uwaga! - poganiał maruderów Hueffer. - Jeżeli nie jesteście potrzebni, nie chcemy was tu oglądać. Lu Annę czytała dalej o ostatniej kąpieli Edny Pontellier. Myślała o Leonce i o dzieciach. One stanowiły część jej życia, ale nie powinny sądzić, że mogą posiadać jej duszę i ciało.

Nic za darmo, Edno - pomyślała Lu Annę. Jej własne życie nie dało jej okazji doświadczenia tego uczucia, które bez wątpienia musiało być straszne. Dom Lalek. Puste dni. Rodzenie dzieci. Massa spędzający noce ze swymi chłopcami, swymi ulubionymi kwarteronami. I dzieci, dniem i nocą. Postanowiła przestać o nich myśleć.

Czekali na nią. Odłożyła książkę, wstała, a Drogue podszedł do niej i poprowadził w stronę domku kąpielowego, informując po drodze o tym, jak będą kręcić, jak ma wyjść z domku, w którym miejscu zdjąć kostium, kiedy wejść w wodę.

Wystawiona na promienie słońca. Kluczowe słowa:

Okropne. Naga. Cudowny. Zmysłowy. Miękki, ciasny uścisk. Umieranie zawsze było zabawne. Nieśmiertelne tęsknoty. Wyniesienie ponad rozpacz. To tylko banały - pomyślała. Aby zrozumieć Ednę, trzeba sięgnąć w głąb duszy, do dna rozpacz. Do

miejsca zamieszkanego przez twoje prawdziwe ja, z którym nigdy się nie pogodzisz. Przystanęła i oparła się o Drogue'a. Stali przed drzwiami domku kąpielowego, kamera przedfilowała przed nimi. Dwóch Meksykan czekało przy Titanie - dwóch wybrańców dopuszczonych do obcowania z nagością, po których nie spodziewano się, że odbiorą ją w niewłaściwy sposób.

- W porządku, partnerko? - zapytał Drogue. - Mam dość, mój miły - odparła. - Życie to jeden wielki kondom.

Spojrzała na jego nagle przerażoną twarz. On już wie, pomyślała. Tak, podziwiał, spójrz jak błyszczę, ja, Królowa Światła.

- Co myślisz o poświęceniu księżycy na drzwiach domku, Walter? Mogłabym wyjść i odstawić Judy Canova. - Uniosła górną wargę, odsłaniając zęby. - Doskonały pomysł - powiedział Walter Drogue młod-szy. - Ale może innym razem, co?

- Nic się nie bój - powiedziała do reżysera. Weszła do domku i zamknęła za sobą drzwi. Tylko jedno z nich przebywało w środku.

Jak śmiesz tak do nich mówić? - zapytała ją łagodnie, w starodawnym języku. - nie zrozumieją cię, tylko my potrafimy.

- Które ty jesteś? - zapytała dla porządku, zmęczona. Wiedziała, że to Marie Ange. - Marie Ange - westchnęła - Małpeczka. Odejdź, dobrze?

Erie nawoływał o ciszę.

Uniosła oczy.

- O ciemności tam na górze! - modliła się - pomóż swej siostrze ciemności na dole.

Przeżegnała się pośpiesznie. Pomyślała, że wieczorem pójdzie do kościoła w miasteczku.

Głos Drogue'a przerwał ciszę panującą na zewnątrz.

- Lecimy!

Otworzyła drzwi i weszła w złociste światło. Kątem oka widziała Charliego Freitaga, producenta. Wbiła wzrok w punkt ponad czerwieniącym horyzontem, skąd blednące słońce mogło rozjaśnić jej oczy, nie oślepiając ich. Zatrzymała się w wyznaczonym miejscu i opuściła ramiona jednoczęściowego, szarego kostiumu kąpielowego.

Pomyślała, że Edna wcale nie umarła z powodu nie spełnionej miłości. Gdy zsunęła kostium z ramion, opadł z niej bez trudu. Wzrok wciąż trzymała wysoko, wbity w niebo. Jakże niebezpiecznie jest sięgać w sekretne rejony osobowości. Ulotna materia może zaiskrzyć ogniem nie do opanowania. A jeżeli ja - pomyślała Lu Annę - która unikam spoglądania w lustra, odnajdę w nich siebie? Własne ego?

Jeżeli to ja, która w lustrze widzę prawdę, ja, która nie potrafię bez lęku zbliżyć się do zwierciadła, zobaczę w nim siebie, prawdziwą, pewnie nie umrę. Ale Edna chyba tak.

Meduza - pomyślała - w tym tkwi istota rzeczy. To twoje własne odbicie zamienia cię w kamień, twoje własne, sekretne oczy.

Biedna Edna! Nieszczęsna ujrzała siebie i eksplodowała, załamała się, spłonęła. Nigdy nie spodziewała się ujrzeć siebie bez maski. Stała w ogniu jak niezdarne dziecko z rodzinnej legendy: mała Prababcia Katastrofa, w swej świątecznej sukience, w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, zajmuje się od świeczek na choince, i dziecko-pochodnia wiruje po salonie.

Biedna stara Edna, dziewczeczka z Południa, odnajduje siebie w tafli gorącego błękitu nieba i umiera. Otwiera się przed nią wolność, ta olbrzymia, przepastna czerń zasłużonego wyzwolenia, i o Boże! Mdleje i zapada w niebyt.

Lu Annę zrzuciła kostium, odsunęła go stopą i szła dalej w stronę wody. Od razu stanął jej przed oczami Walker, ale czy były to jego słowa, czy kwestia ze scenariusza, nie mogła sobie przypomnieć. Jakaś myśl zaświtała jej w głowie i zaraz odplynęła. Weszła do ciepłej wody; dwóch muskularnych mężczyzn w kąpielowych kostiumach, zanurzonych po pas, stało tuż poza kadrem, trzeci, na desce surfingowej, dyżurował w odległości trzydziestu

stóp, ze zwojem liny w po-gotowiu.

Z wyprostowanymi ramionami, z uniesioną głową, szła opadającym, piaszczystym dnem. Kamera podążała w ślad za nią, i gdy Lu Annę straciwszy grunt pod nogami zaczęła płynąć, oddalając się od brzegu, słyszała nad głową chrzęst cofającego się wysięgnika. Drogue zarządził koniec ujęcia, a mężczyzna z deską skierował się w jej stronę. Wtedy zawróciła. Gdy wy-chodziła na brzeg, dobiegły do jej uszu nikłe oklaski. - Gdzie ekipa? - zapytała, potrząsając włosami. Vera Ricutti podała jej plażowy szlafrok.

- Oczyszciliśmy plan - powiedział Drogue. - Uznaliśmy, że tak będzie lepiej.

- No cóż - powiedziała wesoło - jeżeli już macie bić brawo, to niech to będą solidne oklaski. - Czy przywołać ludzi? - zapytał. - Potrzebujesz owa-cji? - Odszedł, nawołując pomocników. - O.K. muchachos Powtarzamy jeszcze raz, na wszelki wypadek.

- Jeżeli potrzebujesz światła łukowego, jest już gotowe - poinformował go Hueffer.

- Nie trzeba. Starczą reflektory.

Lu Annę wróciła do przyczepy, by wysuszyć i uczesać włosy.

Światło dnia powoli bladło; słońce zawisło nad niewielkim pasemkiem purpurowego cirrusa. Jasność znikła, a szara ściana deszczu zbliżała się z północnego zachodu; wiatr przyniósł na plażę kilka kropel i wszyscy spoglądali w panice w niebo, ale w końcu deszczowe chmury zatrzymały się i zdążyli powtórzyć jeszcze dwa ujęcia z Lu Annę wchodzącą do wody.

- Zrobię to dla ciebie w dwóch wariantach, Walterze - powiedziała Lu.

Drogue siedział na dźwigu z Blakelym i operatorem, a Erie Hueffer stał obok szyn, obserwując niebo. - Jak tylko chcesz, dziecinko - powiedział Drogue. (Wznowiono zdjęcia, Lu Annę zrzuciła kostium i ponownie weszła do wody.) - chłopcy Vera przyniosła jej szlafrok i razem ruszyły w stronę przyczepy.

Przechodząc obok Drogue'a zawołała:

- To było w stylu Jamesa Masona: "Na plaży w Cata-lina, wśród staroświeckiego towarzystwa". Gdy ustawiali sprzęt, by sfilmować niebo i ocean, Drogue miał ponurą minę.

- Teraz uważaj - zwrócił się do asystenta. - Patrz na Lu Annę, zbliża się jej wielka godzina. - Czy to bardzo źle? - zapytał Hueffer.

- Jak diabli, a to tylko początek.

Wyszła raz jeszcze i powtórzyła całą scenę, by mogli zrobić ostatnie już tego dnia ujęcie. Kostium odrzuciła na bok. Przerażona tym, czego się o sobie dowiedziała, Edna szła na spotkanie śmierci.

- Hej, Lee! - zawołał Hueffer, gdy wyszła z wody.

- A jak to się nazywa?

- To - powiedziała, owijając się szczelnie szlafrokiem - nazywa się: "Lee Verger daje nurka". Hueffer prychnął śmiechem. Drogue, Blakely, nawet operator zarechotali.

Gdy Lu Annę przeszła obok, uśmiech zamarł na twarzy Drogue'a. Spojrzał na Blakely'ego i wzruszył ramionami. - Jest jakaś dziwna - powiedział.

Już od ponad pół godziny Walker w ciemnościach zjeżdżał serpentynami z pustynnego płaskowyżu na dno kanionu. Reflektory oświetlały ścianę coraz bogatszej zieleni, która zdawała się wirować przed jego oczami; opony ślizgały się po niedbale usypanej drodze, co w każdej chwili groziło utratą panowania nad kierownicą. W końcu, ku jego uldze, droga potoczyła się płasko i prosto. Trzymał się środka, aby w razie czego ominąć poruszających się poboczem jeźdźców i pieszych oraz uniknąć zderzenia z przebiegającą drogę dziką zwierzyną. Po przejechaniu niecałej mili ujrzał tablicę z nazwą hotelu.

Aby dotrzeć do recepcji, należało minąć trzy bramy i na końcu przejechać obok szemrzącej fontanny. Białe stiuki budynków błyszczały oświetlane przez wymyślnie zdobione lampy.

Walkerowi, po męczącej podróży, miejscem to wydało się oazą przyjaznych odgłosów,

wilgotnych cieni i przytulnego światła.

Boy odebrał od niego bagaże, a w recepcji okazało się, że oczekiwano na jego przyjazd. Pokój, do którego został zaprowadzony, był urządzone gustownie, choć ekstra-wagancko: wytworny zestaw czerwieni i czerni przywodził na myśl hiszpański melodramat, wyrafinowany seks i przemoc. "Carmen". Ze zwitka wygranych pieniędzy wyciągnął dziesiątaka i wręczył ten przesadnie suty napiwek chłopcu hotelowemu.

Gdy został sam, ogarnęło go uczucie napięcia i zmęczenia. Wiedziony zachcianką przybył do miejsca, gdzie nie miał przyjaciół, by zobaczyć kobietę, z którą nie powinien był się spotykać. Nie istniały inne powody tej podróży.

Pod prysznicem zanucił starą piosenkę:

- Ty weź Sally, ja wezmę Sue. Obojętne mi, którą wybierzesz, kokaino.

Wiatr, który wdarł się do pokoju przez otwarty balkon, przyniósł ze sobą zapachy szaławii, jaśminu i eukaliptusów. W Santa Anita zwycięski koń, na którego postawił, nazywał się O.K. So Far.

W bagażu znalazł pakiet przesiąkniętych wodą kolońską serwetek, pamiątkę z lotu pierwszą klasą, którą mu zafundowano. Nie ci od Szekspira, z nimi nie było co gadać o pierwszej klasie. Szarpnęła się telewizja. Przebrał się i wyciągnął paczuszkę z kokainą. Pomyślał: jak na razie O.K., i zabrał się do przygotowywania działki, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Odłożył proszek i wyjrzał na korytarz.

Gościem okazał się kierownik ekipy, Jon Axelrod. - Cześć, Gordon. Serdecznie witamy. - Uścisnął mu dłoń.

- Dziękuję, Jon. Cieszę się, że wreszcie tu jestem.

Chcesz poniuchać?

Axelrod usiadł na krześle.

- Muszę ci powiedzieć, że obowiązują tu bardzo surowe zasady, jeśli chodzi o narkotyki. W razie czego powiada-miamy policję, inaczej wypowiedziano by nam warunki ubezpieczenia.

Walker usypał kilka cieniutkich strużek na taflę lus-terka.

- Wstąpiłeś po drodze do Siriwai? - zapytał Axelrod. - Tak. Meksyk nie jest już tym samym Meksykiem bez naszego doktora.

- Powiedziałeś mu, że wszystkim nam go brakuje?

- Nie musiałem, on o tym doskonale wie. Axelrod wyjął z portfela nowiutką, szeleszczącą dwu-dziestkę, zwinął ją w rulonik, przyłożył do lusterka i nosem zrobił głęboki wdech. Był mężczyzną wątlej budowy, o zabawnej twarzy, której wiek trudno było określić.

Obserwował Walkera jasnoblękitnymi oczami, pobłyskującymi iskierkami fantazji. Walker też powąchał proszek i przez chwilę siedzieli milcząco i zamyśleni. - Z tego, co widziałem, Lu Annę jest dobra - pierwszy odezwał się Axelrod. - Może nie zawsze, ale w sumie niezła. - Jak z jej humorami?

- Teraz wydaje się pogodna.

- To znaczy?

- Pracuje z zaangażowaniem, a my ją obserwujemy. Wiesz, jej mąż dopiero co wyjechał z dziećmi. Nie spo-dziewaliśmy się tego. Myśleliśmy, że zostanie - facet jest lekarzem, jej lekarzem. Refundowaliśmy ich pobyt, a tu masz, on się zabiera.

- Gdzie ona teraz jest?

Axelrod uśmiechnął się.

- Zgaduj.

Walker pomyślał, że Lu Annę albo pieprzy się w jacuzzi, albo jest w kościele. - W kościele?

- Zgadłeś, koleś. Razem z Billym Bly poszli do mias-teczka.

Nie był zachwycony towarzystwem Lu Annę. - Billy ma mieć na nią oko - wyjaśnił

Axelrod. - Sta-ramy się nie zostawiać jej długo samej. - Co on tu robi? Jako kogo umieściliście go na liście płac?

- Jest koordynatorem pracy kaskaderów. Wiesz, trochę pozmienialiśmy twój scenariusz, Gordo. Mamy masę efektownych upadków.

Walker nie wyglądał na zadowolonego. - Ściągnęliśmy go jako człowieka od efektów specjalnych. Nadzoruje facetów w wodzie i tych przy koniach. Lu Annę lubi go.

- Trzymają się razem?

Axelrod zrobił zakłopotaną minę.

- Nie - powiedział. - No wiesz, jej stary dopiero co odjechał.

- To zły znak, gdy ona idzie do kościoła - zauważył Walker.

Skończyli kokę rozsypaną na kieszonkowym lusterku.

- A jak tam Walter? - zapytał Walker.

- Jak zwykle. Ten ma talent, no nie?

- Jak cholera. Chyba nie ucieszy go mój widok?

- Może będzie się bał, że dobierzesz się do Lu Annę.

A może nie.

Walker milczał.

- Znasz Waltera, Gordo. Jest mu obojętne, czy ludzie go lubią. Uważa, że jest otoczony przez samych buców.. - Czy domyśla się, po co tu przyjechałem?

- Pewnie, że wie, Gordo, wszyscy wiemy.

- Naprawdę? Coś takiego!

'- Wysmarkaj porządnie nos i pójdziemy zobaczyć się z Charliem.

Taras hotelowej restauracji wychodził na zatokę. Do niego przylegała wyłożona błękitnymi kafelkami sala z barkiem i kilkoma stolikami, na których paliły się świece. Dwóch szpakowatych mężczyzn siedziało obok drzwi. Jednym był Charlie Freitag, szanowany producent-dżentelmen. Na widok Axelroda i Walkera Charlie podniósł się z miejsca.

- Cześć, Gordon! - zawołał. Wyglądał na zaskoczonego.

- Jak ci się jechało? - Zwrócił się do swego towarzysza:

- Ten gość przyjechał tu samochodem aż z L.A. Nie chciał słyszeć o samolocie!

Walker zawsze z przyjemnością spotykał się z Charliem Freitagiem, miłym, przyjacielskim człowiekiem, o preten-sjonalnych manierach i wielu pomysłach typu "ja wiem lepiej".

Charlie przedstawił im mężczyznę, z którym siedział, jako Howarda Robinsona. Człowiek ten miał najwspólniejszą opalenizną spośród obecnych w barze, był ubrany w spodnie w kratkę i białe mokasyny. - Nie lubisz latać? - zwrócił się do Walkera. - Lubię jazdę po meksykańskich drogach - odrzekł Gordon.

- Jeżeli za tym przepadasz, to mógłbym zapewnić ci zatrudnienie do końca życia - zażartował Howard. Walker pomyślał, że Robinson jest pewnie inwestorem z Las Vegas i nie mylił się, po krótkiej chwili wyszło na jaw, że tak jest w istocie. On i Axelrod okazali się starymi znajomymi., Axelrod był synem "mocnego człowieka" z IATSE, z czasów wojen związkowych. Przy filmach Waltera Drogue'a zawsze kręciły się rozmaite ciemne typy i Walker nigdy nie mógł zrozumieć dlaczego. - Walter wyznaczył mnie jako komitet powitalny - powiedział Charlie do Walkera. - Więc serdecznie cię witamy. - Aha - mruknął Gordon.

- Wiesz, kogo powinieneś poznać? - zapytał Charlie Freitag. - Dongana Lowndesa. Znasz jego twórczość? Walker znał. Była to jedyna, napisana przez tamtego powieść, za to bardzo dobra.

- Cieszę się - powiedział Freitag. - Robi o nas reportaż dla "New York Arts". To może zapewnić nam przychylną uwagę tych, którzy się liczą.

Przeszli do słabo oświetlonego kąta, gdzie przy stoliku siedziało dwóch mężczyzn. W

jednym z nich Walker rozpoznał Jacka Besta, agenta prasowego ekipy. Best nienawidził go z powodu jakiejś dawnej, pijackiej awan-tury, a Walker nie mógł nawet sobie przypomnieć, o co poszło.

- Panie Lowndes - zaczął Charlie, z miną człowieka po raz pierwszy w życiu odwijającego z celofanu bardzo drogie cygara - proszę pozwolić mi przedstawić sobie Gordona Walkera, tego który zaadaptował "Przebudzenie" do potrzeb filmu. Axelroda pewnie pan zna. Gdy Lowndes przesunął się w stronę światła, okazało się, że jest zwałistym mężczyzną o dziobatej twarzy, przysłoniętej olbrzymimi, ciemnymi okularami. Dłoń, którą wyciągnął do Walkera, była wielka, z grubymi jak u farmera paluchami.

- Witam pana - rzekł Lowndes. Walker zorientował się, że zarówno on jak i Best zdążyli się nieźle za-prawić.

- Gordon, to jest nasz gość z Nowego Jorku, Dongan Lowndes - powiedział Freitag. Klepnął Walkera w ramię. - Posłuchaj, dzisiaj pracowaliśmy do późna, więc jutro możemy pić i bawić się do woli, zaczynamy o ósmej. Pieczenie mięsa pod gwiazdami. Pogadamy sobie.

- Wspaniale - powiedział Walker.

- Claire też bardzo chciałaby przyjść, ale akurat jest zajęta. Przesyła ci najlepsze pozdrowienia. - Przekaż jej ode mnie ukłony - rzekł Walker. Freitag obrzucił pośpiesznym, ponurym spojrzeniem swojego agenta od reklamy i wrócił do stolika. Walker uśmiechnął się i mruknął coś pod nosem. Robił, co mógł, by nie rzucić się w oczy. Był nieludzko zmęczony, trzymał się na nogach tylko dzięki kokainie i chciał, żeby dzisiaj wszyscy byli dla siebie mili. - Czekamy na tę twoją cizję - odezwał się Jack Best.

- Właśnie wystawia nas do wiatru, umówiła się z Lowndesem na kolację.

- To nie było do końca dogadane - łagodził go dzień-nikarz. Mówił cichym głosem, z akcentem nizinnego Południa i końcowe sylaby słów jakby się rozmywały. - Pewnie zaszło nieporozumienie.

- Akurat! - zaprotestował Jack Best. - Ona jest taka. One wszystkie takie są. Już im nie zależy na tym, co myślą o nich czytelnicy.

Walker patrzył na Besta przez stół i gdy spotkały się ich oczy, niemal fizycznie odczuł olbrzymi ciężar nienawi-ści w spojrzeniu tamtego.

- Sądziłem, że ona jest z nim - mówił Best i patrząc na Walkera wzrokiem bazyliuszka, wskazywał na niego palcem.

- Daj spokój, Jack, bądź miły - upominał go Axelrod. Objął Besta przyjacielskim gestem, ostrzegawczo ścis-kając jego ramię.

- Podobała mi się twoja powieść - powiedział Walker do Lowndesa, wciąż w nastroju "wszyscy ludzie są braćmi". - Ta ostatnia.

Lowndes uniósł kieliszek.

- Za moją jedną i jedyką!

Walker połapał się, że uraził go. Chciał być uprzejmy, a niechcący obraził Lowndesa.

- Walker - zahuczał Jack Best. - Gordon Walker!

- Ciężko wstał i potykając się, ruszył w stronę toalety. - Nie mam pojęcia, o co mu chodzi - powiedział Walker do Axelroda, gdy Best zniknął za drzwiami. - Może ty wiesz?

- O to, że upokorzyłeś go w obecności przynajmniej setki ludzi w Kolorado, dwa lata temu. Nie pamiętasz? Walker próbował sobie przypomnieć, ale nic z tego nie wyszło. - Nie - powiedział.

- Szkoda - rzekł Lowndes. - To musiała być niezła historia.

- Chyba się napiję - oświadczył Walker. Uznał, że nie ma tu przyjaciół i prędzej czy później wpakuje się w jakieś tarapaty. Pomyślał, że pewnie jest mu to pisane. - Czy dostaniemy coś jeszcze?

Bar był otwarty; Axelrod odszukał kelnera i zamówili następną kolejkę. Lowndes nie

zapomniał o drinku dla Jacka Besta.

- Jak się go podleje, jest taki zabawny - powiedział. Gdy Best wrócił, upił pół drinka i znów utkwiał wzrok w Walkera.

- Jack zrobił nam wykład z historii filmu - wyjaśnił Lowndes. - Wiele się od niego dowiedziałem. W tonie Lowndesa zabrzmiało ostrzeżenie, które Walker zignorował. Zastanawiał się, czy Charlie Freitag rzeczywiście jest przekonany, że reportaż z pleneru w Meksyku, zamieszczony w "New York Arts", pomoże filmowi, ale szybko doszedł do wniosku, że pomoże tylko zaspokoić próżność Charliego.

- Na przykład o czym? - zapytał Lowndesa. - Jack uważa - odrzekł dziennikarz - że od "Marty'ego" sztuka filmowa zesłała na psy.

- Co za Marty? - zapytał Axelrod.

- Film pod takim tytułem - wyjaśnił Lowndes.

Jack Best niespodziewanie uniósł się z miejsca. - Ty! - wrzasnął na Walkera. Potem zwrócił się w stronę Lowndesa i Jona Axelroda. - On!

- O co chodzi, Jack? - zapytał łagodnie Axelrod. - To Gordon. Co chcesz nam powiedzieć?

- Spotkałem go kilka lat temu. Spotkałem cię kilka lat temu, Walker. Patrzę na ciebie i rozmawiam z Kingiem, i mówię - ciężko westchnął i głęboko wciągnął powietrze - mówię, popatrz na tego facia, mówię mu - popatrz no tylko. Bo ten gość, ten Walker, ten facet ma na sobie kretynską koszulę. Pieprzoną hippisowską koszulę, jak u hippisa. A jego włosy! Rany - mówię. King - mówię. To chłopiec czy dziewczyna? A King na to... - Na twarzy Jacka ukazał się grymas niedowierzania. - Może spróbujemy zgadnąć, co powiedział King - zaproponował Lowndes.

Walker dokończył drinka.

- Nie musimy - powiedział - King na to: ty pieprzony kretynie, parszywy gówniarzu, miernoto, nie jesteś wart, by zlizywać kurze guano z butów tego utalentowanego młodego człowieka. Ty zalane w trupa zero, brudna, mała łachudro. Ty zasrany dupku, mówi King, ty karle, mówi King, idź do Oblath i poderżnij sobie to swoje szczurze gardło.

Przynajmniej tyle zapamiętałem - zakończył Walker.

- Uważaj, Gordon - ostrzegł Axelrod. - Znów prowo-kujesz chryję.

- King? - zapytał Lowndes. - Vidor?

- Kong - odrzekł Walker. - Dennis King, Dolores King, Jack znał ich wszystkich.

Best chyba usnął. Axelrod szturchnął go łokciem, by siedział prosto.

- Choreograf z Sands jest martwy! - obwieścił drama-tycznym głosem Best. Wszyscy bez wyjątku popatrzyli w jego stronę. - Tak jest! - wrzasnął. - Choreograf z Sands nie żyje! - Czknął i poleciał głową do przodu. Zanim uderzył nosem o blat stołu, wyprostował się, a jego twarz, wykrzywiona jak pysk wyłaniającego się z laguny stwora, przybliżyła się do twarzy Walkera. Wstrząsały nim spazmy, przypominające paroksyzm śmiechu. Wyciągnął rękę i mocno chwycił Walkera za ramię. - Choreograf z Sands nie żyje! - krzyknął. Freitag, Robinson i personel odwrócili głowy w stronę Jacka, a tymczasem jego głos przechodził w ochrypły rechot:

- A Sands... Sands nie ma... - śmiech przeszkadzał mówić mu dalej - ... w Sands nie mają nawet te-lefonu!

Po tych słowach wydał niespodziewany okrzyk i upadł twarzą w przód, wciąż nie puszczając ramienia Walkera. - Co o tym myślisz? - zapytał Axelrod.

Walker uwolnił ramię z uchwytu pijaka.

- Niech pozostanie "nie rozwiązana zagadką Sands". Iiac w Bahia Honda nie wyróżniał się niczym szcze-gólnym, ale mrok przydawał mu nieco egzotycznego uroku. W jego centrum, wokół różowej płyty, na której widniała ułożona z muszli liczba 1969, położono chodnik z białej cegły. Pod nagimi żarówkami zawieszonymi wzdłuż spalonego słońcem

boiska kilku przekupniów sprzedawało tortille, lody, plastikowe sandały. Nieliczne łódzie rybackie stały zacumowane w porcie, a z jednej z dwóch kawiarni przy placu dobiegały śmiech i muzyka. Druga, po przeciwnej stronie, świeciła pustkami, słabe lampy nie rozjaśniały jej ponurego wnętrza. Przed miejscowym kinem ustawiała się kolejka po bilety na wieczorny pokaz "Doktora Żiwago". Po wschodniej stronie placu stał jedyny kościół w miasteczku: skromny blok z białego kamienia z niewielką dzwonnica oczekiwał na wiernych przed piątkową mszą.

Gdy Bill Bly, z uczepioną u jego ramienia Lu Annę, przechodzili obok kolejki, gwar rozmów przycichł. Ktoś w tłumie był na tyle zuchwały, by zagwizdać. To wygląd Bly działał prowokująco: niewiele mniej niż sześć stóp wzrostu, czarna koszula, białe spodnie, baseballówka w tym samym kolorze, z napisem "Shakespeare" nad daszkiem. Kręcone blond włosy wymykały się spod czapki, o wiele za jasne, aby ich odcień można było usprawiedliwić słońcem, prażącym na tropikalnych plażach. Ale słowa zaczepki mogły paść tylko za plecami Billa i to ze strony żółtodziobów. Bywalcom ulicy, naga-niaczom i rozmaitym desperados wystarczyło rzucić okiem na sposób, w jaki się porusza.

Balansował ciałem, jakby szedł po linie, każdym ruchem przypominając wspaniały okaz drapieżnego zwierzęcia. Wśród personelu pomocniczego przemysłu filmowego uwielbiano opowiadać o nim niesamowite historie: o filipińskim nożowniku szalejącym w amoku, którego obrócił wokół nadgarstka o 360 stopni; o barowych chuliganach, leżących na podłodze bez czucia, zanim uśmiech zamarł im na ustach. Bly często zatrudniał się jako ochroniarz lub kaskader, a czasem, nieoficjalnie, na obu tych stanowiskach równocześnie. Miał około trzydziestu pięciu lat, ale wyglądał młodziej. Od piętnastego roku życia pracował jako kaskader.

Teraz pilnował Lu Annę. Przed wyjściem do kościoła ubrała się w beżową spódnicę i bluzkę, a na ramiona i włosy narzuciła hiszpańską mantylę. Pokonując schody wiodące do świątyni trzymała Billa za łokieć. Przy drzwiach z uśmiechem skinęła mu głową. Gdy weszła do środka, on został na zewnątrz, przy wejściu i lustrował wzrokiem wchodzących. Msza jeszcze się nie zaczęła i w kościele było niewielu wiernych. Lu Annę przeszła po kamiennej posadzce do krucyfiksu, stojącego za dwoma rzędami wotywnych świec, po prawej stronie głównego ołtarza. Krucyfix, odratowany z pożaru, był stary jak niemal wszystko w tej pustynnej części kraju; ramiona poczerniały od ognia, nadpalona postać Chrystusa nabrała wystylizowanego i nowoczesnego kształtu, a osmalone boki potęgowały bijące z niej męczeństwo. Kilku wiernych stało lub klęczało przed krzyżem, Lu Annę znalazła się wśród nich.

Mój Boże, modliła się. Bądź tu, bądź dla mnie, oświeć mnie, spowoduj, żebym nie była wyobcowana i samotna, rozczarowana i zagubiona.

Cały dzień wyczerpującej pracy i długi marsz przez miasto pomiędzy obcymi ludźmi rozstroiły ją, a alkohol przyprawił o ból głowy. Echa przedziwnych dźwięków pozbawionej melodii muzyki zabrzmiały w uszach jej wyobraźni, uszach sekretnych. Przebijał się przez nie monotony szept ledwo słyszalnych, trudnych do zrozumienia głosów, formułujących jakąś niemożliwą do pojęcia, napawającą ją strachem konkluzję. Przez chwilę pomyślała, że klęczący wokół mogą usłyszeć dzwiczące w jej głowie tajemne głosy, ale gdy spostrzegła, że nikt nie zwraca na nią uwagi, z pokorą pochyliła głowę. - Pomóż mi - modliła się - Ty, który jesteś bardziej realny niż ja, mój Jedyny, moja Rzeczywistości. Gdy uniosła wzrok na krucyfix, ujrzała, że przybity do belek Chrystus zamienił się w kota, osmalonego jak poprzednio figura Zbawcy. Powstały z sierści popiół obsypał spalony pysk z wyszczerzonymi kłami. Oderwała wzrok od krzyża i podeszła do bramy kościoła, przy której czekał na nią Bly. Gdy znalazła się na zewnątrz, oparta o ścianę budynku oddychała głęboko, unikając spojrzeń wchodzących do środka tubylców. - Nie zostaniesz na mszy? - zapytał Bly. Potrząsnęła głową. Obserwował ją z

uwagą, a wtedy chwyciła go za ramię na wysokości bicepsa i paznokciem wyrysowała wokół mięśnia niewidzialne koło. Bly stał przy niej zażenowany.

Teraz, gdy zostawił mnie Chrystus - pomyślała Lu Annę - zawsze znajdzie się jakieś ciało. Na tarasie Jack Best powoli dochodził do siebie, oczy mu łzawiły. - W Sands - wybełkotał - nie mają...

Axelrod pośpieszył mu z pomocą:

- Nie mają nawet połączenia, o to ci chodzi, Jack? - Zwrócił się do Lowndesa: - Mam nadzieję, że nie na takich kawałkach oprzesz swój reportaż. Lowndes przez chwilę nie odpowiadał, tylko przyglądał mu się badawczo. Potem uśmiechnął się i powiedział:

- Na pewno nie.

W ogrodzie Walker ujrzał kobiecą postać opartą o balustradę tarasu. Widok ten poderwał go na nogi, ale gdy ruszył w tamtą stronę, kobieta odeszła. Przyśpieszył, starając się dogonić ją, zanim zniknie w mroku. Za-chowywała się tak, jakby chciała przed nim uciec. Pomyślał, że włosy nosi uczesane jak przed piętnastu laty. Poznał jej sylwetkę, jej ruchy, jej aurę. - Lu Annę! - zwołał.

- To nie ona - odpowiedział mu cichy głos z akcentem z antypodów.

Walker zatrzymał się zmieszany. Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że to Joy McIntyre, zastępczyni Lu Annę od rozbieranych scen i jej dublerka, ta od Quinna. Jej męża Rydera - fotografa - Walker poznał przy jakiejś okazji i kiedyś nawet się z nim przyjaźnił. Kariera Joy zaczęła się wtedy, gdy mąż posłał jej rozebrane zdjęcie do magazynu publikującego co zgrabniejsze golizny. - Nabrałaś mnie dzisiaj już drugi raz - powiedział Walker.

- To ty jesteś Gordon, nie mylę się? Nie będą szczęśliwi, gdy cię zobaczą.

- Chyba myślisz o Drogue'ach. Gdzie podziewa się Lu Annę?

- Poszła do kościoła - prychnęła Joy. - Przynajmniej tak mi powiedziano.

- Ty płaczesz? - zdziwił się Walker. - Co się stało?

- Oj - sapnęła. - Chciałam powiedzieć, ale numer!

- Nic ci nie jest?

- Nic, wszystko w porządku. - W ciemnościach jej oczy wyglądały na szeroko otwarte ze zdumienia. - Jak się czuje Lu Annę?

- Nie najgorzej. Poza tym, że poszła do kościoła. Wiesz, gdzie ja byłam?

Walker zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Z kimś?

- Nie powinnam o tym mówić.

- W porządku, jak chcesz.

- Z panem Drogue.

- Aha - przyjął do wiadomości.

- Na czymś w rodzaju pieprzenia.

- Cóż, jak to zwykliśmy mówić: jak cię coś rusza... - Nie z młodszym panem Drogue - wyjąkała Joy niepewnym głosem. - Z jego tatą.

- Aha. - Walker nie wiedział, jak ma zareagować. Wy-starczały mu własne kłopoty.

- Musiałam się komuś zwierzyć, no nie?

- Szczerze mówiąc, to niekoniecznie.

- Powiedziałam mu: Panie Drogue, jestem zaszokowana, chyba mam do tego prawo - właśnie tak mu powiedziałam.

- Prawdopodobnie to był całkiem niezły pomysł. Jeśli idzie o karierę, on może ci pomóc, więc postąpiłaś słusznie. - Wcale o tym nie myślałam - zaprotestowała. - Zamierzam zapomnieć o tym godnym pożalowania incydencie.

- Ja też zapomnę - obiecał Walker. - Zapomnę o wszystkim, co mi powiedziałaś.

- Czyja ci coś powiedziałam? - Udała zdziwioną.

- W porządku - uspokoił ją.

- Jeśli się nie mylę, stary Ryder jest twoim kumplem.
- Ostatnio rzadko go widuję.
- Rozeszliśmy się, wiesz? Miłość straciła dla nas swój urok.
- Przykro mi. - Walkerowi zrobiło się naprawdę przykro.
- Stało się nudnawo.
- Takie właśnie jest życie. Jak coś jest, to jest. A jak czegoś nie ma, no to nie.
- No tak - przyznała Joy. - Próbowaliśmy przywołać dawny czar. Nie dało rady. -
Potrzęsnęła głową. - Kiedyś to on pakował mnie w takie sprawy jak ta dzisiejsza.
Podsuwał mi komu trzeba. Stało się to chyba moją drugą naturą. - Nie obwiniaj się.
- Wcale nie obwiniam siebie - powiedziała. - Winię jego. To on załatwił mi posadę
telefonistki od gadek porno.
- Rzeczywiście - przypomniał sobie Walker. Pamiętał, że to Ryder namówił Joy do
przyjęcia posady telefonicznej. Została rozpustną rozmówczynią ku ucie-sze bandy
rozmaitych obleśnych typów z Melrose Avenue, których podniecał jej wytworny, brytyjski
akcent. Praco-wała tam, dopóki nie zamordowano właściciela interesu. - Straciłam kupę
czasu - powiedziała Joy.
- Zawsze coś się traci.
- Wiesz, pojechaliśmy na wakacje do Mendocino, Ryder i ja. Zachowywał się jak
pieprzony paranoik, nie chciał ze mną w ogóle rozmawiać, a telewizor się zepsuł.
Spędziłam cały ten pieprzony pobyt na spa-cerach w pieprzonym deszczu.
- Czasami bywa tam bardzo ładnie - zauważył Walker i popatrzył na nią. - Na pewno
dobrze się czujesz? - O tak. - Joy potrzęsnęła głową, wzięła głęboki oddech i spojrzała na
Walkera, jakby dopiero go zobaczyła. - Coś jeszcze - powiedziała. - Widziałam na plaży
dwa walczące ze sobą zwierzaki.
Walker rozpromienił się.
- To musiało być fascynujące. Jakie zwierzaki?
Joy głęboko westchnęła.
- Chyba pobrażki. Naparzały się jak szalone.
- Choreograf z Sands nie żyje! - ryknął Jack Best. Kucharz wyszedł z kuchni i przeżegnał
się. Axelrod i kelner usiłowali wyprowadzić Besta bocznymi drzwia-mi. Przy stole, na
miejscu, które poprzednio zajmował, Walker dojrzał Lu Annę siedzącą obok Dongana
Lown-desa.
- Ale noc, co, koleś? - powiedziała Joy.
- Nieziemska.
Z przyśpieszonym biciem serca wszedł do baru. Wyda-wało mu się, że popatrzyła w jego
stronę, ale jej oczy ani razu nie zatrzymały się na nim. Usiadł na opuszczonym przez Besta
krześle.
- Cześć, Gordon - przywitała go ze spokojem.
Jej obojętne pozdrowienie zabołało jak uderzenie.
- Cześć, Lu Annę.
- Cudownie się bawimy przy filmowaniu twojego sce-nariusza.
- Cieszę się.
- Przyjechał znany pisarz, żeby zrobić o nas reportaż.
Pan Gordon Lowndes, z "New York Arts". Znacie się?
- Tak, zdążyliśmy się poznać - odrzekł Walker. - Wie pan, panie Lowndes - powiedziała
Lu Annę - znam na pamięć całe ustępy z "Naming of Parts". - Lu Annę była kiedyś
prezeską klubu Dobra Książka dla Panien z Dobrych Domów - powiedział Walker.
Dostrzegł, że Lowndes ściągnął wargi. Dłonie Walkera drżały i trzymał je ukryte pod
stolikiem. - Gdy słyszę w Hollywood, że komuś podoba się książka, później okazuje się,
że czytał jedynie stresz-czenie dla filmowców. - Pisarz zaśmiał się. - To nie dotyczy Lu

Annę - zapewnił go Walker. - Ona naprawdę dużo czyta.

- Nie myślałem o pannie Verger. Akurat przyszło mi to do głowy.

- Czy ktoś z naszej branży interesował się kiedyś twoją książką? - zapytał Gordon.

- Tak - potwierdził pisarz. - Coś się szykowało, ale nawet nie wiem, jak sprawa się skończyła. - To rzecz trudna do przeniesienia na ekran - zauważył Walker.

- Zaraz po ukazaniu się książki byłbym z pewnością niezmiernie przejęty, gdyby zajął się nią jakiś reżyser, ale teraz już wiem, że świat świetnie poradził sobie bez jej filmowej wersji.

Z miejsca, w którym siedział, Walkerowi wydawało się, że Lowndes przysunął się bliżej do Lu Annę, że ich ciała stykają się, a ona nie robi nic, by się od niego odsunąć. Zdawała się chłonać słowa pisarza.

- Jeżeli będziemy wyszukiwać rzeczy, bez których świat może się obejść, to Bóg jeden wie, do czego dojdziemy - powiedział Walker.

Lowndes uśmiechnął się. Lewą rękę trzymał pod stołem i Walker w żaden sposób nie mógł uwolnić się od natrętnej myśli, że pisarz obmacuje Lu Annę. Przyszło mu do głowy, że na dłuższą metę takie rozważania mogą doprowadzić go do obłędu. Tym bardziej że spodziewał się po Lu Annę każdej reakcji na swój widok oprócz uśmiechniętej obojętności, która go spotkała. Zamówił następną kolejkę.

- A więc, jak długo już tu jesteś? - spytał Lowndesa, gdy alkohol pojawił się na stole.

- Dopiero jeden dzień.

- Tak, jeden dzień - dodała z entuzjazmem w głosie Lu Annę.

- Pozwól, że opowiem ci o moich planach - zwrócił się Lowndes do Walkera. - Może cię zainteresują. Walker spostrzegł, że Lu Annę i pisarz trzymają się za ręce za oparciami krzeseł. - Pewnie, chętnie posłucham.

- Tak naprawdę, to nie wierzę, żeby ktokolwiek napisał dobry reportaż z planu filmowego, zanim dzieło nie zostanie ukończone. - Lowndes uwolnił dłoń z uścisku Lu Annę, wyciągnął z kieszeni pudełko cygaretek i po-częstował Walkera, a gdy ten odmówił, sam zapalił. - Pomyślałem, że najpierw trochę się tu pokręcę, zobaczę co nieco i może tą metodą uda mi się ogarnąć całość procesu powstawania dzieła. Więc poszperałem tu i ówdzie i dowiedziałem się z grubsza, kto jest kto. Teraz kolej na przyjrzenie się ich pracy. Na końcu popatrzę na produkt finalny przez pryzmat tego, co widziałem wcześ-niej, i wyciągnę wnioski.

Walker spojrział na Lu Annę, by upewnić się, czy pojęła cokolwiek z tego, o czym mówił ten człowiek. Jak dotąd, wydawała się słuchać z zainteresowaniem. - Nie całkiem cię zrozumiałem - zwrócił się do Lowndesa. - To, co mówisz, jest bardzo skomplikowane i świadczy o tym, że masz ambitne plany. - Usiłował naśladować wyszukanie uprzejmy sposób bycia pisarza i Lu Annę. - Spędzisz tutaj kilka sympatycznych tygodni, jestem pewien, że wszystko doskonale się powiedzie. - Nie chce mnie pan traktować poważnie, panie Walker - zauważył chłodno Lowndes.

- Po prostu nie rozumiem, do czego zmierzasz. - Mam wszystkie twoje scenariusze - powiedział Lowndes. - Wszystkie, jakie napisałeś.

Jon Axelrod, spocony i czerwony na twarzy, wrócił do stolika i ciężko opadł na krzesło.

- Niech go szlag - powiedział. - Niezmiernie mi przykro. Walker popatrzył przez stół na Lowndesa. Gdy wyob-raził sobie tego człowieka o łagodnym głosie i dziobatej twarzy, grzebiącego się w setkach scen, które napisał, poczuł się zażenowany, wręcz zbrukany.

Wszystkie te scenariusze - pomyślał - są przecież kroniką wewnątrz-nych walk, wygranych lub przegranych, nie przemyś-łanych strategii, desperackich kompromisów. Wykresem bezsensownych posunięć, podobnym do drogi ślimaka, odbitej na prehistorycznym poziomie morskiego dna. Tu i tam jakiś lśniący sekret zwiędnięty i bezpłodny niczym kamienna perła w skamieniałym małżu. Pomyślał o wszystkich tych sprawach, których nie

powinien był nawet tykać. Były jak wydarzenia, do których zaistnienia nie należało dopuścić. Ale to, czego nie opisał, okazywało się po stokroć gorsze. - Jak ci się podobają? Lowndes uśmiechnął się.

- Są naprawdę bardzo dobre.

- Gordo jest świetny - natychmiast przyłączył się do pochwał Axelrod. - Zapytaj kogo chcesz. Ledwie skończył mówić, odkrył paskudną plamę na rękawie koszuli. Wstał od stolika i ruszył do toalety. - Zastanawiają mnie niektóre aspekty twojej twórczości - powiedział Lowndes.

- Tak, a jakie? - zapytał Walker.

Rzucił pośpieszne spojrzenie w stronę Lu Annę i zauważył, że na jej ustach zagościł rozmarzony uśmiech. W pół-mroku panującym w barze jej twarz wyglądała jak z porcelany - blada i czarodziejska, jak u madonn Crivelliego. - Cóż, jestem tylko chłopcem z Georgii - powiedział Lowndes, siląc się na prowincjonalny akcent - i może dlatego jestem taki prostoduszny. Ale coś mi się zdaje, że wy, chłopaki, posiadliście magiczną latarnię. Jako prostaczek marzę o tym wszystkim, czego mógłbym dokonać, gdyby los dał mi szansę.

Walker w zadumie popatrzył na dno szklanki. - Prostaczek, panie Lowndes, nie wiedziałby nic o ta-jemnicach serca, a pan dotarł do ich sedna. Wiem, bo czytałem pańską powieść. Jest prawdziwa i nieraz roniłem nad nią łzy. - Zawiści? - wtrąciła się Lu Annę.

- Nie przyszło mi to do głowy - odrzekł Walker. Pomyślał, że uśmiech na jej twarzy wygląda jak naklejony. Najwyraźniej przestawała być sobą i odtwarzała postać będącą wytworem jej fantazji. Ucieszył się. Jeszcze przed chwilą obawiał się, że ją utracił, że stała się zimną, skorą do drwin, zgorzkniałą kobietą. - Chyba nie potrafiłbym rozplakać się z zawiści. Książka rozczuliła mnie dlatego, że najzwyczajniej w świecie spodobała mi się. - A niech tam. Musisz mnie zaakceptować takiego, jakim jestem! - powiedział Lowndes. Wyciągnął rękę. Walker popatrzył na nią i w milczeniu uściśnął.

- Wiem, co chciałeś powiedzieć. Gratuluję wyczucia. Ale nawet gdybyś był wiejskim prostaczkiem, co najwyraźniej nie jest prawdą, nawet gdybyś był wnuczkiem Pogo, trudno by mi było uwierzyć, że jesteś aż tak naiwny. Sądzę, że chcesz sprawić, żebym odczuł małość swoich dokonań.

- Co takiego? - zapytał Lowndes.

- Powiedziałem, że nawet gdyby twoim dziadkiem był pieprzony aligator, powinieneś wiedzieć więcej o filmowym biznesie. Czy naprawdę trzeba ci wszystko wykladać kawa na ławę, czy zwyczajnie chcesz mnie zadreczyć pytaniami?

- Źle mnie zrozumiałeś, stary. Okropnie jesteś drażliwy.

- Przepraszam. Miałem bardzo męczącą podróż. - Nie przepraszaj. Być drażliwym to nie wstyd. To znaczy, że znasz swoją wartość. Zapomniałem, skąd pochodzisz.

- Z Kentucky, z Lexington.

- Nigdy bym nie przypuszczał - zdziwił się Lowndes. - Mam w Kentucky krewnych o nazwisku Walker. Może jesteś z tych Walkerów? nie - odrzekł krótko. - Załóżmy, że mój dziadzio był aligatorem. Objaśnij mi więc, na czym polega zadanie scenopisarza. - O Jezu! - jęknął Walker. - Zadanie scenopisarza?

- Czyżbym użył niewłaściwej terminologii? - Trzeba uwierzyć, że ta praca ma sens, i stosować się do obowiązujących reguł - wyjaśniał Walker. - Nie można pracować w oderwaniu od realiów filmowego planu ani przesadnie upierać się przy swoim. Nie wolno lekceważyć widzów. Ten zawód wymaga równocześnie pokory i siły charakteru.

Lowndes zwrócił się do Lu Annę: - Oto przekonująca obrona jakże często wyszydzanego fachu, nie uważasz? - O tak - odrzekła radośnie.

- Bardzo przekonująca, panie Walker, uwierzyłem w każde słowo. Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, czy to, co obydwaj nazywamy tanim chwytem, na ekranie wygląda

zdecydowanie lepiej niż w powieści. Walker zastanowił się przez chwilę.

- Zdarza się.

- Czy więc nie jest tak, że skłonność do tanich efektów bardzo się przydaje scenarzyście?

- Istnieją zasady, Lowndes, już o nich wspominałem. Zwykle należy powściągnąć fantazję i trzymać się ram narzuconych przez gatunek. Fantastyczne pomysły trzeba utemperować, cały czas pamiętając o możliwościach technicznych producenta, bo to my, scenarzyści, wprawiamy w ruch filmową maszynę. No i jeżeli ma się ciężką rękę, postacie wypadną nijako, wręcz źle. Ten fach wymaga dużo wprawy, odrobina talentu też się przyda. - A jeżeli powiem - ciągnął Lowndes - że jako pisarz filmowy wpadłeś w pułapkę przesadnego realizmu, bezbłędnie wyczuwając następujące średnio co pięć lat zmiany? Popraw mnie, jeżeli się mylę. Walker zachnął się.

- Mam przeczucie, że na to, co przeczytamy w "New York Arts", moje zdanie nie będzie miało wpływu. Lowndes roześmiał się.

- Nie sądzę, byś miał rację - mówił Walker. - Ani też nie uważam, że mam skłonność to stosowania tanich chwytów.

- Cóż, może dlatego nie odniosłeś takiego sukcesu, na jaki zasługujesz.

- A co dla pana jest sukcesem, panie Lowndes? - Odpowiedz, co naprawdę myślisz - wtrąciła się Lu Anne. - Taka obowiązuje wśród nas zasada. - I nie przekraczania granic zdrowego rozsądku także - dorzucił Walker.

Gdy Axelrod wyszedł z męskiej toalety, tłusta plama na jego koszuli ustąpiła miejsca mokrej. - Ależ bzdury wygadujecie! Nie słyszałem o żadnej "klauzuli zdrowego rozsądku" - mruknął siadając przy stole.

Walker i Lu Anne patrzyli, jak uśmiech znika z jego twarzy. Lowndes utkwiał wzrok w Walkerze. - W naszym świecie nikt nikogo do niczego nie zmusza - tłumaczył dalej Walker. - Zwykle dobrze płacą, oczywiście jeżeli cię nie oszukają, ale zazwyczaj nie robią tego. Można wiele dokonać, mieć swój wielki dzień. - Wiem, że to prawda - powiedział Lowndes. - Zwyczajnie chciałem cię pogłębić. - Szturchnął Walkera w ramię. - Daruj, wygłupiam się. Wiem, że z ciebie gość z jajami.

- Bardzo cię pogłębił, Gordon? - zapytała Lu Anne.

- Średnio - odrzekł Walker.

Do baru wszedł Jack Glenn w towarzystwie peruwiańskiej sekretarki planu i kilku macherów od produkcji. Na widok siedzących zawahali się i usiedli przy stoliku w głębi lokalu. Charliego Freitaga i jego kumpla z Las Vegas nie było w barze już od dłuższej chwili. - Idę spać - oświadczył Walker. - Przyjemnie mi się rozmawiało, mam nadzieję, że się do czego przydałem.

- Ależ tak, bardzo - zapewnił go Lowndes. Gdy Walker wstawał, spostrzegł, że dziennikarz przykrył ręką dłoń Lu Anne;

- Ja też mam już dosyć - oświadczył Axelrod i dołączył do Jacka Glenna.

Gdy Walker przechodził korytarzem do drugiego skrzydła hotelu, usłyszał kroki biegnącej za nim po dywanie osoby. Przez chwilę myślał, że goni go Dongan Lowndes, ale nim się odwrócił, już wiedział, że to Lu Anne. Jej twarz wykrzywił grymas przerażenia. Wtuliła mu się w ramiona, dłonie trzymając przy skroniach, jakby chciała zasłonić się przed uderzeniem. Aby ją pocałować, musiał wyplątać się z jej rozpaczliwego uścisku. -

Gordon, pomóż mi - powiedziała prosząco. - Facet jest strasznie nachalny.

- Nachalny? A mnie się wydawało, że nie masz nic przeciwko temu, żeby na ciebie wlaź. Przez pięćset długich mil myślałem tylko o tobie, a gdy docieram na miejsce, widzę, jak umizgujesz się do tego wielkiego, bagiennego szczura.

- Ty niczego nie rozumiesz, Gordon, ja naprawdę się boję.

- W porządku, Lu. Słyszałem, że świetnie sobie radzisz.

Do tego wyglądasz prześlicznie.

- Dzisiaj wieczorem byłam w kościele i na krzyżu widziałam coś, co ani trochę nie przypominało Jezusa. Przez moment poczuł się tak, jakby spadła na niego lawina lęków, złożona z wszelakiego rodzaju obaw: własnego strachu przed ogarniającym ją i jego szaleństwem, strachu przed śmiercią i przed życiem. Było za późno, by się wycofać, już nie pozwoli jej odejść. - Jesteś sama, Lu Annę? Twój mąż i dzieci wyjechali? - Jestem sama, bez mężczyzny, który miałby nade mną władzę. Czy nie wydaje ci się, że on wygląda jak wyliniąły champion pieprzonych kocich wyścigów? - Rzeczywiście - przyznał Walker. - A... czy dalej widzisz tych... no wiesz?

Uciszyła go przykładając palec do ust i skinęła pota-kująco głową. - A jak piguły?

- Zażywałam, ale nie mogę wtedy pracować. Poczuł jej głowę na ramieniu, pogładził jej włosy. Nie miał pojęcia, co robić.

- Ten człowiek widział, jak pobiegłam za tobą. Zo-stawiłam go i teraz się za to na nas odegra. - Wyglądało, jakbyś się do niego kleiła. - Udawałam tylko. Tak mi kazali, twierdzili, że o mnie napisze.

- Kto?

- No, Charlie. I Jack, i Walter.

- Zapomnij o nim. Nie sądzę, by to, co napisze, miało większe znaczenie.

Gdy tak stali, on z Lu Annę w ramionach, zobaczył Lowndesa, który obserwował ich z drugiego końca korytarza, z wyrazem twarzy mogącym uchodzić za dobrotliwy. Teraz, ze spadzistymi ramionami i obwisłym brzuchem, wyglądał jeszcze paskudniej. Po chwili znikł mu z oczu. - Jest tam, prawda? - zapytała nie odwracając głowy. Pomyślał, że zdolność percepcji u schizofreników jest trudna do pojęcia. - Odszedł.

- Zawsze znajdzie się ktoś, kogo się boimy - pożałowała się Lu Annę.

- Nie musimy grać według ich reguł, Lu.

- Ależ musimy - upierała się.

Cofnął się pół kroku, nie wypuszczając jej z objęć.

- Zostań dziś ze mną.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Rzeczywista jest tylko dzisiejsza noc - nalegał. - Nie wiem, czy istnieje coś jeszcze. Nie ma nic pewnego. - Nic pewnego - powtórzyła beznamiętnym głosem. Potrząsnęła głową.

- Nie mogę, boję się. Nie rozumiem, dlaczego mnie pragniesz.

- Wydaje mi się, że wyjaśniliśmy to sobie wiele lat temu - przypomniał.

- I niczego się nie nauczyłeś od tamtego czasu?

- Całe życie popełniam te same błędy, Lu Annę.

- Gejsza i samuraj - powiedziała. - To ty jesteś gejszą. - Dotknęła jego policzka długim, nie polakierowanym paznokciem. - A ja samurajem.

- Zgadza się - przyznał Walker.

Jacyś hotelowi goście pokazali się na drugim końcu korytarza, ale nawet nie odwrócił głowy. Lu Annę ujęła jego dłoń i stali ze splecionymi palcami jak dwoje starych przyjaciół na rodzinnej ceremonii.

- Mam już dość, Gordon, kocham cię, ale trwa to już za długo. Zawsze ktoś był przy mnie i myślę, że tym kimś za każdym razem byłeś ty. Jestem chora i przerażona, muszę się gdzieś ukryć.

- Ukryj się razem ze mną.

Gdy uwolniła się z jego uścisku, poszedł za nią i pono-wnie wziął ją w ramiona.

- Nie zmuszaj mnie - prosiła - poczekaj na mnie, poczekaj do jutra.

Walker pomyślał, że nikt nie obiecywał im jutra, ale będzie na nią czekał, na ten nie zasłużony, odległy dzień. - W porządku, poczekam.

Wtedy, bosa, odeszła. Zostawiła swoje odświętne, koś-cielne buty w miejscu, gdzie stała.

Pochylił się, by je podnieść, i wtedy usłyszał mocne pukanie dobiegające z korytarza, w

którym zniknęła. Podeszedł kawałek w tam-tym kierunku, wychylił się przez poręcz i zobaczył, że Lu stuka do drzwi apartamentu trzy piętra niżej. Pokoje z oknami wychodzącymi na góry były mniej luksusowo urządzone, za to tańsze. Zajmowali je woźnice i personel techniczny ekipy oraz goście, którym wystarczyło każde miejsce, byleby w pobliżu odchodziła ostra gra w karty. Wychylił się przez metalową poręcz jeszcze bardziej i zobaczył, że drzwi apartamentu otworzyły się i ukazała się w nich sylwetka Billy'ego Bly. Widział, jak roz-mawiają i jak Bly zamyka jej drzwi przed nosem. Cze-kała z głową wspartą o nie, dopóki znów się nie ot-worzyły. Tym razem weszła do środka. Walker, z jej butami pod pachą, czekał prawie dziesięć minut na podeście piętro wyżej, ale nie pokazała się. Prosiaczku, proszę cię! - błagała Lu Annę. - Na-prawdę, miły mój, nie mogę być dzisiaj sama, boję się, że umrę.

Bly spojrział na jej bose stopy na plastikowej wycieracz-ce. Zażenowany wydał wargi.

- Byłem pewien, że czekasz na przyjazd Gordona Walkera.

- Rzeczywiście, i dalej na niego czekam.

- Przecież już jest.

Potrząsnęła głową.

- Ale nie ja, prosiaczku. Okazało się, że jeszcze mnie nie ma. Powiedziałam mu, żeby zaczekał do jutra, i wi-dzisz, jaki jest miły - obiecał, że zaczeka. - Boisz się?

- Śmiertelnie - przyznała Lu Annę. - Muszę się ukryć.

Muszę!

- No wiesz - Billy Bly był najwyraźniej zmieszany - nie jestem w pokoju sam.

Wbiła w niego wzrok: w oczach miała błaganie. Popatrzył na nią badawczo, jakby chciał ocenić natę-żenie jej strachu.

- Będziesz musiała zaczekać - powiedział wreszcie. Zrobiła ruch, jakby zamierzała precyzyjnie się obok niego do pokoju, ale zastawił wejście.

- Kochanie - szepnęła nalegająco - pozwól mi poroz-mawiać z tym chłopcem, wyjaśnię mu sytuację. - Powiedziałem, Lu Annę, żebyś czekała, więc bądź cierpliwa.

Zamknął drzwi, a ona oparła o nie czoło. Gdy usłyszała gniewny, pobrzmiwający niedowierzaniem głos mek-sykańskiego chłopca, uniosła dłonie i zatkała uszy. Po chwili Bly otworzył drzwi i wpuścił ją do środka. Gdy wchodziła do obszernej sypialni, wydało jej się, że na balkonie widzi poruszającą się sylwetkę. Rozległ się brzęk strąconej doniczki.

- Bardzo był wściekły? - zapytała.

- Jak cholera.

- Zdaje się, że rozbił doniczkę?

- Pewnie ją tylko przewrócił, gdy schodził na dół.

- Słuchaj, prosiaczku, obiecuję, że ci to wynagrodzę. Najlepiej, jak umiem. Wiesz przecież, że po nocy zawsze przychodzi dzień i może nadarzyć się odpowiednia okazja.

- Ale, Lu Annę, to tak, jakbym...

- Prosiaczku! - zaczęła z powagą. - Przecież nie jestem taka niewrażliwa, żeby nie rozumieć. Mam tylko nadzieję, że już... no wiesz... zostałeś usatysfakcjonowany... Bly wzruszył ramionami. Stał obok lustra i zdejmując z siebie koszulę, sprawdzał, ile piegów przybyło mu na ramionach od słońca.

- Tak naprawdę, to nigdy nie jestem do końca usatys-fakcjonowany - zwierzył się Lu Annę. Był mężczyzną poważnym, praktycznie pozbawionym poczucia humoru, i Lu bardzo się cieszyła, ilekroć udało jej się go rozśmieszyć. Teraz podbiegła do niego. - Jestem taka szczęśliwa, a przed chwilą umierałam ze strachu. - Na stoliku zobaczyła kupkę kapsulek azotynu amylu . Podeszła bliżej i z tkliwością pogłaskała je wskazującym palcem, jakby były miotem ulubionej, domowej myszki.

- Masz ochotę na Quaalude? - zapytał Bly. - Nie mogę sobie wyobrazić niczego, co sprawiłoby mi większą przyjemność - powiedziała radośnie. Opalona twarz Bly

poczerwieniła, ściągnął mocno wargi. Dopiero po chwili Lu Annę zrozumiała, że wyraz jego twarzy to uśmiech, i uściśnęła go. - Jak przyjemnie pachniesz.

Gdy wszedł do łazienki po Quaalude, uświadomiła sobie, że gdy trzymała go w objęciach, jego ciało lekko naprężyło się, jakby dyskretnie chciał jej wybić z głowy cielesną bliskość. Leżeli na rozłożonej pościeli i faszerowali się Quaalude, popijając ją wodą z lodem ze stojącego na podłodze dzbanka.

- Mogłam dać temu chłopcu trochę pieniędzy - tłumaczyła się Lu Annę - tak mi głupio.

- On nie bierze pieniędzy. Wiesz - dodał Bly po chwili - wyrobiłaś sobie fałszywą opinię, ci Meksykanie z reguły nie chcą pieniędzy. - Wybacz mi - poprosiła. - Nie ma sprawy.

Przynajmniej tym razem. Dzięki klimatyzacji w pokoju panował chłód. Okna były zamknięte, od strony gór nie docierał najłżejszy powiew wiatru. Przytuliła się do Blya, położyła mu dłonie na ramionach, a potem, z poczuciem winy, zabrała rękę.

- Wiesz, jak to jest.

- Ano wiem.

- Ale nie myśl sobie, że coś mi się przywidziało, prosiaczkę, zawsze wiedziałam, że ja i ty to historia, która nie może trwać - tacy już oboje jesteśmy. - Jak te dzwony - powiedział Bly - co to biją tylko od czasu do czasu.

- Ależ fajna ta Quaalude - zachwyciła się Lu Annę.

- Dzięki niej można jakoś trawić ten świat. Odwrócił się, spojrzał jej w oczy i z powrotem opadł na poduszkę.

- Co powiesz o mnie Drogue'owi? - zapytała. - Że zachowywałam się jak należy?

- Zachowałam się tak, jak on tego po tobie oczekuje. Zrozum, martwi się tylko o własną dupę. Tak jak Charlie o budżet, ubezpieczenie i podobne sprawy. - A jak myślisz, jaka naprawdę jestem? - Nie wiem. Nie potrafię tego wygłówkować, nie jestem taki cwany jak ty.

- Byłam cudownym dzieckiem od quizów, wiedziałeś o tym?

Bly ziewnął.

- Wiesz, Lu Annę, gdyby choć połowa z tych rzeczy, które o sobie opowiadasz, była prawdziwa, to musiałabyś mieć już co najmniej siedemdziesiąt pięć lat. - Jestem starsza, niż się wam wszystkim wydaje - powiedziała ze smutkiem.

- Słuchaj, nie rozumiem, dlaczego wciąż zmyślasz, zupełnie tego nie pojmuję. Jeżeli jesteś wielką gwiazdą, to czegoż więcej możesz pragnąć? Czego chcesz do-wieść?

Przygryzła czubek palca i popatrzyła na Blya. Był typem człowieka, który jest głęboko przekonany, że nie należy pożyczać pieniędzy na grę w karty, że usuwanie tatuażu kosztuje bająnskie sumy; wierzył w reinkarnację i w instytucję prawdziwie wielkich gwiazd, i uważał, że im są sławniejsze, tym łatwiejszy do strawienia mają sposób bycia. W jego hierarchii Lu Annę nie była prawdziwie wielką gwiazdą, ale z pewnością przyznawał jej punktowane miejsce.

- Opowiedz mi coś zabawnego - poprosiła go. - Potem ja będę gadała.

Billy Bly uwielbiał skandaliczne powiastki związane z filmowym planem: o grze w karty o wysokie stawki, o zwariowanych przyjęciach i gwiazdach biorących w nich udział.

Kolekcjonował wszelkie filmowe opowieści, Lu Annę też się nimi interesowała. Zresztą, z ręką na sercu, któż ich nie lubi?

- Ależ słyszałaś ode mnie te historie wiele razy - zaczął z udaną niechęcią, ale nie dał się długo prosić. Opowiedział jej o reżyserze z Zachodu, który okropnie partolił grę w pokera i który przegapił wygraną mogącą przytrafić się tylko raz w życiu. O aktorze, który z hotelowego okna w Vegas wystrzeliwał różno-kolorowe race; o przeróżnych intrygach i zaskakująco nedorzecznych romansach, o bójkach, o aktorach i miejscowych matronach; o ubzdrygolonych w trupa, ale do końca kłótliwych awanturnikach, o olbrzymich, wzorzystych materacach wodnych wypełniających pod sam sufit pokoje motelowe, o

deprawowanych akto-rach-dzieciach, o szympansach dla kawału wypuszcanych z klatek. Gdy przysła jej kolej, Lu Annę rozśmieszyła Billa historyjką o Wernerze - kaskaderze "króliczku". - A my kiedyś w Durango mieliśmy dublera - muła - powiedział. - Za każdym razem, gdy do niego strzelano, trzeba mu było niemal podcinać nogi, żeby upadł. - Werner był "króliczkiem" europejskim - kontynuowała opowieść Lu Annę. - Zawsze elegancko ubrany, o nienagannych manierach. Wyszliśmy po niego na lotnisko i opowiedzieliśmy, czego od niego oczekujemy. Miał spadać z południowej ściany Jungfrau. Spojrzała na tę stareńką górę: Zo - powiedział tylko. - Ach zo. - Ty, prosiaczku, posikałbyś się chyba ze strachu. Zapytaliśmy go: "Może czegoś ci trzeba, Werner?" A on na to: "Tylko pokażcie mi, z którego miejsca mam zacząć". Bly znów się roześmiał, oczy miał zamknięte. Lu Annę splotła dwa palce i przespacerowała nimi po piersi Billa. - Werner miał doskonale maniery - powiedziała. - Umiał poradzić sobie z serwetką. Można go było wszędzie ze sobą zabierać. Nawet do "Le Cirque". - A to znowu co takiego? Wyrusowała palcem kółko na jego piersi.

- Dawaleś kiedyś za pieniądze?

Leniwy uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny. Otworzył oczy, ale nie patrzył na nią.

- Chyba wiesz, jak doszedłem do tego, kim jestem, i chyba sama potrafisz sobie odpowiedzieć na to pytanie. Lu Annę zadrżała.

- Przepraszam, tak mi się wyrwało. Hej, prosiaczku, mogę jeszcze dostać pół tableteczki? Bill poruszył się i opuścił nogi na podłogę.

- Daczego o to zapytałaś?

- Po prostu chciałam wiedzieć.

- To cuchnące gównno. Brudne i obrzydliwie śmierdzące, choć niektórzy potrafią z tym żyć. Znalazłabyś tu wielu, którzy mogliby powiedzieć ci na ten temat znacznie więcej.

- Nie chciałam cię urazić, przepraszam, prosiaczku.

Przyniósł jej połówkę pastylki, połknęła od razu. Wszedł do łóżka i obydwójce przykryli się ozdobnym, meksykańskim kocem, który miał uchronić ich przed chłodem klimatyzacji.

- Ja to raz zrobiłam - zwierzyła się Lu Annę. - W New Haven, po przedstawieniu. Była zima. Graliśmy "Jak wam się podoba", ja byłam Rozalindą. - Chociaż z tysiąc razy opowiadałaś mi o tamtym wieczorze, o niczym podobnym nie wspominałaś. Coś zmyślasz.

- Nie, to prawda. Facet zaproponował mi dwa tysiące dolarów. Taki jeden zdeprawowany badacz Szekspira. Zrobiłby wszystko, żeby mnie mieć. Wyglądał mi na jezuitę. Mówił: "Zakończ ten wieczór kurewstwem, po-czujesz się fantastycznie, a starego człowieka uszczęliwisz".

- Bzdury - zamruczał Bly. Miał przymknięte oczy i wzrok utkwiony w poduszce.

- Zabrał mnie na Stoddard Street - ciągnęła Lu Annę. - Po przedstawieniu zespół urządził jedną z tych komu-nizujących imprez, na których dyskutowało się, ćpało i pieprzyło, ale ja nie zostałam z nimi. Wymknęłam się zaraz po przedstawieniu. Miałam na sobie sztuczne futro, imitację piżmaków. Poszliśmy na Stoddard Street. Pa-miętam restaurację ze stekami "U Valle" i czerwone płatki śniegu. Powiedział: "Niestrudzenie szukam Gani-meda". Ja na to: "Naprawdę?" Bo oni zawsze tacy są; mówił to, o czym już wiedziałam.

- A więc - zapytał Bly - kupił ci w końcu ten stek? - Zabrał mnie do domu na wzgórzu: zupełnie z innej epoki, niezemskiego, coś w stylu "Nowa Grecja". Wykwintne meble, a ściany ze szkła - człowiek ani na chwilę nie mógł zostać sam. Były tam i tęcze, i tropikalne ryby, a wszystko jak nie ze szkła, to z kryształu. Ogień z kominka odbijał się w lustrach, na zewnątrz nieprzerwanie padał czerwony śnieg. W każdym pokoju dźwięczały lśniące, szklane dzwoneczki, i pośród tych cudów tylko w jednym pomieszczeniu mogła się ukryć. Chcesz wiedzieć jakim sposobem, prosiaczku? - No pewnie mruknął Bly nie otwierając oczu. - Jak? - Bo na ścianach wisiały zasłony z futer, i właśnie tam poszliśmy, i facet do mnie: Jesteś najwspanialszą Roza-lindą, jaka kiedykolwiek zaistniała, drogie

dziecko. Po-dróżowałem po świecie i oglądałem je wszystkie: w Strat-fordzie i Aldwych, i nawet nie zawracaj sobie nimi głowy. Masz najśłodszy głos i najczarowniejsze ruchy. Bly westchnął:

- Ale cię motał. I co, dał ci te dwa patole? - Lepiej - powiedziała Lu Annę. Bly uśmiechnął się, a ona pogłaskała go po karku.

- Więcej niż dwa? Trzy?

- Jeszcze lepiej - wyszeptała. Zamknął oczy, a radosny uśmiech rozjaśnił mu twarz. Położyła głowę na jego ramieniu. Olbrzymie, niemądre łzy, spowodowane działaniem Qu.aalu.de, spłynęły jej po policzkach.

- Jeżeli umiesz się sprzedać, Billy - szepnęła - nie musisz wracać do domu. I nie możesz.

- Prosiaczku? Słyszałeś moje quaaludynowe prze-słanie?

Przyglądała się jego twarzy: sen ścierał z niej uśmiech, co wyglądało jak powolne umieranie.

- Masz prawo trochę się pośmiać - zwróciła się do podstarzałego chłopca, pogrążonego we śnie u jej boku - ale nic na to nie poradzisz, te twoje narkotyki w końcu cię dopadną.

Wczesny ranek zastał Walkera na kąpeli w ciep-ławym Pacyfiku. Po spokojnie przespanej nocy czuł się mniej spięty. Twarz zwrócił w stronę plaży i ogorzałych w słońcu gór, wznoszących się ponad linią przybrzeżnych skał. Czysty, prosty kontur szczytów na tle porannego nieba zachwycał i przyciągał wzrok. Walker, po przeła-maniu kaca dawką kokainy, rozkoszował się niewinnoś-cią poranka, gdy wtem widok, który ukazał się jego oczom, wywołał wrażenie dysharmonii. Na zacienionej jeszcze plaży ujrzał niewielkiego człowieczka w hotelowej liberii, szarpiącego się z drugim, dwa razy od niego większym. Popłynął w stronę brzegu. Przypomniawszy sobie opowiadanie Joy McIntyre o romansie, który rozpląnął się w deszczu, o dwóch skorupiakach walczących zażar-cie na piasku.

Zarzucił ręcznik na ramiona i podążył w tamtą stronę.

Jak pobrzechki - pomyślał.

Okazało się, że to boy hotelowy usiłuje postawić na nogi pijanego mężczyznę. Po kilku nieudanych próbach, przy zastosowaniu przeróżnych metod, chłopiec powrócił do wypróbowanego sposobu i dodając sobie sił głośnym "hej rup!", ciągnął pijaka za ramię.

- Uszkodzisz mu staw barkowy - ostrzegł go Walker.

Razem ujęli pijaka pod ramiona i postawili na nogach;

Walker rozpoznał w nim Dongana Lowndesa. - Nigdy go nie widziałem - poinformował boy. - Nie sądzę, żeby należał do ekipy filmowej. Walker spostrzegł Jona Axelroda schodzącego na pla-żę. Wyjątkowo piękna, czarnowłosa dziewczyna, której nigdy przedtem nie widział, stała na najniższym po-deście i obserwowała, co się dzieje.

Królewna na wieży - pomyślał.

- Spójrz na tego pieprzonego gościa - powiedział Axel-rod. - Mister Klasa! I to miał być jego pierwszy drink od trzech lat, wyżłopał ze dwadzieścia!

- Na słońcu - wtrącił się boy - mógłby umrzeć. - Słuchaj - Axelrod zwrócił się do chłopca - zbieranie z plaży pijaczków nie należy do twoich obowiązków. Idź po pana Bly, wiesz, o kim mówię?

Chłopiec potakująco skinął głową.

Axelrod, przytrzymując Lowndesa za jedno ramię, sięg-nał do jego kieszeni, znalazł jakiś banknot i podał chłopcu. - Idź po niego, a jeżeli będzie trzeba, zbudź go. Boy schował pieniądze do kieszeni i ruszył schodami na górę. Gdy mijał dziewczynę, skłonił się jej z pełnym uniżoności uśmiechem.

- Na słońcu - przedrzeźniał Axelrod - mógłby umrzeć.

Wygląda, jakby miał wykorkować i bez tego.

- Czego szukasz? - zapytał Walker. - Broni? - Chcę zobaczyć, czy nie ukrył mikrofonu.

Niektórzy z tych skurwieli, jak chlapiasz coś idiotycznego, zaraz to wykorzystają.

Zaskarżysz ich, a wtedy okazuje się, że mają cię na taśmie. Powiem Billy'emu, żeby zanim dotaszczy dupka do pokoju, sfilmował go na wideo. - Myślisz, że Lowndesa stać na taki numer? - zdziwił się Walker. - W końcu jest korespondentem "New York Arts", a nie "Confidential".

- Niektórzy z tych pisarzy to największa hołota, jaka chodzi po świecie - powiedział z przekonaniem Axelrod. Popatrzył z uwagą na Walkera i dodał: - Ale niektórzy są w porządku.

Smród spoconego Lowndesa sprawił, że Walkerowi zrobiło się niedobrze. Odwrócił twarz pod wiatr. - A kim jest ta dama? - zapytał Axelroda. - To Helena, nasza nieoceniona asystentka. Oprowadzi cię po planie. Chodź tu, laleczko - zawołał. - Pomóż nam utrzymać tego gościa w pionie.

Helena zesza kilka schodów i znalazła się na plaży. Miała błękitne oczy i trochę piegów. Wyraz pełnego wyrozumiałości zatroskania, z jakim patrzyła na Lown-desa, sprawiał, że Walker czuł się jak pracownik zoo demonstrujący chorą fokę.

- Czy on jest pijany? - zapytała.

- Ależ nie, wprawił się tylko w trans, gdy medytował, leżąc w opakowaniu na plaży - odparł Axelrod. - Heleno, poznaj Gordona Walkera.

- Miło mi - powiedziała wesoło.

Walker mocniej wbił nogi w piasek, by utrzymać ciężar Lowndesa, i wyciągnął do niej rękę.

- Helena oprowadzi cię po okolicy - powiedział Axelrod.

- Nie mogła się ciebie doczekać.

- To wspaniale - skwitował jego słowa Walker. Po-patrzył na młodą kobietę, by sprawdzić, czy Axelrod nie przesadził, i szybko połapał się, że tak. - Twój scenariusz jest cudowny - zachwyciła się Helena. - Film na pewno będzie fantastyczny. Lowndes wyszarpnął im się z rąk, ale natychmiast znów zapadł w sen. Walker i Axelrod pochwycili go w ostatniej chwili, bo niechybnie upadłby na piasek. - Wiesz co? - powiedział Axelrod. - Pieprzyć go. - Puścił Lowdesa, Walker zrobił to samo i pisarz padł u ich stóp jak nikomu niepotrzebny łachman.

- Ku przestrodze innych dupków powinniśmy zakopać go po szyję w piasku - rzekł Axelrod.

Bly, uprawiający poranny jogging, biegł plażą w ich stronę. Na widok Walkera zwolnił i podszedł, jak zwykle balansując ciałem, spokojnymi, równymi krokami. Po-patrzył na skreconą postać Lowndesa, a potem na Walkera.

- Chodźże, Billy - zawołał go Axelrod - trzeba jakoś tę ofiarę poskładać do kupy.

Bly niemal bez wysiłku podniósł Lowndesa i zarzucił sobie na plecy. Axelrod jedną ręką podtrzymywał bez-władne ciało.

Walker spostrzegł, że Bly uśmiecha się do niego, wprawdzie raczej przyjaźnie, a na pewno nie triumfująco ani złośliwie, ale na wszelki wypadek odwrócił wzrok. Gdy Bly i Axelrod odeszli unosząc nieszczęsnego Lown-desa, został na plaży sam na sam z Heleną. - Jesteś po śniadaniu? - zapytała. Przed całym tym zamieszaniem Walker szedł właśnie do domku Lu An-nę, z nadzieją, że może jednak nie spędziła tej nocy z Blyem, ale po drodze naszała go chętka na kąpiel w oceanie.

- Nie, a ty? - odpowiedział pytaniem.

- Ja właściwie też nie. Napijemy się kawy?

- Czemu nie.

Uroda Heleny, jej młodość i dobrze udawane zainteresowanie jego osobą sprawiły, że Walker nagle posmut-niał. To uczucie i myśl o Lu Annę z Blyem uderzyły w niego z całą siłą, dokładając się do kaca i zmęczenia. Żeby się pozbierać, potrzebował działki, ale kokaina została w walizce w jego pokoju.

- Może wejdziemy na górę? - zaproponował. - Muszę stamtąd coś zabrać.

Helena posłała mu trochę przesłodzony uśmiech i ra-zem zaczęli wspinać się po schodach. Był spięty, nie-szczęśliwy i tracił oddech, natomiast ona wydawała się wesoła jak skowronek.

Śniadanie podawano na tarasie sąsiadującym z barem. Usiedli przy stoliku. Walker zamówił dla nich kawę i meksykańskie, słodkie bułeczki, po czym przeprosił ją na chwilę. Zdażył przegonić pokojówkę zmierzającą do jego pokoju i od razu wywiesił na drzwiach tabliczkę z napisem No molestar, a gdy już miał pewność, że nikt mu nie przeszkodzi, usypał sobie działkę. W pośpiechu wziął więcej, niż zamierzał; w rezultacie nie ogarnęła go weso-łość ani lęki - co czasami się zdarzało - lecz niczym nie uzasadniony entuzjazm. Przez chwilę jego uczucia na-brały dziwacznych barw, jakby stały się protezami autentycznych emocji. Wychodząc z pokoju zabrał ze sobą papierową torebeczkę z kokainą; schował ją do plażowej torby, zawiniętą w folię, by nie rozpułyła się na upale. W kawiarni do Heleny dosiedli się Jon Axelrod z Ja-ckiem Glennem.

Walker i Glenn, widząc się po raz pierwszy po rocznej przerwie, uścisnęli sobie dłonie.

- To jedyny człowiek, który lubi meksykańskie plenery - powiedział Jack Glenn. - Mam nadzieję, że nie przyje-chałeś tu, by wprowadzać jakieś zmiany. - Jestem jak kostucha - odrzekł Walker. - Niszczyciel światów. Przyjechałem, by wymazać ze scenariusza ludz-kie postacie.

- Jezu Chryste! -jęknął Glenn.

Walker uniósł swoją kawę i od razu wypił połowę. Teraz, gdy się podhajcował, miał ochotę na alkohol, na coś, co by go uspokoiło.

- Niektóre dupki z pobytu w Meksyku pamiętają tylko forszę wygraną w pokera i stonogi.

- Naprawdę? - zaciekała się Helena. - Ja przyjechałem tu, żeby zobaczyć słońce - oświad-czył z powagą Walker.

- Ci tutaj, poza kilkoma pospolitymi ochlapusami, to taka grzeczna ekipa - powiedziała Helena. - Wszystko idzie tu spokojnie i gładko, bez żadnych niespodzianek. Nuda. Walker zorientował się, że dziewczyna próbuje kokie-tować Glenna, i już lubił ją trochę mniej. - To może się w każdej chwili zmienić - powiedział. - Ostatnią rzeczą, którą wczoraj robiłem, było układa-nie do snu pijaka - odezwał się Axelrod. - A zgadnijcie, co było pierwszą dziś rano?

- To, co się wyprawia na plenerach, zakrawa mi na psychodramę - powiedział Glenn. - Wszystko bez wyjątku. - Niektórzy z nas są bardziej psychiczni od innych - zauważył Axelrod.

Zapanowało krótkie milczenie, jakby obecni zastana-wiali się, kogo w największym stopniu dotyczą te słowa. - Przed laty jeden z moich przyjaciół kręcił tu film - przerwał ciszę Glenn - gdzieś niedaleko San Miguel. Ekipa zamieszkała w hotelu i kasjerka z restauracji zakochała się do szaleństwa w moim kumplu. - Mam nadzieję, że romans zakończył się happy endem - powiedziała Helena.

- Problem w tym, że on nawet nie zwrócił na nią uwagi. Więc poszła do czarownika w swej rodzinnej wiosce i zdobyła napój miłosny - coś z koralu kondora i jąder iguany - i namówiła kucharza, żeby przyprawił nim posiłek jej ukochanego.

- I podziała? - zapytał Axelrod.

- Piorunująco - musieli odstawić go helikopterem do Stanów. To był Meksyk i każdy na coś chorował, ale ten gość omal nie wylądował w kostnicy. Już nawet posyłał po księdza.

- A co z dziewczyną? - zapytała Helena.

Axelrod zapalił cygaro.

- Wyszła za kucharza.

- To były czasy! - westchnął Glenn. - Wtedy film potrafił zauroczyć.

Walker wstając zauważył, jak Helena i Axelrod wymie-niają ukradkowe spojrzenia.

- Jadę z tobą - powiedziała do Walkera z zapalem.
- Mam cię przecież oprowadzić.
- Pokaże ci plan - powiedział Axelrod. - Potem możecie iść na plażę, a dziś wieczorem Charlie wydaje przyjęcie na twoją cześć.
- Dobrze - odrzekł Walker. - A ty pomożesz zanieść mnie do domu.
- Pisarze śpią na plaży, Gordon.

Zanim jeszcze odeszli od stołu, Walker spostrzegł, że Helena bez powodzenia stara się pochwycić spojrzenie Glenna. Ma pecha - pomyślał ze złośliwą satysfakcją; zazwyczaj Jack był bardziej napalony na seks niż kto-kolwiek inny i nie zwykł przegapiać takich okazji. Teraz przyszła kolej na zwiedzanie planu. Na miejsce zawiózł ich jeden z pracowników Axelroda. Przez całą drogę milczeli, a dobry humor dziewczyny gdzieś się ulotnił. Gdy dojechali do pogrążonych jeszcze w porannej ciszy biur, wysiedli. Kierowca schronił się przed słońcem w cieniu dębu, a Walker i Helena, nie śpiesząc się, podążyli wzdłuż wiodących w stronę zatoki szyn, aż doszli do odpoczywają-cego na nich wozu. Walker wsiadł i przesunął ręką po miedzianych okuciach i połyskujących ławkach. - Frank wyszukał ten egzemplarz w Teksasie, idąc tropem starych fotografii z Grand Isle - poinformowała Helena. - Kosztowało go to wiele zachodu, ale w końcu znalazł to cacko, i to całkiem niedaleko. - Wytrwałość godna Franka - zauważył Walker. Poszli na wydmy przez falujące łąki sztucznych ru-mianków. Walker spojrział w dół na domek kąpielowy, a potem ruszyli wzdłuż plaży, aż doszli do szyn, po których Titan Drogue'a toczył się poprzedniego wieczora. W milczeniu obserwowali ich dwaj kucający przy wozie meksykańscy strażnicy.

- Oglądanie, jak przybiera kształty rzeczywistość wy-kreowana w scenariuszu, musi być ekscytujące - powie-działa Helena.
 - Z pewnością tak - zgodził się Walker. Popatrzył w dół, na zatokę, w stronę zmontowanej z pontonów tratwy. Zakotwiczona była jakieś czterdzieści stóp od brzegu, przymocowana linami do nabrzeżnych pachołków, by zbyt nie rzucały nią fale. - Raz na podstawie mojego scenariusza zbudowano dom, w którym niegdyś mieszka-łem. Odtworzono każdy szczegół wnętrza i fasady. Prawdo-podobnie taka rekonstrukcja kosztuje więcej niż oryginał. - Pewnie się wzruszyłeś.
 - Jak sobie przypominam, rzeczywiście byłem poru-szony. Zdarzyło się to wiele lat temu, od tamtego czasu napisałem mnóstwo innych scenariuszy. - A teraz? Przywykłeś już, że filmują twoje pomysły, a może cię to nudzi? Co odczuwasz?
- Zignorował jej pytanie.
- Co to za tratwa tam, na morzu?
 - Walter pomyślał, że lepiej może wyglądać ujęcie ostatniej drogi Edny od strony morza. Uznał, że właśnie tam należy postawić faceta z dobrze umocowaną kamerą. - Kamera go wyręczy! - prychnął Walker. Zwiastujące złą pogodę plamy na niebie, które zauważył już wcześniej, nadal wisały nad oceanem.
 - No wiesz - oburzyła się Helena - dlaczego uważasz, że na wszystkim znasz się lepiej? Walker popatrzył na nią.
 - Czyżbyś była studentką akademii filmowej? - Nie, ja po prostu lubię i podziwiam filmy i ludzi, którzy je robią.
 - Chcesz mnie sprowokować do kłótni? - Wydaje ci się - zaprotestowała. - Może tylko mam lepsze od ciebie zdanie o sztuce filmowej, ale nie upieram się, że wiem więcej.
 - Jak tu trafiłaś?
 - Przez przyjaciół.
 - Twoich przyjaciół?
 - Co w tym dziwnego? Masz jeszcze jakieś pytania? - Pozwól, że będę zgadywał - zaczął Walker. - Dostałaś się tu dzięki zawodowym kontaktom tatusia. Pewnie z nizin wspiał się

na sam szczyt i teraz niewiele macie ze sobą wspólnego. Ty poznajesz świat, raz na dole, innym razem trochę wyżej...

- A ty jesteś pieprzonym pisarzyną filmowych scena-riusz, z przepitą gębą, do tego bez żadnych manier. - I oto my, sami, nad brzegiem Pacyfiku. Czy jako znawczyni filmu zgodzisz się, że to niezły materiał na scenariusz?

- W tej ekipie nikt cię zbytnio nie szanuje, ostrzegali mnie przed tobą.

- Cóż, następnym razem wyciągnij odpowiednie wnioski z tego, co usłyszysz. Czy kazali ci uśmiechami i komplementami trzymać mnie z daleka od ich spraw? Helena odwróciła głowę.

- Trzymać cię z dala od niej, pilnować, żebyś jej nie spoił ani nie dał jej narkotyków.

- Kiedy twój stary wypuszczał cię na szerokie wody, to chyba ostrzegł cię przed alfonsami i żigolakami? Po-zwoliłaś się wykorzystać ludziom, którzy cię przeciwko mnie ustawili: Drogue'owi, Jonowi i komuś tam jeszcze. Zgrabnie udawałaś, że mnie lubisz, mogłem się na to nabrać. Tego właśnie chcieli.

Młoda kobieta popatrzyła na niego z zaskoczonym wyrazem twarzy.

- Ależ z ciebie sentymentalny mięczak.

- Zgadza się, i to jak cholera - odrzekł Walker. - We flircie nie ma nic niestosownego, to metoda stara jak świat.

- Masz rację.

- Pewnie teraz pójdziesz do niej.

- Tak, idę do jej bungalowu. A ty pewnie na mnie doniesiesz.

- A dlaczego by nie? Zawdzięczam im gościny, a tobie nic nie jestem dłużna.

- Jak już ją znajdę, Heleno, daj nam trochę czasu - poprosił. - Nie musisz od razu pędzić do Axelroda. - To nie jest w porządku, dawać jej narkotyki - powiedziała dziewczyna. - Skrzywdzisz ją.

- Nie idę tam po to, by faszerować ją prochami. Wrócili do limuzyny. Na miejscu kierowca wysadził ich niedaleko plaży, u podnóża urwiska.

- Przepraszam, że byłem niegrzeczny - powiedział Walker, gdy już wychodzili z samochodu. - Bez przerwy się wściekam.

- Nie mam nic przeciwko obrzucaniu się błotem - oświadczyła. - Uczono mnie tego od dziecka. Cokolwiek by o tobie powiedzieć, jesteś pierwszą osobą, która zwraca się do mnie jak do ludzkiej istoty. - Wskazała ręką za skały: - Bungalowy są tam.

- Wiem - odrzekł Walker. - Pozdrów ode mnie całą tę bandę.

Odwróciła się w stronę oceanu, a Walker poczłapał plażą w kierunku rzędu bungalowów. zastukał. Usłyszał zza drzwi jej niespokojne ruchy - kroki na wykładanej kafelkami podłodze i szelest matera-riału. Na jego widok zamknęła, a potem otworzyła oczy. - Dzięki Bogu - westchnęła i oparła głowę na jego piersi.

- Amen - powiedział Walker.

Odsunęła się od drzwi i wpuściła go do środka.

- Napijesz się czegoś, Gordon?

- Nie. I ty też nie powinnaś.

- Wczoraj wieczorem straciłam głowę. Przestałam nad sobą panować i nie potrafiłabym poradzić sobie ze spotkaniem z tobą.

- Poszłaś do pokoju Blya.

Wystraszona spojrzała na niego i przecząco potrząsnęła głową.

- Poszłam do niego spać, bo nie chciałam być sama.

Wiesz, Gordon, on jest gejem, to tylko mój kumpel.

- Kiedyś miałaś z nim romans, Lu, wiem o tym. Zobaczyłem, jak się pakujesz do jego pokoju, i trochę mnie to wyprowadziło z równowagi.

- Wiesz przecież, Gordon, że od czasu do czasu nieco fantazjuję.

- I wszyscy ci wybaczymy, Lu Annę, tak jak potrafimy.
- Ale teraz nie kłamie. Poszłam do Billa, dał mi Quacdude, i rozmawialiśmy. Przysięgam! Przecież dopiero co cię zobaczyłam, jakże mogłabym zadawać się z Blyem! Potrafię opowiadać bajki, ale nie umiałabym aż tak kręcić.
- Dziwne, ale zacząłem być zazdrosny o tego Lowndesa. - To kupa gówna! - Jej słowa zabrzmiały z takim przekonaniem i tak obojętnie, jakby były efektem wnik-liwej analizy.
- Napisał dobrą powieść - przypomniał Walker. - Oczy-wiście - dodał nie bez satysfakcji - tylko jedną i to dawno, dawno temu.
- Czytałam tę jego książkę. Nie obchodzi mnie, ile ich napisał. To kawał napalonego na mnie drania. - Tak sądzisz?
- Wie, że jestem wariatką, i chce o tym napisać dla "New York Arts". Nie odstępuję mnie ani na krok. - Lu - powiedział Walker cierpliwie - dlatego, że cię podziwia.
- A jakbyśmy tak zadzwonili na room service, może przysłałoby nam butelkę tequili?
- Nie wiemy, czy Drouge albo ktoś inny z ekipy im nie zabronił. - Zamilkł na chwilę. - Możesz spróbować - usłyszał własne słowa.
- Mezcal - powiedziała mrużąc figlarnie oko - tego nam trzeba. - Objęła Walkera za szyję i wtuliła twarz w jego ramię. Po chwili z gracją, jakby grała w reklamów-ce, skoczyła do telefonu. - Urządzimy sobie alkoholowy piknik, jak za starych, dobrych czasów. - Kiedyś nasze weekendy rozpląwały się w wódczanych oparach.
- Lu Annę zamówiła butelkę mezcalu nie natrafiając na żaden sprzeciw hotelowego personelu. Perspektywa picia rozweseliła ją, usiadła na skraju kanapy, z dłońmi wciśniętymi pomiędzy uda, i popatrzyła na Walkera. - Dziwny wieczór mieliśmy wczoraj - powiedział. - Jes-teś z Lowndesem, uciekasz ze mną; jesteś ze mną, uciekasz do Blya. Jak w La Ronde: wejścia i wyjścia, sypialnie i zamknięte drzwi, i nikt w końcu niczego nie dostaje. Zupełnie w stylu Hollywood!
- Kiedyś uważaliśmy, że spóźniliśmy się na tamto Hollywood... - powiedziała Lu Annę.
- I okazało się, że nie mieliśmy racji - dokończył Walker.
- Po kilku minutach dwaj kelnerzy wtoczyli stolik na kółkach, z butelką mezcalu eon gusano, wodą mine-ralną, szklankami, plasterkami cytryny i wiaderkiem z kostkami lodu.
- Walker napełnił szklanki nie rozcieńczonym alko-hole. - Jak ci leci, Lu Annę?
- Wzięła drinka, wypijała do dna z dziecięcą zachłannością i zaraz naląła sobie następnego.
- Naprawdę chcesz wiedzieć, Gordon, jak ze mną jest?
- Czy to aby twoja sprawa?
- Myślę, że tak.
- Sądzisz, że spojrzę w pustkę za siebie i beznamietnie zasypię cię zwierzeniami?
- Pewnie, czemu nie. A jak zechcesz, opowiem ci, co u mnie.
- Grałeś Leara, prawda?
- Tak.
- Jak było?
- Tak jak w życiu, tyle że poszło łatwiej. Mógłbym spędzić resztę żywota na graniu Leara.
- Z rolą Błazna też byś sobie poradził. Ich oczy spotkały się, Lu Annę dołąła mezcalu do szklanek.
- Nie byłoby źle, ja też potrafiłabym. Moglibyśmy wystąpić razem.
- Jak to tutaj się skończy, pomyślimy. Porozmawiam z Alem.
- Do diabła z agentami! Możemy grać na kampusach albo za darmo w kościołach.
- Tak zrobimy.
- Podniosła butelkę i przyglądała się robakowi na dnie.
- On jakoś dziwnie wygląda.
- Na pewno nam się uda - powiedział Walker. - Chciałabym zagrać Cleo, dość mam już

Edny. Cieszę się, że w końcu umarła. - Uśmiechnięta sączyła drinka. - Nie mogę na okrągło umierać, jak się już zacznie, nie można przestać.

- Marna aktorka z ciebie, Lu Annę, ciesz się, że w ogóle możesz grać.
- Z ciebie też żaden aktor - powiedziała. - Wielka szkoda, że nie jesteś trochę lepszy.
- Co się dzieje z Lionelem, dokąd pojechał?
- Z dziećmi, w odwiedziny, i nie sądzę, żeby wrócił.

Walker nalał sobie trochę.

- Przecież nie może tak zwyczajnie nie wrócić... - Nie, nie może po prostu nie wrócić, ale zamierza odejść. Przez cały czas marzył, by się ode mnie uwolnić. Trudno mu było ze mną wytrzymać.

- Ale chyba nie odbierze ci dzieci.
- Kochanie, przy dobrym adwokacie, który zna prawo poszczególnych stanów, mógłby kazać mnie uśpić. - Świat się zmienia, wiesz przecież, nie musisz mu na to pozwolić.
- Nie muszę, ale nie sądzę, bym miała siłę walczyć. Popijali w milczeniu. Walker podszedł do okna i ujrzał, że niebo zaciąga się żółtawymi chmurami, grubymi i ciemnymi, jakby nadciągała piaskowa burza. - Connie odeszła ode mnie - powiedział.

Lu Annę leżała na łóżku z zamkniętymi oczami. - Nigdy nie mogłam zrozumieć, jakim cudem tak długo z tobą wytrzymała.

- Bardzo mnie to rozbiło, wciąż jeszcze jestem w dołku.
- Biedaczek! Czy dlatego tu przyjechałeś?
- Nie.

- W takim razie, po co?

- Mógłbym wymienić mnóstwo powodów, ale myślę, że wystarczy jeden: przyjechałem dla ciebie. - Aha - prychnęła ozywiona Lu Annę. - Mineło. Złote, słodkie, utracone dni.
- Zwariowanego romansu i miłości. Przyznaję, poru-szyła mnie ta perspektywa.
- Znowu razem?
- Właśnie.

- Wiesz, Gordon - mówiła Lu Annę, najwyraźniej wcielając się w jakąś wyimaginowaną postać - ja też jestem wzruszona... - zamilkła i przyłożyła palce do skroni, pozwalając, by postać, którą przed chwilą grała, opadła z niej jak zużyta skóra. - Ja też jestem wzruszona - powtórzyła. Podeszła, delikatnie dotknęła palcami jego policzka i oparła mu głowę na ramieniu. Walkerowi wydawało się, że czuje ciężar jej niewysłowionego znużenia. -Ja też...

Obejmował ją i myślał, że oto stoi przy nim jego złota dziewczyna, że trzyma ją w ramionach i że nigdy nie zaznali spokoju, jednej cichej godziny, chwili szczęścia. - Przyjeżdżając tu, postąpiłeś wyjątkowo nierozsądnie, Gordo. Człowieku, nic dziwnego, że Connie cię opuściła!

Milczał. Oderwała się od niego.

- Connie i ja, Gordon, stałyśmy się klasycznymi przypadkami wypalonych hollywoodzkich "po czterdziestce". Byłyśmy pieprzone, spijane i faszerywane narkotykami. Zachodziłyśmy w ciążę i skrobałyśmy się, oszukiwano nas i wykorzystywano na wszelkie sposoby. Spalałyśmy się przy kochankach, olewały nas dzieci, obsrywały teściowe, dostawałyśmy cięgi za śmiech i za płacz, a ty spodziewasz się, że będziemy spokojnie znosić twoje romantyczne rozterki?

- Nie uwierzę, że Connie miała kochanków - obruszył się Walker.

Lu Annę wysunęła dolną wargę i po dziecięcemu pogroziła mu małym palcem. Zasłonił dłonią twarz i oby-dwoje roześmieli się.

- Idioto! - zawołała. - Lepiej byś siedział w domu i pieprzył tę swoją płodną wyobraźnię. - Mógłbym to robić w garażu - powiedział. - Gdy jeszcze go miałem.

- Wiem coś o tym, co się robi w garażach - powiedziała. Wciąż się uśmiechał, ale jej

słowa przyprawiły go o dreszcze, a wyobraźnia od razu zaczęła produkować niemiłe mu obrazy.

- Twarze dziewcząt z tamtych lat pokryły się zmarszczkami, a chłopcy stali się przeraźliwie sentymentalni - westchnęła. - Świat nie ma dla nas litości. - Objęła go ramionami. - Czego ode mnie chcesz, głupcze - żebyśmy znowu byli jak dzieci?

- Określiłbym to inaczej.

- Zapewne, kochanie, ale przyznaj się, że właśnie tego pragniesz.

- Kto to może wiedzieć?

- Jamais, mon amour. Jamais encore. Siedzieli obok siebie na kanapie. Pocałował ją, a ona odsunęła się, by zobaczyć jego twarz.

- Zamknąłeś oczy - powiedziała. - Wciąż to robisz.

Wzruszył ramionami.

- Nigdy już nie będziemy dziećmi, Gordon. - Pozwolił, by otoczyła go ramionami, objął ją i pocałował. - Najwyższy czas stać się kimś innym - powiedziała. Gdy ją całował, wyszeptowała mu do ucha: - Nie jesteśmy tu sami. To go zaskoczyło, ale po chwili zrozumiał, że mówi o Posepnych Przyjaciółach. Przez chwilę leżeli obok siebie, potem ona wstała. Podniósł się i wziął ją w ramiona. Przyszło mu do głowy, że alkohol nie był dobrym pomysłem, ale teraz przestawało mieć to znaczenie. - Dla nas jest za późno na powrót, Gordon. Gdy próbował zaprotestować, położyła mu na wargach opuszki palców.

- Teraz została nam tylko praca, tylko ona ma dla nas jakiegokolwiek znaczenie. Dlatego przerwałam kurację. - Jeżeli liczy się tylko praca, gdzie umieścisz mnie? - Powinieneś był wcześniej o tym pomyśleć i jakoś się zabezpieczyć. Trzeba było żyć jak inni. -

Zawsze myślałem, że w końcu do czegoś dojdę, stanę się kimś.

- Gdy będziemy robić naszego Leara, a ja będę twoim Błaznem, na pewno ci się powiedzie.

- Nie byłem zły - powiedział Walker - byłem w po-rządku.

Ujęła go za ręce. Delikatnie uwolnił się i pocałował ją. - Jeżeli mam być Błaznem - powiedziała, gdy od-zyskali oddech - muszę też zostać Kordelią. To jakby grać tę samą rolę.

- Masz rację.

- Ale ja jestem za stara.

- Ależ skąd. Zresztą tu chodzi głównie o tuszę.

- To prawda.

Założyła mu ręce na szyję i pozwoliła, by ją unióś. Udało mu się bez trudu - była chudsza, niż ją zapamiętał, ale tak samo żywiłowa.

- Właśnie tak odbywa się to na lodowisku. Mówiłam ci Gordon, że brałam udział w rewii na lodzie? - Opowiadałaś mi o tym. - Z Lu Annę na rękach podszedł do łóżka.

- Oj! - zawołała i przytulając się, popatrzyła mu w twarz. - Oj - szepnęła. - Spójrz, mogę być lekką jak puch Kordelią, mogę też być wstydliwą Kordelią. - Zdjęła mu ręce z szyi i z westchnieniem zawisała na jego ramionach. - Mogę być także martwą Kordelią. Położył ją na łóżku i usiadł obok. Gdy obydwójce byli nadzy, wyciągnął się, zwrócony twarzą do niej i spo-strzegł, że leży obok martwej Kordelii. - Hej! - zawołał. - Wracaj.

Kochali się godzinę. Powiedziała mu, że jest szczęśliwa z powodu jego przyjazdu, a jej słowa, jak długo trwał ich czar, przeganiały zmęczenie, strach i gniew. Potem chwilę spali. Gdy się obudził, słońce wisiało nisko na niebie. Prostokąt światła przecinał łóżko; cień zagrażał jedynie miejscu, w którym leżała Lu Annę.

Powinno mu wystarczyć, że ucieszyła się z jego przybycia i powiedziała mu o tym. I teraz oddałby wszystko, by zatrzymać tę chwilę, w której oprócz jej słów i miłości nie liczyło się nic. Ostrożnie wstał z łóżka, pociągnął łyk mezczału, a później na palcach podszedł do plażowej torby i sięgnął po kokainę. Natrafił na swój skarb i ruszył do łazienki.

Gdy rozdrabniał zbity proszek, rzucił okiem w lustro i ujrzał, że gałka w drzwiach powoli się obraca. Było za późno na ukrycie grzesznych rekwizytów, więc ze spokojem ułożył je na półce. W następnej chwili drzwi otworzyły się, a w nich stała Lu Anne i śmiała się. - Aha! - zawołała. - Mam cię!

W różowym palazzo na wzgórzu, Drogue'owie ze swymi kobietami spędzali czas na oglądaniu do znudzenia sekwencji, w których bohaterowie wchodzili do morza i znikali w nim na zawsze. Porównywali Bruce'a Derna w "Powrocie do domu" z Jamesem Masonem w "Rodzi się Gwiazda", Joan Crawford w "Humoresce", Lee Verger w "Przebudzeniu". Teraz przed ich oczami na olbrzymim monitorze ukazali się ubrany w szlafrok Fredric March jako Norman Mayne oraz Janet Gaynor. - Hej - wołał March do Janet Gaynor - Mogę popatrzeć jeszcze raz?

Stary Drogue ujął pilota i zatrzymał film na tej scenie.

Jego oczy powilgotniały.

- Słuchajcie - odezwał się - ten gość był gwiazdą wszech czasów. Ta kwestia, którą wypowiedział - ukryte w niej emocje, tak wspaniale kontrolowane - zagrał to w wielkim filmowym stylu. Nigdy nie oglądałem czegoś lepszego.

Joy McIntyre leżała obok niego na stercie poduszek i nie ukrywała łez.

- Wellman też był dobry - zauważył młody Drogue.

- Ta wrażliwość - ciągnął stary - delikatność, ta klasa. Nigdy potem nie było już takiego drugiego jak Fredric March. Co za gość! - Puścił film i z powrotem oparł głowę na nagim brzuchu Joy. - Wiesz, o co mi chodzi, kocha-nie? - zapytał swoją młodą przyjaciółkę. Ale Joy była zbyt wzruszona, by zdobyć się na odpowiedź. - Spójrz na nozdrza tej Gaynor - powiedział młody Drogue. - Jakby nosem wyrażała emocje. - Czy muszę ci przypominać, że zaczynała karierę jeszcze w epoce kina niemego?

- Uwielbiam to: w epoce kina niemego - powiedziała Patty.

Młody Drogue przyglądał się obrazom na ekranie.

- Jej twarz kojarzy mi się z cipą - powiedział.

Stary westchnął.

- Nie wiem dlaczego - ciągnął młody - ale tak jest. - Co za rynsztokowe słownictwo - oburzył się Drogue senior.

- Jest coś w twarzy tej kobiety, tato. Coś takiego, co przywodzi na myśl, nie przeczę - wulgarne skojarzenie -jej genitalia.

- Są ludzie wychowani w biedzie - powiedział z god-nością stary - którym mimo to udaje się osiągnąć klasę, innych natomiast deprawuje życie w luksusie i silą się na sprośne skojarzenia.

- Przyjrzyj się tej twarzy - nalegał młody Drogue - a zobaczysz cipkę. - Zmarszczył w skupieniu brwi.

- Czy na tym przypadku nie polega podstawowy element seksualnej atrakcyjności kobiet? Czy to nie definiuje całej Janet Gaynor?

- Ludzie są zaszokowani - powiedział spokojnie stary

Drogue - gdy okazuje się, że seksualną edukację prowadzi się nawet w kostnicy. Trudno nadażyć za zmianami we współczesnej wrażliwości.

Joy z oburzeniem patrzyła na młodego Drogue'a. Stary zmienił pozycję, by wygodniej mu było pieścić dziewczynę.

- Co on ma na myśli? - zapytała Patty męża. - Sek-sualna edukacja w kostnicy?

- W San Francisco - powiedział obojętnie młody Drogue - nawiedzony koroner tłumaczył ścisły związek między seksem a śmiercią. Tata uczeplił się tego. Na ekranie dubler Fredrica Marcha brodził w morzu, jakby w pogoni za zachodzącym słońcem. Tym razem film zatrzymał Drogue junior.

- Ta scena jest wyśmienita - powiedział stary z zadowoleniem. - Ze wszystkich z pochłanianiem bohatera przez morskie fale, ta jest najlepsza.

- W wersji Cukora, z Masonem i Judy Garland - powiedział syn - wygląda dokładnie tak samo. Kadr po kadrze.

- Różnice polegają na scenerii. Fragment z Judy Garland ma zupełnie inny nastrój. Młody Drogue zamyślił się.

- Cóż, z Judy Garland, wiesz, ona...

- Dość - przerwał mu ojciec surowo. - Nie chcę tego słuchać. Jeśli masz coś ordynarnego na końcu języka, zachowaj to dla siebie. Nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich seksualnych teorii dotyczących Judy Garland, obejdę się bez nich.

- Niektórzy z nas pragną zachować wspomnienie o Judy takiej, jaką była kiedyś - powiedziała ostro Joy McIntyre.

- A ciebie kto u licha pytał o zdanie? - zdenerwował się młody Drogue. Stary pocałował Joy w udo, by ją pocieszyć.

- Nasz film jest najlepszy - osądził młody reżyser. - Dołożyliśmy wielu starań, by wiernie oddać pomysły autora. Musieliśmy sprowadzić nawet prawdziwe drzewo kasztanowe, bo tak jest w książce.

- Masz szczęście, że trafił ci się porządny scenariusz - powiedział ojciec. Patrzyli na pogrzeb Normana Mayne'a i końcowe sceny filmu.

- Była jeszcze inna wersja Cukora, prawda? - spytał młody Drogue. - Z sekwencją wchodzenia do morza, jeszcze sprzed Wellmana.

- Był taki film Cukora: "Za jaką cenę, Hollywood?" Intryga podobna, ale nikt nie wchodzi do wody.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie - odrzekł stary.

Rozległ się dzwonek przy głównym wejściu. Patty wstała i uniosła opuszczone żaluzje, by zobaczyć, kto przyszedł.

- Powiedz, żeby spieprzali - zażądał Drogue młodszy.

- Przyszedł Jack Best, nie wygląda najlepiej.

- To było do przewidzenia - zauważył Drogue junior.

- Proszę, bądź uprzejmy dla Jacka - powiedział ojciec. - W końcu, tak jak i ty, pracuje tutaj. I robi dokumentację fotograficzną.

- Od rana płacze się pod nogami z tym swoim aparatem - powiedział reżyser zbliżając się do drzwi. - Helena widziała, jak włókł się plażą za Walkerem - zupełnie jakbyśmy dzięki zdjęciom z podobizną Gordona mieli dostać lepszą cenę za ten film.

Wpuścił Besta, który rzeczywiście wyglądał na nie-szczęśliwego i chorego.

- Jack, kochanieńki - powiedział pogodnie - dotarła do nas dziwna opowieść o choreografii z Sands. - Ach - burknął Jack - głupi dowcip.

- Nawet nie wiedziałam, że w Sands mieli problemy - powiedziała Patty Drogue.

- I nie mieli - zapewnił ją mąż. - Napijesz się czegoś, Jack?

Best, ożywiony, poruszył szczęką. Patty pośpieszyła przygotować mu whisky z wodą.

- Głupi dowcip - powtórzył. Wziął drinka od pani Drogue i natychmiast wlał w siebie połowę. - No to czego sobie życzysz, Jack? Gdzie się podział twój aparat?

Best skończył pić. Ponuro rozglądał się po pokoju, spojrzeniem przypominającym zjadliwego łygnięcia starego, zrzędliwego żółwia.

- Mamy kłopot - oświadczył. W ręce ścisnął jakieś czasopismo. Otworzył je, spomiędzy stron wyciągnął zdjęcie i trzymając je przyciśnięte do piersi, zademonstrował zebranym. Wszyscy, bez wyjątku, popatrzyli na nie i na niego.

- Zmykaj, kochanie - powiedział stary Drogue do Joy. - Za chwilę do ciebie przyjdę. - Gdy Joy kapryśnie wydeła usta, stary przesłał jej dłonią pocałunek. - Co ja słyszę? -

zdziwiła się Patty. - Kochanie?

- Czego chcesz, Jack? - zapytał młodszy z Drogue'ów. Best, najwyraźniej mocno poruszony, patrzył to na ojca, to na syna. Z odsłoniętymi zębami wyglądał jak wystraszony kucyk.

- Panna Verger i ten cały Walker siedzą od rana razem, zamknięci w pokoju - wyrzucił z siebie. Drogue'owie, ojciec i syn, wymienili spojrzenia.

- Tak? No i co z tego? - zapytał syn.

Best usiłował podać zdjęcie staremu, ale młody Drogue był szybszy.

- Czy Walker źle cię potraktował, Jack? - zapytał bawiąc się fotografią. - Same z nim kłopoty. Przypatrywał się przez chwilę zdjęciu, żona zaglądała mu przez ramię.

- A niech to! - zawołała. - Nigdy bym nie przypusz-czała! Przekonywałam biednego Lionela, że wszystko w porządku.

Na łóżku, oświetleni promieniami słońca, leżeli Lu Annę i Walker - zupełnie nadzy. W jego rękach widać było mały, lśniący prostokąt, z którego ona coś wdychała przez słomkę. Młody Drogue podał zdjęcie ojcu.

- No więc, jak mam to potraktować, Jack, jako prezent?

- Mają ich całą kupę - wychrypiał nerwowo agent prasowy. - To jest szantaż. - Zwrócił się z desperacją do starego Drogue'a. - Mam rację, Wally? To samo było, gdy Eddie Ritz zdobył trefne zdjęcia Mitcha. Drogue senior patrzył to na zdjęcie, to na starego przyjaciela. Ze smutkiem pokiwał głową, odłożył foto-grafię i wyszedł z bungalowu. Zostawszy sam na sam z małżeństwem Drogue'ów, Jack Best zaczął się trząść, aż lód w jego szklance przeszedł w głośne staccato.

Młody Drogue obserwował go z zimnym uśmiechem. - Dziwne - zwrócił się do żony. - Wydaje mi się, że zrobiono je niedawno, do tego gdzieś tutaj, na naszym obiekcie.

- To najzwyklejsze wymuszenie - wychrypiał Jack Best.

- Rozumiem - powiedział Walter. - Co robimy, Jack? Słyszałem, że coś takiego zdarza się w naszym fachu, ale nigdy dotąd się z tym nie zetknąłem.

Jack chrząknął. Rozglądał się na boki z tajemniczą miną.

Drogue przysłonił dłonią usta.

- Możesz tutaj spokojnie mówić, Jack - wyszeptał.

- Prawda, Patty?

- Prawda - potwierdziła szeptem Patty Drogue. - To sprawa Madriagi - oświadczył Jack. Madriaga był szefem ekipy meksykańskich woźniców, byłym poli-cjantem - złośliwym szydercą. - Przyszedł do mnie. Wiecie przecież, że to eks-glina. Ci, co zrobili te zdjęcia, najpierw trafili do niego, a on przyszedł do mnie. Chcą pięć kawałków, albo je opublikują. Wszędzie w Europie. W Anglii i we Francji, na całym świecie. Tak kiedyś załatwiali takie sprawy. Zapytaj ojca, co się stało, gdy Eddie Ritz miał te zdjęcia Mitcha.

- Niech mnie szlag, nic z tego nie rozumiem. - Drogue zwrócił się do żony: - A ty, kochanie?

Patty potrząsnęła przecząco głową.

- Niewiele, ale dobrze brzmi "pięć kawałków". - O co chodzi z tymi pięcioma kawałkami? - zapytał Drogue.

- O pięć patoli - wyjaśnił Jack. - Tysięcy. - Rozhis-teryzowany podniósł głos: - Pięć tysięcy dolarów. Drogue wyjął szklankę z trzęsącej się ręki Jacka. - Jack, to ordynarny szantaż. Kto mógłby zdobyć się na coś takiego, chyba nikt z naszych?

Best zaczął chichotać i skrzeczeć jak wystraszona małpa.

- Wielu, oni nie mają... im nie zależy, traktują cię jak śmiecia. Rozejrzyj się wokół - nie zobaczysz nic dobrego, Walter. Robią nam złą opinię, to gównojady. - Nie jestem w tym dobry - powiedział Drogue z nie-chęcią. - Nawet nie potrafię zrozumieć, o czym mówisz. Co mam robić, Jack? Trzeba będzie powiadomić Char-liego, czy wystarczy, że dam ci

pieniądze? - Mógłbym ci opowiedzieć... - wyjąkał Jack. - Zapytaj swojego starego. Poradzę sobie z nimi, z tymi artystami od naciągania, mam swoje sposoby. Trzeba postąpić tak jak wtedy, gdy zdobyli zdjęcia Mitcha. - Może powinniśmy wezwać policję? - sugerowała Patty Drogue.

- Meksykańskie więzienie to właściwe miejsce dla tych śmierdzących szantażystów - wtórował jej mąż. - Jak myślisz, Jack?

- Nie! - zaprotestował Best.

- Nie? - Młody Drogue zdjął z półki z książkami bezprzewodowy aparat telefoniczny i zaczął wybierać numer. - Jesteś pewien, Jack? Uważasz, że mamy puścić to płazem i nic nie robić? - Gdy skończył wystukiwać cyfry, wziął do ręki długopis i bezmyślnie zaczął coś gryzmolić na kartce.

- Żadnych glin - upierał się Jack. - Meksykańskie gliny? Chyba oszalałeś, zostaw to mnie.

- Popatrz na telefon o futurystycznym kształcie. - Potrafię to załatwić.

- Jak to zrobisz, Jack? - Spojrzał gniewnie na aparat, gdy nie dostał połączenia. -

Pieprzony grat - zamruczał. Wygląd roztrzęsionego agenta prasowego zdawał się go uspokajać. - Postąpiłbyś dokładnie tak, jak robili przed "Marty", jak załatwiali takie sprawy przed wprowadzeniem dźwięku?

- W tamtych czasach jeszcze nie pracowałem, Wally. Moim pierwszym filmem był ten z Dickiem Powellem, już dźwiękowy.

Drogue z uporem wystukiwał numer.

- Axelrod? - krzyczał do słuchawki - dajcie mi go.

Jack zwrócił się do Patty.

- Z Dickiem Powellem - powtórzył.

Drogue czekał na Axelroda, przytrzymując brodą mi-niaturowy aparat. Jack zaczął wpatrywać się w telefon z taką intensywnością, że zwrócił tym uwagę reżysera. - Chcesz to sobie pooglądać, Jack? - zapytał uprzejmie. Zmieszany, pełen chęci przypodobania się, Best z za-pałem skinął głową. Wyciągnął rękę po lśniący aparat z tak radosną miną, że nie można było mieć wątpliwości, dlaczego kiedyś nazywano go Uśmiechniętym Jackiem. W ostatniej chwili Drogue cofnął dłoń z aparatem. - To tylko telefon, Jack - warknął i tamten aż się skulił. - Axelrod! - wrzasnął - muszę poradzić sobie z kretyńską sytuacją, możesz mi pomóc? - Popatrz na Besta. - Człowiekowi wydaje się, że jest Bóg wie jakim artystą, a musi zajmować się gównianymi sprawami.

Jack Best nie odezwał się ani słowem. Jego twarz zaplątała się w pułapce własnego uśmiechu i choć bardzo się starał, nie potrafił usunąć ze swego oblicza wyrazu błęgiego zadowolenia. Zignorowany przez reżysera, zwrócił się w stronę jego żony. Patty puściła do agenta oko, uniosła trzymany w rękach polaroid, wstała i skierowała na niego obiektyw.

- Teraz, Jack - powiedziała śpiewnie - zobaczmy wreszcie twoje prawdziwe oblicze.

Agentowi nerwowo zadrżał podbródek. - Na Boga - tłumaczył się - widziałem, że to telefon, Walter. To znaczy... Myślę, że to wina moich okularów, moje szkła... widziałem, że to telefon, Walter. Teraz Drogue'owie patrzyli razem na podobiznę Jacka, wyłaniającą się na szklistym papierze i wyglądali na zachwyconych.

- Jeśli coś umiesz - tłumaczył Jack - musisz być ostry. Jak te zdjęcia, inaczej dają ci kopa. Wiem, Walter, bo z nimi gadałem. Powiedzą ci, że jesteś miły gość i przy pierwszej okazji zjedzą cię żywcem. Mam rację, Walter?

- A oto nasz stary hultaj - powiedziała Patty. Oderwała fotografię i podała ją Jackowi. Z powagą patrzył na swoją uśmiechniętą twarz.

- Na Boga, przysięgam, że załatwiałem sprawy z tymi najtwardszymi i najbardziej bezwzględnyimi, i zawsze liczyło się dla mnie tylko dobro wytwórni. Możesz zapytać ojca, jak było. Oko za oko. Morderstwo. Dżungla. - Odłożył zdjęcie, na którym wyglądał jak zadowolony z siebie głupek, na półkę obok miniaturowego aparatu telefonicznego o

wymyślnych kształtach i pliku karteluszków do zapisków z bazgrołami młodego Drogue'a. Rozpłakał się, gdy zobaczył napis: pięć kawałków.

Patty, nie dając mu ani chwili wytchnienia, skierowała na niego aparat.

- Nie powinnaś... - zaprotestował. - Uniósł ręce, by zasłonić twarz, ale ona zdążyła pstryknąć. Jack oddychał z trudem. - To było... - powiedział. - To było... Patty odłożyła aparat i podbiegła do starego. Zbliżyła do niego twarz, a gdy zaczęła mówić, jej słowa zabrzmiały dziwnie zgrzytliwie.

- Gadaj sobie zdrów o forsie dla szantażystów sprzed "Marty"! - warknęła. - Bajeczki dla naiwnych z epoki kina niemego!

Zrobiła krok do tyłu i wyciągnęła zdjęcie z aparatu. - Popatrz! - zawołała. Przesunęła fotografię przed oczami męża z tak triumfującą miną, jakby było ono niezbitym dowodem zdrady Jacka. - Widzisz, jak on wygląda?

Zamiast spojrzeć na zdjęcie, Drogue wbił wzrok w skułonego ze strachu agenta.

- Wygląda, jakby wybierał się na spotkanie z Abbottem i Castello.

Xvozległy się trzy, alarmująco energiczne, puknięcia do drzwi bungalowu. Przytłumione i nagłące, nie mogły być zwiastunem dobrych wieści.

Lu Annę spała, a Walker czytał w patio "New York Arts". Odłożył czasopismo i gdy otworzył, ujrzał Axelroda. - Ty pieprzony kretynie - powiedział na dzień dobry kierownik ekipy.

Walker oniemiał. Takie wstępy były zazwyczaj za-powiedzią mrozących krew w żyłach opowieści o nocach, które po alkoholu czy narkotykach wypadły mu z pa-mięci. Ale teraz potrafił zdać rachunek z każdej minuty swego pobytu.

- Spójrz tylko. - Axelrod podał mu kopertę ze zdję-ciami. Walker rzucił na nie okiem, wrócił do patio i usiadł przy stole, przy którym przed chwilą czytał. Axel przydreptał za nim.

- Zrobione dzisiaj, zgadza się, Gordon?

- Niewątpliwie.

- Nigdy nie słyszałeś, do czego służą żaluzje? Walker popatrzył na morze. Ciemniejsza chmura wi-siała nad horyzontem, na niej wspierała się cudownie barwna połówka tęczy.

- Zapominasz o podstawowych zasadach ostrożności, Gordon - odezwał się Axelrod z wyrzutem w głosie. - Trochę dyskrecji. Czy wydaje ci się, że otaczają cię wyłącznie przyjaciele?

- Myślałem, że można robić, co się chce, i nikogo to już nie obchodzi.

- Tak sądziłeś, Gordon? To coś ci powiem: nawet w dzisiejszych czasach są rzeczy, których nie powinno się wystawiać na widok publiczny, na przykład nie wacha się prochów przy otwartym oknie i podniesionych żalu-zjach. W przeciwnym razie może się okazać, że robisz film za siedem milionów dolarów i w jednej chwili nie masz ani centa ubezpieczenia. Gdyby spece od asekuracji - słuchasz mnie, Gordon? - gdyby te zdjęcia dostały się w ich ręce, natychmiast unieważniliby naszą polisę i można by już dziś zwijąć interes.

- To najczarniejszy scenariusz, prawda? - Pomyśl czasem, Gordon - powiedział Axelrod z nie-wesołym uśmiechem. - Tak właśnie mogłoby stać się tym razem. Pamiętasz, jak Wright kręcił "Famous"? Kokainę na planie? Akcjonariusze się wściekli. A przecież nie chodzi tylko o ubezpieczenie. Krąży opinia, że ćpuny robią beznadziejne filmy.

- Lu Annę śpi - powiedział Walker. Wsparł głowę na pięściach i popatrzył na zdjęcie leżące na samym wierz-chu. - Zrobione w kolorze - stwierdził. - To już przesada. - A co myślałeś, idioto? Że będą miały żalobną obwód-kę? Spójrz, przypominasz wampira.

Walker patrzył na zdjęcie wyraźnie poruszony. - Przynajmniej słomka wyszła dobrze, wygląda jak miniaturowe godło fryzjerskiego fachu. - Spojrzał na Axelroda. - Kto je zrobił?

- Jack Best.

Walker skinął głową.

- Tak myślałem: próbował przypomnieć o swej heroicznej przeszłości.

- Kiedyś pomagał nam odzyskiwać podobne zdjęcia.

Teraz zastanawiam się, czy był wtedy całkiem czysty.

- Trochę sobie z niego kpiłem.

- Nadepnałeś mu na odcisk. Twierdził, że tamci żądają pięciu tysięcy. To niegdysiejsza cena, wzięta z czasów kryzysu. Więc poszedłem do niego, objechałem go zdrowo i wtedy się załamał.

- A Walter mu uwierzył?

- Tylko idiota mógłby się na to nabrać. Niemal słychać było, jak pracuje jego mózg.

- Człowiekowi robi się smutno, gdy pomyśli, że od niego uczyłem się obstawiania na wyścigach - westchnął Walker. - On zawsze miał głowę do kombinacji - powiedział w zamyśleniu Axelrod. - Udało mu się załatwić sprawę fotografii Mitchella Drummonda z tym dzieciakiem - to ten aktor, który przedawkował w zeszłym roku. Best się popisał. Mógł wiele, bo znał wszystkich gliniarzy i kogo trzeba wśród gangsterów.

- To jest naprawdę żalosne - powtórzył Walker. - Biedny głupol. Powiedz mu, że może mi robić zdjęcia, kiedy tylko zechce, ale życzę sobie, by zostawił w spokoju moich przyjaciół.

- On jest już skończony, Gordon, podzieli los Winchella i Kilgallena.

- Smutna sprawa - powiedział Walker. - Czy odzyskaliśmy wszystkie fotografie?

- Twierdzi, że jedną odbitkę dla kawału wsunął pod drzwi Dongana Lowndesa.

- Teraz dopiero się zacznie! "Confidential" zamknięto, więc poleci do "New York Arts", a Van Epp może puścić ją dalej, aż trafi do Eddiego Nelsona.

- Nie będzie aż tak źle. A Jack Best to sklerotyczny dziad, wypadł z interesu...

- Czy musimy się martwić, co sobie o nas pomyśli Lowndes? - zapytał Walker. - Podobno to dżentelmen, może zwróci nam to zdjęcie.

- Powiem ci coś zabawnego, Gordon. Właśnie po raz drugi przewróciłem do góry nogami pokój tego dżentelmena. Przeszukałem jego rzeczy tak dokładnie, jak tylko się dało bez pozostawienia śladów. Nie ma tam naszej odbitki.

- Może Jack kłamał?

- Nie sądzę. - Axelrod usiadł na krześle w zacienionej części patio. - Myślę, że Lowndes nadal ma tę fotkę. Gdyby miał zamiar ją zwrócić, już by to zrobił. - Niezbyt ładnie się zachowuje, ale czego mogliśmy się spodziewać po takim antypatycznym typie. - Według mnie to cwany buc.

- Gorzej - powiedział Walker. - Zawiedziony pisarz.

Axelrod zrobił sobie drinka.

- Niedobrze - westchnął. - Jeśli te zdjęcia zaczną wędrować, to wreszcie wylądują w prasie. Walker patrzył, jak wylaniająca się z morza tęcza błędnie, wchłaniana przez błękitnoszarą chmurę. - Filmowi by to nie zaszkodziło - ciągnął Axelrod. - Tobie na pewno też nie, chociaż takiej reklamy nie potrzebujesz.

- Niech sobie gadają, że biorę narkotyki - nie przeszkadza mi to. - Odwrócił się w stronę okna - ale Lu Annę już niedługo może znaleźć się w sądzie na rozprawie rozwodowej.

- Z jej karierą też może być różnie - powiedział Axelrod.

- Jeżeli sprawa stanie się głośna, to przy jej problemach...

- rozumiesz mnie chyba.

- Nie mamy wyjścia, musimy odzyskać tę fotografię. - Niewątpliwie. Trzeba pogadać z Lowndesem i zmusić go, by ją oddał nam. W końcu, po co mu to zdjęcie? - na głos zastanawiał się Axelrod.

- Można wpaść w depresję, gdy się ogląda te obrazki - powiedział Walker, unosząc jedną

fotkę. Trzymał ją jakby z obrzydzeniem, pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem.

- Człowiek robi czasem takie rzeczy - mówił Axelrod - że zrzygałby się, gdyby przyglądał się sobie z boku. Wpatrujący się w zdjęcie Walker potrząsnął głową z niesmakiem.

- Złapała mnie na tym - wyjaśnił. - Bardzo trudno odmawia się czegokolwiek Lu Annę.

- Wiem o tym, Gordon, i potrafię cię zrozumieć. - A słyszałeś, jaka krąży o niej opinia?

Mówią, że jej filmy nie robią kasy i że nie ma szczęścia do mężczyzn. - Tak właśnie

gadają, Gordon. - Axelrod dokończył drinka i odsunął od siebie pustą szklanekę. - Potrzebo-
wała tego swojego doktora, on jeden potrafił powiedzieć jej "nie".

- Wkurza mnie, jak pomyślę, że Lowndes zatrzymał zdjęcie. Co za skunks!

- Żadnej klasy - zgodził się Axelrod. - Żadnej godności.

Walker popatrzył na morze.

- Gdyby pisał coś w rodzaju opowiadania, mógłby wyjść z tego niezły kawałek.

- Tak sądzisz?

- Powiedzmy, że piszę dla "New York Arts". Oto po-czątek: Trzeciego dnia po przybyciu na plan "Przebudze-nia" w Bahia Honda, znalazłem kopertę wsuniętą pod drzwi mojego bungalowu. Pomyślałem, że zawiera co-dzienną porcję makulatury... takie tam niepoważne oferty, reklamy, et cetera. Wyobraźcie sobie moje zdumienie po otwarciu pakietu: wypada z niego zdjęcie dwóch prominentnych postaci filmowego planu, nagich w łóżku, najwidoczniej w trakcie wdychania prochów. Cpanie, koka, i filmy. Plugastwo i szantaż. Niech żyje Hollywood: filmy jako metafora, szalona Kalifornia, upadek Zachodu, sława za wszelką cenę! Podoba ci się? - Nieźle, coś jeszcze?

- Tak, jest coś więcej. Reperkusje: Charlie Freitag - filmowy Bernard Berenson, jedyny mężczyzna w Kalifornii spoza kampusu Uniwersytetu Redlands, noszący muszkę - czuje się głęboko dotknięty. Czytuje "New York Arts". Prenumeruje to czasopismo jego żona, jego ogrodnik, sąsiedzi w całym kanionie. Jego głośny film zostaje obsmarowany w ukochanym czasopiśmie przed całym światem. Sun Pix wścieka się na niego. Żyjemy w czasach sądowych procesów. Van Epp jest ciężko przestraszony. Wzywa Lowndesa. "Czy to ty wysmażyłeś to gówno?"

- pyta z lodowatym uśmiechem holenderski wujaszek. Pisarz, a raczej eks-pisarz, wykrzywia usta w obrzydliwym grymasie. Sięga za pazuchę: "Niech pan to zobaczy, mynheer Van Epp."

Axelrod zamyślił się.

-Zważywszy, że nie pozwaliście, zdjęcie nie jest najgorsze. Powiedziałbym nawet, że dość dobre. - Wzruszył ramionami.

- Człowieku, Lowndes sprawi, że nasz plener będzie przypominał "Ogród" Boscha. Gdyby to była relacja z obozowiska świntuszających hippisów albo reportaż z sesji muzyków pop, grających do białego świtu, mogliby zamieścić taką fotografię na pierwszej stronie "Christianity Today" i nikogo by to nie poruszyło. Ale co będzie, jeżeli ta sprawa wywoła produkcyjne perturbacje, a do tego przedobrzemy przy naszej finałowej scenie? Zwalą wszystko na kokę.

- Zwalą wszystko na Lu - zauważył cierpko Axelrod.

- To prawda.

- A więc - zaczął Axelrod gniewnie - po jaką cholereę podsunąłeś jej kokainę?

- Czy aprobowałeś mój przyjazd, Axelrod? - Nie skakałem z radości, gdy usłyszałem, że się do nas wybierasz. - Zasepił się, spoglądając na kłębowisko burzowych chmur, jakby wzrokiem chciał rozerwać je na pół. - Mogłem cię powstrzymać. Mogłem przekonać Shelly, że to niedobry pomysł.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- A niech cię, Gordon.

- Chciałeś, żebym przyjechał. Dlaczego?

- Myślałem, że spędzimy kilka wesołych chwil. - Domyślałeś się, że przywiozę coś do wachania, bo tobie koka się skończyła?

- Z tym poradziłbym sobie bez ciebie, Gordon. Myślałem, że będzie... sam nie wiem, co myślałem. - Myślałeś, że będzie fajnie, jak za dawnych czasów.

- No tak, chyba właśnie o to mi chodziło. - Mnie też - powiedział Walker. - Sądziłem, że może coś wróci i będzie jak dawniej.

- Musimy przycisnąć nieco pana Lowndesa. Niech nam odda zdjęcie. Wiesz - powiedział Axelrod - wspaniale by było, gdyby Charlie o niczym się nie dowiedział. - Musimy przede wszystkim przekonać go, że gra po złej stronie. Powinien zrozumieć, gdzie jego miejsce. - Zgadza się - przytaknął Axelrod.

- Zmusimy go, by dostrzegł, że jemu też może powinąć się noga. Opowiemy mu, jak często jesteśmy świadkami upadku, zarówno tych małych, jak i tych z samego szczytu, o tym, że upadają codziennie, jak pisklęta z gniazd. - Tak, koniecznie musimy wbić mu to do głowy, Gordon - zgodził się z uśmiechem Axelrod. oł godziny później Walker wszedł do sypialni. Już chciał rozsunąć story, lecz powstrzymał się. Gdy włączył światło, zobaczył siedzącą na łóżku Lu Annę. Na ramiona narzuciła szatkę z czarnej koronki, włosy miała mokre. - Często wchodzisz pod prysznic, Lu Annę.

- Uważasz, że za często jak na flejtucha z prowincji?

- Znowu zaczynasz?

- To ty daj spokój - odrzekła. - Rany boskie, byłam na bani, gdy zasypiałam, i dalej jestem nieźle strzelona. Stoczyła się z łóżka.

- Chryste, ale pełzanie! - powiedziała w pozycji na czworakach. Walker zdjął podkoszulek i poszedł do łazienki wziąć natrysk.

- Jak długo zostaniesz? - zapytała przez uchylone drzwi.

- Myślałem, żeby wyjechać w poniedziałek. Będiesz mogła w spokoju zająć się pracą.

- Zostań dłużej.

- Nie stać mnie na ten hotel, Lu Annę. Na razie płacą za mnie Sun Pix i Amcan.

- Tak krótko, po tak długim czasie?

- Miałem kłopoty z wyrwaniem się, aż w końcu poja-wiła się szansa, więc z niej skorzystałem. - O nie, wcale tak nie było - zaprotestowała. - Dobrze to sobie przemyślałeś i miałeś plan, Lepiej powiedz, czego oczekiwałeś?

- Jak Boga kocham, nie pamiętam. Może chciałem dogonić utracony czas?

Wstrząsnął nią dreszcz, gdy pociągnęła łyk mezcalu; resztę podała Walkerowi. Odsunął na bok jej wyciągniętą rękę.

- Chodź do mnie - powiedziała.

Zdjął spodenki, koszulkę i wszedł do łóżka. W jaskrawym świetle dojrzał, że cofnęła się, gdy się do niej zbliżał. Uczyniła to bez ruchu i w milczeniu, subtelnie, bez udziału ciała. Poczł, jakby wchłoneła całą swoją miękkość, jakby sztywno rozciągnęła swą wiotkość na długich kościach. Jej oczy zmatowiały, wargi stały się cieniem. Nie potrafił powiedzieć, czy to efekt reakcji jej organizmu, czy spa-czenia jego własnej percepcji.

Galijska surowość. Krucyfiks. Charlotte Corday.

- Chodź, Gordon.

Odnalazł swoje wyzwanie. Miał przedrzeć się przez szkatułę z kości słoniowej, spowodować, by rozluźniło się spięte ciało, wydobyć z niego kobietę, a spoza niej jeszcze inną istotę, która, ukryta wewnątrz, kopulowała jak samo szaleństwo. Bo to było szaleństwo i przeraziło go. W niemej szarzy rzucił się w gardziel strachu. - Jak przyjemnie - westchnęła Lu Annę. Zwróciła w jego stronę twarz: zarumienioną, z dołczkami na policzkach - szczęśliwą. Panią Upokorzenie odesłano do jej domu w Port Royal, szaleństwo wyciszyło się. Teraz Lu Annę była sobą.

Pomyślał, że wygląda zaskakująco młodo. Twarz miała gładką, skórę pod oczami

doskonale jędrną. Uderzyła go myśl, że wyjątkowo dobrze podziałała na nią obecność jej doktora i dzieci.

- Alons. Laissez le bon temps... - powiedział.

Zakryła mu usta dłonią.

- Zabraniam ci używać tego idiotycznego powiedzenia. To dobre dla głupców, tylko prostaczkowie używają takich słów. I mieszkańcy Shreverport. - Poczuję się jak prostaczek, który odnalazł szczęście w seksie. Raz jeszcze ogier.

- Zawsze byłeś ogierem, Gordon.

- Może dawniej, bo ostatnio niezbyt często.

- Jak twoi chłopcy, Gordon? - spytała niespodziewanie. Aż skurczył się w środku. To pytanie ściągnęło mrozem jego duszę.

Alons. Laissez le bon temps (fr.) - A więc zapomnijmy o dobrych czasach.

- Nieżle - odpowiedział.

- Jeszcze się uczą?

- Stuart jest w szkole, Deak radzi sobie sam.

- Deak to ten zabawny, nie myślę się? Ten ładny. - Stuart - poprawił ją Walker. - To Stuart jest teraz tym zabawnym.

- Oni są jedynymi osobami, które kochasz. Zawsze się o nich martwiłeś.

- Zakładnicy fortuny - powiedział Walker. Uważał, że jak zaczną rozmawiać o dzieciach, to utoną w morzu wyrzutów sumienia, a te zawsze kojarzyły mu się, niezbyt sympatycznie

- z kubłem pełnym wymiocin. - Myślę, że wezmę jeszcze trochę koki - powiedział pogodnie. - Może do przyjęcia postawi mnie na nogi. Wstał, spojrzął w lustro i zaraz przypomniał sobie Lowndesa i zdjęcia. Przygotowywał działkę, czując się zaskakująco rześko.

- Ja już chyba nie powinnam - powiedziała niepewnie Lu Annę.

- Słusznie - przyznał jej rację.

Szybko usypał działkę dla siebie i chciał schować resztę. - Wiesz, jak ty bierzesz, to może ja też trochę - powiedziała niepewnie.

- Dla ciebie tylko pół porcji, w końcu jesteś rekon-walescentką.

- Są tacy, którzy chcieliby widzieć mnie schlaną - zaczęła niejasno - i tacy, którzy chcą, żebym ćpała jak szalona.

Ukruszył dla niej dwie cieniutkie działki i podał lusterko i słomkę, której jaskrawe kolory tak wyraźnie wyszły na fotografiach.

Z powodu zaciągniętych stor i przyćmionego światła trudno było się połapać, jaka to pora dnia. Pomyślał, że bardzo lekkomyślnie postąpił wówczas, nie opuszczając żaluzji. Na plenerach zdjęciowych ciekawscy zawsze podpatrywali innych, zaglądali do przyczep, przyciągał ich do okien najlżejszy blask światła.

- Nie myśl teraz o swoich dzieciach - powiedziała z powagą. Przekrzywiła głowę na ramię i zaczęła prawić mu morały. Założyła duże okulary w srebrnej oprawce, których dotąd u niej nie widział. Pomyślał, że to pewnie jej stały rekwizyt przy wygłaszaniu kazań. -

Twoich dzieci ani trochę nie obchodzisz, zapomnij o nich.

Walker nie odpowiedział. Wydłubał odrobinę koki, którą miał upchniętą pod paznokciem, i wtarł w działkę. - Widziałam, co zrobiłeś. Teraz ty mnie posłuchaj: niewiele obchodzi cię twój własny tato, prawda? - Mój ojciec nie żyje, i moja matka nie żyje, i mój brat nie żyje - wyliczał Walker.

Powtarzał to oświadczenie, jakby wyśpiewywał kuplety w takt irlandzkiej gigi.

- Pewnego razu... - zaczął. Udało mu się przerwać, zanim byłoby za późno, i nie wdawać się w rozważania o swoim ojcu.

Położył lusterko na poduszce i wciągał nosem drobiny białego proszku. Wyjęła mu słomkę

z ręki i wdychała kokę tak długo, że aż przestraszył się, że zacznie tracić przytomność. Pośpiesznie schował lusterko. - Gordon, oni nie martwiliby się o ciebie! Nie powinie-neś więc tyle o nich myśleć. Ja też mam dzieci. - Pamiętam, kochanie.

- Tak, proszę pana, i to czworo. - Uniosła przed jego twarzą dłoń, potrząsając długimi, rozcapierzonymi palcami. - Czworo, licząc to zmarłe. Zawsze to robię, bo taki panuje w Luizjanie zwyczaj, Gordon. Tam żywi i umarli razem biorą udział w zabawie. I nie leżą zakopani w ziemi, ale żyją wśród nas: ich włosy i paznokcie rosną, i coraz lepiej wyglądają ukryci w swoich pi-wniczkach pod figurkami aniołków, tych, które opie-kowały się nimi za życia. Albo pod krzyżami, albo pod swoimi tablicami nagrobnymi.

- Przestań - powiedział.

- Czyżbyś miał dość, bracie? Co sądzi o tym nasz dżentelmen?

- Dżentelmen przyznaje, że ma dość.

- Gordon, słuchasz mnie? - Zdjęła okulary i zmierzyła go spojrzeniem niezadowolonej nauczycielki. - Bądź na tyle dobrze wychowany, by skupić się na słowach osoby, która znalazła się z tobą w łóżku. Ja mam czworo! - Jej dłoń ponownie zadrgała przed jego oczami. - I nie dbają o mnie zupełnie. Spełniam w ich życiu jedynie biologiczną funkcję. Właśnie tak to wygląda. Trzy żyjące, jedno martwe. Nic więcej, człowieku. Czy mam im pozwolić, by mnie zniszczyły? O nie, Lionel, nigdy. Chciałam powie-dzieć, Gordon. Napisałeś o tym książkę. Ona nie po-zwoliła, żeby nią zawładnęły! Potrafi dla nich umrzeć, ale nie chce dla nich żyć. To chyba było tak: Me powinny były uważać, że mogą ją posiadać. Czyż nie tak napisałeś, Lionel?

- Nie napisał tego Lionel ani ja, to słowa madame Chopin.

- Irlandka o czerwonym karku, która oddałaby swoje dzieci za pół kwarty piwa. Na tym polegała istota jej wielkiego sekretu. Najzwyczajniej w świecie nie zależało jej na dzieciach. Tak naprawdę chciała być aktorką. Czyż nie tak, Gordon?

- Już sam nie wiem, kochanie. Jestem pijany, a ty opowiadasz głupstwa. Taka jest prawda.

- Daj mi jeszcze trochę poniuchać, Gordon, proszę. - Nie ma mowy, słodziutka. Całkiem ci odbiło, a czeka nas jeszcze przyjęcie.

- Na takiej imprezie co drugi jest nieźle stuknięty. Więc daj mi kapkę, Gordon! - nalegała. Zdawała się czegoś nasłuchiwać. - Jak ci się to podoba: Królu, mniemamy, że dziwna zaiste to zabawa, trzymać przy dworze szaleńca jako błazna.

- Jakoś sobie poradzimy, Lu Annę.

- To pradawny las... - Urwała i raz jeszcze powtórzyła: pradawny las. - Czy wiesz, Gordon, ile czasu mi zabrało, zanim zrozumiałam, że "Evangeline" nie jest dobrym wierszem?

Oparł głowę na jej ramieniu. Przytulił Lu Annę i roz-myślał, jak zapanować nad jej szaleństwem, nie dopuś-cić, by w nim splonęła.

- Założę się, że więcej niż innym.

- To' by się zgadzało - powiedziała. - Dopiero jak pożyłam dostatecznie długo. Czy wiesz, dlaczego biorę tak często prysznic? - pytała dalej'.

- Tak, chyba się domyślam.

- No to powiedz.

- Bo miewasz halucynacje, w których twoi przyjaciele doradzają ci, byś wzięła prysznic.

- Trudno to nazwać doradzaniem, kochanie. Po fran-cusku - zwierzała się szeptem - łatwiej wygadywać bzdurne uwagi. Zwłaszcza kiedy wygaduje je Francuz! - Ich tak naprawdę tu nie ma, Lu Annę, w tym cały problem.

- Tak, tak. - Pogłaskała go po ramieniu. - Wiem. - Czy to, co jest między nami, przedostaje się przez... cokolwiek by to było?

- Cokolwiek by to było - powtórzyła - myślę, że miłość przez to przenika.

Wypuścił ją z objęć i pocałował w czoło. - Gordon - szepnęła - to, co powiedziałam o

naszych dzieciach...

Dawno temu nauczył się spostrzegać zmianę w tonie jej głosu, w blasku oczu. Wiedział, co to zapowiadało: przeobrażenie, które nastąpić miało lada chwila, a które on nazywał zmianą biegów. Kiedyś powiedział jej: "masz dwie prędkości - Złej Lu Annę i Świętej Lu Annę". Teraz, gdy patrzył na leżącą obok niego na łóżku Lu, widział, jak przeistacza się w postać tej Złej. Tak naprawdę, Zła Lu Annę nikomu nie czyniła krzywdy, ale była okropna, czasami aż przerażająca. Gdy spojrział jej w oczy, zadrżał ze strachu.

Próbowała wstać. Przycisnął ją swym ciałem i przy-ciągnął do siebie gestem furmana ściągającego lejce, a następnie, nie wypuszczając jej ani na chwilę z objęć, przesunął w nogi łóżka i tam przytrzymał. Użył całej siły, całego ciężaru swego ciała, by ją unieruchomić. Przyciskał jej twarz klatką piersiową. Jej otwarte usta wydawały się krzyczeć z bólu, ale nie wydały żadnego dźwięku. Ciężko dysząc, przytrzymał ją z najwyższym trudem. Wiedział, że jeżeli go ugryzie, nie poradzi sobie. Czasami to robiła, czasami nie. Tym razem tylko krzyczała i w chwili, gdy nieco rozluźnił uścisk, ze-pchnęła go z łóżka, aż spleceni potoczyli się pod ścianę. Ciałem tłumiał jej niemy krzyk, dopóki nie poczuł, że już nie może dłużej wytrzymać naporu jej smutku i wściekłości.

Gdy wreszcie przestała się szamotać, poluzował uchwyt. Odsunął się nieco i leżeli na podłodze obok siebie. Złożyła ręce jak do modlitwy, tuż pod brodą, i zwróciła ku niemu twarz. Jej wargi poruszały się: modliła się, wypowiadała niezrozumiałe słowa, łąkała. Położył rękę na jej ramieniu, z wahaniem, jakby son-dował, czy zniesie jego bliskość. Gdy jej dotknął, przytu-liła się do niego.

- Spokojnie - wyszeptał. Objął ją; każdy jego gest wydawał mu się niezręczny i żalony wobec bezmiaru jej cierpienia. - Spokojnie, spokojnie - nie przestawał po-wtarzać, jakby przemawiał do spłoszonego konia. - Spokojnie.

Ołonce zachodziło już, gdy Axelrod wchodził do bun-galowu Drogue'ów. Reżyser z żoną siedzieli przed telewi-zorem i oglądali jakąś mydlaną operę w wersji hiszpań-skiej.

Axelrod położył przed nimi kopertę. - Czy mam okazać zachwyty? - zapytał Drogue. - Udało ci się odzyskać wszystkie?

- Oprócz jednej odbitki, którą ma Dongan Lowndes. - Jack dał ją Lowndesowi? Co za kretyński pomysł, nie sądzicie? - Przeniósł wzrok z Jona na żonę z wyrazem twarzy, na której smutek walczył z rozbawieniem. Axelrod powtórzył im rozważania Walkera dotyczące domniemanego początku reportażu Lowndesa, zilustro-wanego fotografią dostarczoną przez Jacka. - Walker uważa, że Lowndes załatwi nas na cacy. Mówi, że ta pikantna historyjka, opublikowana w "NYA" sprawi, że nasz obiekt będzie przypominał ogród jakiegoś tam Koscha.

- A co to takiego? - zapytał Drogue. - Jakiś lokal SM znany tylko degeneratom?

- Nie słyszałam o niczym takim w L.A. - wtrąciła Patty. - Walker jest zdania, że Lowndes dokumentnie spieprzy nasz image.

- Do diabła z tym, co on myśli. Przez swoją nie-odpowiedzialność sam sprowokował te kłopoty. A zresztą, żadna opowieść w "New York Arts" nie jest w stanie nam już teraz zaszkodzić. Chyba że...

- Lepiej odzyskać tę fotografię - powiedział Axelrod. - Lowndes nie zachowuje się jak przyjaciel, a na Euro-pejczykach, na tych burżujach i wieśniakach, ten skan-dal może zrobić niemiłe wrażenie.

- Chryste! Czy Charlie już się o tym dowiedział? - zapytał zirytowany Drogue. - Wpadnie w szal. Axelrod pokręcił przecząco głową.

- Myślę, że to drobny kłopot i poradzimy sobie bez niepokojenia pana Freitaga.

- Nie mówcie mu o tym przy jedzeniu - ostrzegła Patty. - Niedawno robili mu bypas.

- Nie tylko dlatego - dodał Axelrod. - Zwykle miewa gości.

- Masz jakiś pomysł na odzyskanie tej przekłetej fotografii? - zapytał Drogue.

- Delikatnie damy do zrozumienia panu Lowndesowi, że powinien zachować się przyzwoicie. - Tylko nie rzucajcie nim o ścianę. Wtedy naprawdę wpadlibyśmy w gówno po same uszy.

- Marzę o tym - zaczął Axelrod - żeby kilku twardzieli z miejscowej policji zmusiło go do wykonania pary rundek - z głową w dół - wokół śracza w miejskiej toalecie. Tyle, że wtedy musielibyśmy im zapłacić, a te świny przy okazji zwędziłyby zdjęcie. - Jeżeli on nie pójdzie na ustępstwa, masz moje błogosławieństwo - odezwał się Drogue. - Przyciśnij go, tylko tak, żeby nie miał pretekstu do zaskarżenia nas. - Już my sobie z nim poradzimy - rzekł Axelrod. - Jeżeli nie odda zdjęcia, rozważymy, czy przepędzić go ze studia i donieść Van Eppowi, że zachował się nieetycznie. Wtedy Van Epp zrozumie, że nie pójdzie mu z nami tak łatwo.

- Zobaczmy, jak się sprawy potoczą - powiedział Drogue. - Ja o niczym nie wiem. Jeżeli chcecie pozbyć się Lowndesa, musicie porozumieć się z Charliem. - Będzie zaszokowany - powiedział Axelrod. - Ten facet miał być gościem na poziomie, a tu okazuje się, że korzysta z usług szantażysty.

- Pierwszym impulsem Charliego będzie chęć przekupienia go - wstawienia na listę płac. Przedstawi mu propozycję sfilmowania jego następnej książki. Zoba-czysz.

- Powinieneś mu to odradzić.

- Nie mogę mu niczego sugerować - powiedział Drogue.

- Mój ojciec może, nie ja.

- Co zamierzasz zrobić z Jackiem?

- Najchętniej napoiłbym go mocno osoloną wodą i ka-zał iść piechotą do Tijuany. Ale ponieważ to stary kumpel taty, pewnie po spłaceniu odeślę go do domu. Tylko ze względu na ojca.

- O rany, bardzo po chrześcijańsku - powiedziała Patty.

- Po chrześcijańsku, jak cholera - powiedział Walter Drogue junior. Wziął jedno ze zdjęć i przypatrywał mu się z uwagą. - To naprawdę paskudny widok - powiedział. - Teraz ilekroć spotkam te dwie ptaszyny, przypo-mnę sobie o fotografii.

- To wina Walkera.

- Walker to nieudacznik - powiedział Drogue. - Kiedyś skończy jak Jack.

- Wielu z nich kończy w ten sposób - zgodził się Axelrod.

- Brak mu umiejętności przetrwania - stwierdził reży-ser. Znow popatrzył na zdjęcie. - Żadne z nich jej nie ma. Patty Drogue zapaliła jointa i wzięła fotografię z rąk męża.

- Jeżeli wyniknie z tego jakiś skandal - choć myślę, że tak się nie stanie - to czy w umowie Walkera jest klauzula dotycząca nieetycznego zachowania? - spytał Walter Axelroda. - Coś jak w przypadku Fatty'ego Arbuckle'a? - Żeby wypadł z interesu i stracił swój procent? Nie wiem, Walter. To nie moja działka, ale wątpię, żeby tak było.

- Nie próbuję wykołegować tego faceta, Axelrod. Dla-czego, chociaż jestem taki miły, wszyscy od razu podej-rzewają mnie o najgorsze? Zastanawiałem się tylko, co on ryzykował.

- Nie miał wiele do stracenia - powiedział Axelrod.

- Nie tyle, co ona.

Walter zaciągnął się jointem i zwrócił go żonie. - Czasem myślę, że to wszystko wina Charliego - po-wiedział. - Charlie to niefartowny facet. Na planach jego filmów zawsze dochodzi do głupawych incydentów. - To prawda - zauważyła Patty Drogue. - Czy myślicie, że lata sześćdziesiąte naprawdę były takie wspaniałe? - zapytał Drogue.

Axelrod wzruszył ramionami.

- Wtedy chyba każdy miał na sumieniu drobną kra-dzież ze sklepowych półek. Ludzie dawali sobie kwiaty i choćbyś miała brzydkie ciało, przelatywano cię trzy razy na dzień.

- To przebrzmiała melodia - powiedział Axelrod. Wykapana, wyperfumowana, dziewiczo

świeża, wspi-łała się oświetloną dróżką; ostrożnie stąpający Walker podążał za nią. Idąc obrosniętą po obu stronach krzewami juki ścieżką, prowadzącą do casita Charliego Freitaga, przeszli obok baru pod gołym niebem i oświetlonego kortu tenisowego. Patio rozjaśniały migoczące pochodnie w równych odstępach ustawione wzdłuż murku z wulkanicznej skały. Gościom przygrywała grupa ponuro wyglądających Meksykan; dźwięki ich muzyki docierały do uszu Lu Annę dziwnie przytłumione, jakby każda z wygrywanych na trąbce melodii natychmiast ulatywała unoszona przez wiatr. Z mroku wyłonił się Axelrod. Uśmiechnął się do Lu Annę, ale minął ją pośpiesznie i podszedł do Walkera. Pośepni Przyjaciele triumfalnie unosili się nad gośćmi. Zaskoczyło ją to: najwyraźniej dobrze się tu czuli. Po drugiej stronie patio, naprzeciw orkiestry, ustawiono otoczone murkiem palenisko do barbecue, przy którym krzatali się kucharze w białych czapkach. W nasyconym dymem powietrzu unosił się zapach pieczonej wołowiny. Olbrzymi kocioł z parującym sosem stał po jednej stronie kuchni, a w pobliżu grupka innych mężczyzn w kucharskich czepcach ostrzyła noże przed krojeniem pieczystego. Kelnerzy ustawili stoły w długi bufet oraz przygotowali dobrze zaopatrzone barek. Axelrod i Walter wymieniali uwagi przyciszonym głosem.

- Pieprzyć go - usłyszała słowa Walkera. - Jest tutaj? - Jeszcze nie - odrzekł Axelrod. Odwrócił się w stronę Lu Annę. - Jak się czujesz, Lu?

- Jestem trochę zmęczona - powiedziała. Przyjrzał się jej badawczo. Migoczące pochodnie oświetlały surowe rysy jego twarzy. - Tak może być? - zapytała. - Wyśmienicie - odpowiedział Axelrod. - Przypominaj jej o tym, Gordo. Wygląda pięknie, ale ma być trochę zmęczona.

Próbowała dostosować się do ich sugestii. - Gdy mnie pytają, jak się czuję albo jak mi leci, zawsze odpowiadam, że jestem trochę zmęczona. - Uśmiechaj się przy tym - doradził Walker. - Spróbuję, a jak mi się uda, to będę tak trzymać dalej - odpowiedziała posłusznie.

Wydawało jej się, że Pośepni Przyjaciele za chwilę skoczą sobie do oczu: pewnie jak zwykle poszło o to, który z nich ważniejszy, albo o jakąś zadawnioną, rodzinną waśń. Zaniepokoiła się.

- Czy wszystko gra? - zapytała. W patio goście Freitaga dokładnie wymieszali się, krążąc z drinkami pomiędzy stolikami. Nie było ich aż tak wielu, jak jej się w pierwszej chwili zdawało. Jej Przyjaciele poruszali się na granicy światła i cienia.

- W porządku - zapewnił ją Walker. - Przyjemnie tutaj. - Jesteśmy otoczeni przez przyjaciół - powiedział Axelrod. - Wyłącznie... - urwał. Obydwaj, on i Walker patrzyli, jak Dongan Lowndes schodzi do oświetlonego ogrodu, kierując się w stronę baru.

- Sami kumple - potwierdził Walker.

- No to chodźmy - zaproponował Axelrod. Uśmiechnięta, niewiele widząc, co się wokół dzieje, Lu Annę z Walkerem u boku wkroczyła pomiędzy gości. Skierowali się w stronę Charliego.

Oczekiwała jakiegoś wyszukanego w formie powitania, ale on całkiem zwyczajnie ujął jej dłoń. Jego sympatia zdawała się szczerą, i to sprawiło, że posmutniała. Wyczuwała rosnące w Walkerze napięcie, jakby traktował Charliego jak rywala.

- Jesteś śliczna, najwspanialsza -komplementowała ją Freitag. Zwrócił się do Walkera: - Chcesz mnie zapytać, czy jestem zadowolony?

Wysoka kobieta o końskiej twarzy i wystających zębach przystanęła u boku Freitaga. Towarzyszył jej tegi mężczyzna, ze skwaszoną miną na latynosko-romańskiej twarzy. Proste, czarne włosy Indianina opadały mu falą na czoło. Miał na sobie elegancką marynarkę i czarny krawat, jako jedyny z obecnych był w wieczorowym stroju. - Przypuszczam, że jesteś - odrzekł Walker. - Rozmawiałeś z Walterem?

Pod wpływem impulsu Charlie odwrócił się, by poszukać wzrokiem Waltera Drogue'a.

- Walter! - niemal wrzasnął. - Dawać tu reżysera!

- Kilka zaniepokojonych osób odwróciło się w ich stronę. - Chodź tu, Drogue! - Goście połapali się, że Charlie jest w dobrym humorze, i odetchnęli z ulgą. Walter Drogue dopchał się do Freitag'a i zaraz zaczęło się formować wokół nich kółko chętnych do zwrócenia na siebie uwagi. Lu Annę spostrzegła Lise Rennberg, Jacka Glenna i Erica. George Buchanan drobnymi łyczkami pociągał Perriera, Carnahan i Joy McIntyre śmiali się hałaśliwie. Zebrawszy wokół siebie swych najważniejszych współpracowników, Charlie uniósł szklankę.

- Zdrowie wszystkim! - zawołał. - Zdrowie najlepszych z najlepszych!

- I za nieobecnych przyjaciół także! - krzyknęła Joy McIntyre. Freitag, który nie miał pojęcia, kim ona jest, przez chwilę patrzył na nią zaskoczony. - Jaki ojciec, taki syn - zwrócił się do młodszego Waltera Drogue'a, gdy już wypili za powodzenie. Młody reżyser prychnął z beczelnym uśmiechem, ale Wielki Charlie Freitag nie zauważył drwiny. - Jeszcze trochę poczekajmy z fetowaniem sukcesu, Charlie.

Wzrok Freitag'a spoczął na Donganie Lowndesie. - Miał pan szczęście, panie Lowndes. Widział pan od kuchni, i to w najlepszym wydaniu, jak powstaje film robiony przez poważnych fachowców. Lepszej okazji nie mógłby pan sobie wymarzyć.

- Nie zrezygnowałbym z niej za nic w świecie - powiedział wyraźnie wzruszony Lowndes.

- Może kiedyś da się pan namówić na współpracę z nami.

Ignorując Charliego, Lowndes przez chwilę patrzył na Lu Annę, a później zwrócił się do Walkera. - Jak sądzisz, dobry pomysł? - zapytał. - Cóż, to lepsze niż brak pracy w ogóle - odrzekł Walker. Wszyscy roześmieli się, jakby powiedział coś bardzo zabawnego.

Charlie przedstawił Meksykanina Donganowi Lowndesowi. Pozostali już się znali. Wysoką kobietą była Ann Armitage, dawna aktorka komediowa, wdowa po pisarzu z czarnej listy. Meksykanin Raul Maldonado był malarzem. Podobni do bandziorów muzykanci rozplynęli się w mroku, jakby podążając za dźwiękami swej muzyki, i tylko dwaj skrzypkowicze wyszli z cienia i powędrowali pomiędzy gości. Freitag oddalił się, by porozmawiać z Lise Rennberg, i kółko, którego był centralną postacią, rozpadło się. - Pogadajmy - odezwał się Axelrod do Lowndesa, ale pisarz najwyraźniej miał ochotę trzymać się jak najbliżej Lu Annę. Spoglądał na nią z pijacką pożądlivością; Lu Annę patrzyła z uczuciem litości na jego łuszczącą się na twarzy skórę i zmartwione oczy koloru gówna. - O czymś ważnym? - zapytał pisarz, nie spuszczać wzroku z Lu Annę.

- Niespecjalnie, ale sprawa wygląda dość paskudnie - odrzekł Axelrod.

Wziął Lowndesa pod ramię i odciągnął na stronę. Ann Armitage zapytała Lu Annę, jak się czuje, a ta obojętnie popatrzyła na starą aktorkę. - Działkę! - zawołała.

- Jest trochę zmęczona - próbował ratować sytuację Walker.

Lu Annę uśmiechnęła się tajemniczo. Na jej twarz wypłynęło na chwilę całe znużenie ostatnich tygodni. - Istotnie, od jakiegoś czasu jestem trochę zmęczona - jak automat potwierdziła jego słowa. Z wnikliwością, z jakiej kiedyś była znana, Ann Armitage zapytała:

- A wy dwoje... tworzycie duet?

- Tak, proszę pani - odparła Lu Annę. Panna Armitage zmierzyła ich z góry na dół spojrzeniem wyrażającym serdeczne znużenie życiem. Zanim goście zajęli miejsca, Helena wspięła się na drewnianą ławkę i gestem uniesionych dłoni poprosiła o ciszę.

- Nie chcielibyśmy, by ktoś znalazł się obok swego najgorszego wroga czy eks-małżonek obok swego na-stępcy. Dlatego, jak już pewnie niektórzy z was zauważyli, miejsca przy stole oznaczyliśmy karteczkami, z wypisanymi na nich waszymi świetnymi nazwiskami. Odszukajcie swoje miejsce i, po obsłużeniu się przy barze, siadajcie za stołem. Może lepiej sprawdzicie, gdzie macie usiąść, zanim nałożycie na talerze wspaniałe potrawy,

przygotowane specjalnie dla was.

Rozległ się szmer aprobaty oraz kilka pogardliwych prychnięć. Poruszająca się trochę niepewnie Joy McIntyre z zadziwiającą konsekwencją przedzierała się do miejsca, gdzie znajdował się Charlie Freitag. - Co to ma być, Charlie? - zapytała nosowym głosem, przeciągając słowa. - Podwieczorek u króla? - Wyrwała mu z ręki gong i skierowała się w stronę skrzypków, najwyraźniej z zamiarem zaczepienia ich. - Kim jest ta kobieta? - zapytał Charlie Freitag stojących obok. Niezwłocznie wyjaśniono mu, że to Joy McIntyre, dublerka Lee Verger.

Goście z metalowymi talerzami w rękach wpadali na siebie i usiłowali dojrzeć cokolwiek w blasku pochodni i w anemicznym świetle lampek porozmieszczanych na stolikach.

- Bang, bang - i jedzie wóz! - zaśpiewała Joy wysokim głosem. Przechadzający się skrzypkowie uciekli przed nią niczym para wystraszonych pawi. Charlie odwrócił się do gości.

- Czy ta kobieta jest rzeczywiście dublerką? - zagadnął Walkera.

Zanim ten zdążył odpowiedzieć, w patio rozległ się przeraźliwy pisk.

- O Boże, to znowu ona! - zawołał Freitag. Nie mylił się, głos należał do Joy. Okazało się, że to Billy Bly, wprawdzie nie zaproszony w charakterze gościa, ale stojący na straży przy drzwiach, próbował odebrać jej gong.

- Weź tę swoją pieprzoną łapę z mojego pieprzonego nadgarstka! - protestowała.

Goście zamilkli. Jedynymi dźwiękami w patio były teraz odgłosy szamotaniny Joy z Blyem i skwierczenie przypiekającego się mięsa, a wszystko na tle wdzięcznych dźwięków "Maytime".

- Są tu dziennikarze - powiedział Freitag. - To zrobi fatalne wrażenie. - W ciemnościach odszukał wzrokiem Dongana Lowndesa i ujrzał, że on i Axelrod wyglądają jak dwa nastroszone koguty.

- Słodki Jezu! - jęknął producent-dżentelmen. Walker, korzystając z jego nieuwagi, skwapliwie wycofał się z pierwszego planu.

Lu Annę siedziała przy jednym ze stołów i bawiła się karteczkami z nazwiskami gości. Maldonado i panna Armitage próbowali znaleźć bardziej spokojne miejsca, ale gdzie się ruszyli, natrafiali na kłótnie i gniewne okrzyki, więc woleli wycofać się w cień. Lu Annę doczytała się, że ona, panna Armitage i Maldonado, a także Walker, Lowndes, Charlie, Axelrod i Drogue'owie mieli zasiąść przy tym samym stole, obok którego wcześniej zebrało się "kółko Charliego".

- Czy myślicie - zwróciła się do malarza i jego towarzyszy - że można by zagrać tymi kartkami w jakąś grę planszową? Może w "Pisarze i Stara Panna"? Panna Armitage uśmiechnęła się słodko. - Wspaniały pomysł - powiedziała. Wzięła od Lu Annę plik kartek, wybrała swoją i Maldonado i położyła je na stole, obok siebie. - Jestem za stara, by w spokoju znosić paplaninę jakiejś idiotki, panno Przyjemniaczkę, a ty za mocno dorosła na takie infantylne numery. Jeżeli cię to bawi, tasuj sobie te kartki.

Maldonado przełożył wizytówki.

- Ja chcę siedzieć tutaj - powiedział z naciskiem.

Panna Armitage ściągnęła usta i wbiła wzrok w ziemię. Meksykanin zajął swoje miejsce i wolno zaczął rozluźniać węzeł czarnego krawata.

- Serdecznie witamy, panie Maldonado - powiedziała Lu Annę.

Zaskoczony popatrzył na nią.

- Czy aby na pewno?

- O tak, zarówno pan, jak i pańska towarzyszka jesteście tu mile widziani. Cieszą się dobrą opinią moich przyjaciół.

Maldonado podziękował skinieniem głowy. Ann Armitage wykrzywiła twarz w wymuszonym uśmiechu. - Niech dobry Bóg nie pozwoli mi otworzyć buzi, bo... Malarz

gestem wypięgniętej dłoni nakazał przyjaciółce milczenie.

- Wszyscy cieszą się sławą w krainie, o której nikt nie wie - mówiła Lu Annę. - W miejscach, których nie powinniście nawet próbować sobie wyobrazić, myślą o was dobrze i składają pozytywne raporty. - Zabrzmiało to dość tajemniczo - zauważył Maldonado.

- O co chodzi?

Lu Annę nie potrafiła wyjaśnić. Nigdy dotąd nie widziała jeszcze Posępnych Przyjaciół z taką determinacją stawiających czoło dźwiękom i światłu, wręcz kipiących gotowością dołączenia do niej w jej szerszym świecie i spięcia obu krain w jedno. Widziała, że zbliżali się do niej, wstydliwie spoglądając przez swe ażurowe skrzydła i szepcząc słowa otuchy, doszła więc do wniosku, że akceptują jej nową znajomość z parą przyjaciół Charliego Freitag. Ta dwójka prezentowała się nad wyraz atrakcyjnie: elegancka, stara aktorka z przystojnym mężczyzną o smutnej twarzy. Byli piękni i pełni uroku, w przeciwieństwie do paskudnego i nieczystego Lowndesa. Charlie Freitag podszedł do stolika. Wyglądał jak człowiek szukający schronienia po rejtardzie z pola bitwy po sromotnej klęsce. Na talerzu miał odrobinę sałatki i kilka strączków fasolki. Był mocno spocony i nie wyglądał za dobrze. Lu Annę, która kochała go jak przyjaciela, była zaniepokojona jego wyglądem. - Co się dzieje, nikt nie jest głodny? - zapytał.

- Charlie, kochanie, źle się czujesz, drogi przyjacielu?

- usłyszała swoje pytanie Lu Ann.

Ujął jej dłoń.

- Ja? Czuję się doskonale, martwiłem się o ciebie.

- Wszystko w porządku, Charles. - Uśmiechnęła się.

- Tylko jestem troszkę zmęczona.

- To nic dziwnego, musisz być skonana. Kazaliśmy ci wchodzić do wody i wychodzić na brzeg ze trzydzieści razy w ciągu dnia. Żyjesz na hotelowym wickie i tęsknisz za rodziną. - Zaniepokojony popatrzył po rozjaśnionym pochodniami patio. - Wszyscy wyglądacie na przepracowanych, więc pomyślałem: do cholery, musimy się jakoś rozruszać. Przyjechał Gordon i mamy tego gościa z "New York Arts"... to razem się zabawimy.

- Pewnie, że tak - powiedziała Lu Annę. - Zresztą dzisiaj są moje urodziny.

Wylądał na zskoczzonego.

- Ależ... myślałem, że obchodziłaś je w zeszłym miesiącu.

W odpowiedzi mrugnęła do niego porozumiewawczo.

Ann Armitage ani na chwilę nie spuszczała z niej wzroku. - Gdzie się podział Gordon? - zapytał pośpiesznie Charlie.

- Nie wiem, przed chwilą tu był - odpowiedziała Lu Annę. Nie zauważyła, kiedy odszedł i nagle ogarnął ją niepokój. Ku swemu przerażeniu ujrzała Dongana Lowndesa zbliżającego się do ich stołu, a za nim Axelroda, deptającego mu po piętach.

- Kiedy wreszcie zaczniecie jeść? - zapytał Charlie. Jakby na zawołanie pojawili się Walter Drogue junior z żoną, z napełnionymi po brzegi talerzami. Charlie i Patty przywitani się wymieniając pocałunek. - Gdzie twój stary? - zapytał Charlie młodego Drogue. - Kiedy do nas dołączy?

- Ma drobne kłopoty ze swoją panią.

- Tak? A kim jest ta szczęściara?

- Z pewnością już ją widziałeś, Charlie, to ta mała Australijka z niewyparzoną buzią.

Freitag zakrył dłonią oczy.

- Ale heca! - powiedział cicho. Rozejrzał się z poczuciem winy, jakby stary Drogue mógł go usłyszeć. - Ale heca!

- Najlepsze ciało w ekipie - zareklamował Joy młody Drogue. - Oczywiście, nie licząc tu obecnych pań. - To cały Wally - wtrąciła się Ann Armitage. - Należy sądzić, że świetnie sobie radzi.

- Lepiej, żeby tak było - powiedział Freitag. - Dobrze się przypatrzyłem tej laleczce...
Lu Annę, wiedząc, że spotkanie z Lowndesem jest nieuniknione, odwróciła się w jego stronę. Gdy to zrobiła, poczuła na kolanie coś, co nie mogło być niczym innym niż dłonią pisarza.

- Rekonesans, panie Lowndes? - zapytała. Wilgotna ręka, niczym cmentarny szczur, zsunęła się z niej. Jego tępe rysy w jednej chwili przybrały taki wyraz, jakby w jego wnętrzu wpełzł szczur. Niech sobie tam zostanie - myślała. Niech przez całą wieczność szarpie jego flaki, niech wyżera jego mózg. Na tyle długo, żebym była bezpieczna. Oczy Lowndesa powilgotniały. Zobaczyła w nich to, co on sam uważał zapewne za ludzkie uczucia: namiętność, pożądanie, impuls, by osiąść ukochaną. Problem w tym, że on nie był człowiekiem; nie potrafiła dostrzec w nim nic ludzkiego.

- Panie Lowndes - usłyszała głos Axelroda - może by pan na mnie patrzył, jak do pana mówię? Wreszcie udało jej się uwolnić od natrętnego spojrzenia. - Panie Maldonado - zwróciła się do mężczyzny siedzącego naprzeciwko. - Czy jest pan dobrym malarzem? Panna Armitage wyglądała, jakby chciała wyręczyć przyjaciela w odpowiedzi, lecz zachowała milczenie. - Jestem zaskoczony, nikt mnie o to nigdy nie pyta.

- Lu Annę - odezwał się Charlie karcącym tonem. - Raul jest jednym z najznakomitszych meksykańskich malarzy, wystawia na całym świecie.

- Każdy o tym wie - dorzuciła panna Armitage.

- Ja sam mam kilka jego płócien - ciągnął Charlie. - Zdobia ściany mojego domu i są dla mnie... kwint-esencją Meksyku. Ten słoneczny blask, to morze - prawdziwy raj.

Malarz i panna Armitage popatrzyli na niego chłodno. - Wiecie, o co mi chodzi - wyjąkał.

- Wszystko, co podziwiam... - zamilkł, spojrział na talerz i otarł czoło grzbietem dłoni.

- Tata też ma ich całą kupę - wtrącił młody Drogue. - W towarzystwie artystów - zaczęła Lu Annę - w świat-ku takim jak nasz należy się spodziewać rozmyślnie nietaktownych pytań.

Maldonado uśmiechnął się z przymusem i mruknął coś.

- Lepiej weź sobie do serca jej słowa - poradziła mu Ann Armitage.

- Każdy z tu obecnych potrafi odpowiedzieć na pytanie: jestem dobry czy nie? I chętnie zacznie wałkować tę kwestię - wystarczy jedno słowo zachęty - powiedziała Lu Annę.

- Nie jestem dobrym malarzem - oświadczył Maldonado. Zapadła chwila ciszy, a potem rozległ się szmer protestów.

- Niektórzy wielcy zbyt krytycznie oceniają swoje dzieła - odezwał się zażenowany Charlie - i potrzebują naszej oceny, naszych pochwał.

- Chciałabym, żebyś był dobrym malarzem - zwróciła się Lu Annę do Maldonado. - A może jesteś nim, tylko tak mówisz?

- Gdybym mógł zrobić to dla ciebie - powiedział malarz z galanterią - bądź pewna, że uczyniłbym to. Pewnie także i dla siebie. Ale o ile trudniej żyłoby mi się wtedy.

Obecność Lowndesa uciszyła Pożępnych Przyjaciół; znów stracili cierpliwość, uwolnili się spod jej kontroli i znaleźli się tam, gdzie mogli sprawić jej nieliczne kłopoty. Ogarnęło ją uczucie paniki.

- O Boże! Gdzie jest Gordon? Potrzebuję go - powie-działa drżącym głosem.

- Jon - zwrócił się Freitag do Axelroda - możesz wy-świadczyć mi przysługę i odnaleźć swojego przyjaciela Walkera? Bądź kumplem!

- Już się robi, Charlie. - Axelrod położył dłoń na ramieniu Lowndesa. - No to co, Dongan? Pomożesz mi odszukać naszego kumpla Gordo?

Lowndes gwałtownym ruchem strzasnął jego rękę.

- Nie znoszę takich poufałości.

- To nie było miłe, panie Dongan - powiedział Axelrod. - Panie Maldonado, niech pan zrobi to dla mnie - powiedziała prosząco Lu Annę.

- Nie umiesz chodzić? - obruszyła się panna Armitage.
- Sama pilnuj swoich cholernych przyjaciół. Lu Annę ostrożnie nalała z dzbanka czerwonego wina i wypła duszkiem.
- Nie najlepiej widzę - wyjaśniła. - A tu taki tłum. - Oczywiście - powiedział malarz. - Pan Walker, już po niego idę.
Wytarł usta serwetką, choć nic jeszcze nie jadł, i wmiszał się w tłum gości.
- Na Boga, Charlie, skąd wystraszałeś tych ludzi?
- zwróciła się do gospodarza panna Armitage. - Nie z innego miejsca niż ciebie - odpowiedział pogodnie Charlie Freitag. Nikt się nie roześmiał. W toalecie nad basenem Walker pochylał się nad białym proszkiem rozsypanym na porcelanowej powierzchni umywalki. Drzwi za jego plecami otworzyły się i w lustrze przed sobą zobaczył odbicie mężczyzny stojącego w wejściu. Poczuli się przyłapani. Facet ubrany był w białą wieczorową koszulę i ciemne spodnie, a wyróżniały go nieprzytomny wzrok i rozchełstany kołnierzyk. Jego widok nie zachwycił Walkera.
- Kokaina - powiedział domyślnie mężczyzna. Walker odwrócił się powoli w jego stronę i poznał, że to Maldonado.
- W porządku - powiedział spokojnie, nie bardzo wiedząc, czego ma dotyczyć ta uwaga. - Wśród moich przyjaciół - wyjaśniał malarz - pogardza się nią jako używką filistrów. Zanadto w stylu gringo. Moja towarzyszką - panna Armitage - nie ma zrozumienia dla tej słabości.
- Nie wątpię - rzekł Walker. Podszedł do drzwi. - Myślałem, że je zamknąłem na klucz - wyjaśnił. - Nie, zostawiłeś otwarte. Sam nie wiem - zastanawiał się na głos malarz - czy koka robi mi dzisiaj dobrze.
- Możesz spróbować - zaproponował Walker. - Decyzja należy do ciebie.
- Chyba trochę poniucham.
Zażyli obydwoj. Malarz zaczął przechadzać się nerwowo, marszcząc przy tym czoło.
- Należałoby się zastanowić - zaczął Walker - do jakiego stopnia kokaina przyczynia się do wyniszczania Indian.
Maldonado uniósł dłoń w geście protestu. - Nie jest dla nich ani zła, ani dobra, nie ma żadnego wpływu na ich los. To tylko my i nasze cywilizowane społeczeństwa degenerujemy się.
- No i dobrze - rzekł Walker.
Wzięli jeszcze trochę. Tym razem malarz przestał chodzić i wbił w Walkera ponure spojrzenie. - Kim jest ta kobieta?
- Mówisz o Lee Verger? Zostaliście sobie przedstawieni.
- Lee Verger - powtórzył Maldonado. - Aktorka?
- Bardzo dobra i nawet dość sławna.
- Czy tam, przy stole, jest sobą? Czy gra jakąś rolę?
Walker zawahał się.
- Nie dzisiaj - odrzekł. - W każdym razie niespecjalnie.
- To twoja kobieta?
- Tak.
- Wysłała mnie, bym cię odszukał. Nie jestem chłopcem na posyłki, żeby lecieć na każde zawołanie, ale jej posłuchałem. Zapytała, czy jestem dobrym malarzem, a ja odpowiedziałem, że nie. Chciałem dać się upokorzyć. - No to pewnie zakochałeś się w niej - podsumował Walker.
- Jeżeli mi pozwolisz, wyjaśnię jej to.
- Wracajmy więc i pogadajmy.
Przyjęcie rozkręciło się na dobre, gdy Walker i Maldonado pojawili się przy stoliku Charliego Freitaga. Wesołe rozmowy dobiegały z każdego niemal kąta, a skrzypkowie,

nie nagabywani przez nikogo, spokojnie chodzili od stolika do stolika. Tylko w sercu przyjęcia, w kółku Freitaga, panował ponury nastrój. Maldonado usiadł na swoim miejscu naprzeciw Lu Annę. On i pozostali patrzyli w milczeniu, jak Walker przedziera się do miejsca obok Lu i jak ta podtrzymuje go, by nie stracił równowagi. Gdy usiadł, pogłaskała, a potem pocałowała jego dłoń, i objęła go ramionami za szyję-- Chcę się wytłumaczyć, chcę wyjaśnić, dlaczego kry-tykowałem własne malarstwo - powiedział Maldonado. - Nie ma potrzeby. - Panna Armitage nie mogła po-wstrzymać się od uwag. - Wszyscy wiedzą, jaki jesteś wspaniały. I każdy widzi, że piłeś.

W patio rozległ się piskliwy głos Joy McIntyre.

- Choreograf z Sands nie żyje! - krzyczała. - Choreo... - zaczęła, ale urwała, jakby przestraszona własnymi słowami.

- Dlaczego ludzie w kółko to powtarzają? - zapytał Lowndes.

- Skoro znaleźliśmy się w jarmarcznej budzie... - rzekł Axelrod. - Pewnie pragną ci coś przekazać. - Chcę mówić o moim malarstwie - upierał się Maldonado. - Ta dama rzuciła mi wyzwanie i do niej kieruję moje uwagi.

- Ta dama zwalnia cię z tego obowiązku - powiedziała stanowczo Ann Armitage. - Wie, że niektórych rzeczy nie wolno mówić w towarzystwie. Rozumie, że czasem wyrwie się nam zdanie, które może nam bardzo zaszkodzić. - Mam to gdzieś - mruknął Maldonado. Walker wychylił drinka do dna.

- My wszyscy tutaj jesteśmy prawdziwymi artystami i nie bawimy się w podchody.

Z ciemności wyłonił się stary Drogue, z czerwonymi pręgami na szyi. Podszedł do stolika i usiadł między synem a Patty.

Gdy Charlie wstał, by go powitać, stary pozdrowił ich uniesieniem prawej ręki, przypominającym błogo-sławieństwo.

- Cześć, tato - rzucił młody Drogue. Patty wsunęła teściowi rękę pod ramię.

- Pochodzę z Colima - rozpoczął swoje curriculum vitae Maldonado. - Z prostej rodziny.

Poszedłem do szkoły i studiowałem sztukę, bo ceni się ją wysoko w tym kraju. Mój nauczyciel był uczniem Amerykanina Williama Groppera, więc malował podobnie do Groppera, i ja też jestem pod jego wpływem. W Tepic mam pokój wypełniony moimi wczesnymi pracami - wszystkie bardzo realistyczne i zaangażowane politycznie.

- Pełne pasji... - zwróciła się do zebranych Ann Armitage. - Gwałtowne i nabrzmiałe wściekłością. Te prace są po prostu wspaniałe.

- Przypominają karykatury pana Magoo - powiedział gorzko Maldonado. - Pan Magoo - pełen pasji, gwałtowny i wściekły.

- On sam się torturuje - jęknęła Ann Armitage. - Torturuję się, w milczeniu znosząc banały. Na grób mojej matki, teraz żałuję, że nauczyłem się angielskiego. -

Prawdopodobnie nauczyłeś się zbyt dobrze - rzekł Walker. - Wystarczyłoby ci trochę żargonu restauracyjnego, tyle, byś potrafił zamówić naleśniki. Ale z pewnością byłeś pilnym uczniem i teraz musisz wysłuchiwać teorii panny Armitage na temat meksykańskiego malarstwa.

- A on co tu robi? - zwróciła się panna Armitage do Charliego, wskazując głową na Walkera. - Dlaczego nie jest przypięty pasami do szpitalnego łóżka? Charlie zamruczał coś uspokajająco pod nosem i wbił spojrzenie w stół.

Maldonado skupił swoją uwagę na Lu Annę. - Przy tobie nie powinno się wypowiadać innych słów, oprócz tych najprawdziwszych - z powodu twoich oczu. - Ale zrobiło się poważnie - powiedziała Lu Annę. - Najpierw choreograf z Sands, a teraz wiwisekcja duszy artysty.

- Sama sobie jesteś winna - wytknął jej Walker. - Zadawaj nietaktowne pytania, a na pewno otrzymasz wyczerpującą odpowiedź.

- Choreograf z Sands? - zainteresował się Lowndes. - Nigdy nie potrafiłem wyrazić po

angielsku tego, co myślę naprawdę - wyznał Maldonado. - Czy to możliwe w tym języku?

- O tak - odrzekła Lu Annę. - Protestantom się to udaje.

- Ostatnio polubiłem nurkowanie - zwierzył się malarz. - Fotografuję korale, a potem na podstawie tych zdjęć powstają moje obrazy. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak się czuję, gdy nieudolnie próbuję oddać dno oceanu - kolebkę życia?

- Odwagi - pocieszał Walker malarza - znalazłeś właściwych ludzi. Przy tym stole są tacy, co to potrafią poprawiać nawet najlepsze, naturalne oświetlenie. - Chcę wyznać wam więcej - zapalał się Maldonado - więcej prawdy.

- Czyż on nie jest piękny? - spytała Lu Annę. - Wspaniała twarz - przyznał stary Drogue.

- Harmonijna budowa, doskonały kościec.

- Panie Maldonado - zaczęła Lu Annę - choćby był pan bóstwem kości, i tak nie miałoby znaczenia, co mi pan powie. Dociekanie prawdy mnie nie interesuje. - Nie widzisz, że ona jest wariatką? - odezwała się panna Armitage.

- Ponieważ tak wybornie kłamię w waszym języku i nie gorzej udaję, że wierzę w kłamstwa - ciągnął Maldonado - powiodło mi się. Może również dlatego, że jestem piękny i mam wspaniały kościec. Właśnie zawarłem kontrakt ze znanym domem towarowym. Sprzedają moje obrazy i reprodukcje oraz korzystają z moich plastycznych propozycji. Więc należy się spodziewać, panno Verger, że nadejdzie dzień, w którym moje wizje urzeczywistnią się, powielane na zasłonach łazienkowych w całej Ameryce, na każdym basenie, jacuzzi, wannie. Na papierze toaletowym i misce klozetowej. Wszędzie radosna twórczość Maldonado, i to za niezłą cenę. - Ktoś to musi robić - powiedział młody Drogue. - Hej, stary! - zawołała Patty do męża. - Mamy całą masę prac tego faceta, a on nam mówi, że to nic nie warto śmieci.

- Możemy tę sprawę załatwić jutro, z samego rana - powiedział młody Drogue. - Wystarczy jeden telefon. - Czy może mi pan wybaczyć, panie Maldonado? - spytała Lu Annę. - Ja bym panu wybaczyła, gdybym potrafiła. - Wokół niej zaczęli gromadzić się Posepni Przyjaciele. - Przecież poza dobrym koścem nie mam czym się pochwalić. Szmątka, trochę włosów i kupka niezłych kości.

- Chwileczkę, zawrzyjmy układ: mówimy tylko prawdę - zaproponował Maldonado. - Hej wy! - zawołał do zebranych. - Wy, którzy wiecie, jacy jesteście dobrzy, opowiedzcie o tym!

- Daj spokój, człowieku - powiedział Axelrod. - Tak, stary - poparł go Lowndes. - Zostaw to. - Wydawał się odzyskiwać wigor i teraz naśladował Axelroda. Ten przyjrzał mu się z uwagą.

- Niech nikt nie odchodzi! - zawołał Maldonado z groźbą w głosie. - Chcę, żeby każdy się wypowiedział. Lowndes uniósł szklankę z tequilą w stronę Charliego.

- Dzięki Bogu jest z nami Freitag - oświadczył. - To będzie świetna zabawa - zachwycał się Walker - lepsza od pokera. Kto otwiera?

- Od czego zaczniemy? - zapytała Ann Armitage. - Może od kwestii, czy alkoholizm i impotencja idą w parze.

- Panna Armitage - oświadczył Walker - była jedyną osobą powieszoną za czasów McCarthy'ego. U szczytu kariery spuszczone ją z wierzchołka więzienia, podczas hamiltonskich konkursów końskich.

- Ty wszo, ty eunuchu - zabrzmiał kulturalny głos Ann Armitage.

- Panna Armitage prowadzi badania nad seksualną wydolnością osobników płci męskiej - ciągnął Walker - oraz jest wybitnym krytykiem meksykańskiej sztuki. W swej skromnej osobie łączy główne cechy Eleonory Duse, Eleanor Roosevelt, i Eleanor Kastyljskiej, jak również Róży Luxemburg, Sacco i Vanzettiego. Gdyby jakaś przechodząca akurat tamtędy znakomitość nie zwróciła na nią uwagi i nie zachwycała się dość specyficzną w formie demonstracją wdzięku, jej biedny mąż, alkoholik-impotent, żyłby do dzisiaj. Niedługo

nasza droga Ann zacznie zapewne pisać pamiętniki i wtedy otrzymamy listę jej cnót tak długą, jak u Macy'ego w Święto Dziękczynienia, z clou w postaci podwójnej porcji nonsensów i wytworów jej wyobraźni. - Wszyscy jesteśmy bardzo zestresowani - odezwał się ponuro Charlie Freitag.

- Oni są pijani, Charlie, w tym rzecz - wyjaśnił Axelrod. - Opowiedz mu o sobie, Gordon - zaproponował Walter Drogue młodszy.

- Z Waltera jest wspaniały treser - powiedział Walker do Meksykanina. - Jest też feministą, a poza tym nie na niego spłynie splendor za scenariusz, bo - wiem to - nie on go napisał.

- Uważaj, co mówisz, łgarzu - zaprotestowała Patty Drogue.

- Ciągłe słyszę wyłącznie niepoehlebne opinie - po-skarżył się Maldonado. - To idiotyczne - bezustannie natrzęsać się z kogoś z powodu jego słabości. Chcę posłuchać o waszych talentach.

- Śmiech - powiedziała Lu Annę. Wyglądała promien-nie w świetle pochodni, wszyscy jak na komendę popat-rzyli na nią. - Talenty i tęsknoty.

- Na rany boskie, Maldonado - powiedział Walker. - Nam nie trzeba przypominać o tym, jacy jesteśmy dobrzy. - Ujął dłoń Lu Annę. - Ta tutaj jest wprawdzie przekonana, że sowa to córka piekarza, ale jej dusza jest czysta jak góraska woda. - Zwrócił się do Freitaga:

- Charlie, Charlie... czy dobrze się czujesz? - Wszyscy tutaj żyjemy w ciągłym stresie - powiedział Freitag.

- Charlie wpadł w nielichy kłopot - wyjaśnił Walker. - Opowiedz mu wreszcie o sobie, Gordon - nalegał młody Drogue.

- On jest wtajemniczony, Walter. On i ja jesteśmy compañeros w zbrodni. Obydwu nam poszło doskonale, ale jeszcze nie połapaliśmy się, w którym akcie popeł-niliśmy błąd.

Zresztą, kogo tak naprawdę to obchodzi? Jak widać, wyładowaliśmy nie najgorzej. -

Powiodł ręką wokół, wskazując na patio, oświetlone ścieżki i ciemną zatokę. - Jesteśmy tu, stary. Na szczycie wzgórze. - Na szczycie świata, mamó - wybełkotał Axelrod. - Jest tu też Axelrod, którego we wczesnym dzie-ciństwie powinni byli wyrzucić z okna dziewiątego piętra hotelu Half Moon.

- Twoja mamuśka... - bredził Axelrod. Goście, w różnym stadium alkoholowego upojenia, podchodzili do stolika, by podsłuchać, kogo się obgaduje, i pożegnać się z Charliem Freitagiem. Gaszono ogień, a mięso zawijano w folię, by zachowało ciepło. Maldonado bezwładnie opadł na krzesło. Jego zapał gasł z każdą chwilą - zmęczenie i alkohol nieźle dały mu się we znaki. Spojrzał na Lowndesa, który siedział przy końcu stołu nieprzyzwoicie przytomny, z uśmiechem niepewności na twarzy.

- A co powiesz o nim? - zapytał Walkera.

- Ten bożek kości - wtrąciła Lu Annę.

- O nim nie będziemy rozmawiać - powiedział Walker.

-To niebezpieczny typ, szczególnie dla takich jak ty i ja.

Axelrod poklepał Lowndesa po plecach.

- To kolekcjoner, żyje ze sztuki.

Zgromadzeni przy stole popatrzyli w stronę eks-pisarza. - Było cudownie - powiedziała Patty Drogue. - Koniec na dzisiaj?

- Mam zamiar się położyć - odrzekł Charlie. - Sądzę, że najlepiej będzie, jak wszyscy to uczynimy. Nie zapominajmy, że czeka nas jeszcze wiele pracy. - Och, ale nie jutro, Charlie, jutro mamy przecież wolne - zauważyła Lu Annę.

- To prawda - poparł ją Lowndes. Oczy obecnych przeniosły się na niego. -Ta dama sama wie, kiedy ma iść spać, nie potrzebuje rad jakiegoś pieprzonego Freitaga. - Dongan, to nie było uprzejme - skarcił go Axelrod.

Freitag wołał udawać, że nie słyszy.

- Dongan... - zaczął - mam nadzieję, że wytrzymasz z nami do końca.

- Nie nazywaj go Dongan - powiedział Axelrod. - On nie lubi poufałości. Hej, Charlie - zawołał biorąc Lowndesa pod ramię - kiedy to ostatni raz musieliśmy wykupywać zdjęcia od jakiegoś sprytnego buca? - Jakie zdjęcia? - dopytywał się Freitag. - O jakich zdjęciach mowa, panie Lowndes? - przyłączyła się Ann Armitage.

- Nie wiem, o czym mówicie, do cholery - bronił się Lowndes. - A zresztą, o co wam chodzi, przecież macie czyste sumienie.

- Muszę wam wyznać - zaczęła Lu Annę - że bawiliśmy się kośćmi. Tak, robiłyśmy to, Gordon. - Popatrzyła błagalnie na Walkera, a potem przenosiła proszące spojrzenie po kolei na każdego z gości. - Panie Lowndes, Walter, proszę o wybaczenie, także pana i panią o to proszę. Poszliśmy na cmentarz, tam, gdzie grobowce były uszkodzone, i bawiliśmy się kośćmi. - Idź już, Patty - odezwał się młody Drogue. - Zaraz do ciebie dołączymy.

- Proszę się wstrzymać, nie słuchać podszeptów al-koholu - zwrócił się Walker do pisarza.

- Wódka nie jest pana najlepszą przyjaciółką. Jutro odbędziemy naradę - pan i Axelrod, i Van Epp. Wyjaśnimy sobie co należy i rozejdziemy się zadowoleni.

- Jakie zdjęcia? - zapytał Charlie Freitag. - Jakie ma pan zdjęcia, panie Lowndes?

- Charlie - wtrącił się stary Drogue - zostaw to im, niech sami załatwią tę sprawę. Nie ma sensu, żebyś się denerwował.

Lu Annę wstała, podeszła do Freitagą i chwyciła go za rękę. Lowndes patrzył na nią pożądliwie. - Mówili nam, że zachorujemy od tego, ale nie posłuchałyśmy. Przez całe lato, w samym środku dnia wpełzałyśmy do grobowców. Wewnątrz panował chłód, ale zapach był paskudny. Bawiliśmy się całymi godzinami, aż pojawiał się stary, czarny Pelletier i przeganiał nas. Wiesz, jakie są dzieci. Moja siostra zaraz biegła na drugą stronę ulicy i kupowała cukrową watę - nawet nie myła rąk.

- Idź do łóżka, Lu Annę. - Charlie zwrócił się do Walkera: - Gordon, zrób z nią coś.

Walker podniósł się z krzesła.

- Zdjęcia? - zapytał Maldonado.

- To reporter, ma trefne zdjęcie i chce, by mu za nie zapłacili - wyjaśniła Ann Armitage. Informacja ta podziałała na Maldonado wyjątkowo przygnębiająco.

- No i jak teraz wyglądasz, Lowndes? - zapytał Walker. Odwrócił się do Maldonado: - Ten gość potrafi dojrzeć więcej niż inni. Dobre wróżki obdarzyły go inwencją, intuicją i rozsądkiem. Ale potem przyszły złe wróżki i obe-rwały mu jaja.

- Nie prowokuj go - ostrzegła Lu Annę. - Tobie się tylko wydaje, że rozmawiasz z człowiekiem, ale to nie-prawda, on nim nie jest.

- A więc jak już powiedziałem - ciągnął Walker - po-siadł wszystko, co trzeba, by stać się wielki. Jest pisa-rzem pierwszej klasy, ale człowiekiem czwartej kategorii. Brak mu pewności siebie i męskiego zdecydowania, by pokierować swym niewątpliwym talentem. Po prostu: nie ma jaj.

- A ty? - zapytał go młody Drogue. - Gdybyś był taki dobry, jaki według ciebie jest on, byłbyś fantastycznym facetem? Czy dobrze cię zrozumiałem? - Gdybym był taki dobry jak on - odrzekł Walker - nigdy bym nie zmarnował ani jednej chwili. Pracował-bym dzień i noc. Nigdy bym nie pił ani nie ćpał, ani nie spał z kobietą, której nie kocham.

- Słuchajcie, słuchajcie - powiedział stary Drogue. - Chcesz powiedzieć światu, że pisarze to dupki, ale okazuje się, że nikogo nie obchodzi twoje zdanie. Drogue'owie zniknęli w ciemnościach. - Ogólne dobranoc - powiedziała Ann Armitage. Wstała i czekała na Maldonado. - Wykończycie mnie, chłopcy, tym gadaniem o jajach. - Posmutniały Meksykanin wstał od stołu i razem odeszli.

- Zachorowałam - opowiadała nieprzerwanie Lu Annę. - Wciągnęłam ich z oddechem z cmentarnego muru. I to wszystko przez zabawę kośćmi. Spójrzcie na nich. Wskazała na

Posępnych Przyjaciół, czających się wokół Lowndesa, próbujących dotknąć go długimi, cienkimi, szponiastymi palcami i pochwycić w delikatną siatkę swych skrzydeł.

- Poblądziłaś siostrzyczko - powiedział Lowndes. - Za daleko odbiegłaś od domu.

- Przebyłam długą drogę od tamtego cementarnego muru, czasami myślę, że nie jestem już dzieckiem Boga. Wydaje mi się, że odkrył pan tę moją tajemnicę, panie Lowndes.

Axelrod i Lowndes wstali niemal równocześnie. Axelrod zajął miejsce pomiędzy

Lowndesem a Freitagiem, ten, z Lu Annę u swego boku, cofnął się.

- Jesteś cudowną kobietą, nie należysz to tej bandy skunksów - powiedział Lowndes.

Freitaga zatkało.

- Dobrze, bucu - odezwał się Axelrod. Próbował chwycić Lowndesa za ramię, ale pisarz zwinnie mu się wymknął.

- Odkryłeś moją tajemnicę! - krzyczała Lu Annę. - To gównem miało czelność odzywać się do mnie. Lowndes jak strzała przemknął obok Axelroda, kierując się w stronę Freitaga i Lu Annę. Zgubił gdzieś okulary i potykał się, jakby oślepiiony blaskiem bijącej od niej niezwykłości.

Z zaciśniętymi zębami zamachnęła się, by uderzyć go w twarz.

- Jest wypełniony gównem. Tylko spójrzcie na jego oczy.

Pisarz uniósł rękę i zasłonił się. Walker delikatnie pociągnął Lu do tyłu, a w tym czasie

Lowndes wycofał się do stolika obok. Opuścił podbródek i przyjął bokser-ską postawę.

Zaciśnięte pięści trzymał na wysokości twarzy. Jego brązowe oczy, przymrużone jak u

krótko-widza, zrozpaczone i wściekłe, strzelały na boki, usiłując zorientować się, skąd

pójdzie główne natarcie. Nic nie prowokuje do agresji bardziej niż człowiek stojący w

takiej postawie - pomyślał Walker. Aż zatrzęsł się cały z wściekłości, dygotał z litości i

nienawiści. - Odejdź ode mnie, ty szalona suko! - wrzasnął Lowndes.

Walker nie był pewien, czy Lowndes zamierza ją uderzyć. Przez moment wahał się, a

później uznał uniesione pięści za wystarczającą prowokację i postanowił ruszyć na wroga.

Czuł się pijany i chory. Wstydził się tego, ale kokaina dodawała mu animuszu. Lowndes

musi mu za wszystko zapłacić. Usłyszał, jak Axelrod krzyczy coś o zdjęciu, a Charlie

Freitag wrzeszczy, że już wystarczy. Walker brał udział w co najmniej tuzinie barowych

bójek, nie był więc nowicjuszem, a Lowndes, wystarczająco oślepiony agresją, wydał mu

się łatwym przeciwnikiem. Zrobił więc groźną minę, ale zanim zdążył unieść prawą dłoń,

tamtę przyłożył mu kościstą pięścią. Walker leżał na podłodze i nie mógł z całą

pewnością powiedzieć, że jeszcze żyje.

- Banda skurwysynów! - zawył Lowndes. - Zabiję was wszystkich, dranie!

Walker pomacał skroń. Stwierdził, że wprawdzie nie został śmiertelnie ranny, ale krwawi i

nie bardzo widzi na lewe oko. Usiłował ustać, ale udało mu się to dopiero po kilku

próbach. Nikt nie pośpieszył mu z pomocą. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę; wyjął dłoń

błyszczącą kryształkami koki. Zlizął je.

Ujrzał, że Bill Bly przytrzymuje klęczącego Lowndesa za ramię, a wolną ręką odpycha

Axelroda, nie dopuszczając go do pisarza. Charlie Freitag, z twarzą zastygłą w

lodowatym, gorzkim uśmiechu, stanął pomiędzy nimi a Lu Annę.

Zrzuciła z nóg sandały. Walker spostrzegł, że jej oczy świecą niebezpiecznym blaskiem.

W następnej chwili odwróciła się i rzuciła ku ścieżce, prowadzącej do bungalowów na

plaży. Bly wahał się przez moment, jakby nie mógł się zdecydować - trzymać Lowndesa

czy pójść za nią. Wiedziony impulsem Walker ruszył za Lu Annę, zwalniając jedynie na

zakrętach, by nie stracić równowagi. Serce waliło mu jak młotem. Biegł jak szalony, nie

zważając na nic, wiedział, że musi ją dogonić. Słyszał odgłos bosych stóp na wyłożonej

plytami, ciemnej ścieżce, ale wciąż wyprzedzała go o jeden zakręt. Zwolnił grzęznąc w

piasku plaży. Przed sobą usłyszał trzask zamykających się drzwi i gdy znalazł się przy

bungalowie, wewnątrz paliło się już światło. Dobijał się i wołał ją po imieniu, ale w środku

panowała cisza. Po kilku minutach obszedł dom i tylnym wejściem dostał się do patio. Nie zastał nikogo. W sypialni panował bałagan, wszędzie było pełno piasku.

Poczuł się potwornie znużony. Szedł do siebie, gdy ujrzał światła samochodu na podjeździe prowadzącym od drogi do głównego wejścia hotelu. Desperackim pędem rzucił się przez opuszczony hall i wypadł przed budynek akurat w chwili, gdy jedna z limuzyn wytwórni ruszała z miejsca. Biegł i uderzał pięściami w tylne drzwi, za którymi widział Lu Annę.

- Zaczekaj! - krzyknął.

Patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem, przyciskając dłoń do ust.

- Stój! - wysapał do kierowcy. - Lu, nie jedź beze mnie. Skinęła głową i samochód zatrzymał się na poboczu drogi. Biegąc z powrotem do swego pokoju, Walker usłyszał głos nawołującego ją Billy'ego Bly'a. Porwał ze stołu torbę z kokainą, z wieszaka na drzwiach łazienki wiszącą tam zieloną wiatrówkę, do kieszeni wpakował zwitek banknotów i biegiem wrócił do limuzyny. Otworzył drzwi i usiadł obok Lu Annę. Gdy dojeżdżali do bramy, oparła się o niego; drżeli oboje. Rozpaczliwie łąpał oddech.

- Muszę uciec, Gordon - powiedziała cicho. - Potrzebny mi dzień czy dwa, chwila spokoju. Skinął głową, dalej nie mógł wykrztusić słowa. - Chciałam, żebyś był ze mną - powiedziała. - Myślę, że chciałam. Przecież chyba nie uciekałam przed tobą? Spróbował odpowiedzieć, ale nic z tego nie wyszło.

Ciężko oddychając, potrząsnął przecząco głową. Przy głównej drodze zatrzymali się, kierowca otworzył bramę, a gdy przejechali pod podniesionym szlabanem, opuścił go. Walker wyjrzał przez tylną szybę, ale nikt za nimi nie jechał.

- Dokąd chcesz jechać, Lu Annę? - zapytał. Pędzili szosą przed siebie. - Chciałem spytać, gdzie jedziemy. Uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Pomyślą, że mnie porwałeś.

- Właśnie tak będą sądzić.

- O jakich zdjęciach rozmawiali, Gordon? O jakiejś fotografii... którą zdobył?

- Tak.

- Czy to było moje zdjęcie? Moje? Nasze. - Może miał jakieś fotografie, może nie. Teraz to już bez znaczenia. Jest skończony.

Walker patrzył, jak w światłach reflektorów oświetlających pobocze uciekają zeschnięte krzaki. Po chwili dotknął kieszeni, by upewnić się, że jest tam narkotyk i pudełko pigułek doktora Siritai. Odetchnął z ulgą. - Powiesz mi wreszcie, dokąd jedziemy? - W poszukiwaniu poranka - odparła całkiem trzeźwym głosem. - Jedziemy tam, gdzie można go spotkać. - A czy znajdziemy tam coś do picia?

Podawała Walkerowi butelkę szkockiej, tę kupioną jeszcze przez Lowndesa. Przepętniony wdzięcznością pociągnął łyk.

- Nietoperze czy ptaki? - zapytała.

- Wybieraj, ty tu jesteś gospodynią.

- Zobaczymy na miejscu - powiedziała. Dziesięć mil na południe autostrada, którą jechali, skręciła w głąb lądu, przecięła grzbiet Baja i przez trzydzieści kolejnych mil wiła się wzdłuż Morza Corteza. Z ostatniej pętli bita droga poprowadziła ich na wybrzeże, aż do świetnie wyposażonego ośrodka rybackiego, zwanego Mariną Bena. Tutaj dla bogatych turystów przygotowano obszerne ranczo, jakby żywcem przeniesione z Sonory, kilka szybkich motorówek, wyposażonych stosownie do wypraw na dużą rybę oraz mały pas startowy dla samolotów, używanych do transportu i wyszukiwania łowisk.

Gdy zaczęli kręcić "Przebudzenie", Lu Annę dowiedziała się o tym zakątku od Franka Carnahana. Ona i Lionel wynajęli Bena juniora, by poleciał z nimi do San Lucas na długi weekend. Lot ten bardzo zaniepokoił wytwórnię, ponieważ ubezpieczenie filmu nie obejmowało udziału w zaimprovizowanych lotach czarterowych, w dodatku nie

autoryzowanych przewoźników. Charlie Freitag mocno się rozsierdził i Axelrodowi nieźle się dostało.

O świcie samochód skręcił do Mariny Bensona i za-trzymał się obok przystani. Walter przespał całą drogę narkotycznym snem, pełnym okropnych koszmarów z udziałem jego synów.

Lu Annę wysiadła i od razu skierowała się w stronę oświetlonego molo. Koło stacji benzynowej przystanęła i stąd spoglądała na zatokę. Walker też wysiadł z wozu i polecił szoferowi zaparkować nie opodal. W cieniu hangaru na przystani zażył szczyptę kokainy. Narkotyk sprawił, że poczuł się niepewnie, mocny wiatr znad oceanu przejął go chłodem. Po kilku minutach pojawił się syn Bensona, Enriague, z zasną, podejrzliwą miną. Był Euroazją, synem teksańskiego przedsiębiorcy, który tutaj zrealizował swo-je marzenie, i urodzonej w Meksyku Chinki. Gdy rozpo-znał Lu Ann, uśmiechnął się przyjaźnie. - Znowu do Cabo? - zapytał. Wymienili uściski dłoni. Walker patrzył, jak do Enriague'a powoli dociera, że ostatnim razem leciała z innym mężczyzną. - Nie - odrzekła Lu Annę. - Chcemy się dostać do Villa Carmel.

Młody człowiek, zmieszany, wbił wzrok w ziemię. - No nie wiem, proszę pani: nad górami hula chubasco, muszę sprawdzić prognozę pogody.

- Naturalnie - powiedziała Lu Annę.

Enriague stał z nimi przez chwilę, a potem wrócił do budynku.

- Powinniśmy pojechać z powrotem - powiedział Walker.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie przeciągaj struny. - Walker pociągnął z butelki następny łyk whisky. - Jutro powinnaś już pracować, ja - wyjechać.

Lu Annę uparcie spoglądała w morze.

- Nie sądzę, żebym jutro chciała wracać do pracy.

I nie chcę, żebyś odjeżdżał.

- To bez sensu.

- To po co przyjechałeś?

Pomyślał o ptaszku szczebiocącym pośród wzgórz Hollywood.

- Gdzie on poszedł? - spytała, mając na myśli młodego Bensona.

- Pewnie posłuchać prognozy pogody. - Prosiaczek przyleci za nami. Domyśli się, gdzie jesteśmy.

- Kto przyleci?

- Billy - odrzekła. - Bly.

- Nie rozumiem, dlaczego chcesz lecieć do Villa Car-mel. Co tam takiego jest?

Niespodziewanie uśmiechnęła się do niego.

- Poczekaj, aż zobaczysz.

- Czy nie byliśmy już w tamtej okolicy? - zapytał.

- Kiedyś kręciliśmy gdzieś w Sierra. Dawno temu. - To było gdzie indziej. W Constancia robiliśmy mek-sykańską scenerię "Żniwa Śmierci".

- Na pewno w Constancia? Nie w Benjamin Hill?

- Byliśmy wtedy po przeciwnej stronie Monte Carmel.

Villa Carmel leży od strony Pacyfiku.

- Dlaczego chcesz tam lecieć?

- Powodem... - zaczęła i urwała. - Powód jest istotny.

Musisz mi zaufać - ujęła go za rękę - dobrze? - Lepsze to niż przeczekiwanie burzy tutaj. Co mam do stracenia?

- To się okaże - powiedziała Lu Annę. Młody Benson wrócił z mapnikiem i wszedł do swojej małej kanciapki nad hangarem łodziowym. Miał na sobie skórzaną kurtkę, z szyi zwisał mu biały, jedwabny szal. Włączył radiostację i po chwili męski głos podał po

angielsku prognozę pogody. Walker i Lu Annę, stojący na moło, nie dosłyszeli słów komunikatu. Lu Annę przeszukała torebkę, wyjęła z niej białą kopertę wypchaną banknotami i podała Walkerowi. - Co to?

- Żeby mu zapłacić.

Chciał zaprotestować, ale przerwała mu:

- To moje party.

Wchodząc po drewnianych schodach do biura Ben-sona, wepchnął kopertę do kieszeni, obok portfela z wy-graną z Santa Anita. Pomyślał, że obydwójce znaleźli się w komfortowej sytuacji - nie muszą się liczyć z wy-datkami.

Stanął w drzwiach.

- Co z pogodą? - zapytał młodego Bensona. - Rany boskie! - wykrzyknął pilot, spoglądając na niego zaskoczony. - Człowieku, ale masz podzelowane oko!

Walker przytknął dłoń do spuchniętego miejsca. - Czy jest prawdziwy? - zapytał Benson junior. Wal-ker popatrzył na niego zdziwiony. - Pomyślałem, że ten siniak nie jest prawdziwy - wyjaśnił młodzik. - Że to na niby.

- Aha, o to chodzi. Prawdziwy, miałem wypadek - po-tknąłem się.

- No tak - zadowolili się wyjaśnieniem pilot. - Powiedz-my, że polecimy, ale możemy mieć kłopoty z powrotem. Jak długo chcecie tam zostać?

- Nie mam pojęcia, możesz na nas poczekać? - To by dużo kosztowało - powiedział niepewnie młody człowiek. - Jeżeli chubasco się rozhula, możemy utknąć na dobre.

- Kiedy lecimy?

- Jak zrobi się jasno.

Walker wyjął z koperty pięćset dolarów. - Zabierz nas na cały dzień. Jeżeli nie damy rady wrócić do jutra, do zachodu słońca, to dorzucimy kilka setek.

- Trzysta za dzień, pięćset, jeżeli będę musiał nocować. - W porządku. - Walker wręczył mu pięć studolaro-wych banknotów. - Zatrzymaj jako zaliczkę. Czekala na niego u podnórza schodów.

- Polecisz z nami?

- Jak tylko zrobi się jasno. Obawia się, że pogoda może nas tam zatrzymać. Czy w Villa Carmel jest hotel? Nie odpowiedziała. Spojrzał w niebo; było czyste, lekko pojaśniało.

Księżyc zachodził. Widział jesienne konstela-cje: Wenus, gwiazda poranna, znajdowała się wTaurusie. Zapytał ją, czy wie, co to oznacza, bo - jak się orien-tował - była zainteresowana tymi sprawami. Ponownie nie otrzymał odpowiedzi.

Po chwili wskazała ręką na szofera, który drzemał za kierownicą limuzyny.

- Zapłać mu - powiedziała nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Zapłać i odeślij do domu.

- Jesteś pewna?

- Wybieram się na Monte Carmel, Gordon. Idziesz ze mną czy nie?

Zbudził kierowcę i zapłacił mu, a później odprowadził wzrokiem światła samochodu, podskakujące na drodze pomiędzy Benson a autostradą.

- Dlaczego właśnie tam? - zapytał.

Pomyślał poirytowany, że jak poprzednio zignoruje jego pytanie.

- Bo jest tam świątynia i chcę otrzymać w niej błogo-sławieństwo - powiedziała.

- Tego to już zupełnie nie rozumiem.

Popatrzyła na niego z łagodną wyrozumiałością. Nad Zatoką Kalifornijską świeciło, jasność, zrazu szaro-biała, przechodziła w czerwień i rozprzestrzeniała się z zapierającą dech szybkością tropikalnych poranków. Dla Walkera ta odświeżająca moc była nużąca w swej gwałtowności i trochę się jej obawiał.

Gdy poranek nagły, wieczór wnet przychodzi - pomy-ślał.

Benson wyłonił się z biura i przytupując zszedł po schodach. Końce szala, buńczucznie odrzucone do tyłu, unosił wiatr.

- No to w drogę, kochani.
- Czy to chrześcijańska świątynia? - zainteresował się Walker. - Mam nadzieję, że nie składają tam dziewic w ofierze.
- Dziewic nigdy - powiedziała Lu Annę. - prostytutki składają rytualne ofiary z kogutów.
- Może mi pan pomóc przy maszynie? - rzucił młody Benson przez ramię - bardzo bym prosił. Rozsunął wrota hangaru i wyjął klocki spod kół. Potem razem z Walkerem przetoczyli samolot do miejsca startu. Poranek rozbłysł w całej swej krasie. Tarcza słońca zanurzała się jeszcze w zatoce, ale kanie już rozpoczynały swe swawole na tle błękitu, a piskliwe wrzaski ukrytego w buszu, pustynnego ptactwa, dźwięczały w powietrzu, dopóki ryk silnika nie zagłuszył ich na dobre. - To prawdziwy brylant - powiedział Benson, gdy unieśli się w powietrze. Walker, akurat wdychający kokainę z grzbietu dłoni, popatrzył na pilota nie rozu-miejąc, o co mu chodzi. Czy o Lu Annę, przypiętą pasem do siedzenia za nim?

Benson patrzył przed siebie.

- Mówię o poranku - wyjaśnił. - Nikt nie przypusz-czałby, że zła pogoda jest tuż-tuż. Po kilku minutach ujrzeni słońce wschodzące nad szczytami na wschodnim wybrzeżu zatoki. Pod nimi rozpościerało się morze rozjarzone czerwienią skalistych brzegów - pustynny ocean pełen tajemnych znaków zwiastujących cud. Odwrócił się do Lu Annę i ujrzał, że płacze ze szczęścia. - Czyż była kiedykolwiek niedola wspanialsza od na-szej? - zażartował, przekrzykując ryk maszyny. Pokręciła przecząco głową.

- Wszyscy czują się dobrze? - zapytał Benson.

- Muszą - odparł Walker.

Po godzinie lądowali na trawiastej równinie w sercu wąskiej doliny, otoczonej pokrytymi zielonością górami. Parne powietrze zawisło nieruchomo. Grupka indiań-skich dzieci o okrągłych twarzach i spadzistych ramionach obserwowała, jak szli do hangaru z falistej blachy, stojącego obok lądowiska, na skraju którego pasło się spokojnie stadko kóz. W oddali, za zagajnikiem drzew chlebowych, widać było białe ściany budynków mias-teczka: kopułę i dzwonnice kościoła, dachy udrapowane kolorową bielizną schnącą na sznurach i betonową budowlę o wymyślnych łukach, zwieńczoną anteną tele-wizyjną. Villa Carmel. Benson zajął się wypełnianiem karty lotu, a do Walkera podszedł Indianin w średnim wieku, z uśmiechem przesy-conym anielską dobroduszością, i zapytał, czy potrzebny im samochód. Lu Annę wygrzewała się w słońcu i zasłania-jąc oczy patrzyła na zielony grzbiet gór, ciągnący się ku wschodowi.

Walker polecił Indianinowi zatelefonować po taksówkę i po niespełna dziesięciu minutach nadjechał niezłe utrzy-many Volkswagen-minibus, z trzema rzędami siedzeń. Na zaimprovizowanym stoisku obok hangaru Gordon zdążył jeszcze kupić butelkę wody mineralnej, i odjechali. Wjeżdżali do Villa Carmel razem z dwoma innymi pasażerami - Bensonem i Amerykaninem w słomianym sombrero, który wcześniej siedział przy hangarze i nie zaszczycił ich nawet jednym spojrzeniem. Podczas tej krótkiej jazdy Walker doznał szczególnego przeżycia. Przyglądał się odbiciu we wstecznym lusterku, które wziął za własną twarz, i nagle uświadomił sobie, że te pewne siebie rysy należą do mężczyzny na przednim siedzeniu. Jego własna twarz, gdy wreszcie ją zobaczył, wyglądała jak siekana wołowina. Złudzenie, któremu uległ, męczyło go jeszcze długo. Przystanęli na niewielkim placyku, ocienionym drze-wami morwowymi. Gdy Benson i Amerykanin wysiedli, taksówkarz popatrzył pytająco na Lu Annę i Walkera. - Powiedz mu, żeby jechał do świątyni - zażądała. Walker próbował słów, które, jak uważał, oznaczały świątynię - *Za capilla, el templo*, ale kierowca, z uśmie-chem podobnym do tego, jaki rozjaśniał twarz człowieka na lądowisku - niewątpliwym elementem języka miejs-cowych Indian - tylko wzruszył ramionami. - Monte Carmel - pomogła wreszcie Lu

Annę. - Que-remos ir ahi.

Taksówkarz bez słowa zmienił bieg, objechał plac i ruszyli z powrotem drogą, którą wcześniej przyjechali. Minęli lądowisko i dalej podążali w stronę gór nie najlepiej utrzymanym traktem. Ich minibus rżąc wspiął się serpentynami coraz wyżej i co pewien czas przed ich oczami ukazywała się Villa Carmel, stojąca na szczycie porośniętego krzewami wzgórza, a im wyżej wjeżdżali, tym głębiej opadały zielone zbocza doliny po obu stronach drogi. Przejechali obok wodospadu, wypadającego stromo z sosnowego lasu wprost w zacienione jezioro. Sępy, na rozłożonych, nieruchomych skrzydłach żeglowały nad przepaściami, wznoszone coraz wyżej przez nagrzane promieniami słońca górskie powietrze. Gdy dotarli prawie na sam grzbiet, kierowca zjechał na bok i zatrzymał samochód przed pnącą się w górę ścieżką, skąd rozpościerał się widok na sąsiednią dolinę, już nie tak dziko wyglądającą jak ta, z której rozpoczęli podjazd. Była najwyraźniej zaludniona, jej dnem biegła linia kolejowa. Widać było miasta, rozciągnięte wzdłuż brukowanej drogi, a w oddali wznosił się następny łańcuch gór, podobny do tego, na którym stali. - Już tutaj kiedyś byliśmy, prawda? - zapytał Walker. Wysiadł i podszedł na brzeg urwiska. - Mieszkaliśmy w tamtej dolinie - wyciągnął przed siebie rękę - przy gorących źródłach. Ty kręciłaś film gdzieś pośród tych wzgórz. Albo - powiedział wskazując w inne miejsce - tamtych.

Jej uwaga skupiła się na krętej, skalistej ścieżce, wspinającej się na wzgórze po ich prawej stronie. Gdy Walker zobaczył, że Lu Annę pyta o coś kierowcę, a ten jak zwykle uśmiechnięty potrząsa przecząco głową, podszedł do nich.

- Czy on powiedział, że nie może nas tam zawieźć?

- spytała.

Porozmawiał z kierowcą i przekonał się, że ten rzeczywiście, choć z uśmiechem, odmawia dalszej jazdy. - Twierdzi, że nie da rady tam wjechać, uważa, że silnik nie wytrzyma.

Walker popatrzył na dróżkę pnącą się na szczyt i prawie zgodził się z kierowcą: trudno było nazwać ją drogą, bardziej przypominała perć górskich kozic. - Zapłać mu - powiedziała Lu Annę.

Nie miał mniejszego banknotu niż dwadzieścia dola-rów. Z zażenowaną miną wcisnął go kierowcy do ręki. Ten odpowiedział uśmiechem.

- Niech wróci po nas wieczorem - powiedziała. Walker przekazał jej słowa szoferowi i w odpowiedzi usłyszał, że niebezpiecznie jest spędzać cały dzień w górach, bo można tu spotkać złych ludzi, którzy przyjeżdżają z miasta szosą i czynią złe rzeczy. - Będziemy daleko od drogi - zapewniła Lu Annę. W końcu udało się im wytłumaczyć kierowcy, żeby wrócił po nich przed zachodem słońca, a ten uśmiechnął się i odjechał. Walker podejrzewał, że więcej go już nie zobaczą. Lu Annę stanęła na początku ścieżki.

- Hej, chłopcze! - zawołała. - Czyżbyś nie wiedział, że idziemy do góry?

Walker wiedział - bez słowa poszedł za nią. - Następny szczyt - zaczął, gdy uszli kawałek - nigdy nie stanowił dla mnie przeszkody.

- To prawda - przyznała Lu Annę.

- Zawsze pociągał mnie ten następny, już za horyzontem, cokolwiek to było. Dlatego dałem się namówić na przyjazd tutaj.

Przerwał, rozejrzał się wokół i wciągnął nosem kilka drobin kokainy. Sporo białego proszku rozwiął wiatr. Łyknął wody z butelki. Teraz przyszła kolej na Lu Annę - wysypał na jej dłoń trochę narkotyku. - Tak - powiedziała. - Ty bez wątpienia jesteś Walker. - Nie bez powodu zwracają się do mnie po nazwisku, ono wiele o mnie mówi.

- A konkretnie? - spytała.

- No cóż - zaczął - tam jest droga, a tutaj ja.

- A co zrobić, żeby zbliżyć się do niej? - Trzeba stapać z pewnością siebie: krok za

krokiem, stopa za stopą. Zdecydowanie.

- Teraz cię poznaję, Gordon, twoja metoda jest dosko-nała. - Skrzyżowała ramiona. - Mów dalej. - Nie obejdzie się bez odrobiny wiedzy o tym, jak pokonywać trudności.

- Spodziewałam się tego. Mów o tych sposobach. - Tam i z powrotem. Raz do przodu, raz do tyłu, i tak samo do góry jak w dół. Trzeba też uważać na stopy. - I na deszczyk - dorzuciła Lu Annę.

- I na błoto, żwir i piasek, i gówno, i na mokrą i suchą padlinę. I wysokie płoty.

- Można oglądać się za siebie?

- W żadnym przypadku, nigdy wstecz. Można spo-głądać w dół, bo musisz widzieć, po czym stąpasz. - A znajdzie się tam miejsce na sztukę? - zapytała z zafrasowaną miną. - Zawsze może się przydać... - Tylko na gwizdanie, najważniejszą ze sztuk. Od-powiednio dobrane melodie we właściwych miejscach, gdziekolwiek byś doszła w ciągu popołudnia.

- Jakie smutne - powiedziała Lu Annę. Podchodzili zakosami po zboczach, - Jakie wzniosłe... - Droga nigdy nie jest wzniosła, jest przyziemna - po-wiedział Walker.

Szli już od pół godziny i cały czas po obu stronach ścieżki widzieli doliny: tę na wschodzie, pokrytą polami, i tę zalesioną, skąd rozpoczęli wspinaczkę. Zatrzymali się. Wypili resztę wody i wzięli następną działkę. Wierchołek Monte Carmel wznosił się nad nimi w odległości nie większej niż jedna czwarta mili. - Twoja droga jest moją, Walker - wyszeptowała. Popatrzył na nią; na palce kurczowo wczepione w koł-nierzyk wojskowej koszuli, którą zarzuciła na ramiona po przyjęciu, na pojaśnięcie z bólu oczy. - Zawsze byłam przeznaczona dla ciebie. - Wiem o tym. - Pomyślał, że nigdy nie udałoby im się przetrwać razem dłużej niż trzy miesiące. Przyjazdy, odjazdy, czułe rozstania, upadki - to ich łączyło. I jeszcze ptasi śpiew i gra w słowa, narkotyczne odloty i nar-kotyczny romans. - Nie byliśmy wolni. - Wolność nie istnieje, kochanie.

- Tylko ucieczka w metafizyczne rozważania - wpadł jej w słowa Walker.

- W twoim przypadku - to ja - powiedziała Lu Annę.

Roześmiali się oboje.

- Albo w religijną ekstazę - ciągnęła Lu Annę - i dlatego tu przyjechaliśmy...

- Pod bezkresne sklepienie niebios - podpowiedział Walker.

- Pod bezkresne sklepienie niebios - powtórzyła jak echo. Urwała i rozplakała się.

Uklękła w kurzu drogi i z oczami wzniesionymi w górę, w nagłym natchnieniu, zaczęła szeptać modlitwę dziewicy. Zatrwożony Walker pochylił się nad nią.

- Nie możesz mi pomóc? - spytała przez łyzy. - Potrafiłbym umrzeć dla ciebie. - Pomyślał, że to prawda, ale niezbyt przydatna. W tej samej chwili uświa-domił sobie z trwogą, że jego życiu zagraża niebez-pieczeństwo, i że, jak już wcześniej podejrzewał, przyje-chał do Meksyku na spotkanie śmierci. Serce waliło mu jak oszalałe, w skroniach łomotało.

- Nie chcę, żeby dla mnie umierano - powiedziała. Pomyślał, że ona się oszukuje. Zalana łzami wyglądała jak zrozpaczone dziecko, i nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek widział ją piękniejszą. Podczas kręce-nia filmu bardzo schudła, a jej twarz ściągnęła się, uwydatniając mocne i czyste linie, teraz rozjaśnione oczami pełnymi inteligencji, hojności i szaleństwa. Była wysłanniczką Jagganath - Boga Destrukcji. Bez tchu ukląkł obok niej i pojął, że jest szczęśliwy. Wiedział już, czemu tu przyjechał: by trwać z nią w boles-nym szczęściu.

Popatrzyła mu w twarz i pogładziła po włosach. - Biedactwo - powiedziała. - Zawsze czekałam na ciebie.

- Oto jestem.

- Za późno.

Uniosła oczy.

- A tam, w górze, pustka? Znikąd pomocy, znikąd pociechy? - zapytała.

Pomógł jej wstać.

- Kto wie, może... - powiedział.

- Może co?

Nie ruszyła się z miejsca; Walker szedł przed siebie ścieżką, z każdym krokiem bardziej stromą. - Wiesz, dlaczego byłam aktorką?

- Dlaczego?

Nagły błysk uśmiechu przemknął przez jej twarz. Nie mógł pojąć, jaka siła potrafiła przepchnąć ten uśmiech poprzez łyżę i żal.

- Zrozumiesz - powiedziała i wzięła go za rękę. Wspięła się mocnym, pewnym krokiem. Tuż pod szczytem wypuściła jego dłoń i padła na kolana. - Dalej będziemy szli w ten sposób - powiedziała. Patrzył, jak na ostatnim podejściu wyteża siły, posuwając się na kolanach, ale gdy spróbował jej pomóc, odtrąciła jego rękę.

- Tak modlą się Bretończycy - powiedziała. - Oni modlą się jak nikt inny.

Na kolanach zbliżała się do szczytu. Walker poszedł przodem. Na górze ujrzał prymitywny budynek z kamienia, z dachem pokrytym strzechą. Zawieszona nad drzwiami tabliczka grzechotała w powiewach górskiego wiatru. Podeszedł bliżej i odczytał: Seguridad Nacional. W rozrzedzonym powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach.

Ciężko oddychając stał przed budynkiem i nagle przypomniał sobie, w jakich okolicznościach widział go poprzednio i dlaczego okolica wydała mu się znajoma. Jakies dziesięć czy dwanaście lat temu przyjechał limuzyną z Guadalajara, by odwiedzić Lu Annę na planie nowej wersji filmu Travena. Ekipa zatrzymała się w Constanza Hot Springs, w żyznej dolinie po wschodniej stronie. Pracował od wielu lat na meksykańskich planach i czasami w pamięci nakładały się one na siebie, ale ten przypomniał sobie od razu, gdy patrzył na skromny budynek i tablicę. Technicy ekipy wzniesli go w ciągu jednego czy dwóch dni.

Lu Annę posuwała się na kolanach po ostrej, żółtej trawie. Długi, wolny grzmot poniósł się echem pośród gór. Olbrzymi kłęb chmur nadciągał od strony wybrzeża. - To święte miejsce - powiedziała. - Święte dla mnie. - To posterunek policji z filmu Travena. Nic więcej, zwykła lipa.

- To święte miejsce - powtórzyła. - Ziemia tu krwawi. Walker obszedł budynek. Z tyłu ziemia była błotnista i cuchnąca, pośród wałających się kaczanów stało drewniane koryto. Przez zakratowane okienko dojrzał sterty kolb kukurydzy i worki, z których przesypywało się ziarno.

Wrócił do klęczącej Lu Annę.

- Na Boga, Lu! To pieprzona komórka na kukurydzę, na świńskiej farmie.

Lu Annę, na klęczkach, pochyliła twarz do ziemi i wcisnęła czoło w kurz.

Walker roześmiał się.

- Rany! - zawołał. - Pamiętasz, jak świętowali? Przyjechał nawet gubernator. Miało tu powstać muzeum filmu. - Dumnie kroczył dokoła niej, w idiotycznie doskonalym humorze. - To miało być centrum sztuki filmowej, dla całej hemisfery. Drugie po Paryżu. O Chryste, jaki wspaniały w swej niedorzeczności pomysł! Lu Annę uniosła głowę, nabrała w dłoń pylistej ziemi i przycisnęła do piersi.

- Muzeum filmu! - krzyczał Walker. - Na szczycie wzgórza w samym centrum pustyni, otoczonej dżunglą. Zabawne, nie?

Padł na ziemię pokrytą kłującą trawą. - No i wszyscy odeszli - piał zachwycony - a tę budę zamieniono w świński chlew.

Ze śmiechu łyżę ciekły mu ciurkiem po twarzy; niemal tracąc oddech, zakrywał oczy ramieniem. Gdy kątem oka dostrzegł pierwszą błyskawicę, zrozumiał, że ostatnie chwile rozgrywały się poza jego świadomością, jakby na kilka sekund stracił przytomność lub zasnął. Uniósł głowę i ujrzał przed sobą Lu Annę, całkiem nagą. W panice cofnął się, próbując wstać. W szczelinach gór echem zakołatał kolejny grzmot.

- Co mi uczyniłeś, Walker?

Unikał jej wściekłego spojrzenia. Popatrzył w dół i ujrzał, że stopy Lu Annę są pokryte krwią. Przeniósł wzrok wyżej: całe jej strumienie spływały po łydkach, od kolan do kostek. Gdy zdobył się na odwagę i spojrzał jej w twarz, uniosła w górę przekłute dłonie, odsłaniając smugę krwi na lewym boku.

- Byłam twoją siostrą Ewą. Wciąż rodziłam się na nowo - powiedziała.

Odwróciła dłonie wewnętrzną stroną do góry, rozsunęła palce. - Spójrz. - Krew spływała po nadgarstkach, a stąd skapywała na zieloną trawę. Gdy cofnął się i przykląkł na jedno kolano, ujrzał kupkę pokrwawionych, krzemien-nych kamyków obok jej ubrania.

Chciał coś powiedzieć, ale nim zdążył otworzyć usta, tuż z nią ujrzał zygzak błyskawicy. Ziemia zatrzęsa się pod nim niczym niestabilne rusztowanie. Ujrzał, że Lu Annę się unosi, jakby lewitowała pomiędzy ziemią a burzą; z włosami w nieładzie, ciałem świecącym niezemskim blaskiem, oczami błyszczącymi ametystową poświatą.

- Wybacz mi - powiedział.

Położyła zakrwawioną dłoń na swym wężowatym w kształcie ramieniu, drugą rozmasowała krew po twarzy. - Byłam twoją siostrą Ewą, twoją aktorką. Żyłam i oddychałam tobą. Grałam i wcielałam się w przeróżne postacie, nie zważałam na to, co powie świat. W moim sekretnym życiu byłam twoją sekretną kochanką. Wsparty na kolanie Walker wyciągnął rękę, by jej dotknąć, ale znajdowała się za daleko. Błyskawica znów rozświetliła czarne niebo, pod którym ni to unosiła się, ni to stała Lu Annę.

- Nigdy cię nie zawiodłam. Inni błagali mnie, a ja nie miałam dla nich litości. Nie znalazłam jej dla moich mężczyzn ani dla moich dzieci, całą posiadałeś ty. Czy widzisz moje sekretne oczy?

- Tak - odpowiedział.

- Czyje oczy przypominają?

- Nie wiem.

- W tym świętym miejscu można mówić tylko prawdę. - Miejsce jak inne - zamruczał Walker - a ty krwawisz i marzniesz. - Wstał, zdjął wiatrówkę, by ją okryć, lecz Lu Annę pozostawiała poza zasięgiem jego rąk. - Tu nic nie ma - przekonywał ją.

- Gordon, Gordon, twoja droga jest moja. Moja jest ziemia, na której stoisz. Chciałam, żebyś przybył ze mną tu właśnie.

- Tu nic nie ma - powtórzył. Rozejrzał się i zatrzymał wzrok na kamienistym, nagim szczycie. - Tu - wskazał ręką wokół - nigdy nic nie było.

- Boisz się, Gordon? Zapytaj mnie, co ja wiem o strachu. To ja wdychałam go z cementaryzyska. To ze mną są Przyjaciele, odkąd skończyłam szesnaście lat, i nie mam żadnego wyboru - muszę tańczyć, jak mi zagrają. Stworzyłeś mnie, a ja zamieszkałam tutaj. Znam każdy kamień, każdy cierni, każdy pniak na tej pradawnej górze. Choćbym znalazła się gdziekolwiek indziej, i tak obydwójce zawsze będziemy tutaj. Rozumiesz? - Nie - odrzekł.

- Nie bój się, Gordon, spójrz na mnie. Czyje widzisz oczy?

Patrzył na nią w milczeniu, w rękach trzymał wiatrówkę.

- Przecież nie jesteś ślepy, Gordon! - nalegała.

- Moje własne - powiedział wreszcie.

- To są twoje oczy. Jestem twoją aktorką, to prawda. Marionetką i lustrem. Czy widzisz, jak poruszam się i błyszczę zawieszona na sznurkach? Na końcu twojej drogi? Panie jakci-tam Walker? Widzisz to? - Tak, widzę.

- Ach tak? To jest właśnie miłość, człowieku.

- Tak, miłość - odrzekł.

Przyłożyła dłoń do ucha.

- Mówisz, że jest?

- Powiedziałem, że jest.

- I masz cholerną rację, kochanie.

Walker pomyślał, że żadnemu z nich to uczucie nie wyszło na dobre. - Dlaczego wybrałaś akurat mnie?

- Dlaczego? - Popatrzyła na niego zamyślona. - Och, nic takiego. - Wzruszyła ramionami.

- Pewnego dnia, wiele lat temu, powiedziałeś coś wspaniałego, i gdy to mówiłeś,

wyglądałeś wspaniale. Przynajmniej myślę, że tak do tego doszło.

- Ale nie pamiętasz tej kwestii?

- Och, znasz mnie, Gordon. Nie słucham wypowiedzi, obserwuję gesty i czekam na przesłanie. W każdym razie - palcem poprowadziła w powietrzu linię pomiędzy swoimi a jego oczami - zaczęło się od nich. W moich stronach mówią, że jak zastrzelisz jelenia, ujrzysz odbicie kochanki w jego oczach. Mówią, że tak samo jest z niedźwiedziem. Czy nie ma w tym odrobiny prawdy? Polowanie i olśnienie - blask oczu i już znalazłeś się w pułapce. Tak było ze mną, tak pozostanie. - Gdy bykowi brak łani - powiedział Walker - niech poszuka sobie Rozalindy.

Uśmiechnęła się nieobecny grymasem. Błyskawice rozświetlały niebo już dalej.

- Jak dobrze nam tu, na naszej górze - powiedziała. - Poezja i muzyka. - Zamknęła oczy i zasłoniła twarz zakrwawionymi dłońmi, znów grając. - Każdy odczuwa tęsknotę, Rozalinda także.

Walker wziął głęboki oddech.

- Ale nam nigdy się nie udało.

- Sprawy nie udają się, Gordon. Po prostu są.

Walker popatrzył na swoją przyjaciółkę. - Cała jesteś światłem - powiedział. - Jak błyski fajerwerków.

- O tak - powiedziała wesoło. - Nie wiedziałeś o tym, naprawdę? - Potrząsnęła zdumiona głową. - Jaki jesteś zabawny...

- Nigdy cię takiej nie widziałem.

- To góra, na której możesz widzieć rzeczy, jakich nigdy nie dostrzegałeś. Tutaj światło dzieli się na osiemdziesiąt dwa tysiące widm, Gordon. Dotąd byłem twoim lustrem, teraz ty nim będziesz dla mnie, ja stanę się czymś więcej. - Więcej i lustro - powiedział Walker. - Co przez to rozumiesz?

- Gordon, Gordon - była zachwycona. - Przecież ty tym żyjesz - więcej i lustro.

- Czyż to nie pragnienia wywołane kokainową wizją? - Nie, moja miłości, moje życie. To koniec drogi, po drugiej stronie lustro. Bo jest tylko jedna miłość - moja, niezmiennie ta sama.

- Mnie się nie uda - powiedział. - Nie utrzymam jej. Oparła łokieć na przedramieniu drugiej ręki, poruszała palcami o długich jak u pantery paznokciach, rozstawionymi w tajemnym geście, jakby tkęła nimi jakiś wzór. - Wszystko zostało wybaczone, nie lękaj się, Gordon.

Jestem twoją panną młodą, miłość jest tylko jedna. - Słyszałem rozwiniętą wersję tej opinii - powiedział Walker.

- Wątpisz? Mówię prawdę: jest tylko jedna miłość i wszyscy wpadamy w jej sidła.

- Chyba masz rację - powiedział.

- Nareszcie! - krzyknęła. - Wspaniale! - Zrobiła krok w jego stronę; widział ją jakby nadal zawieszoną na tle nieba i burzy. - A więc możesz pójść ze mną? - Rozumując tak jak ty, rzeczywiście mogę - odrzekł. Jej przepastne ramiona zagarnęły go. Ze zdecydowaną miną namacała w jego kieszeni pakietek z kokainą i pudełko z Quaalude, i rzuciła je przez ramię w krzaki.

- Odstaw swoje zabawki. Nie potrzebujemy ich teraz, gdy się kochamy. Zakochani, sami będziemy dla siebie zabawkami, naszymi własnymi kucykami. Popatrzył w miejsce, gdzie

upadł narkotyk.

- I zdejmemy ubrania, nie są nam potrzebne. Walker zrzucił wiatrówkę. Gdy rozpinając mu koszulę, zaczęło padać; zatrząśnięty zimną. Patrzył, jak rozpinając mu pasek spodni, plamiąc je krwią.

- Wiem, że jest jakiś powód, dla którego mamy się rozebrać, ale nie pamiętam jaki. Spojrzała na niego z tą samą chytrą miną, którą przez moment widział na jej twarzy podczas wspinaczki na szczyt.

- Gordon - westchnęła - nudzisz jak stary belfer. Patrzył, jak krew kapie z jej ręki na jego ubranie. Nie do wiary - pomyślał - skąd jej się tyle bierze? - Pada - rzucił w deszcz.

- Pomodlimy się, a potem pójdziemy spać - oświadczyła.

Uniósł wzrok w górę i zobaczył czarne, rozwirowane niebo. - O nie! - krzyknął. - Nic z tego!

Gdy zaczął biec, spodnie opadły mu do kostek. Skopał je z nóg, schylił się, i trzymając za nogawkę, ciągnął za sobą. Lu Annę stała bez ruchu i patrzyła za nim ze smutkiem.

Podbiegł do miejsca, w którym zostawiła swoje zalane krwią ubranie, i zebrał je. Drzwi budynku wyglądały na masywne, ale jedno skrzydło zostało mu w ręce, gdy szarpnął za klamkę. Za nimi, jakieś cztery stopy dalej, właściciele ziarna zamon-towali solidniejsze, zamknięte teraz na przyrdzewiałą kłódkę. Walker skulił się w klatce tworzonej przez te dwie pary drzwi.

Lu Annę otrząsnęła włosy, zlewane obfitym, tropikalnym deszczem. Woda zmyła krew z jej ran i oczyściła trawę dookoła.

- Lu Annę! - zawołał. - Chodź do środka! Przestała wykręcać włosy i popatrzyła na niego, bez-trosko roześmiana. - To ty wyjdź do mnie.

Podniósł wiatrówkę i ruszył w jej stronę. Miał na sobie tylko buty, skarpetki i poplamione krwią szorty. - Na Boga, chodźże wreszcie, Lu!

Z zakrwawioną wiatrówką w rękach wyglądał jak matador skradający się do byka. Gdy się zbliżył, podniosła kamień i trzymała go w ręce, groźnie uniesiony. - Lepiej trzymaj się ode mnie z daleka, Walker. - Jesteś kompletną wariatką, najprawdziwszą. Całkiem straciłaś rozum.

Rzuciła w niego kamieniem, i to nie znał głowy, ale zaskakująco - z wielką siłą z biodra, omal nie trafiając go w twarz.

- Pieprzę cię - powiedział.

Odwrocił się plecami, ale wnet stanął do niej przodem i tyłem wycofywał się pod dach, wiatrówką osłaniając twarz. Gdy był już bezpieczny, poszperał w torebce Lu Annę i odnalazł whisky.

- Mam szczęście - szepnął. Pociągnął dwa długie łyki i pokazał butelkę Lu Annę.

- Popatrz - zawołał. - Przyjdiesz tu i napijesz się, czy będziesz tam stać spływając świętą, katolicką krwią?

Patrzył, jak zbliża się do jego kryjówki, zgrabnie omijając ostre kamienie.

- Napiję się tylko troszkę, odrobinę - powiedziała.

Walker obawiał się następnego ataku. - Nie rzucisz już we mnie kamieniem, prawda? - upewniał się.

- Nie wygłupiaj się.

- Przed chwilą niewiele brakowało, a zmiażdżyłabyś mi pół twarzy.

- To był tylko odruch, Gordon. Przeraziłam się ciebie. - Strach w obliczu śmierci? - zdziwił się Walker. - Lęk przed niebytem?

- Zostałeś naznaczony krwią. Nigdy już tam nie wrócisz. - Sięgnęła po butelkę, którą tuliła do piersi. - Zdaje się, że proponowałeś mi drinka?

Walker przyglądał się, jak pije i jak obniża się poziom alkoholu w butelce. - Co tam miało się stać? - zapytał.

- Myślę, że mieliśmy umrzeć. I co w tym złego? - Lepiej żyć niż umierać. Przynajmniej z moralnego punktu widzenia, nie sądzisz?

- Myślę, że otrzymaliśmy przyzwolenie. Kto wie, może ostatni raz.

Walker wziął od niej butelkę i napił się.

- Nasza era zacznie się w tym miejscu - powiedział.

- Będziemy liczyć czas od tej góry.

- Kto, Gordon, ty i ja?

- No pewnie. Chrzczyny! Odnowa! Narodziny na nowo! Lu Annę, poprzez zasłonę deszczu wskazała ręką na drogę, którą się wspięli.

- Stąd może być tylko w dół, Gordon. - Chryste, wyrzuciłaś moją kokę! Było tego co najmniej sześć gramów.

- Brak prochów trochę psuje te chrzczyny, odnowę i powtórne narodziny, nieprawdaż?

- Powinniśmy wziąć trochę właśnie teraz - powiedział rozdrażniony. - Przecież chyba mamy co celebrować! - Pieprzyć! - zawołała Lu Annę. - Żyć! Wdychać, wydychać. Tik-tak! Raz, dwa, trzy. Zjeżdżaj w to gówno, bracie, jest całe twoje. Możesz wziąć moją część. Walker podniósł pokrwawione ubranie Lu Annę i przy-cisnął do jej ran. Deszcz wzmógł się, uderzenia spadają-cych kropli stukały miarowo o słomiany dach nad ich głowami.

- A co z twoimi dziećmi? - zapytał.

Lu Annę patrzyła w deszcz. Zagryzła wargi i potarła oczy. - Do diabła, Gordon! A co z twoimi?

- Ja zapytałem pierwszy. I opowiedziałem ci o moich. - Moje nigdy nie widziały mnie, gdy byłam szalona, i nigdy nie zobaczą. Zapamiętają mnie jako kogoś nie-zwykle pięknego i tajemniczego. Będą kochać mnie zawsze, miłością taką, jaką nam przed chwilą prawie udało się osiągnąć.

Walker ziewnął.

- Pograżeni w głębokim śnie - mruknął. Rozprostował wiatrówkę i spodnie, które miały po-służyć im za przykrycie.

- Tak - westchnęła Lu Annę. - Tak, o tak.

Ułożyli się na słomie zmieszanej z błotem.

- Coś po nas pełza - powiedział sennym głosem.

- To kokainowe karaluchy.

Przez jakiś czas spali, przewracając się z boku na bok, mówiąc przez sen. Walker obudził się obolały i cały zlany potem. Kopniakiem odsunął na bok atrapę drzwi. Prze-jaśniało. Usiadł i patrzył na pożółkłą trawę i polne kwiaty, przystrojone w błyszczące, koronkowe diademy połyskujących kropli. Chubasco oddalało się. Ściana szaroczarnych chmur wycofywała się na wschód, ku dolinie, rzucając cień na szerokie pasy pól. Sąsiednie wzgórze znalazło się na granicy światła i ciemności, jego skalisty szczyt zdobił jasny łuk tęczy.

Walker popatrzył na swe nagie ciało. Ramiona, tors i nogi pokrywały smugi krwi Lu Annę; jego szorty ozda-biały krwawe wzory.

- Słodki Jezu! - westchnął. Nigdzie nie było wody. Gdy usłyszał jęk, wszedł do środka i pomógł jej się podnieść. Była okryta szmatami, jak jej włosy przesiąk-niętymi krwią, mimo że stygmaty okazały się całkiem powierzchownymi ranami. Wyglądała jak dziecko, które z przesadnym zapałem bawiło się czerwoną farbą. Stała w drzwiach, osłaniając oczy przedramieniem.

- Jak twój hiszpański? - zapytał Walker. - Nie umiem mówić po hiszpańsku, myślałam, że ty potrafisz. A zresztą, jakie to ma znaczenie? - Prędzej czy później będziemy musieli wytłumaczyć, co tu robiliśmy, i będzie to naprawdę trudne. - Trudne w każdym języku - powiedziała Lu Annę.

- i prawie niemożliwe.

- Myślisz, że w takim stanie mógłbym spróbować zatrzymać jakiś samochód?

- Wprawdzie nie wyglądasz na rannego, ale jesteś cały we krwi. Tylko ktoś zupełnie nie obawiający się kłopotów zatrzymałby się. Na przykład -ja.

- Lepiej napijmy się - zaproponował.

- O kraju mój! - westchnęła Lu Annę. - Popatrz na tęczę, Gordon! - Walker podał jej whisky. - Musiałaś wyrzucić kokainę? Teraz nie będę mógł normalnie funkcjonować.

- Jest gdzieś tam - powiedziała, machając ręką w stronę krzaków. - Pewnie mógłbyś ją odnaleźć. - O cholera, przecież rozpuszcza się w wodzie! - Nigdy jeszcze z tak bliska nie widziałam tęczy - powiedziała Lu Annę. - Ależ cudownie!

- Wiesz, co to jest? - zapytał Walker. - Założę się, że znak od Boga. - Wrócił pod dach, gdzie leżeli, i przejrzał zakrwawione ubrania. - Bóg daje nam znać, że nas skreślił. Lu Annę patrzyła na blednącą tęczę i rozplakała się.

- Co znowu? - zapytał Walker. - Kolejne znaki i cuda? - Uniósł spodnie i oglądał uważnie. - Założę je - powiedział. - Lepsze takie niż żadne.

- Gordon... - odezwała się Lu Annę.

Odłożył spodnie i wyprostował się.

- Tak, kochanie?

Podeszła bliżej, objęła go ramionami i oparła mu twarz na ramieniu.

- Wiem, że to wszystko ma jakieś znaczenie, za bardzo boli.

Walker pogłaskał jej posklejane włosy. - To nieprawda, w tym, co się tu dzieje, nie można się doszukać krzty logiki.

- Myślę, Gordon, że istnieje coś takiego jak miłosierdzie. Musi być!

- Cóż, może masz rację, - Odsunął się i ubierał dalej.

- Kto wie?

- Nie próbuj mnie pocieszać. Powiedz szczerze, wierzysz w to?

- A jak ci się nie spodoba moja odpowiedź, dostanę kamieniem w łeb?

Wznosiła się na palce i opadała na pięty.

- Proszę, powiedz, Gordon.

- Miłosierdzie? Chyba w dupie świni. - O rany! - Lu Annę podeszła do kamienia, o który stała oparta whisky, i napiła się. Nagle zamarła z butelką przy ustach, wpatrzona w dal.

- Mówiłeś o dupie świni? - zapytała. - Właśnie jedną widzę, o, teraz nawet kilka!

Walker stanął obok niej. Na zboczu olbrzymie, pół-dzkie świnię z groźnie wyglądającymi kłami zbite w gromadę pod wielkim dębem ryły w ziemi w poszukiwaniu żołądź. Wielki jak beczka wieprz popatrzył na nich przez chwilę i powrócił do swego zajęcia.

- Czy to nie dziwne, Gordon? Właśnie powiedziałeś coś o dupie świni i niemal w tym samym momencie zobaczyłam te stare bestie. Czy to tylko przypadek? Walker przyniósł z domku wypłowiałą, wojskową ko-szulę i spróbował okryć nią Lu Annę.

- To cud - powiedział. - Gadareńskie wieprze! Zaczęła schodzić w dół, z jej oczu wyzierało przygnębienie. Walker ruszył za nią. Potknęła się, upadła i wstała. Przyśpieszył, wymachując koszulą. Zatrzymała się i pozwoliła, by ją dogonił. Gdy znowu chciał ją okryć, z zaciśniętymi pięściami odwróciła się w jego stronę.

- Jak myślisz, kogo wdychałam tam, na cmentarzu, czyje kości leżały w grobowcu? - wrzeszczała. Walker zatrzymał się i obserwował ją bacznie, przygotowany na zrobienie uniku.

- Chyba nie sądzisz, że ten facet, to cmentarne, śmierdzące truchło z gównianymi oczami, odkryło, kim jestem? Odpowiedz mi! - krzyczała. - Odpowiedz mi! Odpowiedz mi, Walker, do jasnej cholery!

Patrzył na nią w milczeniu, nie mogąc oderwać wzroku. Odrzuciła głowę do tyłu, zawyła i wymachiwała w powietrzu pięściami.

- A ty będziesz mi gadał o gadareńskich wieprzach!
- Na miłość boską, Lu!
- A jak myślisz, kto był spętany łańcuchami? I skąd się te u mnie wzięły? - Wskazała rękami wokół siebie na rzeczy dla niego niewidzialne. - Nie dręcz mnie! Nie dręcz mnie, Walker!
- Przestań - powiedział. - Żartowałem. Wyszczrzyła zęby. Gordon uciekł ze spojrzeniem w bok. Odwróciła się do niego plecami i poszła za dom, gdzie w głębokim błocie stała wysoka sterta wyłuskanych strąków.
- Jezu, Synu Wszchemogącego! - krzyczała. - Za-klinam cię na Boga, byś mnie nie dręczył. - Amen - powiedział Walker.
Złożyła dłonie jak do modlitwy i patrzyła na niknące w oddali wstęgi tęczy.
- Zaklinam cię, Synu Najwyższego Boga. Zaklinam cię, nie dręcz mnie! - Wetknęła dłonie w stertę plew, ukryła w niej twarz. Po chwili podniosła się i podeszła do Walkera. Zauważył, że się nieco uspokoiła i przestał obawiać się ataku z jej strony.
- Jesteś dzieckiem Boga, Walker - powiedziała. - Tak jak i ja.
- Oczywiście. , - To musi być prawdą!
- Tak, to prawda.
- Ale przecież ty nie potrafisz uwolnić kobiety od nieczystego ducha, bracie. Dotknęła jego warg koniuszkami palców, potem położyła mu dłoń na ramieniu i popatrzyła w niebo. - O Chry-ste, to okropne! To straszne, że opętują nas duchy i nie potrafimy się od nich wyzwolić.
- Masz rację.
- Nikt nie może go ze mnie wyprowadzić. Człowieku, jak ja się modliłam, jak czekałam! A przecież pomagano mi, Walker.
- Tak, wiem.
- Jeżeli mi nie wierzysz, zapytaj mnie o imię.
- Jak masz na imię, Lu Annę?
- Mam na imię Legion - powiedziała. - Bo jest nas wielu...
Przez chwilę pozwalała, by trzymał ją w objęciach.
- Czy już dobrze? - zapytał.
- Dobrze nie jest, ale najgorsze minęło. Zachwycił go rozsądek jej odpowiedzi. Podeszedł do butelki i pociągnął łyk whisky. Gdy wrócił, Lu Annę leżała na stercie strąków.
- Wygląda, że ci wygodnie - powiedział.
- O tak, bardzo.
Wyciągnął się obok niej i pozwalał, by ciepłe promienie słońca ogrzewały jego ciało. - Ale prymitywnie!
- Prymitywnie? No i dobrze. - Lu Annę roześmiała się i pokręciła głową. - Nie leżałaś nigdy na takim łożu, prawda? Ależ miejski z ciebie chłopak. Siedziała na stercie i, jakby wiosłując, rozsuwała strąki, aż dokopała się do przykrytego nimi nawozu. Teraz, naga, tkwiła w błocie i świńskim gównie, poruszającym przez maleńkie, białawe stworzenia, które ulatywały do światła.
- Nareszcie w domu - westchnęła. - Koniec tęczy, to świńskie gówno. Nie wiedziałeś, że tu jest? - Jesteś cała pokaleczona, nabawisz się infekcji. - Był zdumiony wizją, roztaczaną przed nim przez Lu Annę. - Oto sytuacja przepojona mistycyzmem: my w gównie, oczekujący na Wezwanie. Daj się napić, człowieku. Gdy pochylił się, by podać jej butelkę, pociągnęła go do siebie, na stertę.
- Wiedziałem, że to zrobisz - powiedział. - Myślałem... - Przestań się wymądrzać. Zamknij się i zagłęb się w swojej własności. Zasłużyłeś sobie na to. - Może zadziała jak skrzynka orgonowa- zasugerował. - Walker, kiedy wreszcie przerwiesz ten monotony strumień spekulacji? Czy tylko śmierć może zamknąć twoje plotące trzy po trzy usta?

- Przepraszam.
- Wielkie nieba! Pokaż temu facetowi kupę gówna, a on ci zaraz powie o zachodzących w niej zjawiskach. - Nabrała w garść błota, wymieszała ze świńskimi odchodami i rzuciła mu w twarz. - Masz, kochanie. To twój organ, masz swój organizm w czystej postaci. Patrzyła, jak Walker usiłuje wytrzeć nawóz z oczu. - Czy to nie było terapeutyczne? - zapytała. - A teraz kolej na błogosławieństwo. - Sięgnęła ręką i nawozem namalowała na jego czole krzyż. - W imię świńskiego gówna, i gówna, i gówna. Amen. Teraz zastanówmy się, w tej świętej godzinie, nad przemijaniem i pomyślmy o wszystkich naszych złych uczynkach. Niech Brat Walker da nam choćby maleńką próbkę nie kończącego się potoku słów, które w nim drzemią, i powie, jak nam idzie.
- Nie za dobrze - powiedział Walker.
- Ależ nie masz racji. Wreszcie płyniemy z prądem.
- Też się nad tym zastanawiałem.
- No więc już wiesz.
- Myślę, że wszystko byłoby lepsze od bezwolności. Wiara w niemożliwe, stawianie oporu, na pewno jest lepsze od poruszania się z prądem.
- Powiem ci, co możemy zrobić, jak już dobrnęliśmy do tego punktu. Możemy powalczyć świńskim łajnem. Jak ci się podoba moja propozycja?
- Niezła.

Przez chwilę okładali się garściami gnoju, z czasem ich entuzjazm słabł.

- Taką samą scenę z obrzucaniem się świńskim na-wozem wycięli z filmu "Porcky". Powinniśmy umieścić ją w "Przebudzeniu".
- Po krwawej kąpieli kolej na gówno - powiedziała Lu Annę. Popatrzyła na swe nagie piersi i pogładziła je dłońmi. - I na mleko. Ale nie mam go i nigdy nie będę miała. - Trzymała obie piersi ubabranymi dłońmi, palcami ścisnęła sutki. - Powinnam je mieć na całym ciele - powie-działa. - Osiem, jak suka. - Położyła się na plecach, opierając głowę i ramiona o plewy. - Chciałabym, żeby po zmieszaniu z tym gównem użyto mnie do użytkowania ziemi. Jako nawóz na pewno będę lepsza, niż kiedykolwiek byłam jako aktorka. - Usiadła i popatrzyła na Walkera z chłodną ciekawością. - No i co, Gordon? Co z tego pojąłeś? Czynił wysiłki, by wziąć się w garść.
- Jestem trochę zmęczony.

Zabaczył, że omija go spojrzeniem i patrzy w stronę ścieżki. Gdy odwrócił głowę, ujrzał dwóch Meksykan w zielonych mundurach turystycznej policji. Jeden trzy-mał strzelbę skierowaną w ich kierunku - nie żeby od razu w nich celował - miał ją w pogotowiu. Na twarzach przybyłych malował się wyraz głębokiego smutku. - Czołem, witajcie! - zawołała Lu Annę. kręcące się u podnóża schodów brązowo-skóre dzieci, przyglądały im się z ciekawością. Przeszli obok nich jak niewidomi, z nieruchomym, utkwionym przed siebie wzrokiem. Z kuchni dobiegł kobiecy głos i maluchy rozbiegły się, znikając im z pola widzenia. Po chwili w drzwiach ukazała się Meksykanka, aby zainkasować zapłatę. Jak inni mieszkańcy doliny miała śniadą, okrągłą twarz o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych i śmiałe, inteligentne oczy. Jej męża nigdzie nie widzieli - musiał skryć się gdzieś w kuchni. Na widok pięćdziesięciu dolarów, które podawał jej Walker, uniesieniem podbródka okazała niezadowolenie. - Mało - usłyszał. Bez słowa podał jej następne trzydzieści. Pomyślał, że dobrze jest znaleźć się tam, gdzie ludzie wiedzą, czego im trzeba. Kobieta wzięła pieniądze i nie patrząc na nich więcej, odeszła. Strumień promieni popołudniowego słońca wpa-dał przez otwarte drzwi i Walker odniósł wrażenie, że światło z uwagą omija cień rzucany przez Lu Annę. Na zewnątrz czekało dwóch funkcjonariuszy z turys-tycznej policji, a mężczyzna, który zawiózł ich do Monte Carmel, przeżył się obok swego auta, jakby na komendę "bacność!". Walker i Lu Annę wsiedli do taksówki, a policjanci do swego samochodu.

- Ile jej dałeś? - zapytała Lu Annę.
- Osiemdziesiąt.

Nie przepłacili. W posada mogli wziąć prysznic, dzieci przyniosły kupione dla nich ubrania. Straż turystyczna i policjant stanowy w mieście wyciągnęli od nich łącznie czterysta dolarów.

- Na szczęście pieniądze są wodoodporne - zauważył Walker.

Obydwoje byli boso. Walker miał na sobie meksykańskie dzinsy, których nie mógł dopiąć, i hawajską koszulę w czerwone palmy, ozdobioną napisem: "MAZATLAN". Lu Annę włożyła białą bluzkę ze sztucznego jedwabiu i szeroką, perkalową spódniczkę, o numer za małą. Na lotnisku młody Benson nerwowo przechadzał się koło samolotu, popijając z puszki colę. Na ich widok wykrzywił usta w uśmiechu i pomachał im ręką. Gdy wysiedli, taksówkarz natychmiast odjechał w stronę miasta, ale policyjny samochód, jak honorowa asysta, pozostał na miejscu.

Kilkoro nastolatków i młodszych dzieci wybiegło z ukrycia, by im się przyjrzeć. Gdy startowali, kozy, pasące się tuż obok, rozbiegły się w popłochu. Dopiero gdy na dobre wzbili się w powietrze, policyjny wóz odjechał.

Po kilku minutach lotu ujrzeli pod sobą błyszczącą taflę oceanu. Młody Benson zdjął z uszu słuchawki i odwrócił się do nich. Miał zakłopotaną, poważną minę. - Nie zadawaj pytań, synu. Leć! - uprzedził jego słowa Walker.

Jeden z kierowców Bensona zawiózł ich do Bahia Honda. Gdy przejeżdżali obok China Beach, leżącej tuż u wylotu zatoki, Lu Annę oświadczyła, że chce wysiąść i przejść się trochę.

- Jestem wykończony - protestował Walker - nie wierzę, że z tobą jest inaczej.
- Czuję się doskonale. Zawsze tu przychodzę w porze odpływu. Poprowadzę cię nad samą wodą, tak jest najbliżej.

Kierowca zatrzymał wóz i podeszli do skraju urwiska. - Zobacz, jak tu płytko - powiedziała Lu Annę. - Zajdziemy do mojego bungalowu, nim zapadnie mrok. Walker popatrzył jej w oczy. Dla niego było oczywiste, że jest kompletnie wyczerpana, i tylko zmęcznie trzyma w ryzach drzemiące w niej demony. Beztroska, z jaką przekonywała go do przydługiego spaceru, mogła okazać się złudna.

A jednak - pomyślał - nie mogą się przecież zjawić pod bramą hotelu w pełnym blasku dnia. To by dopiero była historia! Przejdą się spacerkiem, podziwiając kolory zachodu, popluskają się w przybrzeżnych falach, a potem położą ją do łóżka.

- Dobrze - zgodził się. - Czemu nie?

Pomógł jej zejść stromą, ciernistą ścieżką, prowadzącą od autostrady na plażę, i już po chwili brnęli przez piasek nad samą wodę.

China Beach różniła się od pozostałych nad zatoką tym, że tutaj niczym nie powstrzymywany Pacyfik uderzał w brzeg z całą siłą; tego popołudnia wiał gwałtowny, zachodni wiatr, ten łagodniejszy towarzysz sztormu, i pchał przed sobą olbrzymie fale, by rozbić je o czarny piasek.

- Ależ Gordon, w tych seksownych spodniach i wystrzałowej koszuli, wyglądasz jak rodem z miasta grzechu! Niech się dzieje co chce, jesteś moim jedynym, prawdziwym przyjacielem.

- Masz rację.
- Podoba ci się ten czarny piasek?
- O tak - odrzekł.

Szli tuż przy linii fal, poza zasięgiem wgrzyzającej się w piasek i zaraz cofającej się wody.

- Wystarczająco czarny - powiedziała Lu Annę. - Ba-zaltowy. Obsydianowy.
- Myślę, że zabawa się już kończy - powiedział Walker.
- Sama nie wiem, Gordon. Nie brzmi to zachęcająco.

- Czeka nas zachód słońca, uporamy się z nim? - Jeżeli wystarczy nam pieniędzy... - odrzekła Lu Annę.

- Jak będzie trzeba wybulić więcej niż dwie setki, nie damy rady.

- Wysupłamy ostatnie centy, inaczej ta cholera po prostu tu zostanie.

- Nie miałbym nic przeciwko temu - stwierdził Walker.

- Nie sądzisz, że byłoby cudownie, gdyby słońce tylko...? Położyła dłoń na jego piersi, by mu przerwać. Za-trzymali się nad samą wodą.

- Już nie będziemy mogli bez siebie żyć - powiedziała.

Skinął potakująco głową.

- Ale też nigdy nie będziemy razem.

- To prawda.

Zaczął iść dalej, ale ona nie ruszała się z miejsca.

- Jestem bardzo zmęczona, odpocznijmy. Leżeli obok siebie na suchym, czarnym piasku, coraz chłodniejszym, w miarę jak obniżała się tarcza słońca. - Lu Annę, chciałem o coś zapytać - o twoje kategorie.

- Masz na myśli mój system złudzeń?

- Oczywiście. Nie brakuje ci intuicji...

- Ach, ta moja słynna intuicja...

- A więc, o co chodziło z tym bożkiem kości? Odruchowo zasłoniła dłonią usta, ale już po chwili z jej gardła wydobył się dziwnie brzmiący, jakby nie jej, rechot. - Bożek kości, to takie niewielkie, afrykańskie bóstwo kłykci.

- Powiniennem się był tego domyślić, gdy ten skurywsyn mnie trzasnął.

- Biedak - powiedziała. - Myśli, że jest istotą ludzką, a najwyraźniej nią nie jest.

- To przecież jeden z nas - zauważył Walker. - O nie, kochanie - zaprzeczyła. - On jest jednym z takich jak ja.

Słońce zapadło w ocean. Niebo i morze przybrały nedorzecznie cudowne barwy.

- Popatrz, zaszło za darmo - powiedział Walker.

Przesypywała piasek przez palce.

- Wciąż mam na sobie mleko, krew i gówno. - Zapomniałem o tym. Potrzeba ci czegoś do dezyn-fekcji, a przynajmniej powinnaś wziąć zastrzyk prze-ciwteżcowy.

Wstał i wyciągnął do niej dłoń. Ujęła ją, podniosła się z piasku i odpięła zatrzaskę spódniczki, a ta natychmiast z niej opadła, i ukazały się męskie, bokserskie spodenki. - Czuję się brudna, Gordon. Chcę się zanurzyć w oceanie.

- Daj spokój, Lu - powiedział nerwowo. - Nie chcę, żebyś wchodziła do wody.

- Spójrz tam, Gordon, widać już hotelowe światła. Wskazała ręką poza ciemniejszy cypel Bahía Honda, na szeroką zatokę, nad którą, na prywatnej części pół-wyspu, wznosił się ich hotel. Wzdłuż ścieżek migotały światełka pochodni, stąd mikroskopijnej wielkości. Gdy znów popatrzył na nią, była bez bluzki i właśnie ścigała niekształtne, bokserskie szorty.

- Przykro mi, Lu Annę, ale nie chcę, byś wchodziła do wody. Jak to zrobisz, będę musiał pójść za tobą, a strasznie nie mam na to ochoty. Jestem wykończony, dziecko. - To moje urodziny - nalegała.

- Nieprawda, wcale nie.

Z wdziękiem zrobiła trzy kroki w tył i tańcząc umykała przed nim. Z rozłożonymi ramionami, jakby grali w ko-szykówkę, a on miał ją kryć, ruszył w jej stronę. - Przestań, Lu!

Zrobiła unik w lewo i dalej wycofywała się tanecznym krokiem. Jakie piękne ma ruchy - pomyślał. Była w for-mie, on najwyraźniej nie. Zmyliła go znowu i ostatecznie wymknęła mu się. Wypadł z gry.

- Jak tam jest na świecie, Walker?

- Przestań!

Uśmiechnięta pokręciła głową. Obróciła się na palcach, a później przechylała w lewo i w prawo, jakby zastanawiała się, z której strony ominąć przeszkodę. Cofnął się w stronę oceanu - powoli docierało do niego, że to nie żarty - i od razu zorientował się, że popełnił błąd, bo ona była szybsza. - Przestań! - zawołał.

- Podaj moją szatę - powiedziała. - Włóż mi koronę.

To Szekspir, Walker.

Przykucnęła i, z rękami na udach, cofała się. - Nieśmiertelne tęsknoty - powiedziała. - Oto nadchodzi twój pies, Tray. Gordon, popatrz tylko. Jeżeli wejdzie do morza, woda zwolni jej ruchy - pomyślał. Tam ją dopadnę.

- Ożenisz się ze mną, Walker? Widzę kościół.

- Błagam cię!

Klasnęła w dłonie, zamrugowała oczami i zrobiła krok w tył, następnie zwód w lewo, potem w prawo. - Daj mi wreszcie odpowiedź - śpiewała. - Z miłości do ciebie jestem na wpół szalona.

Z okrzykiem rzucił się w jej stronę. Odskokczyła i po-czuł w ramionach tylko bezcielesne powietrze. Obrócił się natychmiast w jej stronę i spostrzegł, że Lu Annę jest już po biodra w wodzie i cofa się w morze. W lewym boku poczuł eksplozję bólu. Z otwartymi ustami zatrzymał się i z trudem łapał oddech. Już nie widział twarzy Lu Annę, tylko jej ciemną sylwetkę na tle matowiejącego nieba.

- To ostatnia z ról - powiedziała ze śmiechem. Z przyciśniętą do piersi dłonią, potykając się szedł w jej stronę.

- Chodź ze mną, Gordon, to najlepsze wyjście. - Już idę - powiedział, by ją oszukać. Gdy wchodził do wody, znikająca przykrywana grzbietem fali. Przy brzegu było płytko, ale dno opadało gwałtownie. Usiłował odegnać ból. Brnąc przez wodę, krok po kroku posuwał się ku niej. Każdy ruch przynosił cierpienie, każda fala groziła utratą równowagi.

- To rozkosz - usłyszał jej słowa.

Stała na ławicy piasku, z mokrymi włosami opadającymi na ramiona. W blasku ginącego światła spowijała ją aura spłowiełej tęczy. j - Chodź! - wołała - albo mnie zbaw.

Walker stracił dno pod nogami i zaczął płynąć. Widział ją przed sobą, jakieś dwadzieścia stóp na lewo. Wysoka fala za jej plecami spiętrzyła się i zmyła ją z piasku, a sekundę później runęła na niego swym czołem; usiłował zanurkować i uderzył w dno. Znalazł się w wodzie głębokiej na dwie stopy, tam, gdzie Lu Annę jeszcze przed chwilą stała. Następna fala uderzyła w niego, ściągnęła z płycizny na głębszą wodę i na krótką chwilę pociągnęła w głąb. Wyplął, w panice wypływając słoną, morską wodę. Przez moment nie mógł złapać oddechu, ale w tej samej chwili ból zmalował i mógł płynąć dalej. Wydawało mu się, że słyszy jej głos niesiony przez wiatr, ale silny prąd porwał go, Walker, przerażony, stracił orientację.

W ciemnościach ledwo rozróżniał zarys plaży, która jakby oddalała się z każdym jego spojrzeniem. W końcu popłynął równolegle do brzegu i wreszcie - wydawało mu się, że trwało to całe wieki - fale wyniosły go na ląd. Gramoląc się na piasek, stanął na jej spódnicy. Zdziwiło go to, bo sądził, że przepłynął wiele mil wzdłuż wybrzeża. Gdy odkrył, że przycisnęła spódnicę kamieniami, w sercu zaświtała mu nadzieja. Nabral pewności, że ona wróci, i że wystarczy, jak na nią poczeka. To następny z jej wybryków - pomyślał -jeszcze jeden skok na pochybel śmierci. Zresztą - pływała lepiej od niego. Wykrzykiwał jej imię, dopóki mógł wydobyć z siebie głos. Potem leżał na piasku i modlił się, by wróciła, w końcu zasnął. Po kilku godzinach obudził go przyływ. Ruszył ciemną plażą w stronę hotelu, drepcząc po fosforującym piasku. Gdy spróbował obejść cypel wodą, fale zagroziły mu drogę, więc skrył się pod niskim urwiskiem, by doczekać świtu. Z nastaniem dnia obszedł skały i szedł dalej: potykał się, podbiegał; przystawał, gdy nasilał się ból.

Nie mógł znieść myśli, że odeszła, rozpląnęła się w niebycie, a jej żarliwie kochająca dusza pogrążyła się w nicości.

Zobaczył biegnącą plażą postać i na moment wróciła nadzieja; uczucie zniknęło równie szybko, jak się poja-wiło - biegnącym okazał się mężczyzna uprawiający poranny jogging. Ta chwila nadziei była darowanym mu okruczem łaski, skrawkiem, promykiem zaledwie. Ci, którzy kogoś tracą, kurczowo łapią się wyświechtanych, banalnych słów pociechy, nie wiadomo czemu uznając je za wyjątkowe, odpowiadające potrzebie serca.

Obserwował zbliżającego się biegacza i równocześnie zastanawiał się, czy istnieje miłosierdzie i kiedy po raz pierwszy je okazano. Lu Annę pytała, czy mogą oczeki-wać, że łaska spłynie na nich, a on niemal zaklinał się, że to niemożliwe.

Powinien był jej powiedzieć, że znajdują wybawienie. Bo istnieje. I dostąpią go; złakniony wędrowiec znajdzie wodę na pustyni. Słowami mógł ją ocalić... Jack Glenn zatrzymał się i otarł pot z czoła. - Cholera - zaklął, z trudem łapiąc oddech. Położył dłoń nad nerkami i energicznie zaczął masować plecy, w górę i w dół. - Gdzie... byliście? Oni poszaleli! Gdzie Lu Annę?

- Nie wróciła?
- Zniknęła. Nie była z tobą?
- Była.
- No więc, gdzie teraz jest?
- W wodzie.
- Nigdzie jej nie widzę.

Walker zobaczył następną postać, zbliżającą się plażą.

Był to Billy Bly.

- Hej, Gordon, nie widzę jej - powtórzył Jack Glenn.
- Odwrócił się i zmierzył Walkera zdziwionym wzrokiem. - Masz okropnie podbite oko i skąd wzięłeś te przedziwne ciuchy?

Walker nie odpowiedział.

- O Boże, czyżby wydarzyło się coś złego? - spytał Glenn. - Bo rozglądam się i nie widzę jej. Gordon, nie widzę jej. Co się stało, coś strasznego? Gordon skinął potakująco głową.
- O Boże, Gordon! Jezu Chryste!

Walker patrzył na twarz młodego mężczyzny, która zmieniała się w oczach. Glenn spoglądał na wodę prze-rażony i Walkerowi przez ułamek sekundy wydawało się, że tamten ją wypatrzył. Ale Jack odwrócił się - nie dostrzegł niczego.

- Straciłem ją - powiedział Walker.

W niedzielę, około drugiej po południu, Shelly Pearce, Jack Glenn i francuski aktor o nazwisku Celli, siedzieli w barze u Joe Allena. Ponieważ dzień był chłodny i deszczowy, a cały ranek spędzili na żałobnej mszy, przyszli rozgrzać się brandy i mieli już trochę w czubie. Zaczęli właśnie rozmawiać o karach za kierowanie po pijanemu i o wypadkach drogowych, jakim ulegli ich przyjaciele, gdy do środka wszedł Gordon Walker. Zaskoczeni, obserwowali w milczeniu, jak zbliża się do nich. - Cześć, Gordon - pierwszy odezwał się Jack. Przedstawił Walkera Celliemu, a ten przywitał się z nim serdecznie, iście po amerykańsku. Pozostali zastanawiali się, czy wie, kogo przed chwilą poznał. - Jak było? - zwrócił się do Shelly Walker. - Wspaniale, Gordon. Naprawdę, jak na te okoliczno-ści...

Gordon skinął głową.

- Miałam właśnie powiedzieć, że powinieneś był przyjść, ale oczywiście, że nie powinieneś. - Nie zaproszono mnie.

Skinął na barmana i zamówił wodę Perrier. - Właściwie - mówiła Shelly - co miałeś na myśli przez to: "jak było?" Bo było okropnie. Jej dzieciaki płakały. On wyglądał, jakby odczuwał ulgę, i tak pewnie jest. Dzienni-karze zajrzeli, ale nie zatrzymali się dłużej. -

Upiła długi łyk. - Prasa jest zawsze tam, gdzie trumna, a tej zabrakło. - Bardzo długo zwlekali z pogrzebem - zauważył Celli. - We Francji robimy to od razu. Msza żałobna po dwóch miesiącach - trochę to niecodzienne.

- Może czekali, by... - zaczęła Shelly.

- To prawda - włączył się Jack Glenn. - Następną tragedią było to, że nie odnaleziono ciała. - Żadna tragedia - powiedział Walker. - Tak jest lepiej, tak sędzę.

- Naprawdę, Gordon? - zapytała Shelly. - Widzę, że pijesz Perriera.

- Miałem zapalenie wątroby - wyjaśnił. - I gdyby nie dali mi zastrzyku z gammaglobuliny, wykończyłbym się. - Przejechał palcem wokół szklanki. - Tak więc dni mojego pijaństwa skończyły się bezpowrotnie. - Ciężko ci? - zapytała.

- Z czym?

- Czy ciężko ci nie pić? Jak sobie z tym radzisz?

- Cóż, oglądam telewizję. - Roześmiał się zmieszany. - Najtrudniejsze są wieczory - można dostać bzika - piję więc dużo soku pomidorowego z tabasco - odchrząknął z zażenowaniem - i pilnuję, żeby był bez soli, bo mam wysokie ciśnienie.

- To pięknie - powiedziała Shelly. - Rozsądnie. Uprawiasz jogging?

- Jeszcze nie. Lekarze twierdzą, że mogę zacząć za jakiś miesiąc, jak poprawi mi się ciśnienie. Znów piszę. - A więc byłeś o włos od zawału? - dopytywał się Jack.

- Okazało się, że nie.

Shelly zamówiła następną kolejkę i wodę dla Walkera. - Co cię sprowadza na wybrzeże?

- spytała. - Mysz-kujesz po okolicy? Tajemniczy żałobnik? - Słyszałem, że otworzyłaś własne biuro - próbował zmienić temat Walker.

- To prawda, bracie. Teraz ja sprawuję rząd dusz. - Ona twierdzi, że będzie pracować tylko dla kobiet - powiedział Jack. - Ale tak naprawdę, przejmuje dwie trzecie klientów Keochakiana. Biedak wisi na telefonie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, błagając, by go nie opuszczano.

- Przeniosłeś się do niej? - zapytał Walker.

- No pewnie.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś w mieście - naciskała Shelly. - Interesy?

- Wyprowadzamy się. Przenosimy się dalej na wschód.

- My? To znaczy kto?

Walker łyknął Perriera.

- Connie wróciła z Londynu, gdy się dowiedziała, że zachorowałem. Więc jesteśmy razem i jedziemy na wschód.

- Och, Gordon. - Shelly, w teatralnym geście, przycisnęła dłoń do piersi. - Co za wiadomość! Connie wróciła do domu. Na Boga! Co o tym myślicie, chłopcy? - zapytała. - Czyż to nie cudowne?

- Naprawdę się cieszę - powiedział Jack. Gordon podziękował mu. Francuz uniósł brwi i popatrzył w szklankę.

- Nie widziałem recenzji - powiedział Walker. - Co z filmem?

- Leży na dnie Pacyfiku - oświadczyła Shelly. - Razem z Lee V.

- Montują go na nowo - wyjaśnił Jack. Wzruszył ramionami. - Niektóre sceny dokręcili z Joy. Ta ma szczęście. - To cudownie, że Connie wróciła do domu - powiedziała Shelly. - Hej, a może byłby z tego niezły tytuł? "Connie wróć"? Obawiam się tylko, że sądzono by, że to film o zwierzętach.

Jack Glenn roześmiał się i zaraz zagryzł wargi. - Myślę, że to cudowne, Gordon - powtarzała Shelly - fantastyczne.

Walker nie patrzył jej w oczy.

- Czy jak ona umarła, Gordon, przyszedł ci do głowy jakiś patetyczny fragment z Szekspira? On mógłby go cytować od poniedziałku do niedzieli - wyjaśniła przyjaciółom.

- Gordon znajdzie odpowiedni cytat na każdą okazję. Lu nie była w tym gorsza. No powiedz, Gordon. Obserwowałeś przecież z brzegu jej pożegnalny występ. Co wtedy powiedziałaś?

- Byłem pijany tamtej nocy i niewiele pamiętam. To, co zapamiętałem, jest wystarczająco okropne. Może wreszcie z tym skończysz?

- Teraz, jak przestałeś pić, nie jesteś ani trochę zabawny. Eks-pijacy przestają być śmieszni. Założę się, że nikt ci jeszcze tego nie powiedział.

- Często i do znudzenia.

- O, znalazłam dobry cytat: Za dużo wody, dziewczeczko. - Sięgnęła przez stół po szklanekę i wylała jej zawartość Walkerowi na kolana. - No i jak? Spróbował wytrzeć ubranie serwetką. - Przyszedłem tu specjalnie po to, żeby zobaczyć się z tobą, Shelly - oświadczył.

Głośno przełknęła ślinę.

- Niemożliwe, naprawdę? - spytała.

- Miałem nadzieję, że w przyszłości... że w przyszłości będziesz mnie reprezentowała. Przymrużyła oczy i rozejrzała się po barze, jakby oczekiwała kogoś. Uśmiechała się pogodnie. - Pewnie, Gordon, czemu nie.

- Chodzi mi już po głowie pewien pomysł - powiedział. - Tak? - Jej głos przypominał zabi skrzek. - Prze-praszam - odchrząknęła. - Na przykład, jaki? - Porozmawiamy kiedyś indziej, teraz muszę już iść. - Wstał, uściśnął dłonie Jacka i Celliego. - Pomyślałem sobie, że najwyższa pora popłynąć z prądem. - Przygotujemy razem coś dobrego - powiedziała Shelly, nie patrząc na niego. - I nie gniewaj się z powodu drinka, przepraszam, Gordon.

- To tylko woda. No to cześć.

- Rzeczywiście - powiedziała, gdy odchodził. - I do tego sama za nią zapłaciłam.

- Żegnaj, Shelly - powiedział od drzwi Gordon.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Wybaczcie - odezwał się Celli - ale nic z tego nie rozumiem.

- Byłaś strasznie surowa dla tego faceta - zauważył Jack Glenn. - Dla Lu Annę zresztą też. Shelly zwróciła twarz w jego stronę.

- Niech to szlag - powiedziała. - Żałowałam jej, myślisz, że nie? Uważałam, że jest cudowna. Moim zdaniem to było tak, jakby poczęstowano ją zatrutym jabłkiem. Wyjęła chusteczkę i ukryła w niej zażawione oczy.

Jack zamówił następną kolejkę.

- Jeszcze po jednym - powiedział. - Jeden więcej nie zaszkodzi.

Przyniesiono drinki i Jack podał szklaneczkę Shelly. - Raz-dwa - powiedział. Posłusznie wypila. - Nieraz opowiadała o swym wielkim występie w roli Rozalindy. Czy to przypadkiem nie było studenckie przedstawienie? - Oglądałam ją wtedy - powiedziała Shelly. - Złożyłam podanie do "Yale Repertory" i przyjechałam tam z Northampton. Oglądałam jej Rozalindę.

- No i jak grała, rzeczywiście wspaniale?

- No cóż, nieźle - powiedziała Shelly. - Ładnie.

- Słodycz jest narzędziem awersji - wyrecytował Jack.

- To chyba z "Jak wam się podoba", prawda? - Tak. - Odłożyła chusteczkę. - Mężczyznom zdarza się umierać, ale nigdy z miłości.

- Wspaniała kwestia - zauważył Jack Glenn.

KONIEC